

Nie chowaj tej książki przed sobą! I tak Ci się może zdarzyć

Dziedziczka



DC
1972

JUDE DEVERAUX

ksiazkoholicy.pl

JUDE DEVERAUX

DZIEDZICZKA

Tytuł oryginału HIGHLAND VELVET

NOTA OD AUTORA

Każdy, kto czytał tę książkę przed jej wydaniem, zadawał mi te same pytania: Dlaczego nie wspomina się tu nic o kilcie, i jakie były kolory tartanu MacArran?

Dawny strój szkocki był prosty: składał się z rodzaju pledu (*plaide* oznacza w języku gaelickim koc), który rozkładano na ziemi, po czym jego właściciel kładł się na nim, owijał

brzegi wokół bioder i przymocowywał paskiem. Z tego powstawała spódniczka. Górną część *plaide*, czy też koca, przypinano na jednym ramieniu.

Krąży wiele historii na temat powstania kiltu. Jedna z nich mówi o pewnym Angliku, który skrócił ten strój dla wygody swych szkockich hutników. Oczywiście, Szkoci odrzucają tę wersję. Niezależnie od prawdziwości tej historii, kilt pojawił się w użyciu dopiero po roku 1700.

Co do kolorów tartanu, członkowie klanów używali dowolnych barw, które im się spodobały i które mogli uzyskać dzięki dostępnym w okolicy barwnikom roślinnym. Klany odróżniano po kolorowych kokardach przy kapeluszach.

Krąży również wiele opowieści dotyczących samego tartanu. Jedna z nich mówi, że to handlarze nadawali imiona klanów tkaninom, żeby łatwiej można było zidentyfikować ich wytwórcę. Inna zaświadcza, że armia brytyjska w swoim zamiłowaniu do porządku wymagała, by każda szkocka kompania nosiła tartan o takim samym kolorze i wzorze. Tak czy inaczej, współcześnie znane tartany pojawiły się dopiero po roku 1700.

Jude Deveraux, 1981 Santa Fe, Nowy Meksyk

PROLOG

Mimo zmęczenia długą jazdą po nocy Stephen Montgomery siedział wciąż wyprostowany na swoim koniu. Nie chciał myśleć o narzeczonej czekającej go u celu tej drogi, czekającej już od trzech dni. Jego bratowa, Judyta, posłała mu kilka cierpkich słów o mężczyznach, którzy nawet nie zadają sobie trudu, by pojawić się na własnym ślubie czy choćby wysłać wiadomość tłumaczącą spóźnienie.

Ale mimo słów Judyty i świadomości, że obraził swą przyszłą żonę, niechętnie wyjeżdżał z dóbr króla Henryka. Stephen wahał się opuścić bratową. Judyta, piękna, złotooka żona jego brata Gavina, spadła ze schodów i straciła upragnione dziecko, które miała właśnie urodzić. Przez kilka dni jej życie wisiało na włosku. Gdy się ocknęła i dowiedziała, że poroniła, poświęciła swe myśli innym zamiast rozczulać się nad sobą.

Stephen nie pamiętał daty własnego ślubu, zapomniał nawet o narzeczonej. Judyta, choć pogrążona w

bólu, musiała mu przypomnieć o jego obowiązkach i honorze Szkotki, którą miał poślubić.

Teraz, w trzy dni później, Stephen przyglądał w zadumie swe gęste, ciemnoblonde włosy. Wolał zostać przy bracie Gavinie, mimo niezadowolenia Judyty. Jej upadek nie był

przypadkowy, spowodowała go kochanka Gavina, Alicja Chatworth.

- Milordzie.

Stephen zwolnił i odwrócił się do giermka.

- Wozy zostały daleko za nami. Nie mogą nadążyć.

Skinął głową bez słowa i skierował konia ku wąskiemu strumieniowi, płynącemu wzdłuż drogi. Zsiadł z konia, przyklęknął na jedno kolano i opryskał twarz chłodną wodą.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Stephen nie chciał jechać na spotkanie narzeczonej, której nawet jeszcze nie widział. Król Henryk zamierzał nagrodzić rodzinę Montgomerych za jej wieloletnią wierną służbę, dając młodszemu bratu bogatą szkocką pannę. Stephen zdawał sobie sprawę, że winien królowi wdzięczność, ale jej nie odczuwał

po tym, co usłyszał o narzeczonej.

Była pełnoprawną dziedziczką potężnego szkockiego klanu.

Popatrzył na zieloną łąkę po drugiej stronie strumienia. Ci przekłęci Szkoci, ze swym absurdalnym przekonaniem, że kobieta jest dość inteligentna i silna, by rządzić mężczyznami. Jej ojciec powinien wybrać jakiegoś młodego chłopca zamiast niej.

Zasepił się, wyobrażając sobie kobietę, którą wybrano na dziedziczkę rodu. Musiała mieć przynajmniej ze czterdzieści lat, włosy koloru stali i masywne ciało. W noc poślubną będą się pewnie siłować na rękę, żeby zdecydować, kto będzie na górze i... ona pewnie wygra.

- Milordzie - powiedział chłopak. - Nie wyglądasz dobrze, panie. Tak długa podróż może cię przyprawić o chorobę.

To nie zmęczenie podróży skręca mi wnętrzności. - Stephen wstał powoli, choć bez trudu, a jego masywne mięśnie poruszyły się pod ubraniem. Wzrostem przewyższał

giermka. Ciało miał jędrne, ciężkie, masywne od ćwiczeń; gęste włosy zlepione potem na karku, silnie zarysowaną szczękę, pięknie wyrzeźbione usta. Pod jego przejrzyście błękitnymi oczyma widniały głębokie cienie. - Wróćmy do koni. Wozy dołączą do nas później. Nie chcę już opóźnić egzekucji.

- Egzekucji, milordzie?

Stephen nie odpowiedział. Miał jeszcze kilka godzin, by przygotować się na koszmar, który go

oczekiwał w osobie Bronwyn MacArran.

1

Rok 1501

Bronwyn MacArran stała przy oknie angielskiej rezydencji spoglądając na podwórze. Wąskie okno było otwarte na gorące, letnie słońce. Wychyliła się nieznacznie, by poczuć na twarzy świeży powiew. Jeden ze stojących na dole żołnierzy uśmiechnął się lubieżnie.

Błyskawicznie cofnęła się o krok i zatrzasnęła okno. Odwróciła się wzburzona.

- Te angielskie świnię! - zaklęła po cichu. Jej miękki głos przywodził na myśl mgłę i wrzosa Szkocji.

Za drzwiami dały się słyszeć ciężkie stąpania i Bronwyn wstrzymała oddech do chwili, gdy odgłos kroków zaczął się oddalać. Była więźniem, przetrzymywanym tu, na północnej granicy Anglii, przez ludzi, których zawsze nienawidziła, a którzy teraz uśmiechali się do niej i mrugali, jak gdyby znali jej najtajniejsze myśli.

Podeszła do stolika znajdującego się pośrodku wyłożonego dębina pokoj. Chwyliła mocno blat, pozwalając, by jego kant wpił się w jej dłonie. Zrobiłaby wszystko, żeby ci ludzie nie dowiedzieli się, co czuje. Anglicy to wrogowie. Widziała, jak zabijali jej ojca i jego trzech dowódców. Widziała swego brata niemal oszalałego od daremnych wysiłków odpłacenia wrogom na ich sposób. Przez całe życie musiała żywić i odziewać członków klanu, po tym jak Anglicy zniszczyli im pola i spalili ich domy.

Miesiąc temu została pojmana. Bronwyn uśmiechnęła się na wspomnienie ran, które ona i jej ludzie zadali angielskim żołnierzom. Później czterech z nich zmarło.

Ale w końcu i tak ją pochwycili na rozkaz angielskiego króla. Henryk VII powiedział, że chce pokoju, i dlatego Anglika ustanowi głową klanu MacArran. Zamyślał

uczynić to, wydając Bronwyn za jednego ze swoich rycerzy.

Rozbawiła ją ignorancja angielskiego króla. To ona była głową klanu MacArran i żaden mężczyzna nie mógłby jej odebrać władzy. Ten głupi król oczekiwał, że jej ludzie podporządkują się obcemu, Anglikowi, tylko dlatego, że ich władca jest kobietą. Jakże mało wiedział Henryk o Szkotach!

Odwróciła się nagle, usłyszawszy warczenie. To Rab, wilczarz irlandzku największy pies świata, o szorstkiej, gęstej sierści w kolorze płynnej stali. Trzy lata temu dostała go od ojca, gdy Jamie powrócił z wyprawy do Irlandii. Jamie zamierzał wytresować go na obrońcę dla córki, ale okazało się to niepotrzebne - Rab i Bronwyn zaprzyjaźnili się natychmiast, a pies niejednokrotnie sam dawał do zrozumienia, że oddałby życie za swoją ukochaną panią.

Napięcie Bronwyn zelżało, gdy warczenie Raba ucichło. Reakcja psa wskazywała na bliskość przyjaciela. Dziewczyna wyczekująco wpatrywała się w drzwi.

Weszła Morag, niska, przygarbiona kobieta, wyglądem przypominająca bardziej ciemny pień drzewa niż człowieka. Miała błyszczące jak czarne szkło oczy, których badawcze spojrzenie zdawało się przenikać każdego na wskroś. Wykorzystując swą niepozorną postać, Morag lubiła kręcić się niezauważona wśród ludzi, obserwując i nasłuchując. Teraz w milczeniu przemierzyła pokój i otworzyła okno.

- I co? - zapytała niecierpliwie Bronwyn.

- Widziałam, jak zatrzasnąłeś okno. Na dole śmiali się i mówili, że dostaniesz za swoje w noc poślubną.

Bronwyn odwróciła się do niej plecami.

- Sama dałaś im powód do gadania. Powinnaś wysoko trzymać głowę i ignorować ich. To tylko Anglicy, a ty jesteś jedną z MacArranów - upomniała ją Morag.

Bronwyn zachnęła się.

- Nikt nie musi mi mówić, jak mam się zachowywać - warknęła.

Rab, świadom jej zniecierpliwienia, stanął tuż przy swej pani.

Morag uśmiechnęła się do dziewczyny widząc, jak ta podchodzi do ławki pod oknem. Pierwszy raz trzymała Bronwyn w ramionach, mokrą, zaraz po urodzeniu. Tulila do siebie małe zawiniątko, czuwając przy umierającej matce dziecka. To właśnie Morag znalazła maleństwu mamkę, wybrała imię po walijskiej babce i wychowywała je do szóstego roku życia, kiedy to opiekę nad córką przejął ojciec.

Morag z dumą spoglądała na swoją podopieczną. Bronwyn była wysoka, wyższa niż niejeden mężczyzna, prosta i giętka niczym trzcina. Nie przykrywała włosów, jak to czynią Angielki, lecz pozwalała im spływać na plecy obfitą kaskadą. Były kruczoczarne i tak gęste, że jej wiotka szyja chyba tylko cudem mogła udźwignąć ten ciężar. Miała na sobie satynową suknię angielskiego kroju, w kolorze śmietany z mleka szkockich krów. Prostokątny, głęboki dekolt odsłaniał młode, jędrne piersi. Suknia opinała szczelnie talię Bronwyn i opadała w obfitych fałdach. Dekolt i gorset obrzeżone były koronką przetykaną złotą nitką.

- Jesteś zadowolona? - zapytała ostro Bronwyn, nadal poruszona sprzeczką na temat Anglików.

Wolała szkockie stroje, ale Morag przekonała ją, że lepiej włożyć angielską suknię, by nie dawać wrogowi powodu do wyśmiewania się z niej i jej „barbarzyńskiego ubioru”.

Morag odchrząknęła.

- Myślę, że dzisiejszej nocy nie będzie ci szkoda zdjęć tej sukni dla mężczyzny.

- Przecież to Anglik! - syknęła Bronwyn. - Tak łatwo zapominasz? Czyżby czerwień krwi mojego ojca już przybladła w twoich oczach?

- Wiesz, że nie - odparła cicho Morag.

Bronwyn usiadła ciężko pod oknem i rozłożyła fałdy spódnicy na ławce. Przebiegła palcami po bogatym hafcie. Zapłaciła za ten strój mnóstwo pieniędzy, a przecież mogła je przeznaczyć na pomoc dla członków klanu. Wiedziała jednak, że i oni nie chcą się za nią wstydzić przed Anglikami, dlatego kupiła suknię godną królowej.

Ale też miała to być jej suknia ślubna. Szarpnęła gwałtownie złotą nić haftu.

- Cóż to! - zaprotestowała Morag. - Niszczysz suknię, bo jesteś zła na jakiegoś Anglika? Może ten człowiek miał jakiś istotny powód, żeby się spóźnić na własny ślub?

Bronwyn gwałtownie wstała, aż Rab przysunął się do niej zaniepokojony.

- Nic mnie to nie obchodzi, nawet gdyby on nie miał się tu w ogóle pokazać. Mam nadzieję, że gnije teraz z podciętym gardłem w jakimś rowie.

Morag wzdrygnęła się.

- Natychmiast znajdą ci innego, więc co za różnica, czy ten zmarł, czy nie? Im szybciej dostaniesz angielskiego męża, tym szybciej będziemy mogły wrócić do Szkocji.

- Łatwo ci mówić! - prychnęła Bronwyn. - To nie ty musisz go poślubić i... i...

Oczy Morag zabłyśły.

- I oddać mu się? To tego się boisz, prawda? Chciałabym się z tobą zamienić.

Myślisz, że Stephen Montgomery zauważyłby, gdybym zamiast ciebie wśliznęła się do jego łóżka?

- A cóż ja wiem o Stephenie Montgomerym, z wyjątkiem tego, że tak długo każe mi czekać w ślubnej sukni? Mówisz, że ci mężczyźni się ze mnie śmieją. To mężczyzna, który ma mnie poślubić, wystawił mnie na ich pośmiewisko. - Rzuciła okiem na drzwi. - Niech no tu teraz przyjdzie, a powitam go z nożem.

Morag uśmiechnęła się. Jamie MacArran byłby dumny ze swojej córki Nawet uwięziona, nie traciła nic ze swej dumy i werwy. Stała z wysoko podniesioną głową, miotając wokół mordercze, lodowate spojrzenia.

Uroda Bronwyn porażała. Włosy czarne jak bezksiężycowa noc w górach Szkocji i oczy ciemnobłękitne jak woda w jeziorze tworzyły niezwykły kontrast. Dlatego zdarzało się często, że ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, przystawali na jej widok w osłupieniu. Miała długie, gęste rzęsy, gładką, mleczną skórę. Poniżej ciemnoczerwonych ust zarysowywała się mocna, kwadratowa szczęka, której kształt Bronwyn odziedziczyła po ojcu.

- Pomyślą, że jesteś tchórzem, jeśli wciąż będziesz się tak chować w pokoju. Jakież Szkot boi się drwin Anglików?

Bronwyn wyprostowała się i popatrzyła na suknię. Gdy ubierała się dziś rano, myślała o mającej się odbyć ceremonii. Tymczasem minęło już wiele godzin od wyznaczonego czasu, a pan młody jeszcze się nie pokazał, nie przysłał nawet słowa przeprosin.

- Pomóż mi to rozpiąć - powiedziała Bronwyn. Suknia musi być świeża w dniu ślubu. Jeśli nie dziś, to później. I może z kimś innym. Ta myśl ją rozbawiła.

- Co ci chodzi po głowie? - zainteresowała się Morag, manipulując palcami przy zapięciu z tyłu sukni. - Masz spojrzeń kota, który dorwał się do śmietanki.

- Zadajesz zbyt wiele pytań. Przynies mi zieloną brokatową suknię. Anglicy mogą sobie myśleć, że jestem pogrążoną we łzach panną młodą, ale szybko się przekonają, jacy naprawdę są Szkoci.

Była więźniem, i to od ponad miesiąca, ale pozwolono jej poruszać się w obrębie posiadłości sir Tomasza Crichtona. Mogła chodzić po domu i po polach, tyle że z eskortą.

Posiadłości pilnie strzeżono. Król Henryk zapowiedział klanowi Bronwyn, że w przypadku jakiegokolwiek próby uwolnienia jej, dziewczyna zostanie natychmiast stracona. Nie zamierzał jej skrzywdzić, chciał jedynie postawić Anglika na czele klanu pozbawionego przywódców. Szkoci poruszeni uwięzieniem nowego dziedzica oczekiwali chwili, gdy jeden z ludzi angielskiego króla ośmieli się im rozkazywać.

Bronwyn powoli zeszła na dół do hallu. Wiedziała, że jej współziomkowie czekają niecierpliwie, ukryci w lasach wzdłuż niespokojnej granicy między Anglią i Szkocją.

Ona sama nie dbała o to, czy umrze, czy poślubi tego angielskiego psa, ale jej śmierć spowodowałaby niemałe zamieszanie. Jamie MacArran wyznaczył ją na swego spadkobiercę, zaplanował też jej małżeństwo z którymś z przywódców klanu, niestety, kandydaci na męża polegli wraz z jej ojcem. Jeśli Bronwyn umrze bezpotomnie, rozpocznie się krwawa walka o sukcesję.

- Zawsze wiedziałem, że ci Montgomery to bystrzy ludzie - zaśmiał się jakiś człowiek stojący niedaleko Bronwyn, ukrytej za grubym gobelinem. - Popatrz tylko, najstarszy z nich ożenił się z dziedziczką Revedoune. Ledwie wyszedł z małżeńskiego łóża, a jej ojciec został zabity i on odziedziczył wszystko.

- A teraz Stephen idzie w ślady brata. Ta Bronwyn jest nie tylko piękna, ale posiada też tysiące akrów ziemi.

- Mów sobie, co chcesz - odezwał się trzeci. Jego pusty lewy rękaw zaświadczał o braku ręki, - Ale ja nie zazdroszczę Stephenowi Ta kobieta jest wspaniała, tylko jak długo on z nią wytrzyma? Straciłem rękę, bijąc się z tymi szkockimi diabłami. To dzikusy, mówię wam. Rosną nie ucząc się niczego. Potrafią jedynie rabować i plądrować. Walczą też jak zwierzęta, nie jak ludzie. To dzika, okrutna banda.

- I słyszałem, że ich kobiety cuchną potwornie - dodał pierwszy.

- Jeśli chodzi o tę czarnowłosą Bronwyn, ja uciekam z moim nosem.

Bronwyn postąpiła krok do przodu, zaciskając usta w gniewie. Nagle ktoś chwycił ją za ramię, a gdy się odwróciła, ujrzała twarz młodego, przystojnego mężczyzny. Miał ciemne oczy, pełne usta i dorównywał jej wzrostem.

- Pozwól mi, pani - powiedział cicho.

Podszedł do grupy rozmawiających. Jego mocne nogi opinały pończochy, a aksamitny kaftan podkreślał barczystość ramion.

- Nie macie nic lepszego do roboty, tylko plotkować jak stare baby? Rozprawiacie o rzeczach, o których nie macie pojęcia. - Jego głos był donośny i władczy.

Trzej mężczyźni spojrzeli na niego zdumieni.

- Roger, co z tobą? - zapytał jeden z nich i zerkając za plecy Rogera zobaczył stojącą tam Bronwyn z pałającymi gniewem oczyma.

- Byłoby lepiej, żeby Stephen przyjechał jak najszybciej. widzę, że powinien strzec tej swojej własności - zaśmiał się drugi.

- Precz stąd! - rozkazał Roger. - Czy mam dobyć miecza, byście usłuchali?

- Ach, ta gorąca, młoda krew - zażartował któryś ostrożnie. - Wyjdźmy, na zewnątrz jest chłodniej. Za drzwiami łatwiej wyładować napiętność.

Gdy odeszli, Roger zwrócił się do Bronwyn:

- Proszę wybaczyć zachowanie moich współziomków. Ich grubiaństwo bierze się z niewiedzy. Nie chcieli nikogo skrzywdzić.

Bronwyn zmierzyła go wzrokiem.

- Obawiam się, że to ty jesteś ignorantem, panie. Chcieli skrzywdzić. A może i ty, panie, uważasz, że mordowanie Szkotów to nie grzech?

- Protestuję! To nie w porządku. Zabiłem wprawdzie kilku ludzi, ale nie Szkotów. -

Urwał. - Powinienem się przedstawić. Jestem Roger Chatworth. - Zdjął z głowy aksamitny beret i złożył głęboki, dworny ukłon.

- A ja, panie, jestem Bronwyn MacArran, więzień Anglików i, jak się ostatnio okazało, porzucona narzeczona.

- Lady Bronwyn, czy przejdiesz się ze mną po ogrodzie? Może promienie słońca rozproszą smutek, którego przyczyną jest Stephen.

Szli obok siebie. Jego obecność powstrzymywała strażników od bezczelnych uwag.

Gdy znaleźli się na otwartym polu, Bronwyn odezwała się:

- Mówisz o Montgomerym, nazywając go po imieniu, jakbyście się znali.

- A tyś go jeszcze nie poznała, pani? Bronwyn ściągnęła gniewnie brwi.

- Od kiedy to zasłużyłam sobie na uprzejmość waszego angielskiego króla? Mój ojciec wierzył we mnie na tyle, by powierzyć mi klan MacArran, ale twój król uważa, że mam za mało rozumu, by sobie wybrać męża. Nie, nie widziałam nigdy Stephena Montgomery ani też nic o nim nie wiem. Pewnego ranka zakomunikowano mi, że wyjdę za niego za męża. Do tej pory nie zaszczycił mnie jeszcze swoją obecnością. Roger uniósł brwi.

W gniewie jej oczy błyszczały jak błękitne diamenty.

- Jestem pewien, że musi być jakaś istotna przyczyna tego spóźnienia.

- A może ten powód to chęć narzucenia władzy wszystkim Szkotom? Pokaże nam, kto tu jest panem.

Roger milczał przez chwilę, jakby rozważał jej słowa.

- Niektórzy uważają Montgomerych za aroganckich.

- Znasz Stephena Montgomery. Jaki on jest? Nie wiem nawet, czy jest wysoki czy niski, stary czy młody.

Roger drgnął, jakby błędził myślami gdzie indziej.

- To całkiem zwykły człowiek. - Zawahał się. - Lady Bronwyn, czy uczyni mi pani ten honor i jutro zechce towarzyszyć mi w przejażdżce po parku? Przez ziemie sir Tomasza przepływa strumień, moglibyśmy tam się udać i zjeść nad brzegiem śniadanie.

- A nie boisz się, panie, że będę nastawać na twoje życie? Nie wypuszczano mnie tak daleko przez ponad miesiąc.

Uśmiechnął się do niej.

- Chciałbym, abyś wiedziała, pani, że istnieją Anglicy lepiej wychowani niż ci, którzy porzucają narzeczone w dniu ślubu.

Bronwyn zeszywniała na wspomnienie upokorzenia, jakiego doznała od Stephena Montgomery'ego.

- Z przyjemnością tam pojedę.

Roger Chatworth z uśmiechem zadowolenia skinął głową mijającemu ich człowiekowi. Jego umysł pracował szybko.

Trzy godziny później wrócił do swej komnaty we wschodnim skrzydle domu sir Tomasza Crichtona. Przyjechał tu przed dwoma tygodniami, żeby z nim porozmawiać o ogłoszeniu poboru w okolicy. Sir Tomasz był jednak zbyt pochłonięty sprawą szkockiej dziedziczki, by się zająć czymś innym. Teraz Roger stwierdził, że to los go tu przygnał.

Kopnięciem odrzucił stołek spod nóg śpiącego pazia.

- Mam dla ciebie zadanie - rzekł, gdy zdjął z siebie aksamitny kaftan. - Gdzieś tu pęta się stary Szkot imieniem Angus. Poszukaj go i sprowadź. Spotkasz go najpewniej tam, gdzie się leją trunki. I przynieś antałek piwa. Zrozumiałeś?

- Tak, milordzie - odparł chłopak, wycofując się do drzwi i przecierając zaspane oczy.

Gdy Angus pojawił się w drzwiach, już dobrze dymiło mu się z czuba. Teoretycznie był jednym z pomocników sir Tomasza, w praktyce jednak ograniczał swe zajęcia do picia.

Brudne, zmierzwione włosy na sposób szkocki zwisały mu na plecach. Nosił długą, lnianą koszulę, przewiazaną w pasie. Miał gołe nogi. Roger obrzucił go spojrzeniem i skrzywił się z niesmakiem, widząc niechlujstwo starego.

- Chcesz czegoś, milordzie? - zapytał bełkotliwym głosem Angus. Jego wzrok przylgnął do małej baryłki piwa, którą paź wnosił do komnaty.

Chatworth odprawił chłopca i nalał sobie piwa, następnie wskazał stołek Angusowi.

- Chciałbym się czegoś dowiedzieć o Szkocji - rzekł.

Angus uniósł zmierzwione brwi.

- To znaczy, gdzie jest ukryte złoto? To biedny kraj, milordzie, i...

- Żadnych kazań, Angus! Swoje kłamstwa zachowaj dla kogo innego. Chcę się dowiedzieć tego, co powinien wiedzieć człowiek mający poślubić przywódcę klanu.

Angus wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym łyknął piwa.

- Eponymus, tak? - mruknął w języku gaelickim. - To nie takie proste być zaakceptowanym przez klan.

Roger zrobił jeden długi krok i wyszarpnął kufel z rąk Angusa.

- Nie obchodzi mnie twoja opinia. Odpowiedz mi na pytanie, czy mam cię stąd wykopać?

Angus popatrzył z rozpaczą na chłodny kufel.

- Musisz stać się jednym z MacArranów. - Podniósł wzrok na Rogera. - O ile chodzi ci, panie, o ten właśnie klan.

Roger potaknął zdawkowo.

- Musisz przyjąć imię dziedzica klanu, bo inaczej nie zaakceptują cię. Musisz ubierać się jak Szkoci, bo inaczej cię wyśmieją. Musisz pokochać tę ziemię i samych Szkotów.

Roger przysunął kufel.

- A co z kobietą? Co mam zrobić, żeby ją dostać?

- Bronwyn nie dba o nic z wyjątkiem swych ludzi. Zabiłaby się raczej niż poślubiła Anglika, gdyby nie świadomość, że to wywołałoby wojnę wewnątrz klanu. Jeśli sprawisz, że uwierzy, iż dbasz o jej ludzi, będziesz ją miał.

Roger oddał mu kufel.

- Chcę wiedzieć więcej. Czym jest klan? Dlaczego wybrali kobietę na przywódcę?

Kim są wrogowie klanu MacArran?

- Gadanie to sucha robota.

- Dostaniesz tyle piwa, ile zdołasz wypić, dopóki będziesz odpowiadał na moje pytania.

Bronwyn spotkała się z Rogerem Chatworthem wczesnym rankiem następnego dnia.

Mimo najlepszych intencji była tak podniecona perspektywą przejażdżki po lesie, że ledwo mogła zasnąć. Morag pomogła jej ubrać się w lekką, brązową, aksamitną suknię, cały czas przestrzegając ją przed podarunkami Anglików.

- Chcę się tylko przejechać - powtarzała uparcie Bronwyn.

- Tak, a czegoż może chcieć ten Chatworth? Wie, że masz poślubić innego.

- Czyżby? - prychnęła Bronwyn. - No to gdzie jest mój oblubieniec? Mam siedzieć w sukni ślubnej przez kolejny dzień i czekać na niego?

- Lepsze to niż uganiać się po lesie z jakimś gorąckrwistym, młodym angielskim parem.

- Parem? Roger Chatworth jest angielskim parem?

Morag nie odpowiedziała, wygładziła tylko suknię i wypchnęła Bronwyn z pokoju.

Teraz, gdy siedziała na koniu, a Rab biegł tuż obok, dziewczyna po raz pierwszy od wielu tygodni poczuła, że żyje.

- Na twoje policzki powrócił rumieniec - powiedział Roger śmiejąc się.

Odwzajemniła mu uśmiech, jej twarz rozpogodziła się, a oczy zapłonęły. Zmusiła konia do szybszego

biegu. Rab, sadząc długimi susami, dotrzymywał im kroku.

Roger obejrzał się na podążających za nimi ludzi. Byli to trzej członkowie jego osobistej straży oraz dwóch paziów z koniem jucznym, wiozącym żywność i zastawę.

Zwrócił oczy na Bronwyn i zmarszczył brwi, kiedy ona się obejrzała i jeszcze popędziła konia. Była doskonałą amazonką, a las był bez wątpienia pełen ludzi z jej klanu, wyczekujących okazji, by pomóc jej w ucieczce.

Uniósł dłoń, ponagłając jeźdźców, i pognał za dziewczyną.

Koń Bronwyn niemal szybował. Wiatr we włosach, posmak wolności wprawiły ją w podniecenie. Do strumienia dotarła w pełnym galopie. Nie miała pojęcia, czy ten koń już kiedyś skakał, ale nakłoniła go do tego, nie bacząc na ryzyko. Przefrunął nad wodą, jakby miał skrzydła. Po drugiej stronie ostro ściągnęła wodze i odwróciła się. Roger ze swoimi ludźmi zbliżał się już do strumienia.

- Lady Bronwyn! - krzyknął. - Czy wszystko w porządku?

- Oczywiście - zaśmiała się, a potem poprowadziła konia przez wodę. Pochyliła się i poklepała konia po szyi. - Dobre zwierzę. Świetnie poradził sobie z tym skokiem.

Roger zeskoczył z konia i podszedł do niej.

- Przestraszyłaś mnie, pani. Mogłaś sobie zrobić krzywdę.

Roześmiała się znowu.

- To mało prawdopodobne, by jakikolwiek Szkot zrobił sobie krzywdę dosiadając konia.

Roger podał jej ramię, by mogła zsiąść. Nagle Rab rzucił się pomiędzy nich, szczerząc długie, ostre zęby. Warczał ostrzegawczo. Roger instynktownie cofnął się.

- Rab! - Pies usłuchał jej natychmiast. Odsunął się, ale wciąż obserwował uważnie Rogera. - Chciał mnie obronić. Nie lubi, jak ktoś mnie dotyka.

- Będę o tym pamiętał - rzekł z powagą Roger, pomagając jej zsiąść z konia. - Może chciałabyś, pani, odpocząć po przejażdżce? - zaproponował. Klasnął w dłonie, a jego giermkowie przynieśli dwa krzesła pokryte czerwonym aksamitem. - Milady - skłonił się.

Uśmiechnęła się, zaskoczona widokiem krzeseł w lesie. Trawa pod jej stopami przypominała miękki dywan. Strumień śpiewał swoją melodię, ale nim zdążyła o tym wszystkim pomyśleć, już jeden z ludzi Rogera zaczął grać na lutni. Zamknęła na chwilę oczy.

- Tęsknisz za rodzinnymi stronami, pani? - zapytał Roger.

Westchnęła.

- Cóż ty, panie, możesz o tym wiedzieć? Nikt, kto nie pochodzi z Gór, nie potrafi pojąć, co to oznacza dla Szkota.

- Moja babka była Szkotką, mam więc o tym jakieś pojęcie. Nagle podniosła głowę.

- Pańska babka? Jak się nazywała?

- MacPherson z MacAlpinów.

Bronwyn uśmiechnęła się. Miło było usłyszeć choćby znajome nazwiska.

- MacAlpin. To dobry klan.

- Tak. Spędziłem wiele wieczorów na kolanach mojej babki, słuchając jej opowieści.

- A o czym opowiadała? - spytała zaciekawiona.

- Poślubiła Anglika i zawsze porównywała te dwie kultury. Mówiła, że Szkoci są gościnniejsi, że nie zamykają swoich kobiet w domu, jak to czynią Anglicy, w przekonaniu że one nie mają dość rozsądku. Mówiła też, że w Szkocji traktuje się kobiety na równi z mężczyznami.

- Tak - zgodziła się cicho Bronwyn. - Mój ojciec wyznaczył mnie na swojego dziedzica. - Urwała. - A jak pański angielski dziadek traktował swoją szkocką żonę?

Roger roześmiał się, jakby to był żart.

- Przez jakiś czas mieszkał w Szkocji. Wiedział, że moja babka jest inteligentną kobietą, i zawsze bardzo ją cenił. Żadnej decyzji nie podejmował bez niej.

- Dużo czasu spędziłeś z nimi, panie?

- Niemal całe życie. Moi rodzice umarli, gdy byłem chłopcem.

- A co sądzisz o sposobie, w jaki Anglicy traktują kobiety? Z pewnością, jako dojrzały mężczyzna, wiesz już, panie, że kobiety służą tylko do łóżka i rodzenia dzieci.

Roger roześmiał się głośno.

- Nawet gdybym tak kiedyś pomyślał, moja babka wstałaby z grobu, żeby mi natrzeć uszu. Nie - powiedział poważniejąc. - Ona zawsze chciała, żebym poślubił jakąś jej kuzynkę, ale ta umarła jeszcze jako dziecko. Dorastałem posługując się nazwiskiem MacAlpin.

- Co takiego? - zdumiała się Bronwyn.

- To była część kontraktu ślubnego. Miałem zostać jednym z MacAlpinów, żeby zadowolić jej klan.

- I zrobiłeś to? Wspomniałam sir Tomaszowi, że mój mąż powinien zostać MacArranem, ale odparł,

że to niemożliwe, bo żaden Anglik nie porzuci swego znakomitego nazwiska dla jakiegoś plugawego, szkockiego.

Oczy Rogera błysnęły gniewem.

- Nie rozumieją! Przekłęci Anglicy! Myślą, że tylko oni mają rację. Nawet Francuzi...

- Francuzi są naszymi przyjaciółmi - przerwała mu Bronwyn. - Przyjeżdżają do nas tak często, jak my do nich. I, w przeciwieństwie do Anglików, nie niszczą naszych zbiorów ani nie kradną naszego bydła.

- Bydło - uśmiechnął się Roger. - Interesujący temat. Powiedz mi, pani, czy MacGregorowie nadal hodują te tłuste bestie?

Bronwyn nagle zeszywniała.

- Klan MacGregor to nasi wrogowie.

- Rzeczywiście. Ale przyznasz, że ich befsztyki są najlepsze.

Utkwiła w niego oczy. MacGregorowie byli wrogami klanu MacArran od wieków.

- No cóż, wszystko mogło się zmienić od czasu, gdy moja babka była młodą, szkocką dziewczyną - ciągnął Roger. - Wtedy ulubionym sportem chłopców był nocny przepęd bydła.

Bronwyn posłała mu uśmiech.

- To się nie zmieniło.

Roger odwrócił się i klasnął na służbę.

- Czy chciałabyś coś zjeść, pani? Sir Tomasz ma francuskiego kucharza, który przygotował dla nas ucztę. Powiedz czy jadłaś kiedykolwiek granaty?

Zdołała tylko potrząsnąć głową. Patrzyła zdziwiona Jak służdy rozładowują kosze, a jeden z giermków podaje jedzenie na srebrnej zastawie. Po raz pierwszy w życiu pomyślała, że Anglik może być istotą ludzką, że mógłby uczyć się... chcieć się uczyć szkockich obyczajów. Wzięła pasztecik w kształcie róży i ciasteczko. Wydarzenia tego dnia były dla niej zaskoczeniem.

- Powiedz mi, lordzie Rogerze, co sądzisz o naszym systemie klanów.

Roger strząsnął z siebie okruchy i uśmiechnął się do siebie. Był dobrze przygotowany na wszystkie jej pytania.

Bronwyn stała w pokoju, w którym spędziła zbyt wiele czasu w ciągu ostatniego miesiąca. Jej policzki nadal były zaróżowione, a oczy błyszczące od szybkiej porannej jazdy.

- Nie jest taki jak inni mężczyźni - powiedziała do Morag. - Mówię ci. Spędziłam z nim kilka godzin i ani na chwilę nie przestaliśmy rozmawiać. Zna nawet kilka słów w języku gaelickim.

- To nic trudnego. Nawet niektórzy ludzie z nizin znają gaelicki.

Porównanie do ludzi z nizin w ustach Morag oznaczało największą obelgę, ponieważ stara kobieta uważała ich za zdrajców, którzy bardziej czuli się Anglikami niż Szkotami.

- A jak wyjaśnisz tę resztę, którą od niego usłyszałam? Jego babka była Szkotką.

Szkoda, że nie słyszałaś, jakie ma przekonania! Obiecał prosić króla Henryka, żeby zaniechał najazdów na nas, bo to jest lepsza gwarancja pokoju niż porywanie Szkotek i wydawanie ich siłą za mąż.

Ściągnięta twarz Morag przypominała łupinę orzecha włoskiego.

- Wychodzisz stąd rano, nienawidząc Anglików, i wracasz całując niemal stopy jednego z nich. Wszystko, co od niego usłyszałaś, to tylko słowa. Nie widziałaś jego czynów. Cóż takiego zrobił ten człowiek, że mu uwierzyłaś?

Bronwyn usiadła ciężko pod oknem.

- Czy nie rozumiesz, że chcę tylko dobra moich ludzi? Skoro już i tak muszę poślubić Anglika, dlaczego nie takiego, który jest pół - Szkotem, i to zarówno sercem, jak i krwią?

- Nie możesz wybierać męża! - stwierdziła stanowczo Morag. - Nie pojmujesz, że jesteś ceną zdobyczą? Mężczyźni zrobiliby wszystko, by dostać ci się pod spódnicę. A jeśli na tej spódnicy są perły, pozabijaliby się, żeby je zdobyć.

- Chcesz powiedzieć, że on kłamie?

- Skąd mam wiedzieć? Zaledwie go widziałam. Ale nie widziałam Stephena Montgomery'ego. Jak wiesz, jego matka była Szkotką. Może pojawi się tu w tartanie i z sakwą przy pasie.

- Zbyttno na to nie liczę - westchnęła Bronwyn. - Choćbym nawet spotkała tysiąc Anglików, żaden z nich nie zrozumiałby mojego klanu tak dobrze jak Roger Chatworth. -

Wstała. - Ale masz rację. Będę cierpliwa. Może ten Montgomery jest wyjątkowy, wyrozumiały i uwierzy w Szkotów.

- Mam nadzieję, że nie oczekujesz zbyt wiele - powiedziała Morag. - Mam też nadzieję, że Chatworth nie rozbudził zbyt wielu twoich oczekiwań.

2

Stephen jechał szybko przez cały dzień i część nocy, zanim dotarł wreszcie do domu sir Tomasza. Dawno już pozostawił za sobą tabory i resztę maruderów. Towarzyszył mu jedynie paż. Kilka godzin

temu natknęli się na burzę i rzekę, która lada moment mogła wystąpić z brzegów. Teraz, gdy przekraczali bramy, byli brudni, pokryci grudkami błota.

Podczas jazdy jakaś gałąź uderzyła Stephena w skroń i zaschnięta krew nadawała całej twarzy groteskowy wygląd.

Szybko zeskoczył z konia i rzucił wodze wyczerpanemu paziowi. Zamek oświetlony był tysiącami świec, w powietrzu rozbrzmiewała muzyka.

- Stephen! - krzyknął sir Tomasz, wychodząc na podwórzec. - Niepokoilem się o ciebie. Rano zamierzałem wysłać kilku ludzi na poszukiwania.

Jakiś człowiek przystanął za leciwym, schorowanym rycerzem.

- A więc to jest zaginiony pan młody. - Uśmiechnął się, lustrując wzrokiem Stephena, przyglądając się jego brudnym, podartym szatom. - Nie wszyscy byli aż tak zatroskani, sir Tomaszu.

- O, tak - roześmiał się ktoś inny. - Młody Chatworth najwyraźniej nie przejmował się spóźnieniem narzeczonego.

Sir Tomasz położył dłoń na ramieniu Stephena i poprowadził go przez korytarz.

- Wejdz, chłopcze. Musimy porozmawiać.

Znaleźli się w obszernej komnacie wyłożonej dębową okładziną, imitującą fakturę lnu. Na jednej ze ścian, nad długim stołem na kozłach, stały szeregiem księgi. Dopełniały umeblowania cztery krzesła przed okazałym kominkiem, na którym wesoło płonął ogień.

- co chodzi z tym Chatworthem? - zapytał natychmiast Stephen.

- Najpierw usiądź. Wyglądasz na wyczerpanego. Chcesz coś zjeść? Napić się?

Stephen rzucił poduszkę z orzechowego krzesła i rozsiadł się z wyraźną przyjemnością. Przyjął wino podane mu przez sir Tomasza.

- Przepraszam za to spóźnienie. Moja bratowa upadła i straciła dziecko. Omal nie umarła. Obawiam się, że przegapiłem termin i przypomniałem sobie, gdy było trzy dni po czasie. Jechałem tu najszybciej, jak mogłem. - Zdjął z szyi grudkę zaschniętego błota i wrzucił do kominka.

Sir Tomasz pokiwał głową.

- Nic innego nie mogłeś zrobić. Gdyby mi ktoś nie powiedział, że to ty zbliżasz się, niosąc flagę z lampartami Montgomerych, nie rozpoznałbym ciebie. Czy rana nad twoim okiem jest równie poważna, jak wygląda?

Stephen wydawał się nieobecny.

- To tylko zakrzepła krew. Jechałem zbyt szybko, by mogła ściekać - zażartował.

Sir Tomasz roześmiał się i usiadł.

- Dobrze cię widzieć. A jak twoi bracia?

Gavin poślubił córkę Roberta Revedoune.

- Revedoune? To pachnie pieniędzmi.

Stephen uśmiechnął się pomyślawszy, że pieniądze żony były ostatnią rzeczą, o jakiej myślał Gavin.

- Raine nadal rozprawia o swoich absurdalnych pomysłach dotyczących chłopów pańszczyźnianych.

- A Miles?

Stephen dopił wino.

- Miles przedstawił nam w zeszłym tygodniu swoje kolejne dziecko z nieprawego łoża. To już trzecie czy czwarte. Straciłem rachubę. Gdyby był ogierem, bylibyśmy bogaci.

Sir Tomasz roześmiał się i ponownie napełnił metalowe pucharki.

Stephen patrzył na starszego mężczyznę, jak ten wychyla kielich. Sir Tomasz był

przyjacielem jego ojca, szanowanym wujem, który przywoził chłopcom prezenty ze swych zagranicznych podróży, asystował przy chrzcinach Stephena dwadzieścia sześć lat temu.

- No, a teraz powiedz mi wreszcie, co ukrywasz.

Sir Tomasz odchrząknął, wydobywając z gardła głęboki dźwięk.

- Znasz mnie dobrze. To nic wielkiego, mała nieprzyjemność, nic poważnego. Roger Chatworth spędza dużo czasu z twoją narzeczoną. To wszystko.

Stephen wstał powoli, podszedł do kominka. Gdy się poruszał, z jego ubrania odpadały grudki gliny. Sir Tomasz nie mógł wiedzieć, co dla Stephena oznaczało nazwisko Chatworth. Alicja Valence była od wielu lat kochanką Gavina. Gavin wielokrotnie prosił ją o rękę, ale odmawiała, wolała poślubić bogatego Edmunda Chatwortha. Wkrótce po ślubie Edmund został zamordowany i Alicja znowu pojawiła się w życiu Gavina. Była podstępna kobietą i wśliznęła się do łóżka pijanego Gavina, upewniwszy się przedtem, że zobaczy to Judyta. Żona brata w rozpaczy spadła ze schodów, straciła dziecko i sama omal nie przypląciła tego życiem.

Roger Chatworth był szwagrem Alicji i na samo wspomnienie tego nazwiska Stephen zagryzał zęby.

- Musi być coś jeszcze - powiedział w końcu.

- Bronwyn napomknęła wczoraj wieczorem, że być może wolałaby Rogera jako męża niż kogoś, kto jest tak... pozbawiony manier.

Stephen uśmiechnął się i wrócił na miejsce.

- A jak Roger to przyjmuje?

- Wygląda na zachwyconego. Co rano odbywa z nią przejażdżki, towarzyszy jej przy kolacji, spędza dużo czasu w ogrodzie.

Stephen dopił wino i przeciągnął się.

- Wiadomo, że Chatworthowie są zachłanni, ale nie myślałem, że do tego stopnia.

Musi być bardzo głodny, skoro udaje mu się wytrzymać jej towarzystwo.

- Wytrzymać? - spytał zaskoczony sir Tomasz.

- Nie musisz mnie oszukiwać. Słyszałem, że kiedy ją otoczono, walczyła jak mężczyzna, sam jej ojciec uznał, że dorównuje mężczyznom, i wyznaczył ją na swego spadkobiercę. Prawie mi żal Rogera. Ale to mu dobrze zrobi, gdy dostanie mu się tak szkaradna kobieta.

Sir Tomasz stał z otwartymi ustami, potem zamrugał powiekami. - Szkaradna, naprawdę? - zakrztusił się.

- A jakąż inną? Nie zapominaj, że spędziłem trochę czasu w Szkocji. Nigdy nie spotkałem bardziej dzikiej, nie poskromionej hałastry. Ale cóż miałem powiedzieć królowi Henrykowi? Myślał, że mnie nagradza. Jeśli się teraz usunę i oddam ją Rogerowi, stanę się jego wiecznym dłużnikiem. Potem poślubię jakąś słodką, ładniutką kobietkę, która nie będzie próbowała pożyczać mojej zbroi. Tak - uśmiechnął się to właśnie mam zamiar teraz zrobić.

- Zgadzam się z tobą - stwierdził stanowczo sir Tomasz.

- Bronwyn to zdecydowanie szkaradna kobieta. Jestem pewien, że Rogera interesuje tylko jej majątek. Ale skoro chcesz powiedzieć o tym królowi Henrykowi, będzie uczciwie, jeśli się z nią spotkasz. Jestem pewien, że jedno jej spojrzenie na twoją brudną osobę wystarczy, by odmówiła wyjścia za ciebie za męża.

- Taaak - wykrzywił się w uśmiechu Stephen, a jego białe zęby sprawiły, że wydawał

się w tej chwili jeszcze brudniejszy. - A zatem jutro ta kobieta i ja będziemy mogli przekazać Rogerowi naszą decyzję. Mogę wracać do domu. Tak, sir Tomasz, to świetny pomysł.

Tomaszowi zaświeciły się oczy jak małemu chłopcu, który knuje jakąś psotę.

- Okazujesz niezwykłą mądrość, jak na tak młodego człowieka. Poczekaj tu.

Sprowadzę ją tylnymi schodami.

Stephen gwizdnął.

- Tylnymi, mówisz. Zatem musi być brzydsza, niż sobie wyobrażałem.

- Zobaczysz, mój chłopcze, Zobaczysz - powiedział sir Tomasz, opuszczając pokój.

Bronwyn siedziała zanurzona po brodę w wannie pełnej parującej wody. Zamknęła oczy, marząc o powrocie do domu. Będzie z nią Roger i razem poprowadzą klan. Ten obraz pojawiał się w jej wyobraźni coraz częściej. Roger by jedynym Anglikiem, którego mogła zaakceptować. Zdawało się, że z każdym dniem zdawał się coraz więcej wiedzieć o Szkotach. Otworzyła oczy, gdy do pokoju wpadła Morag.

- On tu jest! - obwieściła służka.

- Kto tu jest? - zapytała z przekorą Bronwyn, wiedząc dokładnie, kogo Morag ma na myśli.

Ta zignorowała pytanie.

- Rozmawia z sir Tomaszem, ale jestem pewna, że zostaniesz wezwana za kilka minut, wyjdź więc z wody i ubierz się. Możesz włożyć niebieską suknię. Bronwyn odchyliła głowę do tyłu.

- Jeszcze nie skończyłam kąpieli i nie mam zamiaru spotykać się z nim tylko dlatego, że raczył się pojawić. Kazał mi czekać na siebie przez cztery dni, to ja mogę mu kazać czekać przez pięć.

- Jesteś dziecinna i wiesz o tym. Chłopiec stajenny powiedział, że jego koń był zagoniony niemal na śmierć. Widzisz, że starał się tu dotrzeć jak najszybciej.

- Och, może zawsze pastwi się nad końmi.

- Nie bądź taka mądra! A teraz wychodź z wanny albo wyleję ci wiadro zimnej wody na głowę.

Zanim Morag zdążyła cokolwiek zrobić, drzwi otworzyły się i stanęli w nich dwaj strażnicy.

- Jak śmiecie! - krzyknęła Bronwyn, chowając się pod wodę. Rab poderwał się i stanął przed wanną, gotów do ataku. Mężczyźni zdążyli zaledwie zerknąć na Bronwyn, gdy pozbawiło ich równowagi ważące sto dwadzieścia funtów ciało rozwścieczonego psa o ostrych zębach.

Morag chwyciła cienką lnianą koszulę i rzuciła ją Bronwyn. Dziewczyna, stojąc w wannie, naciągnęła ją na mokre ciało, pozwalając, by brzegi koszuli opadły w wodę. Wyszła z wanny i chwyciła wełniany tartan.

- Spokój, Rab! - rozkazała. Pies usłuchał natychmiast i stanął u jej boku. Strażnicy wstawali ostrożnie, rozcierając ręce i plecy, które nadwerżył im nieco Rab. Nie wiedzieli, że ten pies zabija tylko na wyraźną komendę Bronwyn; w innym wypadku tylko jej bronił, nie czyniąc większych szkód.

Strażnicy widzieli wannę wnoszoną do tego pokoju, słyszeli plusk wody. Wykorzystali więc rozkaz sir Tomasza, by podejrzeć Bronwyn w kąpeli. Teraz była owinięta od stóp do głów w szkocki plaid. Widzieli tylko jej twarz, oczy błyszczące rozbawieniem.

- Czego chcecie? - zapytała, hamując śmiech.

- Masz przyjść do gabinetu sir Tomasza, pani - powiedział pokornie jeden z nich. - A jeśli ten pies znowu...

Przerwała mu.

- Jeśli jeszcze raz wejdziecie do tego pokoju bez mego pozwolenia, nie przeszkodzę Rabowi dorwać się wam do gardeł. A teraz prowadźcie.

Popatrzyli na Bronwyn i wilczarza, po czym odwrócili się. Bronwyn trzymała wysoko głowę, gdy schodziła z nimi po schodach. Nie pozwoli, by ktokolwiek odgadł, jak bardzo czuła się upokorzona takim traktowaniem przez Stephena Montgomery'ego. Cztery dni po terminie ślubu! A gdy już się pojawił, wzywają ją do mego jak dziewczkę służebną.

Kiedy weszła do gabinetu, popatrzyła na sir Tomasza, a następnie na mężczyznę stojącego przy kominku. Jego twarzy dobrze nie widziała, ponieważ głowę miał przechyloną nieco na bok. Bronwyn nie mogła stwierdzić, czy to jest trwałe upośledzenie.

Nagle jeden ze strażników znalazł sposób, by odpłacić jej za zniewagę. Chwycił luźny koniec tartanu i pociągnął mocno. Bronwyn upadła, ale i strażnik się pośliznął.

- Ty! - zakrzyknął sir Tomasz. - Zejdz mi z oczu! Jak śmiesz tak traktować damę!

Jeśli rano znajdą cię w promieniu pięćdziesięciu mil, każę cię powiesić!

Obaj strażnicy szybko opuścili pokój, gdy sir Tomasz schylił się, by podnieść tkaninę.

Po chwilowym zaskoczeniu Bronwyn natychmiast się podniosła. Cienka koszula przylgnęła do jej wciąż mokrego ciała, czyniąc ją prawie nagą. Starła się zasłonić rękami, a kiedy podniosła wzrok na Stephena, nie opierał się już nonszalancko o kominek, tylko patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. Widać było białka jego oczu, a rozwarte usta ukazywały język.

Zagryzła wargi, ale on tego nawet nie zauważył, wpatrzony w jej piękne ciało.

Wyprostowała się i posłała mu groźne spojrzenie.

Minęła niemal wieczność, zanim sir Tomasz podniósł plaid i zarzucił delikatnie na jej ramiona. Owinęła tkaninę ciasno wokół ciała.

- A zatem, Stephenie, nie powitasz swojej narzeczonej?

Mężczyzna zamrugał powiekami, by dojść do siebie, po czym zbliżył się do niej powoli.

Bronwyn była wysoką kobietą, ale musiała podnieść głowę, by spojrzeć mu w oczy.

W przyćmionym świetle wyglądał gorzej. Blask świec rzeźbił głębokie cienie na grudkach błota i zakrzepłej krwi.

Uniósł pukiel włosów z jej piersi i przytrzymał go przez chwilę w dłoni.

- Czy na pewno się nie pomyliłeś, sir Tomaszu? - zapytał cicho, nie spuszczając z niej wzroku. - Czy to jest dziewczeczka klanu MacArran?

Bronwyn zrobiła krok do tyłu.

- Mam własny rozum i język. Nie musicie mówić za mnie jakby mnie tu nie było.

Jestem MacArran z MacArranów i przysięgłam nienawidzić Anglików, a szczególnie tych którzy obrażają mój klan i mnie samą, stając przede mną w takim stanie i o tej porze. -

Zwróciła się do sir Tomasza. - Czuję się bardzo zmęczona i proszę o wybaczenie, o ile biedny więzień może oczekiwać tej łaski.

Sir Tomasz zmarszczył brwi.

- Stephen jest teraz twym panem.

Odwróciła się do niego błyskawicznie, rzuciła mu nienawistne spojrzenie i opuściła pokój, nie czekając na pozwolenie.

Sir Tomasz popatrzył na Stephena.

- Obawiam się, że brakuje jej manier. Ci Szkoci powinni mieć twardszą rękę dla swoich kobiet. Ale, pomijając jej ostry język, czy nadal sądzisz, że jest szkaradna?

Stephen patrzył wciąż na drzwi, za którymi zniknęła Bronwyn. Miał wizję: widział

Bronwyn tańczącą przed nim, widział jej ciało, którego urody nie podejrzewał nawet w snach, czarne włosy i szafirowe oczy. Jej twarz zbliżała się do niego, aż pochylił się, by ją pocałować. Jej pełne piersi przeżyły się pod cienką, napiętą tkaniną, widział jej szczupłą talię, jej pełne, krągłe biodra.

- Stephen?

Stephen prawie upadł na krzesło.

- Gdybym wiedział - wyszeptał. - Gdybym choć miał pojęcie, przyjechałbym tu na wiele tygodni wcześniej, zanim król Henryk mi ją obiecał.

- A zatem zasługuje na twoją aprobatę?

Przetarł oczy.

- Wydaje mi się, że śnię. Przecież żadna żywa kobieta nie może tak wyglądać. To musi być jakaś twoja sztuczka. zamienisz jej chyba w dniu ślubu na prawdziwą Bronwyn MacArran, co?

- Zapewniam cię, że jest prawdziwa. A jak myślisz, dlaczego tak jej strzegłem?

Mężczyźni, jak psy, gotowi są walczyć o nią. Stoją wokół, opowiadając historie o straszliwych Szkotach, ale tak naprawdę każdy z nich zastąpiłby cię ochoczo w małżeńskim łóżu.

Słyszac to, Stephen zagryzł wargi.

- Ale powstrzymałeś ich.

- To nie było łatwe.

- A co z Chatworthem? Czy zajął moje miejsce przy mojej żonie?

Sir Tomasz odchrząknął.

- Zachowujesz się tak, jakbyś był zazdrosny, a jeszcze chwilę temu gotów byłeś oddać ją Rogerowi. Nie, ani przez chwilę Roger nie był z nią sam. Dziewczyna jest doskonałą amazonką, a on nie odważyłby się odjechać z nią sam, w obawie że mogłaby uciec do swoich Szkotów.

Stephen uśmiechnął się drwiąco.

- I jeszcze coś. Chatworth ma zbyt wielu wrogów, by się gdzieś wypuszczać samotnie. - Wstał. - Powinieneś być zaniknąć ją w jej pokoju i zabronić przejazdów z kimkolwiek.

- Nie jestem jeszcze tak stary, żeby się oprzeć buzi lady Bronwyn. Wystarczyłoby, żeby poprosiła o cokolwiek, a dałbym jej to.

- Teraz ja jestem za nią odpowiedzialny. Czy dostanę ten pokój w południowo -

wschodnim skrzydle? Czy mógłbyś przysłać mi wannę i trochę jedzenia? Jutro nie będzie się czuła obrażona moim wyglądem.

Sir Tomasz uśmiechnął się, widząc pewność siebie Stephena. Jutrzejszy dzień zapowiadał się wielce ekscytująco.

Gdy pierwsze promienie porannego słońca wpadły do pokoju, Bronwyn stanęła przy stole z kartką w ręce, na jej czole pojawiły się zmarszczki. Miała na sobie aksamitną, intensywnie błękitną suknię o rozciętych, bufiastych rękawach, wykończonych bladozielonym jedwabnym muslinem, udrapowanym także przy dekolcie.

Bronwyn zwróciła się do Morag.

- Prosi, bym spotkała się z nim w ogrodzie.

- Wyglądasz dobrze.

Bronwyn zmięła kartkę w dłoni. Wciąż jeszcze była zagniewana sposobem, w jaki Stephen wezwał ją ubiegłego wieczoru. Rano nie próbował nawet przeprosić za swoje zachowanie i spóźnienie. Wymagał tylko, by spełniała jego życzenia. Popatrzyła na służącą, która czekała na odpowiedź.

- Powiedz lordowi Stephenowi, że nie spotkam się z nim.

- Dlaczego, milady? Czy czujesz się źle?

- Czuję się dobrze. Przekaż, co ci powiedziałam, a potem idź do Rogera Chatwortha i powiedz mu, że czekam na niego w ogrodzie za dziesięć minut.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdziwienia. Wyszła.

- Lepiej pogodziłabyś się ze swoim mężem - poradziła Morag. - Nic nie zyskasz, doprowadzając go do wściekłości.

- Mój mąż! Mój mąż! Wciąż to słyszę. Jeszcze nie jest moim mężem. Czy mam skakać na każde wezwanie po tym, jak czekałam na niego tyle dni? Z jego powodu wszyscy się tu ze mnie wyśmiewają, a ja mam padać mu do stóp jak pokorna żona, gdy on raczy się pojawić? Nie chcę, żeby uważał mnie za uległą, tchórzliwą kobietę. Chcę, żeby wiedział, że nienawidzę jego i jemu podobnych.

- A co z młodym Chatworthem? Też jest Anglikiem. Bronwyn uśmiechnęła się.

- Przynajmniej po części jest Szkotem. Może uda mi się go zabrać w góry i zrobić z niego Szkota pełną gębą. Chodź, Rab, jesteśmy umówieni.

Dzień dobry, Stephenie - zawołał sir Tomasz. Ranek był uroczy, słoneczny, powietrze czyste po nocnej ulewie. W powietrzu czuło się woń kwitnących róż. - Wyglądasz dziś dużo lepiej.

Stephen miał na sobie krótki ciemnobrązowy kaftan z wełny, który podkreślał

barczyste ramiona i szeroką pierś. Pończochy zaś uwydatniały niemal każdy mięsień jego muskularnych nóg. Ciemnoblond włosy wiły się wokół kołnierza, a oczy błyszczały dumnie powyżej silnie zarysowanej szczęki. Był wyjątkowo przystojny.

- Odmówiła zobaczenia się ze mną - powiedział bez wstępu.

- Uprzedzałem cię, że jest ostra.

Stephen gwałtownie uniósł głowę do góry. Zbliżała się do nich Bronwyn. Z początku nie zauważył

idącego obok niej Rogera. Widział tylko ją. W ciemnych, bujnych włosach, spływających swobodnie po jej plecach, igrały promienie słońca, wydobywając z ich gęstwiny złote blaski. Niebieska suknia podkreślała błękit oczu dziewczyny. Jej twarz znamionowała upór, którego doświadczył już poprzedniego wieczoru.

- Dzień dobry - powiedział spokojnie Roger, gdy przystanęli obok.

Bronwyn skinęła sir Tomaszowi, potem przeniosła spojrzenie na Stephena. Nie rozpoznała go. Pomyślała tylko, że nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny o takich oczach, które jak gdyby przewiercały ją na wylot. Z trudem odwróciła wzrok i ruszyła dalej.

Gdy Stephen oprzytomniał na tyle, by zdać sobie sprawę że to Roger Chatworth towarzyszy kobiecie, która miała zostać jego żoną, wydał z siebie niski, chrapliwy dźwięk i postąpił krok naprzód.

Sir Tomasz chwycił go za ramię.

- Zostaw go teraz. Jestem pewien, że Roger niczego bardziej nie pragnie, jak właśnie walki z tobą. Zresztą Bronwyn też.

- Mogę im to załatwić!

- Stephen, posłuchaj mnie. Zraniłeś tę dziewczynę. Spóźniałeś się na ślub, nie przysłałeś nawet wiadomości. To dumna kobieta, nawet aż za bardzo, a to dlatego, że ojciec wyznaczył ją na spadkobierczynię. Daj jej trochę czasu. Zabierz jutro na przejażdżkę i porozmawiaj z nią. Jest inteligentna.

Stephen uspokoił się i zdjął dłoń z rękojeści miecza.

- Porozmawiać z nią? Jak mógłbym rozmawiać z kobietą, która tak wygląda? Ledwie zasnąłem po wczorajszym spotykaniu. Przejadę się z nią, ale chyba nie tak, jak ty to sobie wyobrażasz.

- Twój ślub wyznaczony został na pojutrze. Pozostaw ją dziewicą do tego czasu.

Stephen zachnął się.

- Jest moja. Zrobię z nią, co mi się będzie podobało. Sir Tomasz skwitował to potrząśnięciem głowy.

- Chodź, pokażę ci moje nowe sokoły.

- Moja bratowa, Judyta, ostatnio zademonstrowała Gavinowi nowy rodzaj przynęty.

Może chciałbyś to obejrzeć.

Opuścili ogród, kierując się w stronę łąk.

Spacerując w ogrodzie z Rogerem, Bronwyn rozglądała się za człowiekiem, którego poznała poprzedniego wieczoru. Ale jedynym obcym był mężczyzna towarzyszący sir Tomaszowi.

Inni, jak zawsze, stali, śmiali się z niej i przyglądali beczelnie, gdy przechodziła.

Żaden z nich nie przypominał tego brzydkiego, niechlujnego mężczyzny, który wzbudzał w niej odrazę. Raz tylko się obejrzała, ale sir Tomasz i jego towarzysz już odeszli.

Oczy tego człowieka zafascynowały ją, Sprawily, że miała ochotę uciec, a jednocześnie coś ją od tego powstrzymywało. Zamrugala powiekami i popatrzyła na tego, z którym czuła się bezpieczniej, na Rogera. Jego oczy były pogodne, miłe, nie budziły niepokoju.

- Proszę mi powiedzieć, lordzie Rogerze, co wiesz jeszcze o Stephenie Montgomerym, oprócz tego, że jest wyjątkowo brzydkim mężczyzną.

Roger był zaskoczony jej pytaniem. Nie spodziewał się, że jakakolwiek kobieta mogła uznać Stephena za brzydkiego. Uśmiechnął się.

- Kiedyś rodzina Montgomerych była bogata, ale ich arogancja rozgniewała króla i odebrał im włości.

Skrzywiła się ironicznie.

- Dlatego teraz muszą się bogato żenić.

- Tak bogato, jak tylko się da - podkreślił.

Bronwyn pomyślała o mężczyznach, którzy zginęli razem z jej ojcem. Gdyby poślubiła jednego z nich, dostałaby męża, który by ją kochał i chciał czegoś więcej niż tylko ziemi.

Morag wyciągnęła wiadro wody ze studni i zaczęła przyglądać się młodemu człowiekowi, opartemu o mur okalający ogród. W ciągu kilku dni starała się nie oddalać zbyt od Bronwyn, chociaż dziewczyna często była nieświadoma jej obecności. Nie podobał jej się sposób, w jaki Bronwyn igrała z Chatworthem. Nie spodobało jej się też, że Roger zalecał się do kobiety mającej za kilka dni wyjść za mąż.

Morag słyszała pomstowanie Bronwyn, kiedy ta wróciła ze spotkania ze Stephenem Montgomerym. Dowiedziała się, jakim skończonym, beznadziejnym idiotą się okazał.

Bronwyn krzyczała, że nigdy nie wyjdzie za niego za mąż, że jest okropny, odpychający.

Morag postawiła wiadro na ziemi. Przez prawie godzinę obserwowała mężczyznę słuchającego, jak Bronwyn śpiewa przy wtórze lutni Rogera. Mężczyzna tkwił nieruchomo, nawet nie mrugając powiekami.

- A więc to ty masz się z nią ożenić - powiedziała głośno.

Stephen z trudem odwrócił wzrok. Popatrzył na zgarbioną kobietę i uśmiechnął się.

- Skąd wiedziałaś?

- Z tego, jak na nią patrzysz. Jakby już była twoja. Stephen roześmiał się.

- Mówiła, że jesteś najbrzydszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

Jego oczy zabłysły.

- A co ty o tym sądzisz?

- Ujdzie. Ale nie próbuj wymuszać na mnie komplementów.

- No, skoro już zostałem rozpoznany, może ty mi powiesz, kim jesteś. Sądząc po akcencie, jesteś Szkotką, podobnie jak moja Bronwyn.

- Jestem Morag MacArran.

- Służka Bronwyn?

Morag zeszywniała.

- Powinieneś wiedzieć, że w Szkocji mieszkają wolni ludzie. Robię, co mogę, żeby zasłużyć na chleb. Dlaczego się spóźniłeś na ślub?

Stephen obejrzał się na Bronwyn.

- Moja bratowa była bardzo chora. Nie mogłem wyjechać, dopóki się nie upewniłem, że przeżyje.

- A nie mogłeś wysłać wiadomości? Stephen popatrzył na nią znużony.

- Zapomniałem. Martwiłem się o Judytę i zapomniałem. Morag zachichotała. Czowała, że jest pod urokiem tego rosnącego rycerza.

- Dobry z ciebie człowiek, skoro tak zależy ci na innych, że zapominasz o swoich sprawach.

Oczy Stephena błysnęły.

- Oczywiście, nie miałem pojęcia, jak wygląda twoja pani.

Kobieta roześmiała się ponownie.

- Jesteś dobrym, uczciwym chłopcem... jak na Anglika. Wejdz, napijesz się ze mną whisky. Nie boisz się odrobiny whisky tak wcześnie rano?

Podał jej ramię.

- Może uda mi się ciebie upić i wyciągnąć parę informacji o Bronwyn.

Chichot Morag słyhać było aż po drugiej stronie ogrodu.

- Był taki czas, młody człowieku, gdy mężczyźni chcieli mnie upić dla innych celów.

Weszli razem do domu.

Bronwyn skrzywiła się, słysząc ten śmiech. Zdała sobie sprawę z zainteresowania obcego mężczyzny i odczuła dziwny niepokój. Od czasu do czasu zerkała ukradkiem w jego stronę. Nieznajomy wydał się jej pełen wdzięku, siły i z trudem powściąganego temperamentu. Owa nazbyt bezpośrednia rozmowa Morag z tym człowiekiem rozstroiła ją.

Usiłowała dociec, jak mu się udało oczarować Morag, która stroniła od mężczyzn, a zwłaszcza Anglików.

- Z kim rozmawia Morag?

Roger zmarszczył czoło.

- Myślałem, że już go poznałaś. To Stephen.

Popatrzyła na Stephena, jak podaje ramię starej kobiecie. Głowa Morag sięgała mu zaledwie do łokcia. Nagle, nie wiedząc czemu, poczuła się znieważona. Cóż to za mężczyzna, który spokojnie patrzy, jak ktoś inny zaleca się do jego przyszłej żony! Stał

zaledwie o kilka kroków od niej, a nie raczył nawet się do niej odezwać.

- Lady Bronwyn, czy coś cię zmartwiło? - zapytał Roger, przyglądając się jej bacznie.

- Nie - uśmiechnęła się. - Zupełnie nic. Proszę grać dalej.

Morag pojawiła się dopiero tuż przed wieczorem. Zachodzące słońce dawało niewiele światła i pokój tonął w półmroku. Rab stał u boku swojej pani czeszącej włosy.

- Widzę, że miałaś gościa po południu - powiedziała lekko. Morag wzruszyła ramionami.

- Czy mówiliście o czymś ciekawym? Morag ponownie wzruszyła ramionami.

Bronwyn odłożyła grzebień i podeszła do ławy pod oknem, gdzie siedziała Morag.

- Odpowiedz mi wreszcie?

- Ależ jesteś wścibska. Od kiedy to mam się tłumaczyć z moich prywatnych rozmów?

- Znowu piłaś po południu. Czuję to.

Morag skrzywiła się.

- Ależ ten chłopak ma mocną głowę! Założę się, że pobije nawet Szkota.

- Kto? - zażądała odpowiedzi Bronwyn.

Morag posłała jej: chytre spojrzenie.

- Twój mąż, oczywiście. O kogo innego byś mnie tak wypytywała?

- Ja nie jestem... - Bronwyn starała się uspokoić. - Nie jest jeszcze moim mężem. Nie raczył nawet ze mną porozmawiać, nie mówiąc już o tym, że nie pojawił się na ślubie.

- A, to cię gryzie. Przypuszczałam, że nas zobaczysz razem. Czyżbyś zamierzała utrzyć mu nosa pozwalając, by ten młody Chatworth cię zabawiał?

Bronwyn nie odpowiedziała.

- Tak myślałam! Ale wiedz, że Stephen Montgomery nie należy do mężczyzn, którzy słuchają kobiecych wymówek, i jeśli zechce poślubić cię po tym, jak prowadziłaś się z Chatworthem, możesz się uważać za szczęśliwą.

- Szczęśliwą! - prychnęła Bronwyn. Tyle tylko mogła wykrztusić. Jeszcze jedno słowo Morag, a chyba skreśli jej kark. - Chodź, Rab - rozkazała i opuściła komnatę.

Szybko zbiegła do ogrodu, który tonął już w mroku. Wysoko, nad wierzchołkami drzew, świecił księżyc. Przez jakiś czas przechadzała się alejkami, w końcu przysiadła na kamiennej ławce przy murze. Jak bardzo pragnęła wrócić do domu! Chciała uciec od tych obcych ludzi, ich obcych strojów, mężczyzn, którzy patrzyli na nią jak na łup wojenny.

Nagle Rab podniósł się i wydał z siebie głębokie, ostrzegawcze warknięcie.

- Kto tam? - zapytała.

Mężczyzna postąpił w jej kierunku.

- Stephen Montgomery - powiedział spokojnie. W świetle księżyca wydawał się jeszcze wyższy. - Pozwolisz, że się przysiądę?

- Czemu nie? Cóż mnie może obchodzić jakiś Anglik?

Stephen usiadł obok niej i patrzył, jak samym gestem dłoni dziewczyna uspokaja psa. Oparł się plecami o mur i wyciągnął przed siebie nogi. Bronwyn odsunęła się na skraj ławki.

- Spadniesz, jeśli odsuniesz się jeszcze dalej. Zesztywniała.

- Mów, czego chcesz, i skończmy już z tym.

- Nie mam nic do powiedzenia - odparł leniwie.

- Ale z Morag miałaś o czym rozmawiać.

Uśmiechnął się i w skąpym świetle księżyca błysnęły jego równe, białe zęby.

- Próbowwała mnie upić.

- I udało się jej?

- Nie można nie nauczyć się pić, gdy się ma trzech braci.

- I tylko piliście? Stephen umilkł na chwilę.

- Dlaczego jesteś dla mnie taka nieprzyjemna? Wstała gwałtownie.

- Oczekiwałeś, że powitam cię z otwartymi ramionami? Przez sześć godzin stałam przy oknie ubrana w ślubną suknię. Wcześniej widziałam śmierć całej mojej rodziny, którą wymordowali Anglicy, potem każe mi się poślubić jednego z nich, i w dodatku traktuje się mnie, jakbym w ogóle nie istniała. Teraz nawet nie uważasz za stosowne, mnie przeprosić, tylko pytasz, dlaczego jestem nieprzyjemna.

Odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

Chwycił ją za ramię i zwrócił ku sobie. Nigdy nie miała do czynienia z mężczyzną o tyle wyższym od niej.

A jeśli cię przeproszę, to przyjmiesz moje przeprosiny? - Głos miał spokojny, głęboki.

Po raz pierwszy dotknął tej dziewczyny, po raz pierwszy był tak blisko niej. Ujął jej dłonie, przesunął ręce w górę i chwycił ją mocno za ramiona, czując pod jedwabiem jej ciało.

- Król Henryk pragnie tylko pokoju. Uważa, że jeżeli umieści jednego Anglika pomiędzy Szkotami, ci zobaczą, że nie jesteśmy tacy źli.

Bronwyn podniosła wzrok. Jej serce dudniło głucho. Chciała uciec od niego, ale jej ciało nie było jej posłuszne.

- Twoja próżność jest zdumiewająca. Sądząc po twoim braku manier, moi Szkoci zobaczyliby, że jesteście gorsi, niż się obawiali.

Stephen roześmiał się cicho i najwyraźniej nie przejął się jej słowami. Lewą dłonią dotknął jej szyi.

Bronwyn starała się wyrwać.

- Puść mnie! Nie masz prawa mnie dotykać... ani naśmiewać się ze mnie.

Uchwyt Stephena nie zelżał ani odrobinę.

- Jesteś apetycznym kąskiem. Mogę myśleć już tylko o tym, że zaraz po naszym ślubie zabiorę cię do mojej komnaty. A może zechciałabyś zapomnieć o tym dniu oczekiwania i pójść tam ze mną już teraz?

Sapnęła wstrząśnięta, co wywołało ciche, ale groźne warczenie psa. Wyszarpnęła się z uścisku Stephena. Rab wykorzystał to, by wsunąć się pomiędzy swą panią a intruza.

- Jak śmiesz?! - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Ciesz się, że za tę obrazę nie poszczułam cię psem.

Stephen zaśmiał się.

- Ten pies wart jest swego życia.

Postąpił krok naprzód, na co pies zareagował głośniejszym warczeniem.

- Nie zbliżaj się - ostrzegła Bronwyn.

Mężczyzna popatrzył na nią zmieszany. Złożył ręce w błagalnym geście.

- Bronwyn, ja nie chciałem cię obrazić... Ja...

- Lady Bronwyn, czy mogę pani pomóc? - zapytał Roger Chatworth, wyłaniając się zza żywopłotu.

- Czyżbyś ostatnio gustował w chowaniu się w krzakach, Chatworth? - parsknął

Stephen.

Roger był spokojny, uśmiechał się.

- Wolę uważać się za takiego, który potrafi wybawić damę z niezręcznej sytuacji. -

Zwrócił się do Bronwyn, wyciągając do niej ramię: - Czy pozwolisz, pani, że odprowadzę cię do twego pokoju?

- Chatworth, ostrzegam cię!

- Przestańcie! Obaj! - krzyknęła Bronwyn, zde gustowana ich dziecinną kłótnią. -

Roger, dziękuję panu za pomoc, ale najlepszym opiekunem będzie dla mnie Rab. - Posłała Stephenowi lodowate spojrzenie. - A co do ciebie, panie, cieszę się, że mogę opuścić wreszcie pańskie mało przyjemne towarzystwo. - Odwróciła się od mężczyzny i wraz z psem odeszła w kierunku domu.

Roger i Stephen przez chwilę patrzyli w ślad za nią, po czym bez słowa rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Bronwyn nie mogła zasnąć. Powodem był Stephen Montgomery. Jego bliskość nie dawała jej spokoju. Gdy dotknął jej w ogrodzie, nie była w stanie myśleć jasno. Czy tego człowieka miała przedstawić swojemu klanowi jako przywódcę? Sprawiał wrażenie, że nie ma dosyć godności.

Gdy wreszcie zasnęła, nawiedziły ją koszmary. Ujrzała członków swojego klanu podążających za angielską flagą i ginących, jeden po drugim. Sztandar trzymał Stephen Montgomery, całkowicie obojętny na śmierć Szkotów. Starał się natomiast chwycić Bronwyn za spódnicę.

Jej nastrój nie poprawił się rano, tym bardziej że otrzymała od Stephena zaproszenie na przejażdżkę. Zmiała kartkę i oświadczyła Morag, że nie pojedzie. Ale Morag miała swoje sposoby, żeby zmusić każdego do zrobienia tego, czego chciała. Potrafiła nawet nakłonić Bronwyn, by wyznała, dlaczego jest aż tak zła na Stephena. Morag westchnęła.

- Jest młodym i zdrowym mężczyzną, poprosił cię, byś spędziła z nim noc.

Pamiętam, że prosili cię o to także inni, i wtedy z pewnością nie czułaś się obrażona.

Bronwyn nie odezwała się. Pomyślała, że wraz z tym Anglikiem skończyły się dla niej dni wolności i śmiechu.

Morag nie pozwoliła, by milczenie Bronwyn przeszkodziło jej w osiągnięciu celu.

Chciała coś osiągnąć i nie miała zamiaru poddawać się, zanim dopnie swego.

- Teraz prosi cię, byś spędziła z nim dzień. Poza tym, wasz ślub został wyznaczony na jutro.

- Skąd wiesz aż tyle? Nic nie słyszałam o nowym terminie.

- Stephen powiedział mi dziś rano - wyjaśniła niecierpliwie Morag.

- Ach tak! Więc widziałaś się z nim znowu! Co cię tak do niego ciągnie? Są tu inni mężczyźni, więcej od niego warci... Nawet Anglicy.

Morag wydeła usta.

- Nie spotkałam ani jednego takiego.

- Roger Chatworth jest miłym, inteligentnym mężczyzną i do tego ma sporą domieszkę szkockiej krwi.

- Tak ci powiedział? - prychnęła Morag. - Może miał na myśli to, że ma chrapkę na kawał szkockiej ziemi. Wydaje mi się, że Roger Chatworth byłby zachwycony, gdyby mógł

dostać twój majątek.

Oczy Bronwyn błysnęły gniewnie.

- Czyż nie tego chcą wszyscy Anglicy? Nawet gdybym była stara i gruba, oni wciąż by mieli na mnie ochotę.

Morag potrząsnęła głową zdegustowana.

- Raz potępiasz Stephena za jego gorącą krew, innym razem twierdzisz, że mężczyźni pragną twego bogactwa, a nie ciebie samej. Daj mu szansę poprawy.

Porozmawiaj z nim, spędź z nim dzień, zapytaj, dlaczego się spóźnił.

Bronwyn gniewnie ściągnęła brwi. Nie miała ochoty oglądać powtórnie Stephena, nigdy, o ile to możliwe. Z łatwością wyobrażała sobie Rogera jadącego obok niej, ale nie potrafiła wyobrazić sobie Stephena robiącego cokolwiek innego niż to, co on chciał, niezależnie od jej woli i pragnień. Podniosła wzrok na Morag.

- Spróbuję z nim porozmawiać... o ile on będzie w stanie trzymać ręce przy sobie w trakcie tej rozmowy.

Morag zachichotała.

- Wydaje mi się, że w jej głosie wyczuwam nadzieję.

3

Mimo obaw dotyczących spędzenia całego dnia z narzeczoną, Bronwyn ubrała się starannie. Włożyła prostą wełnianą suknię w kolorze ciemnego wina, której dekolot ozdabiał

rząd pereł. Wąskie rękawy podkreślały linię jej ramion.

Idąc po schodach z Rabem u boku, trzymała głowę wysoko.

Postanowiła dać Stephenowi Montgomery'emu szansę pokazania, że zależy mu na niej i jej ludziach. Może osądziła go zbyt pochopnie, może miał jak najlepsze zamiary?

Mogła wybaczyć mu spóźnienie na ślub. W końcu jej osobista niewygoda była tu bez znaczenia. Liczył się przede wszystkim stosunek Stephena do jej klanu i to, czy Anglik zostanie przez klan przyjęty, czy nie. Pragnęła pokoju pomiędzy Szkotami i Anglikami równie mocno, jak król Henryk, a nawet bardziej, skoro to właśnie członkowie jej rodziny zostali zabici.

Przystanąła u stóp schodów i popatrzyła na zalany słońcem ogród. Stephen czekał na nią oparty o mur. Musiała przyznać, że jest przystojnym mężczyzną, co mile ją zaskoczyło.

Nie mogła jednak pozwolić swoim uczuciom - miłości czy nienawiści - by przesłoniły wyższy cel, jakim było dobro klanu MacArran.

- Dzień dobry - powiedziała spokojnie, podchodząc do niego.

Spojrzał na nią z dziwnym napięciem. Przyjaznym gestem odgarnął pukiel włosów z jej ramienia.

To szkocki zwyczaj, nie przykrywać włosów? - Owinął jedwabne pasmo wokół palca.

- Dopóki kobieta jest dzieckiem, zwykle nie przykrywa włosów. Chyba że chodzi w tartanie - dodała, czekając na jakiś komentarz z jego strony.

- Dzieckiem - uśmiechnął się Stephen. - Zobaczymy, co się z tym da zrobić. -

Ruchem głowy wskazał odległy koniec ogrodu. - Czekają na nas konie. Jesteś gotowa?

Kiwnęła głową, a on wypuścił z dłoni jej włosy.

- Prawdziwy Szkot zawsze jest gotów do drogi. - Uniosła spódnice i ruszyła przed nim, pomijając milczeniem jego uśmiech.

Obok deresza Stephena stała piękna, kara klacz. Niecierpliwie grzebała kopytem, nie mogąc doczekać się wyjazdu. Zanim Stephen zdążył podejść do jej konia, Bronwyn wskoczyła na siodło. Ciężkie, sfałdowane spódnice przeszkadzały jej i po raz setny przeklęła angielski styl ubierania się. Cieszyła się, że Stephen nie dał jej jednego z tych absurdalnych damskich siodeł, które zwykle przygotowywał dla niej Roger.

Zanim Stephen dosiadł swego deresza, ona już popędziła przed siebie. Okazało się, że klacz ma duży temperament i taką samą jak Bronwyn potrzebę ruchu. Dziewczyna prowadziła ją w pełnym galopie w stronę ścieżki, którą pokazał jej Roger. Pochyliła się w siodle, czując wiatr muskający jej twarz i szyję.

Nagle kącikiem oka spostrzegła jakiś ruch. Odwróciwszy się, ujrzała zbliżającego się w szybkim tempie Stephena. Roześmiała się głośno. Żaden Anglik nie był w stanie pokonać Szkota na koniu! Powiedziała coś do konia i smagnęła go biczem. Klacz skoczyła do przodu, jakby miała skrzydła. Uczucie siły i dumy przepełniło Bronwyn.

Po chwili obejrzała się i gniewnie ściągnęła brwi, bo Stephen nie oddalił się od niej ani na krok. Ścieżka przed nimi zwężała się gwałtownie, pozostawiając miejsce tylko dla jednego konia. Gdyby mężczyzna chciał ją wyprzedzić, musiałby zboczyć w las, ryzykując wpadnięcie w króliczą jamę lub uderzenie w drzewo. Bronwyn prowadziła klacz środkiem ścieżki. Wiedziała, co zrobiłby w takiej sytuacji Szkot, ale ci Anglicy to mięczaki, brakuje im ikry. Klacz pędziła wytrwale. Stephen był tuż obok i jego zmieszanie rozśmieszyło Bronwyn. Wtedy właśnie klacz zwolniła nieznacznie i zarżała, a Bronwyn musiała się skoncentrować, by utrzymać się w siodle. Szkolony do walki ogier Stephena musnął zad klaczy, próbując zepchnąć ją ze ścieżki.

Bronwyn starała się za wszelką cenę nie stracić panowania nad koniem i przeklinała Anglika, że nie przyprowadził jej własnego wierzchowca. Klacz jej nie znała i nie zawsze była posłuszna jej poleceniom.

Teraz zarżała znowu, bo koń Stephena popchnął ją z tyłu, i - wbrew rozkazowi Bronwyn - usunęła się ogierowi, który galopował obok nich, dudniąc kopytami. Spojrzenie rzucone przez jeźdźca sprawiło, że Bronwyn cisnęła mocne, szkockie przekleństwo.

Ściągnęła wodze i ponownie skierowała klacz na środek ścieżki.

Przez cały ten wyścig Bronwyn nie pozwoliła klaczy zwolnić tempa. Tylko dzięki swemu doświadczeniu z końmi zdołała zapanować nad zwierzęciem, które zboczyło w las, by ustąpić miejsca szarżującemu ogierowi.

Ody zbliżyła się do strumienia i przeskoczyła go, Stephen czekał już po drugiej stronie. Stał obok pijącego wodę konia.

- Nieźle - rzekł z uśmiechem. - Masz tendencję do ściągnięcia konia na prawo, ale byłabyś całkiem niezła po małym treningu.

Oczy Bronwyn zapłonęły gniewem. Trening! Pierwszego kuca dostała mając cztery lata, a uczestniczyła w przepędach bydła, gdy skończyła osiem lat Jeździła nocą po bagnach, po górach, brzegiem morza... a on mówi, że potrzebny jej trening!

Stephen roześmiał się.

- Nie patrz tak na mnie. Jeśli ma ci to poprawić humor, jesteś najlepszą amazonką, jaką kiedykolwiek spotkałem. Mogłabyś uczyć wszystkie Angielki.

- Angielki? - parsknęła. - Mogłabym uczyć wszystkich Anglików!

- Z mojego punktu widzenia właśnie przegrałaś wyścig z Anglikiem. A teraz zsiadaj i wytrzymaj konia. Nie może przecież tak stać cały spocony.

Jak on śmiał mówić jej, co ma robić z koniem! Posłała mu wrogie spojrzenie, uniosła bat i zamierzyła się na niego, Stephen lekko się odsunął, chwycił ją za nadgarstek i przekręcił. Bat wypadł z jej dłoni. Bronwyn straciła równowagę, ciężka angielska suknia pozbawiła jej nogę oparcia w strzemieniu.

Chwyciła się lęku i wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie dłonie Stephena trzymające ją w pasie. Mężczyzna pociągnął ją ku sobie, ale go odepchnęła. Przez kilka chwil mocowali się. Bronwyn miała wrażenie, że on się dobrze bawi, starając się ją upokorzyć. Bawił się z nią, dając jej złudne poczucie zwycięstwa, zanim postawił ją na ziemi.

Zaśmiał się i unióś ją z siodła aż ponad głowę.

- Czy wiesz, że dołek w twojej brodzie powiększa się, gdy jesteś zła?

- Dołek? - parsknęła i poruszyła nogą, próbując go kopnąć.

Zważywszy że jej stopy znajdowały się wysoko nad ziemią, a jej jedynym punktem podparcia były dłonie Stephena trzymające ją w talii, nie było to mądre posunięcie.

Roześmiał się ponownie i wyrzucił ją do góry, a potem chwycił w ramiona. Przytulił ją do siebie i głośno pocałował w usta.

- Czy zawsze jesteś taka zabawna? - spytał.

Odwróciła się od niego. Gdyby nie unieruchomił jej ręk, uderzyłaby go.

- Czy zawsze jesteś taki bezpośredni? - odpaliła. - Czy nigdy nie myślisz o niczym innym jak tylko o

oblapieniu kobiet?

Otarł się twarzą o jej gładki policzek.

- Ładnie pachniesz. - Chwilę patrzył na nią. - Muszę przyznać, że jesteś pierwszą kobietą, która na mnie tak działa. No, ale jesteś też pierwszą moją żoną, kobietą absolutnie, całkowicie moją.

Zesztywniała w jego ramionach jeszcze bardziej, o ile to było fizycznie możliwe.

- Czy tylko tym jest dla ciebie kobieta? Własnością?

Uśmiechnął się, potrząsnął głową i postawił ją na ziemi, kładąc ręce na jej ramionach.

- Oczywiście. A do czegoż jeszcze nadają się kobiety? Zajmij się teraz koniem.

Narwij trochę trawy i zetrzyj z niego pot.

Odwróciła się od niego z ulgą. W milczeniu rozsiodłali konie i zaczęli wycierać je trawą. Stephen nawet nie próbował jej pomóc przy zdejmowaniu ciężkiego siodła, co ucieszyło Bronwyn, bo i tak by mu odmówiła. Wprawdzie była kobietą, ale nie aż tak bezradną, jak to sobie wyobrażał.

Gdy zwierzęta były już oporządzone, Bronwyn spojrzała na Stephena.

- Przynajmniej wiesz coś o koniach - powiedział. Roześmiał się, widząc jej minę, po czym podszedł do niej. Poglądził ją po ręce, twarz mu spoważniała.

- Proszę, nie zaczynaj od nowa - rzekła gniewnie, odskakując. - Czy nie potrafisz myśleć o niczym innym?

Jego oczy błysnęły.

- Nie, jeśli ty jesteś w pobliżu. Chyba rzuciłaś na mnie urok. A jednak moja propozycja tylko cię rozłościła.

Przypomniawszy sobie scenę w ogrodzie, Bronwyn rozejrzała się wokół. Rab leżał

spokojnie na brzegu strumienia. Dziwne, że nie zaatakował Stephena, gdy ten jej dotknął. A przecież wciąż warczał, kiedy Roger podchodził do niej zbyt blisko.

- Gdzie są twoi ludzie?

- Przypuszczam, że z sir Tomaszem.

- Nie potrzebujesz ich ochrony? A co z moimi Szkotami? Nie wiesz, że czekają tylko sposobności, by mnie odbić?

Stephen ujął ją za rękę i poprowadził do sterty kamieni. Próbowwała się oswobodzić, ale jej nie

pozwolił. Zmusił ją, by usiadła obok niego, po czym wyciągnął się i podłożył ręce pod głowę. Wydawało się, że nie zamierza odpowiedzieć na jej pytania. Patrzył tylko w niebo, prześwitujące pomiędzy koronami drzew.

- Dlaczego twój ojciec wyznaczył właśnie ciebie na przywódcę klanu?

Bronwyn przyglądała mu się przez chwilę, a potem uśmiechnęła się. Właśnie o tym chciała z nim rozmawiać, to było najważniejsze - jej ludzie.

- Miałam poślubić jednego z trzech mężczyzn, a każdy z nich byłby doskonałym przywódcą. Ale żaden nie spełniał warunku pokrewieństwa bliższego niż dziewiątego stopnia, dlatego ojciec mianował mnie głową MacArranów, mając nadzieję, że poślubię jednego z tych trzech ludzi.

- I co z nimi?

Usta Bronwyn wykrzywiły się w gniewie.

- Zostali zabici razem z moim ojcem. Przez Anglików!

Stephen zareagował tylko nieznacznym zmarszczeniem brwi.

- A więc teraz ten, kto cię poślubi, musi zostać dziedzicem tytułu?

- Ja jestem dziedziczką MacArranów - stwierdziła zdecydowanie i spróbowała wstać.

Chwycił ją za rękę i pociągnął w dół.

- Wolałbym, żebyś przestała się tak ciągle na mnie bocyć. Jak mam cię zrozumieć, skoro wciąż ode mnie uciekasz?

- Nie uciekam od ciebie! - Wyszarpnęła dłoń, którą zaczął całować. Bronwyn starała się zignorować wrażenia, jakich doznała na skutek tej pieszczoty.

Stephen westchnął i położył się na plecach.

- Obawiam się, że nie mogę jednocześnie rozmawiać z tobą i patrzeć na ciebie. -

Urwał. - Z pewnością twój ojciec musiał mieć innych krewnych, którzy mogliby dziedziczyć.

Bronwyn uspokoiła się. Wiedziała doskonale, co ten głupi Anglik chciał powiedzieć.

Że byle mężczyzna byłby lepszy od kobiety. Nie wspomniała o swoim starszym bracie, Daveyu.

- Szkoci wierzą, że kobiety mają inteligencję i siłę charakteru. Nie oczekują, byśmy były jedynie matkami.

Stephen chrząknął w odpowiedzi, a Bronwyn miała smakowitą wizję jego głowy roztrzaskującej się

o skałę. Aż się uśmiechnęła. Rab, jak gdyby rozumiejąc tę myśl, uniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

Stephen wydawał się nieświadom tego porozumienia.

- Jakie byłyby moje obowiązki jako dziedzica?

Zagryzła zęby, by nie stracić cierpliwości.

- Ja jestem MacArran i moi ludzie odpowiadają przede mną. Zanim by posłuchali ciebie, musieliby cię najpierw zaakceptować.

- Zaakceptować mnie? - zapytał, odwracając się do niej, ale jej piersi wyłaniające się z obramowanego perłami dekoltu rozproszyły jego myśli tak dalece, że musiał odwrócić wzrok.

- Wydawało mi się, że ważniejsze jest, żebym ja ich zaakceptował.

- Typowe dla Anglika! - skwitowała z pogardą. - Uważasz, że okoliczności twoich narodzin mogą cię ustawić ponad innymi. Myślisz, że twoje obyczaje i ideały czynią cię czymś lepszym od Szkotów. Bez wątpienia uważasz nas za bardziej okrutnych i dzikich od siebie. Ale my nie porywamy waszych kobiet i nie zmuszamy ich do wyjścia za mąż za Szkotów, chociaż z pewnością okazałoby się lepszymi mężami niż Anglicy.

Stephen nie zamierzał podjąć wyzwania. Wzruszył jedynie ramionami.

- No cóż, każdy uważa swoją ojczyznę za najlepszą. Szczerze mówiąc, niewiele wiem o Szkocji i jej mieszkańcach. Spędziłem trochę czasu na nizinach, ale przypuszczam, że nie da się ich porównać z górami.

- Mieszkańcy nizin są bardziej Anglikami niż Szkotami! Milczał przez chwilę.

- Wygląda na to, że bycie przywódcą klanu, przepraszam - mężem przywódcy klanu, pociąga za sobą pewną odpowiedzialność. Co muszę zrobić, żeby zostać przyjęty?

Bronwyn rozluźniła się. Kiedy Stephen nie patrzył na nią, mogła mu się spokojnie przyjrzeć. Był wysoki, wyższy od większości mężczyzn, których знаła. Jego długie ciało spoczywało rozciągnięte tuż obok niej; wyczuwała jego bliskość. Pomimo wszystko miała ochotę siedzieć przy nim i patrzeć na jego mocne nogi, szeroką pierś, Ciemnoblond loki wokół kołnierza. Podobało jej się, że strój miał skromny, nie tak wystawny jak u większości Anglików. Zastanawiała się, jak by wyglądał w tartanie, z nogami odsłoniętymi od łydki do połowy uda.

- Musiałbyś się ubierać jak Szkot - powiedziała cicho.

- Dla ludzi zawsze pozostaniesz wrogiem, jeśli nie będziesz nosił tartanu.

Stephen skrzywił się.

- Miałbym biegać z gołymi nogami? Słyszałem, że w górach bywa bardzo zimno.

- Oczywiście, ale jeśli nie jesteś prawdziwym mężczyzną...

- Jego ostrzegawcze spojrzenie sprawiło, że umilkła.

- Co jeszcze?

- Musisz zostać MacArranem, być MacArranem. Wówczas MacGregorowie staną się twoimi wrogami, a ty otrzymasz nazwisko MacArran. I...

- Co?! - zawołał Stephen, zrywając się na równe nogi.

- Mam zmienić nazwisko? Chcesz powiedzieć, że ja, mężczyzna, mam przyjąć nazwisko swojej żony? Czy wiesz, kim jestem? Jestem Montgomery! Ta rodzina przetrwała setki wojen, wielu królów. Inne rodziny powstawały i upadały, ale ród Montgomerych przetrwał. Moja rodzina ma we władaniu te same ziemie od ponad czterystu lat!

Odwrócił się od niej i przesunął dłonią po swoich włosach.

- A teraz chcesz, żebym zmienił nazwisko Montgomery na nazwisko żony? -

przerwał i zaśmiał się gorzko. - Moi bracia popękaliby ze śmiechu na samą myśl o tym, że ja mógłbym rozważać taką ewentualność.

Bronwyn podniosła się powoli, pozwalając wybrzmieć jego słowom.

- Masz braci, dzięki nim przetrwa nazwisko rodowe. Czy wiesz, co by się stało, gdybym przyprowadziła do domu Anglika, który nawet nie starałby się zrozumieć naszych obyczajów? Moi ludzie zabiliby go, a ja musiałabym szukać następnego męża. A wiesz, jakie byłyby tego konsekwencje? Jest wielu młodych ludzi, którzy chcieliby się ze mną ożenić. Doszłoby do walki.

- Ach tak? Mam wyrzec się swego nazwiska dlatego, byś ty mogła zapanować nad swoimi ludźmi? A jeśli i tak mnie nie zaakceptują? Co wtedy? Miałbym ufarbować włosy, a może odciąć sobie rękę, żeby ich zadowolić? Nie! Albo mnie będą słuchać, albo popamiętają! - Błyskawicznie dobył z pochwy miecza.

Bronwyn osłupiała. On mówił o mordowaniu jej rodaków, jej przyjaciół, krewnych -

ludzi, których życie spoczywało w jej rękach. Nie mogła powrócić do Szkocji z tym szaleńcem.

- Nie mogę cię poślubić - powiedziała spokojnie, z jej oczu biła stanowczość i śmiertelna powaga.

- Nie sądzę, byś miała jakikolwiek wybór - odparł, chowając broń. Nie zamierzał się złościć, ale tej kobiecie należało pokazać, kto tu rządzi... tak jak Szkotom, których nazywała

„swoimi” ludźmi. - Jestem Anglikiem - rzekł nie podnosząc głosu. - I pozostanę nim niezależnie od

tego, dokąd pójde. Powinnaś to zrozumieć, bo przecież ty sama też nie masz zamiaru zmieniać swoich szkockich obyczajów.

Czuła przenikające ją zimno, mimo że był ciepły, jesienny dzień.

- To nie to samo. Masz żyć wśród moich ludzi, dzień po dniu, rok po roku. Czy nie rozumiesz, że oni ciebie nie zaakceptują, jeśli będziesz paradował w swoich pięknych angielskich strojach, ze swoim starym angielskim nazwiskiem? Za każdym razem, kiedy cię zobaczą, przypomną sobie o swych pomordowanych przez Anglików dzieciach, o moim ojcu zabitym w tak młodym wieku.

Jej przemowa poruszyła Stephena.

- Dobrze, będę nosił szkocki strój. Zgadzam się na to.

Nagle Bronwyn poczuła wzbierający gniew.

- A zatem zgadzasz się nosić plaid i szafranową spódnicę. Niewątpliwie uznałeś, że to dobry sposób, by pokazywać te swoje piękne, mocne nogi moim kobietom!

Stephen otworzył usta, które po chwili rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Nie pomyślałem o tym, ale miło, że tobie to przyszło na myśl. - Wyciągnął przed siebie nogę i poklepał mięśnie.

- Sądysz, że te kobiety zgodzą się z twoją opinią?

- W jego oczach igrały figlarne iskierki. - Czy będziesz zazdrosna?

Bronwyn przyglądała mu się zaskoczona. Ten człowiek ani przez chwilę nie był

poważny. Podpuszczał ją i naśmiewał się z niej, podczas gdy ona mówiła o życiu i śmierci.

Ujęła brzeg sukni i ruszyła do strumienia.

- Bronwyn! - zawołał Stephen. - Zaczekaj! Nie chciałem drwić z tego, co powiedziałaś. - Nagle zrozumiał swój błąd. Chwycił ją za rękę i odwrócił do siebie. - Proszę

- błagał, wkładając w to całe serce - nie chciałem cię obrazić. To dlatego, że jesteś taka piękna i przez to tracę rozum. Patrzę na twoje włosy i pragnę ich dotknąć. Pragnę całować twoje oczy. Ta przeklęta suknia jest tak głęboko wycięta, że niemal z niej wychodzisz, a to doprowadza mnie do obłędu. Jak więc mam w takim stanie rozprawiać poważnie o niesnaskach między Szkotami i Anglikami?

- Niesnaskach? - rzuciła. - To przecież wojna!

- Niech będzie: wojna - zgodził się, nie odrywając oczu od jej piersi, gładząc jej ramię. Boże! Nie potrafię tak stać przy tobie i nie mieć ciebie. To trwa zbyt długo, to boli.

Bezwiednie spuściła wzrok, po czym zaczerwieniła się. Stephen uśmiechnął się dyskretnie, zrozumiał w czym rzecz. Bronwyn zagryzła usta oceniając, że to człowiek pobudliwy, łatwo ulegający instynktom, ponadto wierzący, że ona jest taka sama. Szarpnęła się, a gdy on przytrzymał ją mocniej, szarpnęła się bardziej zdecydowanie. Stephen nawet nie drgnął, ale impet, z jakim na niego natarła, sprawił, że straciła równowagę. Nie spodziewała się, że stoją tak blisko strumienia.

Poleciała do tyłu, wyciągając ręce w poszukiwaniu oparcia. Stephen chciał podać jej ramię, ale odtrąciła je. Wobec tego nieznacznie wzruszył ramionami i cofnął się o krok, nie chcąc zmoczyć ubrania fontanną wody, jaka wzbijała się w powietrze po jej upadku.

Woda w strumieniu musiała płynąć aż z gór Szkocji, tak była zimna. Bronwyn usiadła na dnie, a ciężka suknia wchłonęła łąpczywie wodę.

Siedziała tak przez chwilę, oszołomiona, w końcu podniosła wzrok na Stephena.

Uśmiechał się, widząc kroplę zimnej wody na samym czubku jej nosa. Rab stał obok niego, poszczekując i machając ogonem z radości.

- Czy mogę zaofiarować swą pomoc? - zapytał serdecznie Stephen.

Bronwyn odsunęła z policzka pasmo mokrych włosów. Czowała, że za chwilę zacznie szczekać zębami, ale wolałaby je raczej stracić niż dopuścić do tego, by on to zobaczył.

- Nie, dziękuję - powiedziała tak wyniośle, jak tylko to było możliwe.

Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby jej utrzymać równowagę, ale nic nie znalazła, chyba że przeczołgałaby się do sąsiedniego kamienia. Nigdy nie będzie się przed nim czołgać!

- Rab, do mnie! - krzyknęła, a wielki pies dał susa do wody za swoją panią.

Bronwyn otarła wodę z twarzy, starannie unikając wzrokiem roześmianych oczu Stephena. Wsparta na grzbiecie psa, usiłowała dźwignąć się z wody. Ale wełniana suknia -

ciężka! bo nasiąknięta wodą - czyniła ten wysiłek daremnym. Nie ułatwiały też zadania śliskie kamienie na dnie strumienia.

Dziewczyna była już bliska sukcesu, gdy nagle dno wysliznęło się spod jej stóp. Rab uskoczył, a jego pani upadła ponownie, tym razem na plecy. Po chwili wynurzyła głowę z wody, oddychając z trudem.

Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszała, był śmiech Stephena, ale gdy usłyszała także szczekanie Raba, szczekanie, które podejrzenie przypominało psi śmiech, poczuła się zdradzona.

- A niech was! - syknęła i chwyciła ciężką, przemoczoną, nienawistną spódnice.

Stephen pokręcił z niedowierzaniem głową, po czym wszedł do wody. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, schylił się i wziął ją na ręce. Wiele by dała, żeby móc wrzucić go teraz do wody, ale jego krok był pewny. Kiedy się nad nią pochylił, nie zgiął

nawet kolan, by uniknąć bezpośredniego kontaktu z wodą na tyle, na ile to było możliwe.

- Chciałabym, żebyś mnie teraz uwolnił - powiedziała stanowczo.

Stephen wzruszył tylko ramionami i nagle opuścił ręce. Odruchowo, żeby nie wpaść ponownie do zimnej wody, objęła go za szyję.

- Teraz dużo lepiej! - roześmiał się i przytulił ją tak mocno, by nie mogła cofnąć rąk.

Wyszedł z nią na brzeg i stanął nie wypuszczając jej z objęć.

- Aż trudno mi uwierzyć, że ktoś może mieć tak niebieskie oczy i tak czarne włosy -

szeptał, omiatając oddechem jej twarz. - Jest mi coraz bardziej przykro, że spóźniłem się na nasz ślub. Doskonale wiedziała, dlaczego jest mu przykro, a to ani trochę nie poprawiało jej nastroju.

- Zimno mi. Proszę mnie puścić - powiedziała ulegle.

- Mógłbym cię rozgrzać - odparł, chwytając lekko zębami jej ucho.

Bronwyn poczuła chłód spływający wzdłuż jej ramienia, chłód, który nie miał nic wspólnego z mokrą, zimną suknią. Ta reakcja przeraziła ją, nie potrzebowała tego.

- Proszę mnie puścić - powiedziała miękko.

Stephen spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem.

- Jest ci zimno. Zdejmij tę suknię i okryj się moim kaftanem. Mam rozpalić ogień?

- Wołałabym, żebyś mnie puścił i żebyśmy wrócili do domu.

Z wahaniem postawił ją na ziemi.

- Drzysz - powiedział, przesuwał dłońmi po jej ramionach. - Zachorujesz, jeżeli nie zdejmiesz tej sukni.

Odsunęła się od niego. Przemoczona suknia przylgnęła do jej nóg, rękawy ciążyły na ramionach. Stephen posłał jej pełne niesmaku spojrzenie.

- To okropieństwo jest tak ciężkie, że nie będziesz mogła zrobić ani kroku. Nie potrafię pojąć, dlaczego wy, kobiety, nosicie takie rzeczy. Nie wiem, czy teraz zdoła cię unieść twój koń.

Bronwyn wyprostowała ramiona, mimo że suknia ciągnęła je w dół.

- Kobiety! To wy, Anglicy, narzucacie takie stroje swoim kobietom. To wybieg, by ograniczyć im swobodę, bo nie jesteście w stanie poradzić sobie z wolną kobietą. Kazałam uszyć tę suknię, żeby nie przynieść wstydu swojemu klanowi. Anglicy zbyt często sądzą ludzi po stroju.

Uniosła skraj spódnicy.

- Czy wiesz, ile to kosztowało? Za cenę tej sukni mogłabym kupić sto sztuk bydła. A ty ją zniszczyłeś.

- Ja? To twój upór. Podobnie jak teraz. Stoisz tu dygocąc, bo prędzej byś umarła niż zrobiła to, o co cię proszę. Posłała mu ironiczny uśmiech.

- Przynajmniej nie jesteś kompletnym idiotą. Coś tam rozumiesz.

Stephen zachnął się.

- Rozumiem więcej, niż to sobie możesz wyobrazić. - Zdjął kaftan i podał go jej. -

Jeśli się mnie boisz, idź do lasu i przebierz się.

- Boję się! - prychnęła Bronwyn i zignorowała podane jej ubranie. Powoli, kopiąc ciężkie fałdy sukni, podeszła do leżącego na ziemi siodła. Wyciągnęła tartan z sakwy i bez słowa weszła między drzewa. Rab podążył za nią.

Haftki na plecach sprawiły jej niemały kłopot. Gdy uporała się z ostatnią, była sina z zimna. Ściągnęła suknię z ramion, pozwalając, by opadła na ziemię.

Cienka lniana tkanina koszuli i halka zafarbowały od wełny i też przybrały kolor burgunda. Bronwyn zastanawiała się chwilę nad zdjęciem bielizny, ale nie odważyła się tego zrobić, będąc blisko kogoś takiego jak Stephen Montgomery, za to rozejrzała się wokół, by się upewnić, czy jej nie szpieguje. Następnie uniosła halkę i ściągnęła jedwabne pończochy.

Gdy już zdjęła z siebie wszystko, co mogła, owinęła się tartanem i wróciła nad strumień.

Stephena tam nie było.

- Szukasz mnie? - spytał zza jej pleców. Stał uśmiechnięty, z jej mokrą suknią przewieszoną przez ramię. Było oczywiste, że ukrył się w krzakach, by ją podglądać.

Popatrzyła na niego lodowatym wzrokiem.

- Myślisz, że wygrałeś, prawda? Jesteś pewien, że wkrótce będę u twoich stóp, i bawisz się mną. Ale ja nie jestem zabawką, a co ważniejsze, nie jestem twoja. Zapamiętaj w swej angielskiej próżności, że jestem Szkotką i mam jeszcze trochę siły. Ruszyła ku miejscu, gdzie była przywiązana czarna klacz, potem zatrzymała się i obejrzała.

- Użyję całej siły, jaka mi pozostała. - Lekceważąc jego obecność, podciągnęła tartan do kolan, chwyciła wodze i wsiadła na konia. Pchnęła zwierzę do galopu i bez słowa minęła Stephena.

On nie próbował jej zatrzymać, tylko dosiadł swego ogiera na oklep i podążył za nią.

Przyśle tu później kogoś po siodła.

Droga do domu wyjątkowo mu się dłużyła, a ostry grzbiet konia sprawiał taki ból, że uznał, iż to kara za jego złe zachowanie. Bronwyn jest pełną godności kobietą, a on potraktował ją źle. Bo też miała w sobie coś, co sprawiało, że kiedy patrzył na nią, nie mógł

myśleć rozsądnie. Próbowwała z nim rozmawiać, ale jemu tylko to było w głowie: pójść z nią do łóżka. Może potem, pomyślał, gdy już się z nią ożeni i prześpi kilka razy, będzie w stanie patrzeć na nią bez wrażenia, że krew się w nim gotuje.

4

Bronwyn stała przed lustrem w swoim pokoju. Gorąca kąpiel i chwile spędzone na rozmyślaniach sprawiły, że poczuła się nieco lepiej. Stephen Montgomery nie był

odpowiednim kandydatem na męża. Gdyby rozgniewał jej ludzi, tak jak rozgniewał ją, od razu zostałaby zabity, a wtedy Anglicy spadliby im na głowy. Nie może poślubić człowieka, który mógłby stać się przyczyną wojny z Anglikami i powodem konfliktów wewnątrz samego klanu.

Ponownie poprawiła włosy. Odgarnęła je z czoła, pozwalając im luźno opaść na plecy. Służąca przyniosła kilka świeżo ściętych jesiennych, które Bronwyn wpięła we włosy z tyłu głowy.

Miała na sobie szmaragdowozieloną suknię jedwabną. Długie rękawy były wykończone szarym futerkiem z wiewiórek, które podkreślało szarość jedwabiu wypełniającego dzwonowate wycięcie spódnicy.

- Chcę dobrze wyglądać - powiedziała, uchwyciwszy w lustrze spojrzenie Morag.

Morag chrząknęła.

- Chciałabym wierzyć, że stroisz się tak dla sir Stephena, ale nie mam złudzeń.

- Nigdy nie będę się stroić dla niego.

- ile wiem, i tak wolałby cię widzieć rozebraną - mruknęła Morag pod nosem.

Bronwyn nie raczyła odpowiedzieć, nie poddała się też przygnębieniu. Od tego co zrobi zależało życie setek ludzi, dlatego nie chciała zabierać się do pracy w gniewie.

Sir Tomasz czekał na nią w bibliotece. Jego powitalny uśmiech był serdeczny, ale nie pozbawiony pewnej rezerwy. Szczerze żałował, że wkrótce opuści go ta piękna kobieta, za którą węższą mężczyźni.

Bronwyn usiadła, podziękowała za wino i zaczęła mówić. Prawdziwą przyczynę, dla której nie mogła przyjąć Stephena, to znaczy odmowę przyjęcia szkockich obyczajów, zachowała dla siebie, a sir Tomaszowi postanowiła podać bardziej „angielski” powód.

- Ależ, moja droga - odparł zaskoczony. - Stephena wybrał dla ciebie sam król Henryk.

Bronwyn ulegle pochyliła głowę.

- Ja też chciałabym przyjąć męża wybranego dla mnie przez samego króla Henryka, ale jestem głową klanu MacArran, a Stephen jest tylko zwykłym rycerzem. Miałabym problemy z moimi ludźmi, gdybym chciała go poślubić.

- Sądzisz, że zaakceptują lorda Rogera?

- Po śmierci swego brata został parem. Jego pozycja bardziej odpowiada mojej pozycji przywódcy klanu.

Sir Tomasz skrzywił się. Był już za stary na takie rzeczy. Niech diabli porwą Szkotów z ich obyczajami, które zezwalają kobietom na samodzielne myślenie. Nic by się nie stało, gdyby Jamie MacArran nie mianował jej swoim dziedzicem.

Podszedł do drzwi i kazał wezwać Stephena oraz Rogera.

Gdy obaj przybyli i usiedli, sir Tomasz przedstawił im stanowisko Bronwyn.

Uważnie obserwował ich twarze. Dojrzał błysk w oczach Rogera i odwrócił się od niego.

Stephen siedział spokojnie, tylko cień w jego oczach wskazywał, że usłyszał wszystko.

Bronwyn nie poruszyła się, zieleń sukni podkreślała kolor jej oczu, a stokrotki we włosach sprawiły, że wyglądała uroczo i niewinnie.

Kiedy Sir Tomasz skończył, pierwszy przemówił Roger.

- Lady Bronwyn ma rację. Powinniśmy uszanować jej tytuł.

Oczy Stephena zapłonęły.

- Nic dziwnego, że się z nią zgadzasz, skoro dzięki temu możesz zyskać tak wiele. -

Zwrócił się do sir Tomasza. - Król przez cały rok szukał dla mnie narzeczonej. Chciał nagrodzić moją rodzinę za wierne patrolowanie granic na nizinach.

Bronwyn odwróciła się do niego błyskawicznie.

- Zabijanie i gwałty... to miałeś chyba na myśli!

- Miałem na myśli to, co powiedziałem. Patrolowanie. Niewielu straciło życie. - Jego wzrok powędrował ku jej piersi, a głos przycichł. - I prawie nie było gwałtów.

Bronwyn wstała.

- Sir Tomaszu, był pan w górach Szkocji. - Udała, że nie widzi jego wzruszenia ramion, wywołanego

nieprzyjemnymi wspomnieniami. - Moi ludzie poczuliby się znieważeni, gdybym na ich przywódcę wybrała rycerza niskiego rangą. Król Henryk pragnie pokoju. Ten człowiek - wskazała Stephen - stałby się przyczyną wielu kłopotów, gdyby przekroczył granice Szkocji.

Stephen roześmiał się, stanął za nią, otoczył jej talię ramieniem i mocno przytrzymał.

- To nie sprawa dyplomacji, ale zwykły gniew dziewczyny. Poprosiłem ją, by weszła przed czasem do mojego łóżka, jeszcze przed ślubem, a ona uznała, że ją obraziłem.

Sir Tomasz uśmiechnął się z ulgą. Zaczął mówić. Roger przerwał mu, występując krok naprzód.

- Protestuję! Lady Bronwyn nie należy do kobiet, które łatwo da się odsunąć. To, co mówi, ma sens. - Zwrócił się do Stephen. - Czy boisz się poddać rozstrzygającej o wszystkim próbie?

Stephen uniósł brwi.

- Nie wydaje mi się, by do nazwiska Montgomery dołączony był przydomek

„tchórz”. Czyżbyś o tym za pomniął?

- Panowie, proszę! - Sir Tomasz prawie krzyczał. - Król Henryk wysłał tu lady Bronwyn na ślub, a to radosne wydarzenie. Bronwyn wyrwała się z uścisku Stephen.

- Radosne! Jak możesz mówić tak, panie, skoro mam poślubić tego nieokrzesanego, obrażającego mnie prostaka? Przysięgam, że zabiję go we śnie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Stephen uśmiechnął się do niej.

- O ile nastąpi to po nocy poślubnej, nie będę miał nic przeciw temu.

Bronwyn zagryzła wargi.

- Lady Bronwyn - rozkazał Sir Tomasz. - Czy możesz nas opuścić?

Odetchnęła głęboko. Powiedziała już wszystko i nie znieśie dłużej obecności Stephen. Z wdziękiem uniosła spódnice i wyszła z pokoju.

- Stephenie - zaczął sir Tomasz. - Nie chciałbym przy czynić się do twojej śmierci.

- Nie przerażają mnie słowa kobiety.

Sir Tomasz zmarszczył brwi.

- Mówisz to w nieświadomości. Nigdy nie byłeś na północy. Nie ma tam władzy, a w każdym razie nie taka jak tu. Klanami rządzą ich przywódcy, którzy nie podlegają nikomu.

Wystarczy, że lady Bronwyn mruknie coś zagniewana, a każdy mężczyzna, a nawet każda kobieta w

jej klanie gotowi będą odebrać ci życie.

- Chciałbym zaryzykować.

Sir Tomasz zrobił krok w jego kierunku i położył mu rękę na ramieniu.

- Znałem twego ojca i jestem pewien, że nie chciałby, bym wysyłał jego syna na pewną śmierć.

Stephen odsunął się od przyjaźnie wyciągniętej dłoni. Na jego twarzy zagościł gniew.

- Chcę tej kobiety! Nie masz prawa mi jej odbierać. - Odwrócił się do uśmiechającego się Rogera. - Spotkamy się na polu walki i wtedy zobaczymy, który z nas ma większe prawo ubiegać się o władzę nad klanem.

- Zgoda! - powiedział Roger. - Jutro rano. - Zwycięzca poślubi ją jutro po południu i posiadzie w nocy.

- Niech się tak stanie!

- Nie - jęknął sir Tomasz, teraz już pewien swej porażki. To byli dwaj młodzi mężczyźni o gorącej krwi. Westchnął ciężko. - Zostawcie mnie, obaj. Przygotujcie pojedynek sami. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Stephen stał obok swego ogiera, od stóp do głowy okuty w stal. Promienie słońca ślizgały się po pancerzu. Zbroja była ciężka, ale dawno już nauczył się ją dźwigać.

- Panie - odezwał się giermek. - Słońce będzie ci świeciło prosto w oczy.

Stephen skinął głową. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Zostawmy Chatworthowi tę przewagę. Będzie jej potrzebował.

Chłopiec uśmiechnął się dumny ze swego pana. Dużo czasu zabrało wkładanie kawałków bawełnianego materiału pod stalowe płyty zbroi.

Stephen z łatwością dosiadł konia, sięgnął po lancę i tarczę. Nie raczył nawet spojrzeć w prawo. Wiedział, że stoi tam Bronwyn z twarzą równie białą, jak jej suknia.

Świadomość, że chciałaby go zobaczyć pokonanym, a może nawet martwym, nie poprawiała mu samopoczucia.

Przysunął lancę do boku. Nie rozmawiał z Rogerem od tamtego wieczoru, a sir Tomasz dotrzymał danego słowa - nie Pojawił się w miejscu walki. A zatem nie ustalono żadnych reguł. Ten pojedynek był sprawdzianem, który z nich dłużej utrzyma się w siodle.

Czarny, zaprawiony w boju koń Stephena grzebnał niecierpliwie kopytem. Należał

do rasy hodowanej ze względu na siłę i wytrzymałość, a nie dla szybkości.

Ludzie otaczający Stephena rozstąpili się, gdy na drugim końcu pokrytego piaskiem pola pojawił się Roger. Wzdłuż pola biegł niski, drewniany płot.

Stephen opuścił przyłbicę. Był całkowicie zakryty stalą, pomijając wąską szparę na oczy. Jakiś młody człowiek uniósł chorągiewkę, a gdy ją opuścił, obaj szlachetnie urodzeni ruszyli ku sobie z uniesionymi lancami. To nie był sprawdzian szybkości, lecz siły. Tylko mężczyzna o niepospolitej sile mógł wytrzymać napór lancy grzechoczącej po jego tarczy.

Stephen ścisnął konia swymi masywnymi udami, gdy lanca Rogera z impetem ugodziła w jego tarczę. I pękła - podobnie jak broń Stephena. Stephen skierował konia w swój kraniec pola.

- Jest dobry - stwierdził jeden z ludzi Stephena, podając mu nową lancę. - Tym razem uważaj na czubek, milordzie. Wydaje mi się, że przeciwnik chce go wcisnąć pod tarczę.

Stephen przytaknął mu skinieniem głowy i ponownie zatrzasnął przyłbicę.

Chorągiewka opadła, rozpoczynając drugą próbę. Wszystko, co powinien teraz zrobić Stephen, to strapić przeciwnika z konia, aby zgodnie z wszelkimi prawidłami turnieju wygrać. Gdy Roger natarł na niego, Stephen opuścił nieznacznie tarczę, unikając niebezpiecznego uderzenia. Odrzucony siłą uderzenia do tyłu, Chatworth nie zauważył, jak otrzymał cios w bok. Zakołysał się w siodle i niemal z niego wypadł, ale zdołał się jednak utrzymać.

- Jest oszołomiony - powiedział jeden ze stojących obok Stephena ludzi. - Uderz go teraz, a spadnie.

Jeszcze raz skinął głową i ponownie zatrzasnął przyłbicę.

Roger skoncentrował się na ataku, nie myśląc o obronie. Gdy wymierzył cios lancą, Stephen pchnął ponownie, tym razem dużo silniej. Rogera odrzuciło do tyłu, potem przechylił się na bok i spadł na piasek pod kopyta konia Stephena.

Stephen rzucił tylko okiem na pokonanego rywala i popatrzył na Bronwyn.

Ale Chatworth nie był człowiekiem, do którego można było odwracać się tyłem.

Chwycił ostro zakończony kij przytroczony do siodła i zamachnął się z całej siły.

- Stephen! - krzyknął ktoś.

Zareagował natychmiast, ale nie dość szybko. Kij ugodził go mocno w nogę. Zgięta na skutek uderzenia stalowa blacha boleśnie wrzynała się w ciało. Nieoczekiwany cios wyrzucił go z siodła. Stephen zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

Pozbierał się i zobaczył, że Roger jest gotów do kolejnego ataku. Odturlał się, aż stalowe złącza

zajęczały.

Ktoś rzucił mu kij dokładnie w chwili, gdy broń Rogera dosięgła jego pleców.

Stephen napiął mięśnie i uderzył Rogera w bok. Potem, gdy przeciwnik zaczął się oddalać chwiejnym krokiem, ruszył za nim. Zamierzał wygrać tę walkę.

Następnym ciosem w ramię powalił go na ziemię. Stalowe zbroje chroniły ciała mężczyzn przed zranieniem, ale niesamowita siła uderzenia zrobiła swoje.

Roger nie podnosił się, wyraźnie zamroczony. Stephen dobył miecza, stanął nad przeciwnikiem w rozkroku i kopnięciem odchylił jego przyłbicę. Wtedy ujął miecz oburącz i zamachnął się.

Roger patrzył na zwycięzcę.

- Zabij mnie i skończmy z tym! Ja bym zrobił to samo.

- Wygrałem. To mi wystarczy - odparł Stephen. Odstąpił od niego na krok i zdjął rękawicę. Wyciągnął nie uzbrojoną dłoń do pokonanego przeciwnika.

- Obraziłeś mnie! - wysyczał Roger i splunął na wyciągniętą rękę. - Zapamiętam to.

Stephen otarł dłoń o zbroję.

- Ja też tego nie zapomnę. - Schował miecz i odszedł.

Ruszył ku stojącym opodal Morag i Bronwyn. Dziewczyna wyprostowała się. On zaś zatrzymał się przed nią, powoli zdjął hełm i podał go Morag, która skwapliwie go przyjęła.

Bronwyn cofnęła się o krok.

- Już mi nie uciekniesz - powiedział, chwytając jej rękę. Przyciągnął ją do siebie.

Jednym ramieniem był w stanie pokonać jej opór.

Przycisnął jej delikatne ciało do twardej, stalowej zbroi. Chłód i gładkość metalu sprawiły, że Bronwyn westchnęła. Gdy mężczyzna otoczył ją ręką, poczuła stal na swoich plecach.

- Jesteś teraz moja - mruknął, dotykając ustami jej warg.

To nie był pierwszy pocałunek w życiu Bronwyn. Przytrafiło jej się to już parę razy podczas przepędu bydła przez wrzosowiska. Ale ten pocałunek był zupełnie inny. Był

miękki i słodki, a jednocześnie wyzwalał emocje, których nigdy przedtem nie doświadczyła.

Usta Stephena igrały z nią, dotykały, pieściły, atakowały. Wspięła się na palce, odchyliła głowę do tyłu. Poczwała, że powinna rozchylić wargi i zrobiła to. Chłodno - gorące dotknięcie jego języka

wywołało dreszcz, który przebiegł jej przez plecy. Jej ciało zaczęło wiotczeć, a gdy jeszcze bardziej odchyliła głowę, podążył za nią, trzymając ją w ramionach silniej, niż gdyby była skuta łańcuchem.

Nagle Stephen odsunął się, a gdy Bronwyn otworzyła oczy, zobaczyła jego uśmiechniętą twarz. Zdała sobie sprawę, że trzyma się na nogach tylko dzięki jego uściskowi, a jego pocałunek sprawił, że cała powierzyła się jego ramionom. Wyprostowała się, przenosząc ciężar ciała na stopy. Stephen zaśmiał się.

- Jesteś bardziej moja, niż sama podejrzewasz. - Wypuścił ją z objęć i popchnął w stronę Morag. - Idź, przygotuj się do ślubu... jeśli jesteś w stanie czekać tak długo.

Bronwyn odwróciła się szybko. Nie chciała, by ktoś zobaczył jej zaczerwienione powieki i zbierające się pod powiekami łzy. Nie udało mu się przyprawić ją o łzy obelgami, dokonał tego jeden pocałunek.

- Co tak oplakujesz? - zapytała Morag, gdy tylko zostały same w pokoju. - Jest pięknym, przystojnym mężczyzną i masz go poślubić. Z powodu twego zachowania musiał

o ciebie walczyć. Udowodnił, że jest silnym, odważnym rycerzem. Czego jeszcze chcesz?

- Traktuje mnie jak dziewczkę z oberży!

- Traktuje cię jak kobietę. Kobietę, której nie widzi w tobie ten drugi, Roger, bo przesłaniają mu ciebie twoje ziemie. Wątpię, czy w ogóle do niego dotarło, że jesteś kobietą.

- Nieprawda! Jest taki jak... Ian!

Morag skrzywiła się na wspomnienie tego chłopca, który zginął, gdy miał zaledwie dwadzieścia pięć lat.

- Ian był dla ciebie starszym bratem. Wychowywaliście się razem. Gdyby się z tobą ożenił, pewnie miałby skrupuły przed pójściem z tobą do łóżka, bo czułby się tak, jakby spał

ze swoją siostrą.

Bronwyn wydeła usta.

- Ale ten Stephen Montgomery z pewnością nie ma żadnego poczucia winy. Chyba nawet nie rozumie znaczenia tego słowa.

- Co cię tak martwi? - wypaliła Morag, aż Rab, zaniepokojony, wydał ostrzegawcze warknięcie. Urwała. Siateczka zmarszczek na jej twarzy poruszyła się. Jej głos przycichł.

- Czy to chodzi o dzisiejszą noc?

Bronwyn spojrzała tak ponuro, że Morag się roześmiała.

- A więc jesteś dziewicą! Nie byłam pewna po tym, jak nasz pan pozwalał ci się szwendać z młodymi mężczyznami.

- Zawsze byłam bezpieczna. Dobrze wiesz...

- Zdarza się, że młody mężczyzna nie jest najlepszym obrońcą panińskiej cnoty. -

Uśmiechnęła się. - Przestań się dręczyć. Przed tobą przyjemne chwile. I, o ile się nie mylę, Stephen potrafi uczynić ten pierwszy raz łatwiejszym.

Bronwyn podeszła do okna.

- Nie wątpię. Sądząc po tym, jak się zachowuje, miał już w swoim łóżku chyba połowę Anglii.

- Boisz się, że twój brak doświadczenia rozczaruje go? - spytała Morag.

Bronwyn odwróciła się błyskawicznie.

- Żadna blada Angielka nie może równać się ze Szkotką!

Morag zachichotała.

- Wracają ci kolory. A teraz wyskakuj z tej sukni, przebierzemy cię w ślubną. Masz jeszcze kilka godzin, zanim pójdziesz do kościoła.

Bronwyn zbladła ponownie i z rezygnacją poddała się zmuśnionej operacji przebierania.

Stephen siedział w wannie zanurzony po szyję. Bolała go noga i plecy od zadanych przez Rogera ciosów. Miał zamknięte oczy, gdy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi.

- Odejdź! - zagrział. - Wezwę cię, gdy będę cię potrzebował.

- I jak to zrobisz? - dobiegł go rozbawiony, znajomy głos.

Stephen otworzył oczy, a za chwilę biegł już nago, ociekając wodą.

- Chris! - powitał go mocnym uściskiem.

Christopher Audley oddał lekki uścisk i odepchnął Stephena.

- Moczysz mnie, a nie zamierzam się już przebierać na twój ślub. Nie spóźniłem się, prawda?

Stephen ponownie wszedł do wanny.

- Usiądź obok, żebym cię widział. Znowu schudłeś. Czyżby Francja ci nie służyła?

- Posłużyła aż za dobrze. Kobiety niemal mnie zamordowały swoimi żądaniami. -

Ustawił krzesło obok wanny. Był niskim, szczupłym, ciemnym mężczyzną, miał drobne rysy i krótką, dobrze utrzymaną brodę. Miał też duże, brązowe, podobne do psich oczy.

Łagodne i pełne wyrazu, były jego mocnym atutem w kontaktach z kobietami.

Gestem głowy wskazał siniec na plecach Stephena.

- To jakaś nowa rana? Nie wiedziałem, że się pojedynkowałeś.

Stephen polał stłuczenie wodą.

- Musiałem bić się z Rogerem Chatworthem o kobietę, którą mam poślubić.

- Bić się? - zapytał zaskoczony Chris. - Rozmawiałem z Gavinem przed twoim wyjazdem i mówił mi, że robi ci się niedobrze na myśl o tym małżeństwie. - Uśmiechnął się.

- Widziałem żonę Gavina. Jest piękna, ale z tego, co słyszałem, diabeł wcielony. Cały dwór poruszyła swoimi eskapadami.

Stephen machnął lekceważąco ręką.

- Judyta jest spokojna w porównaniu z Bronwyn.

- To Bronwyn jest tą dziedziczką, z którą masz się ożenić? Gavin mówił, że jest gruba i brzydka.

Stephen zakrztusił się. Namydlił nogi.

- Nie uwierzysz, dopóki jej nie zobaczysz. Jej włosy są tak czarne, czarne i lśniące jak lustro, gdy odbija się od nich słońce. Ma niebieskie oczy i brodę, którą dumnie unosi za każdym razem, gdy z nią rozmawiam.

- A reszta?

- Niesamowita!

Chris roześmiał się, słysząc zachwyt w głosie Stephena.

- Przecież to niemożliwe, by dwaj bracia mieli aż tyle szczęścia, co ty i Gavin. Ale dlaczego musiałeś o nią walczyć? Myślałem, że król Henryk dał ją tobie.

Stephen wstał i złapał ręcznik, który rzucił mu Chris.

Spóźniłem się o cztery dni na ślub i obawiam się, że Bronwyn powzięła do mnie pewną... niechęć. Ma idiotyczny pomysł, że jeśli chcę ją poślubić, muszę stać się Szkotem, a nawet zmienić nazwisko. Nie wiem na pewno, ale wydaje mi się, że Chatworth omamił ją i obiecał uczynić wszystko, czego zażąda, by go tylko poślubiła.

Chris zmarszczył nos.

- A ona mu uwierzyła. Roger zawsze umiał czarować kobiety, ale ja nigdy mu nie ufałem.

- Pojedynekowaliśmy się o nią. Kiedy zrzuciłem go z konia, zaszedł mnie od tyłu z pałąką.

- Drań! Zawsze się zastanawiałem, jak dalece podobny jest do swego brata. To był podstępny człowiek. Przypuszczam, że wygrałeś tę walkę.

- Tak mnie rozwścieczył tym atakiem, że niewiele brakowało, a byłbym go zabił.

Nawet błagał mnie o to, powiedział, że obrazę go odmową.

Chris rozważał coś przez chwilę.

- Zrobiłeś sobie z niego wroga. To źle.

Stephen podszedł do łóżka, gdzie leżał jego ślubny strój.

- Nie winię go za to, że starał się o Bronwyn. O nią walczyłby każdy.

Chris wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nigdy nie słyszałem, byś mówił tak o jakiejś kobiecie.

- Nigdy jeszcze nie poznałem kobiety takiej jak Bronwyn. - Przystanął, a potem krzyknął: - Wejść! - gdy usłyszał pukanie do drzwi.

Stała tam młoda służka, trzymająca w wyciągniętych rękach błyszczącą suknię ze srebrnej tkaniny. Patrzyła na półnagiego Stephena.

- O co chodzi? - zapytał. - Dlaczego nie oddałaś tej sukni lady Bronwyn?

Usta dziewczyny zadrżały.

Stephen wciągnął koszulę, a potem odebrał dziewczynie suknię.

- Możesz mi powiedzieć - rzekł łagodnie. - Wiem, że lady Bronwyn ma ostry język.

Nie zabiję cię za powtórzenie tego, co usłyszałaś.

Dziewczyna podniosła wzrok.

- Była w hallu milordzie, i tam ją znalazłam. Było tam jeszcze kilka innych osób.

Dałam jej suknię, spodobała jej się chyba.

- Tak! I co dalej?

Dziewczyna dokończyła w popłochu.

- Ale gdy powiedziałam, że to od ciebie, panie, rzuciła ją. Powiedziała, że ma już ślubną suknię i nigdy nie włoży tej od ciebie. Och, milordzie, to było okropne. Ona tak głośno mówiła, a ludzie śmiali się.

Stephen dał dziewczynie miedziaka. Gdy wyszła, Chris zaczął chichotać.

- Ostry język, powiedziałaś? Raczej ostrze noża.

Stephen, zagniewany, włożył kubrak.

- Dostało mi się już tego dostatecznie dużo. Czas, by ktoś nauczył tę młodą damę manier.

Przerzucił suknię przez ramię i opuścił pokój, kierując się do głównego hallu. Nie było łatwo zdobyć ten wykwintny strój. Bronwyn narzekała na zniszczoną suknię po upadku do strumienia. Stephen postarał się jej to wynagrodzić, oczywiście nie dlatego, że ją sam do tego strumienia wrzucił. Pojechał do miasta, wybrał srebrną materię i opłacił pięć kobiet, by szyły przez całą noc. Była to miętka, wysokogatunkowa wełna, gęsto przetykana cienką srebrną nicią. Wprost imponująca. Lśniła nawet w ciemnym korytarzu. Pomijając to wszystko, kosztowała więcej, niż wszystkie suknie Bronwyn razem wzięte.

A jednak dziewczyna odmówiła przyjęcia jej.

Zobaczył ją, gdy tylko przekroczył próg głównego hallu. Siedziała na wyściełanym krześle, w jedwabnej sukni koloru kości słoniowej. Obok niej jakiś młody człowiek śpiewał

psalmy, pobrzękując na lutni.

Stephen wszedł pomiędzy nich.

Popatrzyła na niego zaskoczona i odwróciła się.

- Chciałbym, żebyś włożyła tę suknię - powiedział spokojnie. Nie spojrzała nawet na niego.

- Mam już ślubną suknię.

- Jakies kłopoty z kobietami? - zakpił ktoś obok Stephena. Stephen stał przez chwilę nieruchomo, a potem szarpnął Bronwyn, zmuszając ją do wstania. Nie odezwał się ani słowem, ale cień na jego twarzy wystarczył, by nie protestowała. Zacisnął palce wokół jej nadgarstka i pociągnął za sobą. Suknia krępowała jej nogi i raz o mało nie upadła, ponieważ nie zdążyła podnieść spódnicy wolną ręką. Była pewna, że Stephen nawet nie zwolniłby kroku, gdyby upadła rzeczywiście.

Prawie wrzucił ją do jej pokoju, potem zatrzasnął drzwi. Cisnął suknię na łóżko.

- Włóż to! - rozkazał.

Bronwyn nie ruszyła się.

- Nie muszę ani teraz, ani nigdy słuchać twoich rozkazów.

Jego pociemniałe oczy były nieubłagane.

- Zrobiłem wszystko, co jest w ludzkiej mocy, by nadrobić swoje spóźnienie.

- Spóźnienie! - prychnęła. - Czy myślisz, że dlatego właśnie cię nienawidzę? Czy naprawdę znasz mnie tak słabo, by sądzić, że jestem dość prosta, by nienawidzić cię tylko za to, że masz maniery gburą? Chciałam, żebyś dziś przegrał, ponieważ Roger Chatworth bardziej nadaje się, by wejść do mojego klanu. Znienawidzą cię tak jak ja z powodu twojej arogancji i przekonania, że wszystko jest twoją własnością. Uważasz nawet, że możesz mi dyktować, co mam włożyć na własny ślub.

Stephen zbliżył się o krok, chwycił ją za brodę, wbijając palce w jej policzki.

- Mam dość słuchania o twoim klanie, a tym bardziej o Rogerze. Kazałem uszyć tę suknię, bo chciałem ci ją ofiarować, ale jesteś zbyt uparta i porywcza, żeby ją przyjąć.

Próbowała uwolnić się, ale się nie udało. Stephen zacisnął dłoń, wyciskając łzy z jej oczu.

- Jesteś moją żoną - powiedział. - W związku z tym musisz mnie słuchać. Nie wiem nic o twoich ludziach, ale poradzę sobie z nimi, gdy ich poznam. Wiem także, jak powinna się zachowywać żona. Zdobycie tej sukni kosztowało mnie wiele kłopotów i ty ją włożysz!

- Nie! Nie będę ciebie słuchać! Jestem MacArran!

- A niech cię! - krzyknął, chwytając ją za ramiona. Zaczął nią potrząsać. - To nie chodzi o Anglików i Szkotów, o przywódców klanu i jego członków, lecz o spór między kobietą a mężczyzną. Włożysz tę suknię, ponieważ ja jestem twoim mężem i ja ci tak każę!

Przestał nią potrząsać stwierdziwszy, że jego słowa nie wywarły na niej żadnego wrażenia. Schylił się i przełożyła ją sobie przez ramię.

- Puść mnie!

Nie raczył odpowiedzieć, tylko rzucił ją na łóżko, twarzą do poduszki.

- Przestań! To mnie boli!

- Ty mi zrobiłaś większą krzywdę - odparł, rozpinając maleńkie guziczki z tyłu jej sukni. Przytrzymał ją nogą. - Dziś w nocy pokażę ci rany, jakie zadał mi Roger. Nie ruszaj się, bo rozedrę to na strzępy. Bronwyn zamarła w bezruchu. Posłał jej pełne niesmaku spojrzenie.

- Wygląda na to, że najlepiej trafia do ciebie to, co mówię wtedy, gdy grożę, że będzie cię to

kosztować trochę pieniędzy.

- Jesteśmy biednym narodem i nie stać nas na trwonienie pieniędzy, tak jak was, Anglików. - Stephen wciąż rozpinął guziki. - Dzielnie... dzisiaj walczyłeś.

Przerwał na chwilę swoją pracę.

- Wyobrażam sobie, ile cię kosztowało powiedzenie tego, tym bardziej że życzyłaś mi śmierci.

- Nie chciałam niczyjej śmierci! Chciałam tylko..

- Nie musisz mi mówić. Doskonale wiem, czego chciałaś! Rogera Chatwortha!

To była dziwna chwila. Bronwyn czuła się dziwnie bliska Stephenowi, jak gdyby znali się od wielu lat. Wiedziała, że nie jest w stanie wyjaśnić mu, dlaczego chciała Rogera.

Tyle razy już próbowała. Teraz miło było usłyszeć nutkę zazdrości w jego głosie. A niech sobie myśli, że jest zakochana w Rogerze. To mu dobrze zrobi.

- Już! Teraz wstań i zdejmijemy tę suknię.

Gdy się nie poruszyła, pochylił się nad nią i przesunął ustami po jej karku.

- Nie czekajmy do wieczora.

Jego słowa i pieszczota otrzeźwiły Bronwyn. Błyskawicznie wysunęła się spod niego. Przytrzymała przód sukni.

- Włożę tamtą suknię, ale musisz stąd wyjść. Stephen oparł się na łokciu.

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

Chciała znowu wszcząć kłótnię, ale pomyślała, że to nie ma sensu. Poza tym już widział ją w białym dwa razy. Teraz przynajmniej nie była mokra. Zdjęła kremową suknię i złożyła starannie na komodzie.

Stephen obserwował ją głodnym wzrokiem, a gdy sięgnęła po srebrną suknię, przysunął ubranie blisko siebie, by Bronwyn musiała podejść do niego. Miał dość czasu, by złożyć na jej ramieniu szybki pocałunek.

Ciężka, srebrna tkanina była wspaniała i Bronwyn nie mogła się powstrzymać, by nie pogłodzić jej, zanim przełożyła suknię przez głowę. Pasowała idealnie, obciskając szczupłą talię, rozszerzając się wdzięcznie na biodrach. Gdy skończyła ubieranie, popatrzyła zaskoczona na Stephena. Dekolt, zgodnie z nakazem mody, był głębokim, kwadratowym wycięciem, ale przysłaniała go koronka aż do nasady szyi.

Stephen wzruszył ramionami, widząc jej zmieszanie.

- Nie chciałem, by inni mężczyźni widzieli zbyt wiele tego, co moje.

- Twoje! - prychnęła. - Czy zawsze będziesz za mnie decydował? Nie wolno mi już nawet, wybierać strojów?

Westchnął.

- Wiedziałem, że twoja uległość długo nie potrwa. Chodź tu, zapnę cię.

- Sama sobie poradzę.

Przez chwilę obserwował jej szamotaninę, po czym pociągnął ją ku sobie.

- Czy jest jakaś nadzieja, by do ciebie dotarło, że nie jestem twoim wrogiem?

- Ależ jesteś nim. Wszyscy Anglicy są wrogami mojego klanu i moimi.

Obrócił ją tyłem i zaczął zapinać guziki. Gdy skończył, odwrócił ją przodem do siebie, nie zwalniając uścisku.

- Ufam, że któregoś dnia zdołam cię przekonać, iż jestem kimś więcej, niż tylko Anglikiem. - Poglądził ją po rękach. - Nie mogę się doczekać dzisiejszej nocy.

Bronwyn starała się mu wyrwać. Westchnął znowu i uwolnił ją. Wstał i ujął ją pod rękę.

- Na dole czeka na nas ksiądz i goście.

Bronwyn z wahaniem przyjęła jego dłoń. Była ciepła i sucha, stwardniała przez lata spędzone na wojaczce. Giermek Stephena czekał za drzwiami, trzymając ciężki, aksamitny kaftan swego pana. Bronwyn patrzyła, jak Stephen podziękował chłopcu, który popatrzył z dumą na swego pana i złożył mu życzenia.

Stephen uśmiechnął się, uniósł dłoń Bronwyn do swoich ust.

- Szczęście - powtórzył. - Czy sądzisz, że w naszym przypadku to możliwe?

Nie odpowiedziała, odwróciła wzrok, gdy zaczęli razem, ręka w rękę, schodzić na dół. Srebrna suknia była ciężka i za każdym krokiem przypominała dziewczynie o przewadze tego obcego człowieka.

U stóp schodów czekało wielu ludzi. Sami mężczyźni, przyjaciele sir Tomasza, uczestnicy wojen ze Szkotami. Nie starali się nawet ukryć swej niechęci do mieszkańców gór. Śmiali się, kiedy Bronwyn stawiała im opór po śmierci ojca. Mówili, że jeśli będzie choć w połowie tak dzika w łóżku, Stephena czeka przyjemność nie lada.

Uniosła wysoko głowę, powtarzając sobie, że nazywa się MacArran i musi się tak zachowywać, by jej klan mógł być z niej dumny. Anglicy to prymitywna, okrutna zgraja i ona nie zniży się do ich

poziomu i nie będzie odpowiadać na ich niesmaczne uwagi.

Dłoń Stephena zacisnęła się i Bronwyn spojrzała na niego zaskoczona. Twarz miał

skupioną, usta zaciśnięte, mięśnie szczęki pracowały. Spodziewała się, że go ucieszą komentarze współziomków, ponieważ dowodziły, że ona jest zdobyczą wojenną. Ale on odwrócił się i popatrzył na nią niemal smutnie, jakby chciał ją przeprosić.

Ślub odbył się szybko. Szczerze mówiąc, w ogóle nie przypominał ślubu. Stojąc przed księdzem, Bronwyn uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna. Zawsze marzyła o ślubie w Szkocji, na wiosnę, gdy przyroda budzi się do życia. Byłaby wtedy otoczona członkami rodziny i klanu. Jej mąż byłby kimś, kogo by dobrze знаła.

Zwróciła oczy na Stephena. Klęczeli obok siebie w domowej kaplicy sir Tomasza.

Głowa Stephena była kornie pochylona. Jakże odległy wydał się jej wtedy. Jak niewiele o nim wiedziała. Wyrosli w dwóch krańcowo różnych światach. Przez całe życie uczono ją, że ma prawa i władzę, że jej ludzie będą się do niej zwracali po pomoc. A ten Anglik znał

jedynie społeczeństwo, w którym kobietom pozwolono zaledwie szyc i być dopełnieniem swoich mężów.

A jednak Bronwyn została skazana na dzielenie życia z tym człowiekiem.

Udowodnił już, że uważa ją za swoją własność, którą mógł rozporządzać wedle swej woli.

I dziś w nocy... Nie była w stanie o tym myśleć. Ten mężczyzna był jej obcy, zupełnie obcy. Nic o nim nie wiedziała. Nie wiedziała, co lubi jeść, czytać czy śpiewać, jaka jest jego rodzina. Zmuszona jest wejść do jego łóżka i dzielić z nim to najintymniejsze doświadczenie życiowe, a wszyscy uważają, że powinna się z tego cieszyć!

Stephen odwrócił się do niej. Zdawał sobie sprawę z tego, że ona na niego patrzy, i przyjął to z zadowoleniem. Na jej twarzy malowała się rozterka i niepewność. Podał jej uśmiech, by dodać jej ducha, ale odwróciła się i zamknęła oczy nad zaciśniętymi dłońmi.

Dla Bronwyn dzień ten włókł się w nieskończoność. Mężczyźni uczestniczący w uroczystości nie kryli swego zainteresowania nocą poślubną, Siedzieli przy masywnych, zbitych z bali stołach, jedli i pili przez długie godziny. A im więcej pili, tym bardziej dosadne stawały się ich żarty. Z każdym wypowiedzianym przez nich zdaniem, z każdym wypitym przez nich kubkiem wina nienawiść Bronwyn do Anglików rosła. Nie zwracali w ogóle uwagi na fakt, że mają do czynienia z kobietą; dla nich była jedynie wojennym trofeum.

Gdy Stephen sięgnął po jej dłoń, odsunęła się od niego, co wywołało nową falę śmiechu. Nie patrzyła na Stephena, ale wiedziała, że pociągnął wtedy tęgi łyk wina.

Promienie słońca kładły się na ziemi, gdy podchmieleni mężczyźni zaczęli się spierać i mocować. Nikt nie próbował ich powstrzymać, ponieważ byli zbyt pijani, by sobie zrobić krzywdę.

Bronwyn jadła niewiele, a piła jeszcze mniej. W miarę jak zbliżała się noc, czuła nasilający się skurcz wnętrzości. Morag miała rację - to właśnie noc poślubna budziła jej lęk. Próbowwała przekonać samą siebie, że jest dzielną kobietą. Kilka razy prowadziła wypadki na ziemie MacGregorów. Zawijała się wtedy w plaid i spała wśród śnieżycy.

Walczyła z Anglikami u boku swego ojca. Ale jeszcze nic nie przeraziło jej tak bardzo, jak perspektywa tej nocy. Wiedziała, na czym polega sam akt, ale co poza tym? Czy ją to zmieni? Czy Stephen Montgomery rzeczywiście ją posiadzie całkowicie, jak zapowiadał?

Morag uważała, że to przyjemna rzecz, ale Bronwyn widziała już młodych ludzi, którzy tracili godność, gdy byli zakochani. Widziała kobiety, które stawały się pulchnymi, zrzędliwymi gospodyniami, ledwie tylko jakiś mężczyzna wsunął im na palec obrączkę. W

łozu małżeńskim odbywało się coś jeszcze, a ona bała się tej nieznanej rzeczy.

Kiedy Morag stanęła za nią i powiedziała, że czas już przygotować się do pójścia do łóżka, Bronwyn zbladła i kurczowo chwyciła się rzeźbionych lwich głów, ozdabiających krzesło.

Stephen przez chwilę przytrzymał jej ramię.

- Zazdroszczą. Proszę, nie zwracaj na nich uwagi. Wkrótce zamkną się drzwi i odgrodzą nas od nich.

- Wołałabym tu zostać - rzekła opryskliwie Bronwyn i podążyła za Morag.

Morag nie odezwała się ani słowem, gdy odpinała srebrną suknię. Bronwyn, jak posłuszna lalka, wśliznęła się naga pod kołdrę. Rab położył się na podłodze przy łóżku.

- Chodź, Rab! - zawołała Morag. Pies nie zareagował. - Bronwyn, odeślij go. Nie będzie mu tu najlepiej dziś w nocy.

Bronwyn nie wytrzymała.

- psa się martwisz, nie o mnie! Czy wszyscy już mnie opuścili? Zostań, Rab!

- Użalasz się nad sobą, ot co! Gdy już będzie po wszystkim, poczujesz się znacznie lepiej. - Przerwała, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie.

Stephen wpadł do środka i zatrzasnął drzwi.

- No, Morag. Idź tam. Będą źli, gdy odkryją, że im uciekłem. Ale nie wytrzymam z nimi ani chwili dłużej, ani też nie mam zamiaru narażać Bronwyn na ich grubiańskie żarty.

A niech ich!

Morag uśmiechnęła się i położyła mu rękę na ramieniu.

- Dobry z ciebie chłopak. - Przysunęła się. - Uważaj na psa. - Klepnęła go jeszcze po ramieniu, a on

otworzył jej drzwi i zamknął, gdy wyszła. Stephen odwrócił się do Bronwyn z uśmiechem. Siedziała w łóżku, a jej włosy spływały kaskadą na pościel. Twarz miała pobladłą, a oczy rozszerzone przerażeniem. Jej dłonie, przyciskające do piersi prześcieradło, pobielały z wysiłku.

Stephen usiadł ciężko na skraju łóżka i zdjął buty, potem kaftan i kamizelkę.

Odezwał się dopiero, gdy zaczął rozpinąć koszulę.

- Żałuję, że naszemu ślubowi nie towarzyszył bardziej podniosły nastrój. Dom sir Tomasza jest tak blisko granicy, że kobiety boją się go odwiedzać.

Przerwał, słysząc walenie do drzwi.

- To nie jest w porządku, Stephen! - krzyczeli. - Chcemy zobaczyć pannę młodą.

Nacieszysz się nią jeszcze.

Stephen wstał, odpiął miecz oraz sztylet i odwrócił się do żony.

- Odejdą. Są zbyt pijani, żeby nam przeszkodzić.

Zrzuciwszy resztę ubrania, wśliznął się pod kołdrę. Uśmiechnął się znowu, widząc jej szklisty, niewidzący wzrok. Dotknął jej policzka.

- Czy jestem aż tak szkaradny, że nie możesz na mnie patrzeć?

Nagle Bronwyn ożywiła się. Wskoczyła z łóżka, ciągnąc za sobą prześcieradło.

Oparła się o ścianę, a zaskoczony Rab stanął obok niej. Patrzyła na leżącego w łóżku nagiego Stephena. Jego muskularne nogi pokryte jasnoblond włosami wyglądały dziwnie bezbronne. Jego pierś wydawała się jeszcze szersza niż w ubraniu. Bronwyn przywarła do ściany. Nie dotykaj mnie - powiedziała niemal bezgłośnie.

Powoli, cierpliwie Stephen przesunął się na drugi koniec łóżka. Ponieważ nie spuszczała wzroku z jego twarzy, odgadła, że jej wybuch nie znaczył dla niego więcej niż drobna przykrość. Przeszedł obok niej do stołu, gdzie znajdowały się kielichy, bukłak wina i misa z owocami. Nalał jej trochę wina.

- Wypij, proszę, i uspokój się.

Wytrąciła mu kielich z ręki. Naczynie przeleciało przez cały pokój i rozprysło się na ścianie.

- Nie pozwolę, byś mnie dotknął - powtórzyła.

- Bronwyn, jesteś zdenerwowana. Każda panna młoda boi się panicznie tego pierwszego razu.

- Pierwszego razu! - krzyknęła nienaturalnie wysokim głosem. - Myślisz, że to mój pierwszy raz?

Spalam już z połową mężczyzn z mojego klanu. Nie chcę, by dotykał mnie jakiś niechłujny Anglik, to wszystko.

Stephen nie stracił cierpliwości.

- Wiem równie dobrze jak ty, że to kłamstwo. Nie bałabyś się tak strasznie, gdybyś była już przedtem z mężczyzną. A teraz odpręż się. Pogarszasz tylko sprawę. Poza tym, co możesz zrobić?

Nienawidziła tej jego gładkiej pewności siebie, która sprawiała, że czuła się przy nim bezradna. Nienawidziła go całego. Stał tam taki pewny siebie. Nawet nagi emanował siłą.

Posłała mu uśmiech, pomyślawszy o czymś, co zetrze tę radość z jego twarzy.

- Rab! - krzyknęła. - Bierz!

Ogromny pies zawahał się przez chwilę, po czym wyciągnął się w długim susie w kierunku głowy Stephena.

Ten zareagował szybciej niż pies i uchylił się. Widząc zbliżające się do niego masywne cielsko z wyszczerzonymi zębami, Stephen zacisnął pięść i uderzył w bok kwadratowej głowy psa. Lot zwierzęcia zmienił kierunek, pies osunął się po ścianie.

- Rab! - jęknęła Bronwyn i upuszczając prześcieradło podbiegła do niego.

Pies próbował wstać, ale zatoczył się tylko i upadł.

- Zrobiłeś mu krzywdę! - oskarżyła stojącego nad nią Stephena.

Stephenowi wystarczył tylko rzut oka, by stwierdzić, że psu nic się nie stało.

Przeniósł wzrok na Bronwyn. Z otwartymi ustami wpatrywał się w nią, w jej różowe piersi, krągłe uda pokryte jedwabistą skórą.

- Zabiję cię za to! - krzyknęła.

Stephen, poruszony jej urodą, nie zauważył, że sięgnęła po leżący na stole nóż.

Stępione ostrze nie stanowiło zagrożenia, ale czubek był niebezpieczny. Stephen spostrzegł

błysk metalu na moment przedtem, zanim nóż zdołał zagłębić się w jego piersi. Usunął się, otrzymując tylko draśnięcie w ramię.

- A niech to! - powiedział przyciskając rękę do rany. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Krew ciekła spomiędzy jego palców. Usiadł na łóżku, odsunął rękę i przyjrzał się ranie.

- Odedrzyj kawałek prześcieradła, żebyśmy mogli to przewiązać.

Bronwyn stała nieruchomo z nożem w dłoni. Stephen obejrzał się na nią, posyłając jej nienawistne spojrzenie.

- Zrób to! - rozkazał i patrzył, jak uklękała i oderwała pas białego płótna. Resztę prześcieradła owinęła wokół swego ciała.

Stephen nie poprosił jej o pomoc przy bandażowaniu ramienia. Dokonał tego, używając zdrowej ręki i zębów, a gdy skończył, zwrócił się do psa:

- Rab, chodź tutaj - powiedział łagodnie.

Pies usłuchał natychmiast. Stephen dokładnie obejrzał jego głowę, ale nie znalazł żadnego skaleczenia. Poklepał zwierzę, a Rab otarł się łbem o jego dłoń.

- Dobry pies. Teraz idź spać.

Rab posłusznie poszedł na wskazane miejsce i się położył.

- No, Bronwyn - powiedział tym samym tonem - chodź do łóżka.

- Nie jestem Rabem, żeby tak szybko zmieniać zdanie.

- A niech cię! - zirytował się. Podeszedł do niej, chwycił ją za rękę, po czym zerwał z niej prześcieradło i cisnął na podłogę. - Masz mnie słuchać, nawet gdybym miał cię bić. -

Przełożył ją sobie przez kolano i dał jej kilka mocnych, bolesnych klapsów na jej jędrne, krągłe pośladki.

Gdy ślady jego palców zaznaczyły się czerwonymi plamami, rzucił ją na łóżko, nie zwracając uwagi na łzy bólu w jej oczach. Wyciągnął się obok niej, otoczył ramieniem jej talię, przycisnął jej nogi swoją mocną nogą.

Stephen leżał nieruchomo, czując dotyk wspaniałej skóry Bronwyn. Miał ogromną ochotę kochać się z nią. Ale był tak bardzo, bardzo zmęczony. Rano walczył z Rogerem, a przez całą resztę dnia z Bronwyn i wreszcie z jej psem. Nagle poczuł ogarniającą go falę spokoju i zadowolenia. Miał już Bronwyn i mógł się nią cieszyć przez resztę życia. Jego mięśnie rozluźniły się.

Bronwyn leżała pod nim sztywno, bojąc się tego, co miało nadejść. Bolały ją pośladki i pociągnęła nosem. Gdy poczuła, że się rozluźnił i usłyszała jego miarowy oddech, świadczący o tym, że zasnął - odetchnęła z ulgą. Zaraz potem poczuła się znieważona.

Chciała się od niego odsunąć, ale trzymał ją tak mocno, że groziło to połamaniem żeber.

Uznawszy, że nic się nie da zrobić, uspokoiła się. A wtedy stwierdziła, że lubi dotyk jego skóry. Jego tors był twardy i znamionował siłę, więc oparła na nim głowę. Świece dopalały się. Uśmiechnęła się sennie, gdy Stephen zanurzył twarz w jej włosach.

Następnego ranka Stephen obudził się bardzo wcześnie. Pierwszym doznaniem był

ból siniaka na plecach i zranienia na ramieniu. Pokój tonął w mroku, przez wysokie okno przebijał się słaby promień różowego światła.

Najpierw poczuł zapach Bronwyn. Jej gęste, czarne włosy owinięły się wokół jego ramienia. Między swoimi nogami poczuł jej udo. Natychmiast zapomniał o przykrościach.

Odetchnął głęboko i popatrzył na nią. Gdy spała, jej oczy nie pały ku niemu nienawiścią, wysunięta zwykle broda teraz wydawała się dziwnie bezbronna, delikatna, kobieca.

Ostrożnie dotknął ręką jej policzka. Był gładki jak u dziecka, lekko zaokrąglony, zaróżowiony od snu. Zanurzył dłoń w jej włosach, patrzył, jak długie pasma owijają się wokół jego ręki niczym powój. Wydawało mu się, że czekał na nią przez całe życie. To kobieta, o której marzył. Nie chciał niczego przyspieszać. Czekał na nią tak długo, że teraz pragnął przedłużyć chwilę przyjemności.

Wyczuł, kiedy otworzyła oczy. Starał się nie wykonywać żadnych szybkich ruchów, żeby jej nie przestraszyć. Jej oczy, duże i niebieskie, nadające twarzy charakterystyczny wygląd, przypominały mu sarnę z ogrodu wokół domu Montgomerych. Jako mały chłopiec Stephen potrafił podkraść się do nich; potem tylko siedział i patrzył, a po chwili zwierzęta pozbywały się strachu i podchodziły do niego.

Dotknął jej ramienia, przebiegł wzdłuż niego ręką, aż chwycił jej dłoń. Uniósł ją do ust. Gdy dotknął wargami jej palca, spojrzał jej prosto w oczy uśmiechając się. Bronwyn wyglądała na zaniepokojoną, jak gdyby obawiała się, że zabierze jej coś więcej niż dziewictwo. Chciał ją uspokoić, ale wiedział, że nie znajdzie odpowiednich słów, że jedynym sposobem, by to zrozumiała, jest sprawienie, by odpowiedziała na jego pieszczoty.

Uniósł się, uwalniając obie ręce, i poczuł, że zeszywniała. Jedną ręką trzymał wciąż jej dłoń, próbując zębami i językiem jej palców. Drugą ręką przeciągnął po jej boku, pogładził biodro. Jej ciało było jędrne, pod miękką skórą zaznaczały się wyćwiczone mięśnie. Usłyszał jej przyspieszony oddech, gdy dotykał jej piersi. Bardzo delikatnie dotknął kciukiem różowej brodawki i poczuł, jak twardnieje. Bronwyn nadal była spięta.

Stephen skrzywił się nieznacznie stwierdzając że to do niczego nie prowadzi. Cała jego delikatność czyniła ją tylko bardziej oschłą.

Ręką powędrował do jej uda. Pochylił się i dotknął ustami jej szyi, przesunął się powoli ku jej piersiom, podczas gdy jego ręka igrała z delikatnie zarysowanym kolanem.

Wyczuł, że przeszedł przez nią lekki dreszcz przyjemności i uśmiechnął się, przesuwał się do jej lewej piersi, błędząc ręką po jej brzuchu. Skrzywił się, gdy znów wyczuł napięcie.

Odsunął się od niej. Leżała na plecach, patrząc na niego w zaskoczeniu. Przesunął

palcami po jej czole, wzdłuż linii włosów, które rozsypały się wokół.

Jest inna, pomyślał, inna niż wszystkie kobiety. Jest wyjątkowa.

Uśmiechnął się do niej i jednym szybkim ruchem zerwał prześcieradło, które zakrywało jej nogi od kolan w dół.

- Nie - szepnęła Bronwyn. - Proszę.

Nogi miała wspaniałe: długie, szczupłe, zgrabne. Przez całe swoje życie jeździła konno, potrafiła biegać po górach. Jej nogi były wrażliwe. Stephen zdał sobie sprawę, że to nie dotknięcie piersi wywołało dreszcz, lecz pieśczoła jego ręki na jej kolanie.

Przeniósł się w nogi łóżka, cały czas patrząc na dziewczynę, podziwiając jej urodę.

Pochylił się, kładąc dłonie na jej stopach, po czym powędrował rękoma do jej kolan i ud.

Bronwyn drgnęła, jak gdyby ktoś przyłożył jej do ciała rozżarzone węgle.

Stephen zaśmiał się bezgłośnie i przesunął ręce do jej stóp. Ujął jedną z nich w rękę i powtórzył pieśczoła, tym razem jednak ustami. Całował jej nogi, przebiegł językiem po łagodnym łuku kolana.

Bronwyn nieustannie poruszała się pod nim. Jej ciało raz po raz przeszywały dreszcze rozkoszy i zbiegały wzdłuż krzyża. Nigdy jeszcze tak się nie czuła. Nie mogła opanować drżenia ani przyspieszonego oddechu.

Stephen zdecydowanym ruchem przewrócił ją na brzuch i dotknął zagłębienia pod kolanem. Bronwyn niemal wypadła z łóżka, zatrzymała ją ręka Stephena. Położyła głowę na poduszce i jęknęła, jakby sprawił jej ból. Torturował ją nadal. Jego dłonie i usta zbadały każdy cal jej wrażliwych nóg.

Pragnął jej tak bardzo, że nie mógł dłużej czekać. Odwrócił ją ponownie na plecy i tym razem pocałował w usta. Nie był przygotowany na siłę jej namiętności. Bronwyn przyłgnęła do niego, obejmując go rozpaczliwym uściskiem. Jej usta starały się pochłonać go całego. Wiedział, czego pragnie, wiedział też, że ona nie zdaje sobie z tego sprawy.

Gdy zaczęła go do siebie przyciągać, przebiegając rekami niespokojnie po jego plecach i karku, przycisnął ją do łóżka. Bezwiednie rozchyliła nogi. Była gotowa. Jej oczy otworzyły się szeroko, westchnęła, gdy w nią wszedł. Potem zaniknęła oczy, odchyliła głowę i szepnęła:

- Tak. O, tak.

Stephen był bliski utraty przytomności. Jej wygląd, jej głos niski, gardłowy ekscytowały bardziej niż najwspanialszy wiersz miłosny. Oto kobieta! Kobieta, która nie boi się mężczyzny, która jest w stanie dorównać mu namiętnością.

Zaczął się poruszać, a ona nie zawahała się poddać mu. Rękoma pieściła jego ciało, głaskała wnętrze jego ud, Stephen czuł, że za moment rozsadzi go pożądanie. A jednak Bronwyn niestrudzenie

przyjmowała i oddawała każdy jego ruch. Gdy w końcu eksplodował w niej, wzdrygnął się tak mocno, jakby miał rozpaść się na kawałki.

Opadł na Bronwyn wyczerpany, spocony, trzymając ją nadal w miażdżącym uścisku.

Bronwyn nie mogła oddychać. Przez chwilę myślała, że umarła. Nikt nie zdołałby ujść z życiem po tym, co przeszła. Jej całe ciało pozbawione było czucia i wiedziała, że nie zrobiłaby teraz ani kroku, nawet gdyby zależało od tego jej życie. Zapadła w sen, cały czas obejmując Stephena ramionami i nogami.

Kiedy się obudziła, zobaczyła wpatrzone w siebie jego błękitne oczy i pokój zalany światłem słonecznym. W jednej chwili przypomniała sobie, co zaszło. Czuła, że do jej twarzy napływa gorąca krew. Najdziwniejsze było to, że nie potrafiła sobie przypomnieć, co spowodowało, że zachowała się w tak nieprzystojny sposób.

Gdy dotknął jej policzka, jego oczy rozbliły się radością.

- Wiedziałem, że jesteś warta tej walki - powiedział.

Odsunęła się od niego. Było jej dobrze. Właściwie już dawno nie czuła się tak dobrze. Oczywiście! To dlatego, że nadal jest taka sama. Spędziła noc z mężczyzną i nie zmieniła się. Nadal go nienawidziła. Nadal był jej wrogiem, nieznośnym, aroganckim fanfaronem.

- Tylko tym jestem dla ciebie? Dziewką, która ma rozgrzać twoje łóżko?

Stephen uśmiechnął się leniwie.

- Niemal je puściłaś z dymem. - Poglądził ją po ramieniu.

- Zostaw mnie! - odparła zdecydowanie, wyskoczyła z łóżka i chwyciła zielony aksamitny szlafrok.

Ktoś zapukał dyskretnie do drzwi. Weszła Morag z dzbankiem gorącej wody.

- Usłyszałam wasze kłótnie już na dole - rzuciła.

- To musiało być coś innego - odparł Stephen, położywszy ręce pod głowę.

Morag odwróciła się do niego i uśmiechnęła, a zmarszczki na jej starej twarzy pogłębiły się, zasłaniając niemal oczy.

- Wyglądasz na zadowolonego z siebie. - Obrzuciła pełnym aprobaty spojrzeniem jego ogorzałą skórę, przyjemnie kontrastującą z białym prześcieradłem, wydatne mięśnie klatki piersiowej i ramion.

- Powiedziałbym nawet, że na bardziej niż zadowolonego. Nic dziwnego, że wy, górale, nigdy nie schodzicie na niziny. - Jego ręka wskazała Bronwyn patrzącą na niego z nienawiścią.

W drzwiach pojawił się Chris Audley.

- Czy nie zasługujemy na odrobinę spokoju? - warknęła Bronwyn, podchodząc do okna. Rab podążył za nią, Nic pogłaskała psa uważając, że zdradził ją tej nocy, pozwolewszy Stephenowi, żeby... żeby... I znowu zaczęły ją piec policzki.

Stephen uśmiechnął się do Chrisa.

- Lubi być ze mną sama.

- Co Ci się stało w rękę? - zapytał Chris, wskazując przesiąknięty krwią bandaż.

Stephen wzruszył ramionami.

- Przypadek. A teraz, jeśli obydwójce przekonaliście się już, że się nie pozabijaliśmy, może zostawicie nas samych, żeby moja żona mogła opatrzeć mi skaleczenie.

Morag i Chris uśmiechnęli się do niego i, rzuciwszy przelotne spojrzenie na wyprostowaną Bronwyn, wyszli.

Bronwyn okręciła się na pięcie, stając twarzą w twarz ze Stephenem.

- Mam nadzieję, że wykrwawisz się na śmierć! - rzuciła.

- Chodź do mnie - powiedział spokojnie, ciepło, wyciągając do niej rękę.

Wbrew chęciom usłuchała go. Pociągnął ją za rękę i posadził obok siebie na brzegu łóżka. Pochylił się ku niej, a odchylone prześcieradło odsłoniło jego biodra i brzuch.

Bronwyn powędrowała wzrokiem ku jego twarzy. Musiała hamować chęć dotknięcia jego skóry.

Chwycił jedną dłonią obie jej ręce, a drugą pogładził ją po policzku.

- Może za bardzo cię prowokuję. Dziś rano było mi z tobą bardzo dobrze. Widział, jak rumieniec powoli barwi jej policzki.

- Co mam zrobić, żeby zadowolić ciebie? Rzucić się przez okno?

- Chcę wrócić do domu - wyszeptała, zawierając w tych słowach całą swoją tęsknotę.

- Chcę wrócić w góry, do mojego klanu. Pochylił się i pocałował lekko jej usta.

- Pojedziemy jeszcze dziś.

Uśmiechnęła się do niego i już miała się odsunąć, gdy przytrzymał ją. Jej oczy stały się natychmiast chłodne.

- Nie ufasz mi, prawda? - Popatrzył na zakrwawiony bandaż. - Trzeba to oczyścić i opatrzeć

porządnie.

Wyślinęła mu się.

- Może to zrobić Morag... i chyba sprawi jej to ogromną przyjemność, bo wyraźnie ciebie pożąda.

Stephen cisnął w kąt koszulę i przyciągnął Bronwyn do siebie.

- Szkoda, że nie ma w twoim głosie zazdrości. Nie chcę, by Morag zmieniała mi bandaż. Ty mi tę ranę zadałaś i ty ją opatrzysz.

Bronwyn nie mogła się ruszyć, nie mogła nawet myśleć, gdy trzymał ją tak blisko siebie. Przypomniała sobie dotknięcie jego ust na swoich nogach. Odepchnęła go.

- Dobrze, zrobię to. Na pewno będzie szybciej, gdy sama się tym zajmę, zamiast z tobą dyskutować. Potem pojedziemy do domu.

Usiadł pod oknem, oparł się o poduszki, świadom faktu, że jest nagi. Wyciągnął ku niej ramię i uśmiechnął się, gdy spuściła wzrok.

Bronwyn nie lubiła tej jego pewności siebie, spokoju, denerwowało ją, że jego bliskość robiła na niej aż takie wrażenie. A co gorsza, doprowadzało ją do szału, że to piękne męskie ciało przyciąga nieodparcie jej wzrok. Uśmiechnęła się przewrotnie, szarpnąwszy bandaż z jego ręki. Odeszły z nim fragmenty świeżo zaschniętego strupa i żywego ciała.

- A niech cię! - krzyknął Stephen, podnosząc się z krzesła. Chwycił ją za szyję i przyciągnął do siebie. - Pożałujesz tego! Kiedyś przekonasz się, że jedna kropla mojej krwi jest więcej warta niż wszystkie twoje złości.

- Czyżby to było twoje najskrytsze marzenie? Od razu mogę ci powiedzieć, że się nie spełni. Poślubiłam cię, żeby zapobiec wojnie w moim klanie. Nie zabiję cię teraz dlatego, że twój stary król mógłby wzbudzić gniew moich ludzi.

Stephen odepchnął ją tak gwałtownie, że upadła na łóżko. - Nie chcesz mnie zabić! -

powtórzył. Wzdłuż jego ramienia płynęła krew ze świeżo otwartej rany. Wstał i zebrał swoje rzeczy z podłogi. - Myślisz tylko o sobie - powiedział, wciągając spodnie i buty. Przerzucił

koszulę i kamizelkę przez ramię. - Bądź gotowa za godzinę. - Zamknął za sobą drzwi.

Pokój stał się nienaturalnie cichy po jego wyjściu, wydawał się dziwnie duży i pusty.

Bronwyn była oczywiście zadowolona z jego odejścia. Przez krótką chwilę zastanawiała się, kto opatrzy jego ranę. Wzruszyła ramionami. Co ją to właściwie obchodzi? Podeszła do drzwi i zawołała Morag. W ciągu tej godziny trzeba będzie sporo załatwić.

Jechali przez cały dzień i wieczór. Bronwyn czuła, że jej serce staje się lżejsze z każdą milą

przybliżając ją do Szkocji. Denerwował ją hałas turkot wozów podążających z tyłu. Jej szkockie poczucie oszczędności powiadało, że cały ten bagaż jest zbędny. Szkotowi wystarczyło to, co ma na grzbiecie, i torba z żywnością przytroczone do konia. Anglicy zatrzymali się w południe na posiłek. Bronwyn zbyt się niecierpliwiła, by jeść.

- Usiądź! - rozkazał jej Stephen. - Denerwujesz moich ludzi tym ciągłym bieganiem w kółko.

- Twoich ludzi! A co z moimi, którzy tam na mnie czekają?

- Mogę się zajmować tylko jedną grupą naraz.

- Możesz!... - urwała. Kilku mężczyzn przyglądało się im z uwagą. Oczy Chrisa Audleya śmiały się. Uważała go za miłego człowieka, ale teraz nikt nie był w stanie jej dogodzić. Chciała wynieść się z tych przeklętych nizin tak szybko, jak to możliwe.

W nocy przekroczyli Grampians - niskie góry poprzecinane szerokimi dolinami. Gdy je minęli, powietrze stało się ostrzejsze, krajobraz bardziej dziki, a Bronwyn zaczęła lżej oddychać. Jej ramiona rozluźniły się, mięśnie twarzy - wygładziły.

- Bronwyn! - powiedział jadący u jej boku Stephen. - Musimy zatrzymać się na noc.

- Zatrzymać się? Ale... - Wiedziała, że nie ma sensu jechać teraz dalej. Tylko Morag podzielała jej uczucia, reszta potrzebowała wypoczynku. Odetchnęła głęboko i pomyślała, że nie będzie w stanie zasnąć tak blisko domu. Zsiadła z konia i odwiązała sakwę przytroczone do siodła. Nareszcie mogła pozbyć się tych śmiesznych angielskich sukien.

- A to co? - zapytał Stephen, dotykając tartanu na jej ramieniu. - Czy to właśnie miałaś na sobie, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy? - Jego oczy błysnęły na to wspomnienie. Wyszarpnęła mu tkaninę z ręki i weszła między drzewa. Miała pewne trudności z rozpięciem angielskiej sukni, ale zdecydowała pozbyć się jej. Gdy ciężka aksamitna suknia spadła na ziemię, Bronwyn przesunęła dłońmi po ciele. Szkocki strój był

prosty i dawał swobodę. Przełożyła przez głowę miękką bawełnianą halkę, a potem szafranową koszulę z długimi rękawami, zebranymi przy szyi i mankietach. Spódnica miała szerokie zakładki, ale biodra opinała gładko i rozchyłała się swobodnie, pozwalając szybko chodzić i jeździć konno. To był miękki, niebiesko - wrzosowy plaid, w talii ściągnięty szerokim pasem ze srebrną sprzączką. Drugi płat materiału, długi na sześć jardów i zarzucony na ramiona, przypięty był dużą broszą ze srebra, która przechodziła z rąk do rąk przez całe pokolenia.

- No, zobaczmy - dobiegł ją zza pleców czyjś głos. Odwróciwszy się, stanęła twarzą w twarz ze Stephenem.

- Znowu mnie szpiegujesz? - zapytała chłodno.

- Powiedziałbym raczej, ochraniam. Strach pomyśleć, co mogłoby się przytrafić samotnej, pięknej damie w lesie.

Cofnęła się o krok.

- Sądzę, że najgorsze już się stało. - Nie chciała być zbyt blisko niego, by uniknąć wpływu siły, której użył w nocy Odwróciła się i pobięła do obozu.

- Nie zapomniałaś czegoś?! - krzyknął za nią, podnosząc jej buty. Roześmiał się, gdy nie odpowiedziała.

Bronwyn wpadła do namiotu, który, jak jej powiedziano, należał do Stephen. Jego ludzie sprawnie zbudowali obóz, i teraz wyglądał jak małe miasteczko. Skrzywiła się, kiedy jej stopa dotknęła dywanu rozpostartego na dobrej szkockiej ziemi. Zapomniała, że minęły już całe miesiące, odkąd biegała boso. Jej stopy wydelikatniały i ten krótki bieg pozostawił

na nich ślady w postaci siniaków i skaleczeń.

Usiadła na skraju szerokiej pryczy i zaczęła je oglądać. Po chwili podniosła się płachta i do namiotu wszedł Stephen. Poderwała się ze swego miejsca, mimo że ból stóp wycisnął jej łzy z oczu.

Stephen cisnął jej buty w kąt Usiadł na pryczy.

- Pokaż mi to.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła wyzywająco, odsuwając się od niego.

- Bronwyn, dlaczego zawsze musisz być tak uparta? Poraniłaś sobie stopy, wiem o tym, więc podejdź tutaj i pozwól mi je obejrzeć. Wiedziała, że prędzej czy później trzeba będzie się nimi zająć. Z wahaniem usiadła więc obok niego.

Westchnąwszy pochylił się i położył sobie jej stopy na kolanach. Bronwyn oparła się na łokciach. Stephen obejrzał zranienia i zmarszczył czoło - jedno skaleczenie było dość głębokie. .

- Włóż tu teraz nogi - powiedział, stawiając na podłodze naczynie z wodą.

Patrzyła, jak delikatnie obmywa jej stopy, kładzie je sobie na kolanach, wyciera i bandażuje.

- Czemu to dla mnie robisz? - zapytała cicho. - Jestem przecież twoim wrogiem.

- Nie, nie jesteś. Tylko ze mną walczysz. Życzyłbym sobie, byśmy kiedyś mogli zawrzeć pokój.

- Jak może być między nami pokój, skoro oddziela nas mur splamiony krwią mojego ojca?

- Bronwyn... - zaczął, ale przerwał wiedząc, że nie ma sensu z nią dyskutować.

Jedynie czynem mógł dowieść, że chce jej dobra i dobra jej klanu. Poklepał bandaż na jej lewej stopie. - To cię na chwilę zatrzyma. - Zaczęła się od niego odsuwać, więc przytrzymał

jej stopę. Oczy mu pociemniały, gdy przesunął dłonią po jej kostce. - Masz piękne nogi -

szeptnął.

Bronwyn chciała uciec od niego, ponieważ rozpoznała charakterystyczny wyraz jego twarzy, ale zahipnotyzował ją, unieruchomił, mimo że jego uścisk nie był mocny. Obie ręce Stephena powędrowały pod spódnicę, a ona położyła się na poduszkach, gdy pieścił jej nogi i pośladki.

Położył się obok, wziął ją w ramiona i całował jej twarz, oczy, usta. Jego ręce zręcznie rozpięły broszkę, sprzączkę u pasa. Odsunął się od niej na chwilę, by zrzucić z siebie ubranie. Zaśmiał się gardłowo, kiedy ręce Bronwyn chwyciły go i pociągnęły na łóżko.

Całował jej usta, smakując słodycz jej języka.

- No i kim jestem? - szeptnął, muskając wargami jej szyję.

Nie odpowiedziała, tylko otarła się o niego udem. Jej serce dudniło i mimo chłodnej nocy na jej ciele pojawiła się cienka warstewka potu. Chwycił ją za włosy, poczuł ich gęstość i miękkość.

- Kim jestem? Chcę usłyszeć, jak wymawiasz moje imię.

- Stephen - wyszeptała. - A ja jestem MacArran.

Roześmiał się, a jego oczy rozbliły. Nawet owładnięta namiętnością nie zapomniała o tej swojej dumie.

- A ja jestem zdobywcą MacArranów.

- Nigdy! - zaoponowała gardłowym szeptem i pociągnęła go mocno za włosy. Głowa Stephena odskoczyła do tyłu, a jej zęby znalazły się tuż przy jego gardle. - I kto jest teraz zdobywcą?

Stephen wsunął się pod nią dłońmi penetrując jej ciało.

- My, Anglicy, przegralibyśmy wszystkie wojny, gdybyśmy mieli takich wrogów jak ty. - Nagle uniósł ją i posadził ostrożnie na sobie.

Bronwyn westchnęła zaskoczona i jęknęła poczuwszy przyjemność, gdy pochyłona nad nim zaczęła się poruszać w górę i w dół. Stephen pozostał nieruchomy, pozwalając jej sterować ruchami obojga. Kiedy poczuł, że jej podniecenie zbliża się do szczytu, przeturlał

ją na plecy. Przywarła do niego, obejmując go nogami i rękami. Rozkosz eksplodowała w ruch równocześnie, oślepiając i pozbawiając ich przytomności.

Bronwyn obudziła się, słysząc sowę. Szeroko otworzyła oczy, wszystkie jej zmysły czuwały. Stephen leżał na niej, przyciskając ją do łóżka swym ciałem. Skrzywiła się, przypomniawszy sobie ich wybuch namiętności. Ale teraz było po wszystkim i jej nieposłusznym ciałem władała na powrót głowa.

Głos sowy wydał jej się dziwnie znajomy. - Tam! - szeptnęła. Słyszała ten sygnał

przez całe życie. Powoli, ze zdumiewającą dla niej samej delikatnością odsunęła ciężkie ciało mężczyzny pogrążonego w głębokim śnie.

Ubrała się szybko po ciemku, starając się nie hałasować. Buty znalazła tam, gdzie rzucił je Stephen. Wyszła z namiotu.

Przez chwilę stała nieruchomo, a Rab zatrzymał się tuż przy niej. Na skraju obozu chodziły rozstawione przez Stephena strażę. Bronwyn posłała im pełne niesmaku spojrzenie, gdy niepostrzeżenie prześliznęła się obok nich i weszła w las. Ciemny kolor ubrania i czarne włosy czyniły ją prawie niewidoczną.

Szła przez las szybko i pewnie, czyniąc niewiele hałasu. Nagle znieruchomiła.

Wyczuła tuż obok czyjąś obecność.

- Dobrze cię wyszkolił Jamie - usłyszała głos z za pleców. Odwróciła się, uśmiechnięta radośnie.

- Tam! - zawołała i natychmiast rzuciła mu się na szyję. Trzymał ją mocno, uniesioną nad ziemią.

- Czy dobrze cię traktowali? Nic ci się nie stało? Oderwała się od niego.

- Niech ci się przypatrzę. - Światło księżyca sprawiło, że włosy Tama wydawały się jeszcze bardziej srebrzyste niż w rzeczywistości. Był mężczyzną średniego wzrostu, nie wyższym od Bronwyn, ale za to potężnie zbudowanym, torsu zaś mógł mu pozazdrościć nawet tur. Tam był kuzynem jej ojca i wiernym przyjacielem. Jeden z jego synów należał do owej trójki młodych mężczyzn, spośród których miano wybrać jej męża.

Tam zaśmiał się cicho.

- Twoje oczy są lepsze od moich. Trudno mi orzec, czy wyglądasz dobrze.

Chcieliśmy przyjść po ciebie, ale obawialiśmy się o twoje bezpieczeństwo.

- Usiądźmy.

- Masz na to czas? Słyszałem, że masz męża.

Dostrzegła zainteresowanie na jego twarzy, a nawet to, że wokół jego oczu pojawiły się nowe zmarszczki.

- O, tak. Mam męża - odparła, gdy usiedli ramię w ramię na kamieniu. - To Anglik.

- Jaki jest? Zamierza zostać w Szkocji z tobą, czy wrócić do Anglii?

- Cóż ja mogę wiedzieć? Jest arogancki. Próbowalam rozmawiać z nim o klanie, ale on nigdy mnie nie słucha. Uważa, że nie istnieją inne zwyczaje, tylko zwyczaje angielskie.

Tam pogładzą ją po policzku. Przez tyle lat myślał o niej jak o swojej córce.

- Czy zrobił ci krzywdę? - zapytał łagodnie.

Bronwyn wdzięczna była ciemnościom, że ukryły jej rumieniec. Stephen zranił jej dumę, czyniąc z niej dziewczkę, leżącą pod nim i na nim. Potrafiła zachować zdrowy rozsądek tak długo, jak długo Stephen jej nie dotykał. Ale cóż mogła powiedzieć człowiekowi tak bliskiemu jak własny ojciec?

- Nie, nic mi nie zrobił. Powiedz, co z moim klanem? Czy mieliście dużo kłopotów z MacGregorami?

- Nie. Było spokojnie podczas twojej nieobecności. Wszyscy bardzo się martwiliśmy. Angielski król przyrzekł, że nie stanie ci się żadna krzywda. - Wyciągnął rękę, gdy podszedł do niego Rab. Bezwiednie poklepał psa po głowie. - Czegoś mi nie mówisz.

Co z tym twoim mężem?

Bronwyn wstała.

- Nienawidzę go! Przysporzy więcej kłopotów, niż nam potrzeba. Wyśmiał mnie, gdy mu powiedziałam, że musi się starać, by zaakceptował go mój klan. Ma zwyczaj podróżować z całą armią ludzi i ogromnym bagażem.

- Usłyszeliśmy cię już przed kilkoma dniami.

- Obawiam się, że jego ignorancja i głupota mogą stać się przyczyną nieszczęść moich ludzi. Bez wątpienia będzie próbował siłą przekabacić ich na swoją modłę. Ktoś wetknie mu nóż pod żebra, a angielski król sprowadzi nam na głowę swoich żołnierzy.

Tam wstał i oparł ręce na ramionach Bronwyn. Małe to były ramiona, jak na odpowiedzialność, którą musiały dźwigać.

- Może nie. Może uda się zmienić w nim parę drobiazgów i pomóc mu nauczyć się naszych obyczajów.

Bronwyn odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Jesteś dla mnie taki dobry. Anglicy uważają, że jesteśmy dziką, okrutną zgrają. I utwierdziliby się w tym, gdyby ciebie' poznali.

- Dzicy, tacy jesteśmy? - zapytał prowokacyjnie.

- O, tak. I mówią, że kobiety nie są lepsze od mężczyzn.

- Aha! No, zobaczmy, czy jeszcze pamiętasz coś z tego, czego cię uczyłem.

Zanim zdążyła mrugnąć, wyciągnął sztylet i wymierzył go w jej gardło. Przez całe lata uczył ją bronić się przed natarczywymi mężczyznami. Uchyliła się, ale nie była dość szybka. Nóż dotknął jej gardła.

Nagle z krzaków wyskoczył jakiś mężczyzna i uderzył Tama w bok. Bronwyn usunęła się, a Tam próbował złapać równowagę. Był masywnym, ciężkim mężczyzną i na tym głównie polegała jego siła. Bronwyn widziała, jak czterech silnych, dorosłych mężczyzn usiłowało go powalić, ale im się to nie udało.

Tam otrząsnął się, a mężczyzna upadł. Tam patrzył na niego ze zdziwieniem.

Bronwyn uśmiechnęła się, widząc leżącego na plecach Stephena. Przyjemnie było widzieć go na ziemi. Pokonał Rogera Chatwortha, ale Roger był Anglikiem, wyćwiczonym w rzemiośle rycerskim i innych sportach. Tam potrafił walczyć naprawdę.

Stephen nie tracił czasu na kontemplowanie porażki. Wiedział tylko, że ujrzał tego mężczyznę przystawiającego nóż do gardła jego żonie. Dla niego była to sprawa życia lub śmierci. Jego lub Tama. Chwycił z ziemi kij i gdy Tam odwrócił się zdziwiony do Bronwyn, grzmotnął go z tyłu pod kolanem.

Tam wydał z siebie dziwny pomruk i upadł na twarz Stephena, klęcząc, uderzył go pięścią i usłyszał chrzęst łamanego nosa.

Tam wiedział, że Stephen nie był obcy, inaczej Rab ostrzegłby ich warczeniem. Ale gdy poczuł miażdżący cios w twarz, przestał się zastanawiać, kim jest napastnik. Rozpostarł

mocarne dłonie i sięgnął do gardła Stephena. Ten wiedział, że nie może dorównać tamtemu siłą, ale może pokonać go młodzieńczą zwinnością. Uchylił się przed wyciągniętymi dłońmi, zanurkował i umieścił obie pięści w twardym jak skała brzuchu przeciwnika. Tam nawet chyba nie zauważył tego ciosu. Chwycił Stephena za kark i trzepnął nim o drzewo, raz, drugi, trzeci. Stephen był zamroczony uderzeniem, ale użył całej swojej siły, by odepchnąć się nogami od piersi Tama. Nogi miał wystarczająco silne, by choć powstrzymać Tama od ponownego uderzenia.

Stephen podbił ramionami nadgarstki Tama i ten nagły ruch sprawił, że się rozdzielili. Dłonie Tama natychmiast ruszyły w pogoń za gardłem Stephena. Ten miał tylko moment na ucieczkę. Wyrzucił nagle nogi w powietrze i wykonał idealne salto.

Tam stał chwilę zdezorientowany. Jeszcze przed momentem jego wróg był tutaj, a teraz był zupełnie gdzie indziej. Zanim zdołał pomyśleć, poczuł przy szyi zimne stalowe ostrze.

- Nie ruszaj się - powiedział Stephen dysząc. - Bo poderżnę ci gardło.

- Przestań! - krzyknęła Bronwyn. - Stephen! Puść go natychmiast.

- Puścić go? - zapytał Stephen. - Próbował cię zabić. - Skrzywił się, słysząc śmiech Tama.

- Zabić mnie! Jesteś najgłupszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Gdybym była w niebezpieczeństwie Rab już dawno by się nim zajął. Odłóż ten nóż, zanim komuś zrobisz krzywdę.

Powoli Stephen opuścił nóż.

- Ten cholerny pies leżał zupełnie nieruchomo, wyglądał na zdechłego. - Potarł

bolący kark. Czuł się tak, jakby pękł mu kręgosłup.

- On ma rację, Bronwyn - wtrącił się Tam. - Zrobił to, co do niego należało.

Nazywam się Tam MacArran - powiedział wyciągając rękę. - Gdzie się nauczyłeś tak walczyć?

Stephen zawahał się, zanim przyjął dłoń. Najchętniej przełożyłby Bronwyn przez kolano za to, że nazwała go głupim, a przecież on próbował jej bronić.

- Stephen Montgomery - przedstawił się, potrząsając ręką Tama. - Mam brata twojej postury. Zrozumiałem, że jedyny sposób, by go pokonać, to być od niego szybszym. Pewien akrobata nauczył mnie kilku sztuczek i okazały się przydatne.

- Mogę coś o tym powiedzieć - zgodził się Tam, pocierając nos. - Chyba jest złamany.

- Och, Tam! - krzyknęła Bronwyn, posyłając Stephenowi spojrzenie pełne nienawiści. - Chodź ze mną do obozu, opatrzę ci to.

Tam nie poruszył się.

- Wydaje mi się, że powinnaś zapytać męża o pozwolenie. Bo ty chyba jesteś jej mężem?

Stephen poczuł, że ten człowiek zaczyna mu się podobać.

- Mam już blizny, które mogą to potwierdzić. Tam zachichotał.

- Chodźmy, może uda nam się znaleźć trochę piwa. I będę musiał porozmawiać z wartownikami. Nigdy się chyba nie dowiem, dlaczego nie usłyszeli Bronwyn wymykającej się z obozu. Mężczyzna w pełnej zbroi zrobiłby mniej hałasu.

- Mniej hałasu! - przerwała mu Bronwyn. - Wy, Anglicy Tam położył rękę na jej ramieniu, powstrzymując ją.

- Nawet jeśli inni cię nie usłyszeli, zauważył cię twój mąż. A teraz chodź, potrzebuję trochę gorącej wody do umycia się. Odnoszę wrażenie, że cały jestem oblepiony zaschniętą krwią.

- Spojrzał przyjaźnie na Stephena. - Masz trochę pary w rękach.

Stephen uśmiechnął się.

- Jeszcze jedno uderzenie w drzewo i zламаłbyś mi kręgosłup.

- O, tak. Nie ma na tobie ani odrobiny mięsa, które by cię osłoniło.

- Ba! - odparował Stephen. - Gdybym był tak ciężki jak ty, nie mógłbym się ruszać.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie i podążyli za Bronwyn i Rabem do obozu.

- Stephen! - zawołał Chris, gdy ich zobaczył. - Słyszeliśmy jakiś hałas, ale zajęło nam trochę czasu, zanim zorientowaliśmy się, że ciebie nie ma. Rany Boskie! Co ci się stało i kto to jest?

Gdy pobudzili się ludzie, poruszeni zamieszaniem, zapalono pochodnie. - Idź spać, Chris - powiedział Stephen. - Przyślij nam tylko kogoś z gorącą wodą i beczką piwa, dobrze? Wejdz, Tam. Tam rozejrzał się po namiocie. Ściany wyłożone były bladobłękitnym jedwabiem, podłoga - wschodnimi dywanami. Usiadł na rzeźbionym, dębowym krześle.

- Ładnie tu masz - skomentował.

- To wyrzucanie pieniędzy! - parsknęła Bronwyn. - Tylu ludzi głoduje...

- Zapłaciłem ludziom za ten namiot i przypuszczam, że kupili za to jedzenie -

odparował Stephen.

Tam patrzył to na jedno, to na drugie. Widział gniew i napastliwość Bronwyn, ale u Stephena zauważył wyrozumiałość, a nawet uczucie. Ten sam Stephen zaatakował go, gdy wydawało mu się, że ktoś napastuje Bronwyn.

Przyniesiono gorącą wodę i obaj mężczyźni rozebrali się do pasa, by się umyć.

Bronwyn obmacała nos Tama i zapewniła go, że nie jest złamany. Plecy Stephena pokrywały krwawe plamy w miejscach, gdzie kora drzewa wbiła się w skórę.

- Wydaje mi się, że twój mąż wymaga pomocy - powiedział spokojnie Tam.

Bronwyn posłała Stephenowi pełne niechęci spojrzenie i wyszła z namiotu. Rab za nią. Tam podniósł kawałek płótna.

- Siadaj, chłopcze. Przyjrzę się twoim plecom.

Stephen usłuchał. Gdy Tam delikatnie przemywał jego plecy, zaczął mówić.

- Chyba powinienem przeprosić za maniery mojej żony.

- Nie ma potrzeby. To raczej ja powinienem przeproszać, ponieważ to ja nauczyłem ją tak się zachowywać.

Stephen roześmiał się.

- A więc było więcej powodów do walki, niż przypuszczałem. Powiedz mi, jak sądzisz, czy ona kiedykolwiek przestanie być na mnie zła?

Tam wyjął zakrwawioną szmatkę.

- Trudno powiedzieć. Ona i Davey mają dość powodów, by nienawidzić Anglików.

- Davey?

- Starszy brat Bronwyn.

Stephen odwrócił się błyskawicznie.

- Brat! Bronwyn ma brata, a jednak ich ojciec ją wyznaczył na swojego następcę?

Tam odchrząknął i odwrócił Stephena plecami do siebie by móc dokończyć obmywania skaleczeń.

- Obyczaje Szkotów muszą ci się wydawać dziwne.

Stephen parsknął.

- Dziwne to jeszcze mało powiedziane. Jakim człowiekiem był ojciec Bronwyn?

- Lepiej zapytałbyś o jej brata. Davey to dziki chłopak i niezupełnie w porządku. Już od urodzenia. Jest przystojny i ma kilka zalet, ponadto zawsze potrafił sprawić, by ludzie robili właśnie to, na czym mu zależało. Problem polega na tym, że chyba nigdy nie zależało mu na własnym klanie.

- A Bronwyn? Ona dba tylko o swój klan i tego przeklętego psa.

Tam uśmiechnął się za jego plecami.

- Jamie nigdy nie miał złudzeń co do swojej córki. Dziewczyna ma gorący temperament i czasami jest ciut uparta. - Zignorował spojrzenie, które posłał mu Stephen. -

Ale, jak powiedziałaś, kocha swój klan. Jest dla niej ponad wszystko.

- I dlatego została wyznaczona na dziedzica przed swoim bratem.

- Właśnie tak. Ale nie było to takie proste. Podjęła zobowiązanie wobec swego ojca, że poślubi człowieka, którego on sam wybierze. Przedstawił jej trzech młodych ludzi, silnych i mądrych, takich, którzy byliby w stanie powściągnąć jej temperament. - Tam wrzucił szmatkę do miski i na powrót usiadł na krześle.

- I co z nimi? - zapytał Stephen, wkładając koszulę.

- Zabito ich wszystkich, razem z Jamie. Stephen milczał przez chwilę. Zdawał sobie sprawę, że wszystkich czterech zabili Anglicy.

- A czy Bronwyn była w którymś z nich zakochana? Czy już dokonała wyboru? -

Podniósł wzrok, gdyż Tam długo zwlekał z odpowiedzią. Wyglądał tak, jakby postarzał się w ciągu

kilku ostatnich minut.

Tam podniósł głowę. Starał się uśmiechnąć.

- Chciałem wierzyć, że wybrała, że był chłopak, który podobał jej się najbardziej. -

Odetchnął głęboko i spojrzał odważnie w oczy Stephena. - Jednym z tych zabitych był mój najstarszy syn.

Stephen patrzył na tego człowieka. Spotkali się zaledwie kilka godzin temu i jeszcze bolały go plecy od ciosów Tama, ale miał wrażenie, że znają się od lat. Silna szczeka, szeroki nos, ciemne oczy i długie siwe włosy wydawały się znajome. Odczuwał boleśnie smutek Tama z powodu utraty syna.

- A co z Davidem? - zapytał. - Czy bez zawiści ustąpił miejsca siostrze?

Tam pociągnął nosem, jego oczy pojaśniały.

- Żaden Szkot nie robi niczego bez pasji. Davey groził podzieleniem klanu i wystąpieniem przeciwko Jamie, gdy po raz pierwszy powiedziano o Bronwyn.

- Naprawdę? I co na to Bronwyn?

Tam uniósł dłoń i roześmiał się.

- Powiedziała mi, że jesteś głupi. Nie wygląda mi na to.

Stephen posłał mu spojrzenie, które wyraźnie mówiło, co sądzi o opiniach Bronwyn.

- Davey znalazł kilku mężczyzn, którzy zgodzili się powstać razem z nim, ale nie mogli walczyć z członkami własnego klanu, więc wycofali się w góry i tam żyją na wygnaniu.

- A Bronwyn?

- Biedactwo. Uwielbiała Daveya. Mówiłem ci, że miał dar przekonywania. Bronwyn powiedziała ojcu, że odmawia przyjęcia tego, co zgodnie z prawem należy się Davidowi.

Ale Jamie tylko ją wyśmiał i zapytał, czy chce stać z boku i patrzeć na wojnę wewnątrz własnego klanu.

Stephen wstał.

- A Bronwyn oczywiście zrobiłaby wszystko dla dobra klanu - powiedział z nutką sarkazmu w głosie.

- O, tak. Ta dziewczyna zabiłaby się, gdyby sądziła, że to będzie korzystne dla jej klanu.

- Albo nawet przeżyłaby, cierpiąc los gorszy od śmierci... Tam rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

- Zgadza się. To też. Stephen uśmiechnął się.

- Czy będziesz nam towarzyszył w drodze do domu Bronwyn?

Tam wstał powoli.

- Będę zaszczycony.

- Czy zatem mogę ofiarować ci miejsce w moim namiocie?

Tam uniósł brwi.

- Za dużo fatygi jak dla mnie. W tym wieku nie można mnie rozpuszczać. Mam swój plaid. Ale, tak czy inaczej, dzięki za tę propozycję.

Po raz pierwszy Stephen zauważył strój Tama. Mężczyzna był ubrany w luźną koszulę z długimi, zebranymi w nadgarstkach rękawami i coś w rodzaju kamizelki, przechodzącej w sięgający połowy ud kilt. Na nogach miał jedynie toporne, ciężkie buty i grube wełniane pończochy, które sięgały mu pod niczym nie osłonięte kolana. Przez jego ramiona przerzucony był długi, szeroki kawał tartanu. Kilt ściągnięty był szerokim, grubym pasem, za którym tkwił sztylet.

Tam stał spokojnie podczas tych oględzin, czekając na pytania, jakie zwykle padały z ust Anglików. - Możesz zmarznąć - powiedział w końcu Stephen.

Tam uśmiechnął się.

- My, Szkoci, nie jesteśmy tacy słabi. Zobaczymy się jutro rano. - Opuścił namiot.

Stephen stał przez chwilę nieruchomo, po czym wyszedł z namiotu. Gwizdnął cicho, a po chwili przybiegł do niego Rab.

- Bronwyn - rozkazał.

Pies liznął go w rękę i poprowadził w ciemny las.

Bronwyn spała owinięta szczelnie w swój plaid. Stephen uśmiechnął się, przyjemnie zaskoczony jej umiejętnością spania na zimnej, twardej i wilgotnej ziemi. Pochylił się i podniósł ją. Jej oczy otworzyły się na krótką chwilę, ale pocałował kącik jej ust i to ją chyba uspokoiło. Przytuliła się do niego, gdy niósł ją z powrotem do namiotu, do łóżka.

X

Do zamku Larenston dotarli późnym popołudniem następnego dnia. Bronwyn, zbyt niecierpliwa, by czekać choć chwilę dłużej, puściła się galopem naprzód.

- Jedź z nią - poganiał Stephena Tam. - Założę się, że nie widziałeś nigdy czegoś takiego jak Larenston:

Ciekaw miejsca, które miało się stać jego domem, Stephen pogalopował trawiastym wzgórzem.

Tam miał rację, nie spodziewał się takiego widoku. Wzgórze opadało nagle w rozległą dolinę, gdzie pasło się włochate bydło i przycupnęły chaty wieśniaków. Dolinę przecinała szeroka droga, prowadząca na przeciwległe wzgórze. Wystawał z niego wysoki, płaski półwysep z czerwonej skały, który wcinał się w morze niczym wielka pięść.

Półwysep łączył się ze stałym lądem tylko granią tak wąską, że mogła się na niej zmieścić jedynie droga. Po obu jej stronach zbocze opadło pionowo do morza. Wejścia na półwysep broniły dwie wieże.

Sam zamek składał się z kilku kamiennych budynków i wielkiego dziedzińca pośrodku. Nie było natomiast barbakanu. Sie był potrzebny. Strome klify, wynurzające się z morza, wymagały ochrony jedynie kilku ludzi uzbrojonych w łuki i strzały.

Bronwyn odwróciła się do Stephen; w jej oczach pojawiło się światło, którego przedtem nie widział.

- Nigdy nie został zdobyty - powiedziała z dumą, ruszając w dolinę.

Stephen nie miał pojęcia, skąd wszyscy wiedzieli o ich przyjeździe, ale nagle drzwi okolicznych domów otworzyły się, ludzie biegli ku niej z otwartymi ramionami.

Stephen popędził konia, by dotrzymać jej kroku, a potem zatrzymał się, gdy ona nagle zsiadła z konia i zaczęła witać się z nimi - mężczyznami, kobietami, dziećmi, a nawet z zabawką jednego z nich. Był poruszony tą sceną. Bronwyn widywał tylko rozzłoszczoną.

Powtarzała mu, że jej życie to klan, ale nie potrafił wyobrazić sobie jego członków.

Wyglądało na to, że ona zna ich wszystkich osobiście, zwracała się do nich po imieniu, wypytywała o dzieci, choroby, czy mają wszystko, czego im trzeba.

Uniósł się w siodle i rozejrzał. Ziemia była tu nieurodzajna i kamienista. Kopyta konia wzbijały ledwie kurz, nie znacząc prawie śladów. Potem zobaczył pola. Uboga roślinność wymagała wiele pracy. Domki wydały mu się małe i biedne.

Pomyślał, że ci ludzie przypominają mu chłopów pańszczyźnianych w majątku jego brata. Uprawiali ziemię należącą do Bronwyn. Podobnie jak chłopci w Anglii.

Popatrzył na Bronwyn - przyjmowała od jakiejś kobiety kawałek sera. Ci ludzie byli jak chłopci, a jednak ona traktowała ich jak rodzinę. Nie potrafił wyobrazić sobie żadnej znajomej damy dotykającej chłopca, a tym bardziej przyjmującej jego powitalny uścisk.

Nazywali ją Bronwyn, nie zaś lady Bronwyn, do czego miała prawo.

- Krzywisz się, młodzieńcze - odezwał się stojący za jego plecami Tam. - Cóż ci się nie podoba?

Stephen zdjął kapelusz i przeczesał dłonią włosy.

- Widzę, że muszę się nauczyć paru rzeczy. Nie sadze żebym do końca rozumiał, czym jest klan. Myślałem że członkowie klanu przypominają moich ludzi. Ci należą do szlachty.

Tam przyglądał mu się przez chwilę.

- Klan w języku gaelickim oznacza dzieci. - Jego oczy błysnęły. - A co do szlachectwa, możesz zapytać o to każdego Szkota, a przedstawi ci swój rodowód aż do jakiegoś szkockiego króla.

- Ale to ubóstwo... - zaczął Stephen, ale urwał, bojąc się obrazić Tama.

Tam zacisnął usta.

- Anglicy i ziemia, którą dał nam Bóg, uczyniły nas biednymi. Ale tu, w Szkocji, nauczysz się jeszcze, że wartość człowieka leży w jego wnętrzu, a nie w kieszeni.

- Dziękuję za tę radę. Będę o niej pamiętał. - Pogonił konia i zatrzymał się obok Bronwyn. Rzuciła na niego przelotne spojrzenie i odwróciła się, by dokończyć rozmowę o farbowaniu tkanin z jakąś starą kobietą.

Jeden po drugim, wszyscy ludzie Bronwyn cichli, wpatrując się w Stephena. Jego strój był inny. Większość Szkotów miała gołe nogi, nie nosili butów ani pończoch, inni nosili długie skarpety jak Tam.

Ale wzrok Stephena spoczął na kobietach. W przeciwieństwie do bladej, delikatnej cery Angielek, twarze ich były ogorzałe od ciągłego przebywania na powietrzu, oczy błyszczące, a włosy luźno puszczone spływały aż do podkreślonej pasem talii.

Stephen zsunął się z konia, chwycił lewą ręką dłoń Bronwyn i wyciągnął do nich prawą.

- Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Stephen Montgomery.

- Anglik! - rzekł z nienawiścią mężczyzna stojący obok Stephena.

- Tak, Anglik! - powtórzył z naciskiem Stephen, patrząc odważnie w oczy Szkota.

- Hej, wy! - krzyknął Tam. - Zostawcie go. - On napadł na mnie myśląc, że chcę zrobić krzywdę Bronwyn.

Kilka osób uśmiechnęło się na absurdalność tego stwierdzenia. Było oczywiste, kto wygrał, skoro Tam ważył o dobre sześćdziesiąt funtów więcej niż szczupły Stephen.

- Wygrał - powiedział powoli Tam. - Prawie złamał mi nos i przyłożył mi nóż do gardła.

Ludzie zamilkli, nie mogąc uwierzyć Tamowi.

- Witaj, Stephen - powiedziała jedna z młodych kobiet i potrzęsnęła wyciągniętą ręką.

Stephen zdumiał się, że zwracają się do niego poimieniu, ale natychmiast się rozpozgodził i zaczął witać z resztą.

Z mężczyznami nie pójdzie tak łatwo - stwierdziła Bronwyn, gdy jechali już drogą łączącą ląd stały z półwyspem. Było tak wąsko, że mogło zmieścić się tylko dwóch jeźdźców. Stephen spojrzał zaniepokojony na gładką ścianę urwiska. Jeden niewłaściwy ruch, a znajdzie się na dole. Bronwyn zdawała się nie pamiętać o niebezpieczeństwie, ponieważ przemierzała tę drogę wiele razy w swoim życiu.

- Moich mężczyzn nie tak łatwo zdobyć jak kobiety - dodała rozdrażniona. Zerknęła na niego w momencie, gdy patrzył z niepokojem w przepaść. Uśmiechnęła się i skierowała na niego swego wierzchowca.

Koń Stephen'a odsunął się, a gdy poczuł, że jedno kopyto trafia w pustkę, przestraszył się i cofnął. Przez chwilę Stephen mocował się z nim desperacko, w obawie, że spadnie do morza.

- A niech cię! - krzyknął, gdy już opanował konia Bronwyn roześmiała się i spojrzała za siebie.

- Czyżby nasze szkockie obyczaje były dla ciebie zbyt dzikie?

Stephen wbił ostrogi w boki zwierzęcia. Bronwyn widziała, że się do niej zbliża, ale nie zareagowała dość szybko. Chwycił ją za pas i przełożył przez siodło przed sobą.

- Puść mnie! - zażądała. - Moi ludzie patrzą.

- I dobrze! Widzieli, że chcesz ze mnie zrobić głupca. Czy może miałaś nadzieję, że spadnę?

- A król Henryk przyśle tu swoje oddziały? Nie, nie życzę sobie twojej śmierci na szkockiej ziemi.

Jej szczerłość sprawiła, że zaniemówił na chwilę.

- Może sam się o to prosiłem. - Przyłożył palec do jej ust, ponieważ miała zamiar coś powiedzieć. - Ale nie prosiłem, żeby robiono ze mnie głupca i musisz za to zapłacić. Iluż to mężczyzn jechało tą drogą do Larenston z jednym z MacArranów przewieszonym przez siodło?

- Przywoziliśmy tak zabitych, w większości zabitych przez...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Wbrew chęciom Bronwyn przywarła do niego, objęła go rękoma za szyję, jej wargi odszukały jego usta. Przygarnął ją do siebie, gładząc po plecach. Wyczuwał ciepło jej ciała pod cienką, lnianą tkaniną. Doszedł do wniosku, że właściwie podoba mu się szkocki strój.

Ciężkie angielskie tkaniny ukrywały ciało kobiece.

Stephen ocknął się pierwszy. Poczuł, że są obserwowani. Otworzył oczy i uniósł

głowę, nie przerywając pocałunku. Nie zdawał sobie sprawy, że jego koń ciągle kroczy ku bramie. Otoczyło ich kilku mężczyzn o twarzach poważnych, skupionych, pozbawionych emocji.

- Bronwyn, kochanie - powiedział cicho.

Zareagowała natychmiast Odskokczyła od niego i popatrzyła na mężczyzn.

- Douglas - szepnęła i ześliznęła się prosto w czekające na nią, wyciągnięte ramiona.

Przywitała się ze wszystkimi. Stephen zsiadł z konia bez pośpiechu i poprowadził go do bramy. Najeżone kolcami, żelazne wrota stały otworem. Mężczyźni nie zaszczycili go słowem ani spojrzeniem, ale Stephen był świadom ich powagi i nieufności. Bronwyn szła przodem śmiejąc się, wypytując ich, słuchając odpowiedzi.

Stephen czuł się obco. Towarzyszący mu mężczyźni byli niemal wrodzy. Nosili się inaczej niż mieszkańcy doliny. Jedni mieli krótkie pończochy jak Tam, inni - wysokie do kolan buty. Wszyscy jednak mieli nie osłonięte kolana i uda.

Za bramą teren znacznie się rozszerzał i minęli kilka budynków, zanim dotarli do samego zamku. Stephen rozpoznał w mijanych zabudowaniach mleczarnię, warsztat kowala, stajnie. Dostrzegł nawet jeden ogród warzywny. Tak, to miejsce powinno oprzeć się nawet drugiemu oblężeniu.

Wnętrze domu, pozbawione ozdób, uderzało surowością i prostotą. Na kamiennych, nie pomalowanych ścianach skraplała się wilgoć. Małe okna wpuszczały niewiele światła.

W zamku było zimno, prawie tak zimno, jak na dworze, a jednak nie rozpalono ognia.

Bronwyn usiadła na twardym krześle. - A teraz, Douglas, powiedz mi, co tu się dzieło.

Stephen przystanął z boku, przyglądając się. Nikt nic zapytał ich o wygodę ani nie zaproponował odpoczynku.

- MacGregorowie znowu nas najechali. Dwa dni ternu zabrali sześć sztuk bydła.

Bronwyn gniewnie ściągnęła brwi. MacGregorami zajmie się później.

- Jakież kłopoty wewnątrz klanu?

Mężczyzna nazwany Douglasem pogładził bezwiednie długi pukiel włosów.

Ziemia nad jeziorem znów stała się przedmiotem sporu Robert twierdzi, że łososie są jego, a Desmond upiera się, że za nie zapłacił.

- Wyciągnęli już miecze? - zapytała Bronwyn.

- Nie, ale niewiele brakuje. Czy mam wysłać ludzi, żeby załatwili tę sprawę?

Odrobina krwi utoczonej w odpowiednim miejscu ukróci te właśnie.

Stephen wstał. Przyzwyczajony był sam podejmować tego typu decyzje.

Powstrzymała go ręka Tama.

- Czy nie potrafisz myśleć o niczym innym, tylko o swoim mieczu, Douglasie? -

zapytała Bronwyn ze złością, - Nigdy nie przyszło ci do głowy, że przecież jest jakaś przyczyna owych kłótni? Robert ma siedmioro dzieci do wyżywienia, a Desmond chorowitą żonę, która nie może mu dać potomstwa, Z pewnością musi być jakiś sposób, by rozwiązać tę sprawę.

Mężczyźni patrzyli na nią wyczekująco. Wzruszyła ramionami.

- Powiedz Robertowi, żeby wysłał swego najstarszego i najmłodszego syna do Desmonda na wychowanie. Nie będzie wtedy zabierał ryb, którymi mają żywić się jego dzieci, a żona Desmonda przestanie uważać się na swoją bezpłodność. No, co jeszcze się wydarzyło?

Stephen uśmiechnął się; ten wyrok dowodził mądrości, na którą składała się gruntowna znajomość problemów i sympatia dla członków klanu. Cudownie było widzieć Brownynu siebie. Zdawało się, że ożywia się z każdą mijającą chwilą. Nie miała już tak gniewnie wysuniętej do przodu brody. Nadal siedziała wyprostowana, ale nie tak sztywno jak wtedy, gdy rzucała pełne gniewu słowa.

Obserwował otaczających ją mężczyzn. Słuchali jej pełni szacunku, a każda decyzja, którą podejmowała Brownyn, była mądra i służyła klanowi.

- Jamie dobrze ją przygotował - powiedział cicho Tam.

Stephen przytaknął. To była zupełnie inna strona jej charakteru, której istnienia nawet nie podejrzewał. Znał kobietę impulsywną, pełną nienawiści, sprawnie posługującą się nożem i stawiającą niemożliwe do spełnienia wymagania. Przypomniał sobie swój śmiech, gdy wpadła do strumienia.

Nagle owładnęła nim zazdrość. Jeszcze nie oglądał Bronwyn siedzącej tak spokojnie przed mężczyznami i podejmującej decyzje dotyczące ich życia. Zнали ją taką, jakiej on nigdy nie widział.

Bronwyn wstała i ruszyła ku schodom w odległej części hallu. Stephen podążył za nią. Nagle przyszło mu do głowy, że ci mężczyźni nie wiedzieli nic o wrażliwości jej nóg.

Uśmiechnął się do siebie, poczuwszy pewną ulgę.

Spójrz na niego - powiedziała z niesmakiem Bronwyn.

Był wczesny ranek, powietrze zasnuwała jesienna mgła. Z okna małżeńskiego pokoju na trzecim piętrze patrzyła na Stephena.

Stał z Chrisem na dziedzińcu, obaj w pełnej zbroi. Otaczali ich milczący Szkoci.

Od ich ślubu minęły już dwa tygodnie i przez cały ten czas Stephen starał się usilnie przyswoić Szkotom angielski styl walki. Słyszała, jak uczył ich sztuki obrony. Obiecał, że każe sprawić zbroję dla najpilniejszych. Ale Szkoci mówili niewiele i nie zaradzali najmniejszego zainteresowania cennym uniformem z twardej, ciężkiej stali. Woleli swoje prymitywne stroje, odsłaniające ich ciała. Jedyne ustępstwem było włożenie kolczugi pod plaid.

Bronwyn odwróciła się od okna z uśmiechem.

- Nie masz powodu do zadowolenia - prychnęła Morag. - Twoi ludzie poradziliby sobie, gdyby tylko chcieli. Marnują zbyt dużo czasu. Stephen przynajmniej zmusza ich do pracy.

Bronwyn nie przestawała się uśmiechać.

- To zawzięty człowiek. Wczoraj ośmielił się tłumaczyć moim ludziom, że Szkocja jest niespokojnym krajem, i próbował pouczać ich, jak się mają bronić. Jakby nie wiedzieli!

To z powodu Anglików...

Morag podniosła rękę w obronnym geście.

- Możesz sobie doprowadzać go do szału tym bezustannym strofowaniem, ale nie mnie. Co cię tak w nim drażni? Czy to, że krzyczysz po nocach? Wstydzisz się swojej namiętności do wroga?

- Ja wcale nie... - Bronwyn urwała, słysząc skrzypnięcie drzwi za plecami Morag.

Odwróciła się i zobaczyła Stephena.

Musiała przyznać, że drażniła ją reakcja własnego ciała na jego dotknięcie. Starła się nie dać poznać po sobie, co czuje. Nigdy się sama do niego nie zbliżyła, nie pozwoliła sobie na ani jedno ciepłe słowo. Był przecież jej wrogiem, należał do nacji, która zabiła jej ojca. Łatwo było o tym pamiętać za dnia. Ubierał się, mówił, myślał jak Anglik. Różnica była nazbyt widoczna. To w nocy, gdy ją dotykał, zapominała kim jest i z kim ma do czynienia.

Stephen! - zawołał Chris, gdy przemierzali razem piaszczyste pole. Stanęli na skraju skarpy, patrząc na morze. - Musisz przestać tak harować. Czy nie widzisz, że ich nie interesuje to, co chcesz dla nich zrobić?

Stephen zdjął hełm. Zimny wiatr rozwiewał jego mokre od potu włosy. Z każdym dniem był coraz bardziej rozczerowany próbami nawiązania współpracy z ludźmi Bronwyn.

Dwóch jego własnych ludzi ćwiczyło codziennie, ucząc się dźwigać ciężką zbroję i posługiwać się mieczem. Ale ludzie Bronwyn trzymali się na uboczu i patrzyli na nich jak na zwierzęta z menażerii króla Henryka.

- Musi być jakiś sposób, żeby do nich dotrzeć! - powiedział cicho. Nagle ujrzeli biegnącego ku nim człowieka.

- Milordzie - zaczął jeden z ludzi Stephena. - Był jakiś atak na bydło MacArranów na północy. Wszyscy już są na koniach.

Stephen skinął głową. Miał teraz szansę pokazać Szkotom, jak waleczni są jego rycerze. Potrafi bronić ziem przed rabusiami.

Ciężka stalowa zbroja uniemożliwiała mu szybkie ruchy. Giermek czekał na niego z koniem, ciężkim, wytrzymałym, wyhodowanym specjalnie po to, by nosić opancerzonych rycerzy. Ten koń nie wygrałby w żadnym wyścigu, ale musiał przetrwać najcięższą bitwę i posłuszenie wykonywać polecenia wydawane kolaniem przez jego pana.

Zanim Stephen i jego zbrojni byli gotowi, Szkoci już dawno odjechali. Stephen skrzywił się i pomyślał o wprowadzeniu ostrzejszej dyscypliny.

Przez cały następny rok Stephen nie mógł myśleć o tej nocy na wrzosowiskach bez poczucia wstydu i gniewu.

Było już ciemno, gdy dotarli na miejsce, z którego MacGregorowie ukradli bydło.

Hałas, jaki czynili posuwając się naprzód, odbijał się echem po okolicy. Ich zbroje grzechotały, podkowy ciężkich koni dudniły o ziemię.

Stephen myślał, że MacGregorowie spotkają się z nim w typowej dla Anglików walce wręcz. Czuł się koszmarnie siedząc na koniu i obserwując bitwę. Wyglądała zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał.

Szkoci zostawili swoje konie i wtopili się w las. Zrzucili zewnętrzne ubranie, by łatwiej im było biegać w koszulach. Z lasu dochodziły krzyki i szczęk szkockiej stali z Claymore.

Stephen ruchem głowy rozkazał swoim ludziom zsiąść z koni. Ruszyli w las za głosami Szkotów. Ale tamci byli dosłownie wszędzie. Ciężkie zbroje czyniły Anglików zbyt powolnymi, zbyt niezgrabnymi.

Stephen rozglądał się nieporadnie, gdy z cienia wyszedł jeden z ludzi Bronwyn.

- Dopadliśmy ich - oznajmił, na jego ustach igrał drwiący uśmiezek.

- Ilu rannych?

- Trzech, zabitych nie ma - powiedział, a potem uśmiechnął się szeroko. -

MacArranowie są zbyt szybcy dla MacGregorów.

- Twarz mężczyzny zaróżowiła się podnieceniem. - Czy przyprowadzić kilku ludzi, żeby wsadzili was na konie? - zapytał.

- Ach, ty...! - zaczął Chris. - Czeka tu na ciebie mój miecz.

- No, chodź, angielski pies - prowokował go Szkot - Poderżnę ci gardło, zanim ruszysz tę swoją stalową trumnę.

- Spokój! - rozkazał Stephen. - Chris, odłóż miecz. A ty, Douglas, zajmij się rannymi. - Głos Stephena był poważny.

- Nie możesz mu pozwolić odejść po takiej zniewadze - zaproponował Chris. - Jak masz zamiar nauczyć ich szacunku dla siebie?

- Nauczyć ich! - prychnął Stephen. - Mężczyzna nie może uczyć innych szacunku.

Musi na niego zasłużyć. Wracajmy do Larenston. Muszę coś przemyśleć.

Bronwyn upadła na łóżko, wbijając zaciśnięte pięści w poduszkę. Powtarzała sobie, że nie obchodzi ją to, że Stephen spędza tę noc poza domem, ani to, że mógłby znaleźć sobie inną. Myślała o członkach klanu. Córka Margaret wyrosła na ślicznotkę i wielu mężczyzn podśmiewało się, że nieźle się z nią zabawili. Musi porozmawiać z Margaret jutro rano!

Niedobrze mieć w okolicy taką dziewczynę.

- A niech to! - powiedziała głośno, aż Rab zawarczał. Usiadła. Kołdra zsunęła się z jej uroczych piersi. Zimno było samej w pustym łóżku. Morag powiedziała jej o ukradzionym bydle. Dodała też kilka cierpkich sów na temat MacGregorów. Syknęła ze złości, gdy Bronwyn wyraziła nadzieję, że Stephenowi nic się nie stanie, bo w przeciwnym wypadku mieliby na karku Anglików.

Teraz Bronwyn wpatrywała się w drzwi, krzywiąc się co jakiś czas. Gdy się uchyliły, wstrzymała oddech. To mogła być Morag z wiadomościami. Odetchnęła, widząc wchodzącego Stephena. Po myciu przy studni miał mokre włosy i koszulę.

Nawet na nią nie spojrzał. Jego błękitne oczy były ciemne, między brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. Usiadł ciężko na brzegu łóżka i zaczął się rozbierać. Wyraźnie nie mógł się skoncentrować na tej czynności, bo przerywał co chwila.

Bronwyn zastanawiała się, co mogłaby powiedzieć.

- Jesteś głodny?

Nie odpowiedział, a ona przysunęła się do niego. Prześcieradło zakrywało tylko dolną część jej ciała.

- Pytałam, czy jesteś głodny - powtórzyła głośno.

- Co? - wymamrotał Stephen, zdjęwszy but - Nie wiem. Chyba nie.

Bronwyn miała ochotę zapytać, co się stało, ale oczywiście nie pozwoliłaby sobie na to. Nie obchodziło ją, co mogło się przydarzyć jakiemuś Anglikowi.

- Czy są jacyś ranni z mojego klanu?

Ponieważ Stephen nadal milczał, trąciła go w ramię.

- Ogłuchłeś? Zadałam ci pytanie.

Stephen odwrócił się, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej obecności.

Zmierzył wzrokiem jej półnagie ciało ale nie wykazał żadnego zainteresowania, wstał i zaczął rozpinać pas.

- Nikt nie jest poważnie ranny. Kilka opatrunków na ramieniu jednego z mężczyzn, to wszystko.

- Kto wymagał tych opatrunków?

Stephen machnął ręką i nagi położył się do łóżka. Oparł głowę na ręce i zapatrzył się w sufit Nawet jej nie dotknął.

- Francis. Tak mi się wydaje - powiedział w końcu.

Bronwyn nadal siedziała skrzywiona. Co się z nim dzieje?

- Czyżby nasze szkockie metody walki przeraziły cię, Angliku? Czy moi ludzie okazali się zbyt silni dla ciebie, a może zbyt szybcy?

Ku jej zaskoczeniu, Stephen nie podjął wyzwania.

- Zbyt szybcy - odparł poważnie, nadal patrząc w sufit - Poruszali się szybko i swobodnie. Oczywiście nie przetrwaliby w Anglii, wystarczyłoby kilku uzbrojonych rycerzy, żeby wyciąć ich pięćdziesięciu. Ale tu...

- Pięćdziesięciu! - Bronwyn zapało dech w piersiach. Jej zaciśnięte pięści powędrowały do jego szerokiej piersi. - Nigdy nie dożyjesz dnia, w którym jakiś Anglik zrobi krzywdę pięćdziesięciu Szkotom! - Niemal krzyczała, tłukąc go pięściami.

- No już! Przestań! - Stephen chwycił jej rękę. - Mam dość sińców, nie musisz robić ich więcej.

- Postaram się o coś więcej niż siniaki - rzuciła, mocując się z nim.

Oczy Stephena zapłonęły. Pociągnął ją za rękę, a ona opadła na niego. Poczul dotyk jej piersi.

- Lubię to coś więcej - powiedział ochryple. Nareszcie skupił całą uwagę na niej.

Puścił jedną jej rękę i pogładził ją po włosach. - Czy zawsze będziesz mi przywracać poczucie rzeczywistości? - spytał dotykając jej skroni. - Sądzę, że nawet gdybym był zajęty najważniejszym problemem tego świata, potrafiła byś zwrócić moją uwagę na twoją uroczą skórę, oczy, usta.

Serce Bronwyn biło szybko. Oddech Stephena był taki łagodny i ciepły. Zza ucha wystawał mu niesforny kosmyk. Miała ochotę go dotknąć, ale, jak zawsze, unikała gestów świadczących o sympatii.

- A czy miałeś jakiś poważny problem? - rzuciła lekko, jakby nie oczekiwała odpowiedzi.

Jego palce zatrzymały się w swej wędrówce po jej ciele.

- Czyżbym słyszał zainteresowanie w twoim głosie? - zapytał spokojnie.

- Nigdy - zachnęła się i odsunęła od niego. Oczekiwała wybuchu śmiechu, ale gdy odpowiedziało jej milczenie, zapragnęła odwrócić się do niego, choćby tylko samą głową, przez ramię. Leżał nieruchomo; po chwili usłyszała jego głęboki, miarowy oddech, świadczący o tym, że zasnął. Przez chwilę nie ruszała się, aż poczuła łzy zbierające się w kapkach oczu. Czasami czuła się taka samotna i nie wiedziała, co ma robić. W jej pojęciu małżeństwo to wspólnota dwojga ludzi, którzy dzielili życie i miłość. Ale ona została poślubiona Anglikowi!

Stephen odwrócił się nagle, objął ją swym silnym ramieniem i przygarnął do siebie.

Chciała pozostać zimna, ale wbrew samej sobie przysunęła się do niego, opierając się o jego ciało pośladkami.

- To wcale nie pomaga mężczyźnie zasnąć - szepnął Stephen i pocałował jej skroń. -

A co to? Łzy? - Oczywiście nie! Wpadło mi tylko coś do oka.

Obrócił ją twarzą do siebie.

- Kłamiesz - stwierdził stanowczo. Przyjrzał się badawczo jej twarzy, dotknął

dołeczka w brodzie. - Jesteśmy sobie tacy obcy - wyszeptał. - Kiedy nareszcie zostaniemy przyjaciółmi? Kiedy otworzysz się dla mnie? Kiedy zwierzysz mi się z przyczyny swoich łez?

- Gdy staniesz się Szkotem! - powiedziała tak zdecydowanie, jak tylko potrafiła. Ale bliskość Stephena sprawiła, że jej słowa zabrzmiały dziwnie, jak prośba, a nie żądanie.

- Zrobione! - zgodził się bez wahania, jak gdyby rzeczywiście był w stanie to zrobić.

Chciała go wyśmiać, powiedzieć, że to niemożliwe, ale on przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Nie spieszył się, jakby miał przed sobą wieczność. Bronwyn czuła krew pulsującą w jej żyłach. Pragnęła przyłgnąć ciałem do Stephena, ale on wciąż trzymał ją na dystans. Odsuwał ją delikatnie od siebie, by móc pieścić jej piersi, żebra, brzuch.

Wygięła się, jej nogi przeplotły się z jego nogami, jej uda zamknęły w uścisku jego udo. Ręka Stephena powędrowała do jej nóg, a on sam uśmiechnął się, gdy Bronwyn wstrzymała oddech.

- Moja piękna, piękna żona - szeptał przebiegając czubkami palców pod jej kolanem.

- Szkoda, że nie mogę cię zadowolić i poza łóżkiem.

Przybliżyła się do niego, pocałowała go w usta, po czym przesunęła wargami po jego szyi. Jego skóra miała przyjemny smak, nieco słony od potu, była twarda, ale gładka.

Dotknęła językiem jego ucha i poczuła przeszywający go dreszcz. Zadrzała od fali tłumionego śmiechu.

Stephen chwycił ją mocno za ramiona.

- Chodź tu, dziedziczko MacArranów. - Położył ją płasko na łóżku i pochylił się nad nią.

Wygięła się w łuk na spotkanie jego ciała, uniosła biodra. Była Szkotką, równą mu pochodzeniem. Teraz nie czekała na jego zabiegi, ale odważnie wyszła mu naprzeciw z pasją równą jego namiętności.

Później leżeli obok siebie, tak blisko, że prawie stali się jednością. Bronwyn sennie otworzyła oczy i zobaczyła kosmyk włosów za uchem Stephena. Ten sam, którego chciała wcześniej dotknąć. Podniosła głowę i pocałowała ten lok. Potem odsunęła się, zarumieniona. Dziwne, ale ten pocałunek wydał się jej bardziej intymny niż samo kochanie się.

Stephen uśmiechnął się nieznacznie, nie otwierając oczu, już niemal pogrążony we śnie. Przytulił ją mocniej, prawie kładąc się na niej. Bronwyn ledwie mogła oddychać, ale nie miało to znaczenia. Nie, oddychanie było ostatnią rzeczą, o której mogłaby teraz pomyśleć.

Stephen stał w małej chłopskiej chacie, grzejąc ręce nad torfowym paleniskiem. Na zewnątrz wiał ostry wiatr i trzeba było rozpalić ogień. Tam odwiedzał właśnie swoją siostrę, która miała na kilka dni opuścić dom Bronwyn. Masywny, starszy mężczyzna siedział w drugim końcu chaty o ścianach z kamienia. Na jego kolanach rozłożona była rybacka sieć.

Rozplątywał supły, jego ręce szarpały nierówne sznurki. - A więc potrzebujesz mojej pomocy, żeby nie wyjść na głupca - stwierdził poważnie Tam.

Stephen odwrócił się. Nie był przyzwyczajony do tej swoistej bezpośredniości Szkotów, którzy, zależnie od upodobania, stali lub siedzieli w jego obecności. Może za bardzo przyzwyczał się do ciągłego „milordowania”.

- Inaczej bym to ujął - powiedział. Przypomniał sobie wydarzenia towarzyszące uprowadzeniu bydła, potrzęsął głową.

- Rzeczywiście, wyszedłem na głupca. I przed moimi ludźmi, i przed Szkotami.

Czułem się zamknięty w stalowej trumnie, jak powiedział Douglas. Tam przerwał na chwilę, zacisnąwszy węzeł.

- Douglas zawsze uważał, że Jamie powinien być zaliczyć go do grupy trzech mężczyzn, spośród których miał wybrać Bronwyn męża. - Zachichotał, widząc wyraz twarzy Stephena. - Nie martw się,

chłopcze, Jamie wiedział, co robi. Douglas to typ pomocnika, nie przywódcy. Pozostaje pod zbyt silnym wpływem Bronwyn, by stać się jej panem.

Stephen zaśmiał się.

- Żaden mężczyzna nie jest dość silny, by nim zostać.

Tam nie skomentował tego stwierdzenia, ale uśmiechnął się do siebie. Morag prowadziła dokładną obserwację tej pary i informowała go na bieżąco. Tam chciał się upewnić, że Bronwyn nic nie grozi ze strony tego Anglika. Z tego, co mówiła Morag, wynikało, że to Stephenowi grozi niebezpieczeństwo, czy raczej wyczerpanie. Tam podniósł

wzrok.

- Przede wszystkim musisz pozbyć się angielskiego ubrania.

Stephen potwierdził skinieniem głowy, spodziewał się tego.

- A potem musisz nauczyć się biegać; na dłuższe dystanse i krótsze.

- Biegać! Ależ żołnierz powinien stać i walczyć!

Tam skrzywił się.

- My to robimy inaczej. Myślałem, że już zauważyłeś. Jeśli nie chcesz się uczyć, na nic ci się nie przydam.

Stephen zgodził się zrezygnowany.

Godzinę później żałował, że to zrobił. Stał z Tamem na chłodnym, jesiennym wietrze i jeszcze nigdy w życiu nie czuł się aż tak nago. Zamiast ciężkiego, ocieplanego angielskiego ubrania wdział na siebie cienką koszulę i przypięty pasem plaid, wełniane podkolanówki i wysokie buty - ale wciąż miał wrażenie, że jest nagi od pasa w dół. Tam klepnął go po ramieniu.

- Ruszaj, chłopcze. Przyzwyczaisz się do tego. Jeszcze trochę dłuższe włosy i upodobnisz się do Szkota bardziej niż kiedykolwiek.

- To jest zbyt zimny kraj, by latać na golasa - mruknął Stephen, odchylając plaid i koszulę, by pokazać nagą pierś.

Tam zaśmiał się.

- Teraz już wiesz, co Szkoci noszą pod tartanem. - Jego twarz spoważniała. - Ma to swoje przyczyny. Dzięki temu strojowi łatwo jest zniknąć między drzewami. Łatwo go włożyć i zdjąć. Szkocja to wilgotny kraj i nie wolno pozwolić sobie na przemoczenie ubrania; można umrzeć na zapalenie płuc. Plaid jest chłodny w lecie, a ciągle siekane wiatrem kolana pomoże ci rozgrzać w zimie. - Jego oczy błysnęły.

- No i pozwala to na dostęp świeżego powietrza do najistotniejszych części ciała.

- Zgadza się - odparł Stephen.

- No! Teraz wyglądasz na mężczyznę - powiedziała Morag za ich plecami. Bez skrępowania patrzyła na jego nogi.

- Noszenie całej tej zbroi dobrze posłużyło twoim mięśniom.

Stephen uśmiechnął się do niej.

- Gdybym nie był już żonaty, zastanawiałbym się, czy ci się nie oświadczyć.

- I ja bym się nad tym poważnie zastanowiła. Wolałabym nie walczyć z Bronwyn o ciebie.

Stephen posłał jej smutne spojrzenie.

- Oddałaby mnie każdemu, gdyby tylko mogła.

- Ale nie dopóki ma cię w łóżku, prawda? - rzuciła, zanim odeszła.

Stephen zamrugał powiekami Bezpośredniość członków klanu zawsze go zaskakiwała. Tutaj chyba wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich.

- Tracimy czas - ponaglił go Tam. - Spróbuj pobiec do tego słupa.

Stephen sądził, że bieganie nie jest trudne. Przecież nawet dzieci biegały, a on miał

świetną kondycję Ale po pierwszym sprincie myślał, że rozsadzi mu płuca. Uspokojenie oszalałego serca i odzyskanie normalnego oddechu zajęło mu kilka dobrych chwil. Miał

wrażenie, że bicie serca rozerwie mu bębny w uszach.

- Proszę, napij się wody - rzekł Tam, podając mu dzbanek.

- Jeśli możesz już oddychać, biegnij znowu.

Stephen uniósł brwi z niedowierzaniem.

- Ruszaj, chłopcze - zachęcał go Tam. - Pobiegnę z tobą Przecież nie pozwolisz pokonać się staremu człowiekowi?

Stephen z trudem łapał powietrze.

- Stary! To chyba ostatnia rzecz, jaką bym o tobie pomyślał. - Cisnął naczynie. -

Dobrze, biegniemy.

Bronwyn stała sama u stóp schodów prowadzących na szczyt starej wieży. Oczy piekły ją od łez, których nie wylała. W dłoni zaciskała srebrną sprzączkę do pasa, na której od spodu był wygrawerowany napis: „Dla Ennisa od Jamiego MacArrana”.

Godzinę temu przyniósł jej tę sprzączkę jeden z chłopów. Bronwyn pamiętała, że ojciec podarował takie sprzączki trzem chłopcom, których wybrał na swoich spadkobierców.

To było niemal święto - zastawione stoły, wino, tańce i dużo, dużo śmiechu. Wszyscy starali się wybadać Bronwyn, którego z chłopców wybierze. Ona zaś flirtowała i śmiała się, że żaden z nich nie jest wart w porównaniu z jej ojcem.

Był tam Ian, syn Tama - równy jej wzrostem i zwałisty jak jego ojciec. Był Ramsey, blondyn o szerokich plecach i ustach, które niekiedy wzbudzały, niepokój Bronwyn. I Ennis, piegowaty i zielonooki, który śpiewał tak słodko, że wyciskał łzy.

Ścisnęła sprzączkę mocno, aż wpiła jej się w ciało. Teraz byli martwi. Silny Ian, przystojny Ramsey, słodki Ennis - wszyscy martwi i pogrzebani. Zabici przez Anglików!

Odwróciła się i pobiegła schodami na górę. Ciężkie drzwi zaprotestowały jękliwie, gdy poruszyła ich nie naoliwione zawiasy.

Myślała że widok tego pokoju doda jej otuchy, ale tak się nie stało. Wydawało jej się, że zaraz wyjdzie ojciec i się do niej uśmiechnie. Nie była w tym pokoju od jego śmierci, bała się tu przyjść.

Weszła do środka i rozejrzała się. Przez oparcie krzesła przerzucony był plaid o postrzępionych brzegach. Na ścianach wisiała broń, topory, oręż z Claymore, łuki. Dotknęła wylanego od używania miejsca na ulubionym łuku ojca. Powoli podeszła do krzesła pod oknem. Skóra zachowała odcisnięty kształt ciała Jamiego.

Bronwyn usiadła na krześle, a wokół niej zawirował kurz. Ojciec często przychodził

do tego pokoju, kiedy chciał być sam, żeby coś przemyśleć. Nie pozwalał tu wchodzić nikomu oprócz swoich dzieci. Bronwyn ząbkowała wśród ojcowego oręża.

Przenosiła wzrok z jednego przypominającego jej przeszłość przedmiotu na drugi.

Czuła, jak ogarnia ją potężny ból głowy. To wszystko było już tylko cieniem. Jej ojciec nie żyje, brat oddalił się z nienawiścią w sercu, a piękni młodzieńcy, spomiędzy których miała sobie wybrać męża, gniją gdzieś w grobie.

Teraz nie było już śmiechu ani miłości w Larenston. Angielski król poślubił ją jednemu z zabójców i cała radość gdzieś zniknęła.

Anglicy! - pomyślała. - Sądzą, że są właścicielami całego świata. Denerwowało ją, że ludzie Stephena okazywali mu swą cześć, kłaniali się przed nim, nazywali go milordem.

Anglicy to zimna zgraja Setki razy próbowała wyjaśnić mu szkockie obyczaje, ale on był

zbyt próżny, by słuchać.

Uśmiechnęła się do siebie. Przynajmniej jej wiedzieli, kto tu jest wodzem. Za plecami Stephena wyśmiewali się z mego. Przez cały ranek słuchała historii odzyskiwania porwanego bydła. Jakże śmiesznie musiał wyglądać Stephen stojący w tej swojej zbroi.

Jej uwagę przyciągnął jakiś hałas na podwórzu. Podeszła do okna.

Z początku nie rozpoznała Stephena. Dla niej był to po prostu dobrze zbudowany mężczyzna o silnym poczuciu swojej wartości. Jego spięty pasem tartan powiewał na lodowatym wietrze. Serce zamarło w niej z upokorzenia, gdy zdała sobie sprawę, że to Stephen szedł tam bez cienia pokory, w szkockim stroju, jakby miał do niego prawo.

Kilku jej ludzi stało na dziedzińcu i z przyjemnością zauważyła, że nie próbowali go nawet pozdrowić. Potrafili poznać oszusta.

Uśmiech spelzł z jej twarzy, gdy zobaczyła mężczyzn podchodzących do Stephena.

Widziała, że się uśmiechnął i coś powiedział, po czym trzepnął ręką luźny koniec tartanu.

Usłyszała odbity echem śmiech.

Douglas - jej Douglas! - wystąpił naprzód i wyciągnął do Stephena rękę. Stephen przyjął ją, następnie obaj wysunęli po jednej nodze do przodu i zaczęli się siłować na rękę.

Nie upłynęła nawet minuta, gdy Douglas znalazł się na ziemi.

Patrzyła z niesmakiem, jak Stephen wyzywa kolejno wszystkich mężczyzn. Zaparło jej dech w piersiach, gdy nagle pojawiła się tam córka Margaret. Dziewczyna, prowokacyjnie kołysząc biodrami, uniosła spódnicę i pokazała szczupłe kostki, a następnie zaczęła demonstrować Stephenowi krok niektórych szkockich tańców.

Bronwyn odwróciła się od okna i opuściła pokój, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Każdy jej krok znamionował wściekłość.

Stephen nadal tam stał. Jego włosy były zmierzwione, policzki zaróżowione od porannych ćwiczeń na chłodnym wietrze. Jego oczy błysły. Za nim stało kilku jego ludzi oraz ludzie Bronwyn. Wśród nich ładne kobiety.

Gdy się pojawiła, spojrzał na nią jak chłopiec, który chce się przypodobać. Wysunął jedną nogę.

- Ujdzie? - zapytał prowokacyjnie.

Patrzyła na niego, ignorując jego gest.

- Możesz sobie ich oszukiwać, ale dla mnie jesteś Anglikiem i zawsze nim będziesz.

To, że zmieniłeś ubranie, nie zmieni twojego wnętrza. - Odwróciła się i odeszła.

Stephen stał przez chwilę, zafrasowany. Może rzeczywiście chciał, żeby zapomnieli, że jest Anglikiem. Może... Tam klepnął go w ramię.

- Nie chmurz się tak.

Stephen zauważył, że stojący za nim Szkoci uśmiechają się.

- Mimo że jest dobrym wodzem, nie przestała być kobietą - ciągnął Tam. - Na pewno zdenerwowało ją, że tańczyłeś z innymi kobietami.

Stephen uśmiechnął się blado.

- Chciałbym, żebyś miał rację.

- To dlaczego jej nie uspokoisz?

Stephen zamierzał odpowiedzieć, ale powstrzymał się. Nie było sensu tłumaczyć mu, że Bronwyn nie widziała w nim nic dobrego. Poszedł za nią po schodach. Stała pochylona nad tkaczem, i pokazywała mu, jaki wzór powinien znaleźć się na nowym tartanie.

- Stephen! - zawołała jedna z kobiet - Ładnie ci w tym. - Młoda, przystojna kobieta rzucała ukradkowe spojrzenia jego zgrabną postać w kusym stroju.

Stephen posłał jej uśmiech. Zauważył też grymas na twarzy Bronwyn, która zaraz potem wyszła. Dogonił ją u szczytu schodów.

- Co się z tobą dzieje? Myślałem, że będziesz zadowolona z mojego stroju. Sama powiedziałaś, że muszę stać się Szkotem.

- Ten strój cię nim nie uczyni. - Odwróciła się od niego.

Stephen chwycił ją za ramię.

- O co chodzi? Czy jesteś zła jeszcze o coś?

- Dlaczego miałabym być zła? - zapytała z sarkazmem. - Jestem żoną wroga.

Jestem...

Stephen przyłożył palce do jej ust.

- Coś cię gnębi - zauważył spokojnie. Przyglądał się jej twarzy, ale przymknęła powieki, by nie mógł dostrzec bólu w jej oczach. Przebiegł rękami wzdłuż jej ramion.

Spostrzegł, że ściska coś w lewej dłoni. - Co tam masz? - zapytał miękko.

Próbowała mu uciec, ale siłą otworzył jej dłoń. Obejrzał sprzączkę, przeczytał napis.

- Czy ktoś ci to dał dziś rano? Potaknęła w milczeniu.

- Czy to należało do twojego ojca?

Patrzyła w podłogę i znowu mogła tylko niemo skinąć głową.

- Bronwyn. - Jego głos był łagodny i ciepły. - Popatrz na mnie. - Delikatnie ujął

dłonią jej podbródek. - Jest mi przykro, naprawdę przykro.

- Nic o tym nie wiesz! - krzyknęła, wrywając mu się. W myślach rzuciła przekleństwo pod swoim adresem za to, że niemal mu uwierzyła, że dała się zwieść jego głosowi i bliskości.

- Też wiem, co oznacza strata ojca i matki - tłumaczył cierpliwie. - Jestem przekonany, że zabołało mnie to równie mocno, jak ciebie.

- Ale ją nie zabiłam twojego ojca!

- Ani też ja nie zabiłem twojego! - odparł stanowczo.

- Posłuchaj mnie choć raz. Posłuchaj jak człowieka, a nie jak przeciwnika politycznego. Jesteśmy małżeństwem. Stało się. Nie można tego odwrócić. Moglibyśmy być szczęśliwi, wiem, że tak, gdybyś tylko zechciała dać nam szansę.

Jej rysy stężały, oczy ochłodziły.

- A ty będziesz się chwalił, że Szkotką je ci z ręki? I pokonasz moich mężczyzn i kobiety, tak jak to zrobiłeś dziś?

- Pokonać? A niech cię! Przez cały dzień biegałem z gołymi nogami. I gołą dupą, jeśli chodzi o ścisłość. A wszystko po to, żeby zadowolić ciebie i ludzi, na których tak bardzo ci zależy.

- Odepchnął ją od siebie. - Idź, zadław się swoją nienawiścią. Dotrzyma ci też swego chłodnego towarzystwa w nocy.

- Odwrócił się i odszedł.

Bronwyn stała przez chwilę nieruchomo, po czym zaczęła powoli schodzić po schodach. Chciała mu zaufać. Potrzebowała męża, któremu będzie mogła zaufać. Ale jak to zrobić? Co stanie się, gdy jej ziemie zaatakują Anglicy? Czy mogła oczekiwać, że Stephen będzie walczył ze swoimi rodakami?

Wiedziała, jak na niego reaguje. Łatwo byłoby zapomnieć o dzielącej ich różnicy i poddać się jego słodkim dotknięciom, ciepłemu głosowi. A jeśli osłabłaby jej czujność - co wtedy? Nie wolno

ryzykować życia swoich ludzi dla kilku chwil namiętności w łóżku człowieka, który mógłby się okazać szpiegiem.

Usiadła w małym ogródku za wysokim kamiennym domem. Jakże zaufać temu człowiekowi? Musiała Uczyć się z tym, że wszystkie jego zabiegi, żeby się jej przypodobać, służą wykorzystaniu jej. Wiedziała, że Stephen ma braci. A może ich wezwie, gdy uczyni pierwszą wyrwę w jej obronie? Czy Pochwali się braciom, że Bronwyn wykonuje wszystkie jego rozkazy, jest uległa, gdy tylko on pocałuje zagłębienie pod jej kolanem?

Wstała i ruszyła zwawym krokiem ku krańcom półwyspu.

Morze wściekle uderzało o skały, była doskonała widoczność. Przywództwo klanu to wielka odpowiedzialność. Wielu, wielu ludzi potrzebowało od niej wsparcia, obrony, a czasem nawet żywności. Dużo ją kosztowało poznanie ich i zrozumienie. Nie może pozwolić na najmniejsze choćby zagrożenie. I gdy Stephen pieścił ją, obejmował, powinna bronić się, nie pozwalać, by emocje zawładnęły jej rozumem. Gdyby kiedykolwiek miała pewność, że może mu zaufać, wtedy zastanowiłaby się nad uczuciami do niego.

- Bronwyn.

Odwróciła się.

- co chodzi, Douglasie? - Popatrzyła prosto w brązowe oczy mężczyzny. Dojrzała w nich nieme pytanie, które chcieli zadać jej wszyscy. Nie wiedzieli, czy mogą ufać Stephenowi, i czekali na jej osąd. Ją też mieli ocenić. Jeśli popełni błąd, straci ich zaufanie.

- Otrzymałem wiadomość, że dziś w nocy MacGregorowie planują kolejny atak na nasze bydło.

Bronwyn skinęła głową. Wiedziała, że Douglas ma informatora.

- Czy mówiłeś już o tym komuś?

Douglas milczał przez chwilę, właściwie odczytawszy jej myśli. Chodziło oczywiście o Stephena.

- Nikomu.

Znowu obserwowała morze.

- Poprowadzę dziś w nocy moich ludzi i pokażemy MacGregorom, kim są MacArranowie. Nie pozwolę, by znowu z nas zakpili.

Douglas uśmiechnął się.

- Dobrze będzie znów z tobą jechać.

Odwróciła się do niego.

- Nie mów nikomu o naszych planach. Nikomu! Rozumiesz?

- Tak, rozumiem. - Odwrócił się i odszedł.

Długi, obiadowy stół był suto zastawiony jadłem. Z początku Stephen był

podejrzliwy, gdyż taka obfitość nie licowała ze zmysłem oszczędności Bronwyn, przyzwyczajonej do skromniejszych posiłków. Przy obiedzie uśmiechała się do niego. To go zaskoczyło, ponieważ przypuszczał, że będzie się na niego gniewać po tym, co wydarzyło się po południu. Ale może przemyślała jego słowa, może chce mu dać szansę.

Usiadł na swoim krześle i położył dłoń na jej udzie. Uśmiechnął się, gdy podskoczyła. Odwróciła się do niego, miała oczy wilgotne, usta rozchylone, i Stephen poczuł, że jego ciało płonie. Pochylił się ku niej.

- Nie czas i miejsce - powiedziała, a w jej głosie dało się wyczuć nutkę smutku.

- Chodźmy na górę.

Uśmiechnęła się kusząco.

- Za chwilę. Może zechcesz spróbować nowego napoju, który przygotowałam. Jest zrobiony z wina, soków owocowych i odrobiny przypraw. - Podała mu srebrny kubek.

Stephen nic miał pojęcia, co pije. Bronwyn nie patrzyła teraz na niego i zagotowała się w nim krew. Jej długie rzęsy przysłoniły lekko perłowobłękitne oczy. Końcem języka dotknęła dolnej wargi, a Stephen poczuł dreszcz. A więc tak wygląda, gdy ma na to ochotę! .

Chwycił ją za rękę i z trudem powstrzymywał się by nie zmiażdżyć jej uściskiem swoich palców.

- Chodź ze mną - szepnął niecierpliwie.

Zanim dotarli do końca schodów, poczuł się śpiący, a gdy stanęli przed drzwiami sypialni, z trudem otwierał oczy.

- Coś jest nie tak - szepnął z wysiłkiem.

- Jesteś tylko zmęczony - odparła ze współczuciem Bronwyn. - Spędziłeś prawie cały dzień, ćwicząc z Tamem, a on potrafi utrudzić człowieka. Chodź, pomogę ci. - Objęła go ręką w pasie i poprowadziła do łóżka.

Opadł bezwładnie na posłanie. Ciężyły mu ręce i nogi pozbawione władzy.

- Przepraszam. Ja...

- Cicho - przerwała mu Bronwyn. - Odpocznij. Poczujesz się lepiej, gdy się prześpisz.

Stephen nie miał innego wyboru, jak tylko usłyszeć jej, i po chwili pogrążył się w głębokim śnie.

Bronwyn siała nad nim ze zmarszczonym czołem. Miała nadzieję, że nie wsypała do napoju zbyt dużo środka usypiającego. Patrząc na niego, leżącego tak spokojnie, poczuła nagle wyrzuty sumienia. Ale tej nocy musiała mieć pewność, że jej nie przeszkodzi. Musiała pokazać MacGregorom, że nie wolno bezkarnie kraść jej bydła.

Już była u progu, ale jeszcze się obejrzała. Z westchnieniem zawróciła i ściągnęła Stephenowi bury. Nie zareagował, leżał nieruchomo, nie patrzył na nią, nie prosił o nic.

Pochyliła się i dotknęła jego włosów. Potem pod wpływem impulsu pocałowała go w czoło.

Odsunęła się zarumieniona, przeklinając siebie samą za taką głupotę. Cóż ją obchodzi jakiś Anglik?

Jej łodzie czekali już na koniach. Podciągnęła długą spódnicę i wskoczyła na siodło.

Mężczyźni nie potrzebowali rozkazu, żeby podążyć za nią wąską ścieżką ku dolinie.

Informator Douglasa nie mylił się. Bronwyn i jej ludzie jechali szybko przed dwie godziny, po czym zsiadli z koni i zagłębili się niepostrzeżenie w ciemny las.

Bronwyn pierwsza usłyszała kroki. Uniosła rękę, by zatrzymać towarzyszy, a następnie kazała im się rozproszyć.

Douglas pozostał przy niej. Członkowie klanu MacArran bezszelestnie wśliznęli się pomiędzy drzewa, otaczając złodziei bydła.

Gdy była pewna, że wszyscy zajęli już swoje pozycje, otworzyła usta i wydała z siebie ostry, wysoki dźwięk, który wywołał niepokój wśród zwierząt. MacGregorowie rzucili liny i chwycili za broń. Ale zbyt późno, bo spadli już na nich ludzie Bronwyn.

Zrzućli tartany, bo łatwiej było walczyć w samych tylko koszulach. Ich dzikie, bojowe okrzyki odbijały się echem po okolicy. Bronwyn pozbyła się spódnicy i w samej tylko koszuli i sięgającym kolan tartanie kierowała atakiem.

- Jarl! - krzyknęła w samą porę, by ochronić jednego ze swych towarzyszy przed wiszącym nad jego głową mieczem. W następnym momencie biegła już przez trawę, żeby po wstrzymać kolejnego MacGregora, usiłującego zadać cios któremuś z jej ludzi.

Nagle światło księżyca odbiło się w sztylcie wymierzonym prosto w Douglasa, który zgubił swą broń.

- Douglas! - krzyknęła, rzucając mu swoją.

MacGregor obejrzał się na nią, a wtedy Douglas ugodził go sztyletem między żebra.

Mężczyzna osunął się powoli na ziemię. Walka zakończyła się równie szybko, jak się rozpoczęła.

Bronwyn, widząc znaczące spojrzenia swoich ludzi, popatrzyła na leżącego.

- Ten MacGregor - szepnęła. - Czy on nie żyje?

- Nie - odparł Douglas - Jest tylko ranny. Za chwilę przytomnieje.

Rozejrzała się. inni MacGregorowie zapadli w las sądząc, że ich wódz padł. Uklękła obok leżącego mężczyzny.

- Daj mi mój sztylet Douglas usłuchał bez wahania.

- Chcę, żeby MacGregor zapamiętał mnie. Jak sądzisz, spodoba mu się mój inicjał

wyryty na jego ciele?

- Może na policzku? - zapytał popędliwie.

Bronwyn posłała mu zimne spojrzenie. Jej oczy nabrały koloru srebra w bladym świetle księżyca.

- Nie chcę wywoływać kolejnej wojny. Chcę, żeby pamiętano. Poza tym słyszałam, że MacGregor jest przystojnym mężczyzną.

- Ostatnio otaczają cię sami przystojni - powiedział gorzko Douglas.

- Tak cię niepokoją moi mężczyźni? Czy to zazdrość, czy chciwość przez ciebie przemawia? Zajmij się resztą ludzi i skończ te dziecinne kłótnie.

Douglas odwrócił się od niej.

Bronwyn słyszała wiele opowieści o MacGregorze i wiedziała, że zrozumie znaczenie blizny po ranie zadanej ręką kobiety. Czubkiem noża, ledwie przecinając skórę, nakreśliła małe „B” na jego łopacie. Chciała się upewnić, że on przypomni sobie tę noc za każdym razem, gdy przyjdzie mu ochota kraść jej bydło.

Gdy skończyła, pobiegła do swoich towarzyszy i razem dopadli koni. To było niezwykle doświadczenie - pierwsze jej zwycięstwo jako głowy klanu.

- Do Tama! - krzyknęła, siedząc już na koniu. - Zerwijmy go z łóżka. Z pewnością będzie chciał usłyszeć, że MacGregor nosi piętno MacArranów. - Zaśmiała się, wyobrażając sobie furię wroga, gdy ten dowie się, jaki prezent mu zostawiła.

Ale nie było im pisane dotrzeć szybko do domu. Nagle rozwarło się niebo i spadła na nich lodowata ulewa. Owinęli głowy ubraniami, a Bronwyn pomyślała z tęsknotą o ciepłej spódnicy pozostawionej na ziemi. Światło błyskawic spłoszyło konie.

Jechali do Larenston brzegiem morskiego urwiska. Droga była niebezpieczna, ale za to najkrótsza. Zdawali sobie sprawę, że MacGregorowie nie podejmą pościgu, nie chcąc się zapuszczać na

niepewne, nieznanie ścieżki.

Nagle potężna błyskawica rozdarła niebo tuż przed Aleksandrem. Jego koń cofnął

się, potem zaczął w panice miotać się na wszystkie strony. Kiedy następny piorun uderzył w skały ponad nimi, koń Aleksandra skręcił gwałtownie i uderzył kopytami w próżnię. Przez moment koń wraz z jeźdźcem trwali tak zawieszony pomiędzy ziemią a przepaścią, a potem runęli w przepaść. Aleksander wyleciał z siodła.

Bronwyn pierwsza zeskoczyła z konia. Lodowaty deszcz siekł jej twarz. Nogi zsiniały z zimna.

- Nie ma go! - krzyknął Douglas. - Pochłonęło go morze. Bronwyn wychyliła się, by poprzez deszcz i ciemność nocy dostrzec morze. W świetle błyskawicy zobaczyła leżącego na skałach konia, ale po Aleksie nie zostało ani śladu.

- Jedźmy! - krzyknął Douglas. - Już nie możesz mi pomóc Bronwyn wyprostowała się. Dorównywała mu wzrostem.

- Czy usiłujesz mi rozkazywać? - zapytała, po obejrzała się na drogę. - Chwyć mnie za nogi, żebym mogła coś więcej zobaczyć.

Bronwyn położyła się na brzuchu, a Douglas zacisnął palce wokół kostek jej obu nóg. Natychmiast podeszło jeszcze dwóch ludzi, by przytrzymać ją za ręce. Inny położył

dłonie na ramionach Douglasa.

Cał po calu Bronwyn przesuwiała się poza krawędź skarpy. aż zobaczyła całą ścianę.

Strasznie było wisieć tak nad Przepaścią, powierzając swoje życie cudzym dłoniom. Miała ochotę krzyknąć, że nic nie widzi, ale nie mogła zostawić Aleksa, jeśli istniała choćby najmniejsza szansa uratowania go. Musiała poczekać, aż następna błyskawica oświetli okolicę.

Powoli obróciła głowę, by przyjrzeć się drugiej części zbocza. Ta niewygodna pozycja przyprawiała ją o zawrót głowy, a świadomość niebezpieczeństwa powodowała skurcz żołądka.

Gdy znów przekreśliła głowę, wydało jej się, że coś widzi. Minęła wieczność, zanim kolejna błyskawica oświetliła skałę. Miała wrażenie, że szyja nie wytrzyma ciężaru głowy i za chwilę pęknie.

Zrobiło się jasno i nagle ustąpił ból. Tam, po lewej stronie, w połowie wysokości urwiska zamajaczył znajomy czerwony tartan Aleksa.

Machnęła ręką, a mężczyźni podciągnęli ją.

- Aleks! Tam na dole! - wysapała, jej usta były pełne deszczu. Niecierpliwie otarła ramieniem twarz - jest na wąskiej półce. Przywiążcie mnie liną. Myślę, że uda mi się do niego dotrzeć.

- Pozwól, że ja pójde! - zgłosił się Francis.

- Jesteś za duży. Na tej półce nie ma dość miejsca. Dajcie mi jakaś linę, żeby się mogła nią obwiązać. Zrozumieliście? - Jej okrzykiem towarzyszyły stanowcze gesty rąk.

Mężczyźni potaknęli i niemal natychmiast przynieśli linę. Jeden jej koniec podała Douglasowi.

- Gdy szarpnę dwa razy, ciągnij w górę. - Potem obwiązała się drugą liną wokół pasa. - Kiedy Aleks będzie bezpieczny, wyciągnijcie mnie.

Podeszła do skraju przepaści. Nie patrzyła w pustkę poniżej. Znieruchomiła na chwilę.

- Tam jest moim następcą - powiedziała. Nie musiała dodawać, że będzie nim, jeśli ona zginie.

Gruba lina wrzynała jej się w pasie i, choć spuszczano ją bardzo ostrożnie i powoli, kilka razy uderzyła o skały. Potwornie bolały ją potłuczone kolana i obtarte ręce. Czuła, jak z jej dłoni schodzi skóra, gdy przesuwiała nimi po linie. Myśl o Aleksie, powtarzała sobie.

Myśl o Aleksie.

Długo trwało, zanim dosięgła wąskiej półki. Miejsca wystarczyło tylko na postawienie stóp obok ciała Aleksa. Po kilku ostrożnych zabiegach udało jej się kucnąć przy nim.

- Aleks! - krzyknęła poprzez szum deszczu.

Mężczyzna powoli otworzył oczy i popatrzył na Bronwyn jak na anioła zesłanego przez niebiosa.

- Wódz - wyszeptał i zamknął oczy, a jego głos zginął w szalejącej burzy.

- A niech cię, Aleks, obudź się! - krzyknęła Bronwyn. Aleks ponownie otworzył oczy.

- Jesteś ranny? Możesz mi pomóc z liną? Aleks nagle zdał sobie sprawę z sytuacji.

- Mam złamaną nogę, ale sądzę, że mogę się ruszać. Jak się tu dostałaś?

- Nie gadaj! Wiąż!

Stała w niewygodnej pozycji. Niewiele było miejsca na jakikolwiek ruch. Pochyliła się na wyprostowanych nogach, nie zmieniając pozycji stóp, i pomogła Aleksowi owinać ciało liną. Zrobili coś w rodzaju prymitywnych szelek przechodzących pomiędzy nogami i opasujących tors.

- Jesteś gotów? - zapytała.

- Ty pierwsza. Ja poczekam.

- Nie kłóć się ze mną, Aleks. To rozkaz. - Dwukrotnie szarpnęła mocno linę i poczuła jej naprężenie, znak, że mężczyźni na górze zaczęli ciągnąć. Jej twarz skurczyła się boleśnie, gdy Aleks uderzył złamaną nogą w skałę.

Kiedy był już ponad jej głową, przyłgnęła do ściany. Deszcz chłostał ją niemiłosiernie, twarda skała wgniatała się jej w plecy. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest samotna i przerażona. Jej dotychczasowa odwaga miała swe źródło w niepokoju o Aleksa, ale teraz... Aleks był bezpieczny, a ona bała się. Nagle zapragnęła znaleźć się na kolanach Stephena, przed kominkiem, otoczona jego mocnym ramieniem.

Opasująca ją lina napięła się i nie miała więcej czasu na rozmyślanie. Mimo że skupiła się na linie, zaciskała dłonie, a stopami starała się rozluźnić ucisk w pasie, obraz Stephena nie opuścił jej.

Nie zdziwiła się jakoś, gdy na górze okazało się, że to właśnie Stephen i Tam ją wyciągnęli. Stephen chwycił ją pod ramiona, postawił na ziemi i przygarnął do siebie w miażdżącym uścisku. Sprawilo jej to przyjemność i już nie czuła się tak samotna. Potem ujął

jej twarz w dłonie i patrzył. Oczy Stephena były ciemne, podbite głębokimi sińcami. Chciała powiedzieć, że cieszy się z jego obecności, z tego, że jest już bezpieczna, ale jego mina sprawiła, że nie wydusiła z siebie ani słowa.

Nagle chwycił ją za ramiona i rozpoczął badanie. Przechylił ją sobie przez ramię i przebiegł rękami po jej nogach, marszcząc brwi, gdy odnalazł krwawe plamy na jej kolanach. Wtedy opuściły ją wszelkie uczucia sympatii. Jak on śmiał oglądać ją w taki sposób, i to w obecności jej ludzi!

- Puść mnie! - rozkazała.

Stephen zignorował jej słowa. Patrzył na Tama, który właśnie podszedł i kucnął, oglądając jej rany.

- Kilka skaleczeń i siniaków, ale nie wygląda to na nic poważnego.

Tam podniósł się z przysiadu. Postarzał się o dziesięć lat. Bronwyn wierzgnęła, starając się wyrwać Stephenowi.

- Jeśli już ze mną skończyłeś - powiedziała gniewnie - chciałabym wrócić do domu.

Stephen obrócił ku niej twarz i zrozumiała nareszcie jego spojrzenie. Był zły, bardzo, bardzo zły. Deszcz stracił na sile i niebo zaczął rozjaśniać świt Bronwyn wyprostowała się i ponownie spróbowała się uwolnić z jego uścisku.

- Muszę zobaczyć Aleksa.

- Aleksiem już się zajęto - odpowiedział stanowczo. Zacisnął zęby. Chwycił ją mocno w pasie i pociągnął za sobą w stronę koni.

- Żądam, żebyś mnie puścił - powiedziała najspokojniej jak potrafiła, ponieważ słyszeli ją jej ludzie.

Ale on tylko przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Jeśli powiesz jeszcze słowo, podwinę tę twoją sukienczynę i spiorę cię na kwaśne jabłko. Aleks jest bezpieczny, bezpieczniejszy niż ty w tej chwili, więc nie kuś mnie. Jasne?

Podniosła głowę i popatrzyła na niego. Nie mogła dać mu powodu do spełnienia groźby. On zaś pociągnął ją w kierunku czekającego konia. Bez wahania podniósł ją i posadził w siodle tak brutalnie, że aż zaszczekała zębami. Po chwili dosiadł swojego wierzchowca.

Trzymał w rękach jej wodze.

- Pojedziesz za mną, czy mam prowadzić twojego konia? Nie zniosłaby prowadzenia na sznurku jak jakieś nieposłuszne dziecko.

- Pojadę - odparła prostując się.

Opuścili mężczyzn stojących na urwisku. Bronwyn obejrzała się. Czuła się zbyt upokorzona. Jej ludzie szanowali ją, słuchali jej, a on potraktował ją jak dziecko. Rab biegł

tuż obok koni. Jak zwykle wiernie towarzysząc swej pani.

Jechali już ponad trzy godziny i Bronwyn wiedziała, że kierują się ku północnym posiadłościom. Teren był górzysty dziki musieli przekraczać wiele strumieni. Stephen utrzymywał miarowe, nie za szybkie tempo. Nie oglądając się na nią wyczuwał, kiedy zwolnić, żeby mogła go dogonić.

Bronwyn była bardzo zmęczona. Nie jadła nic od kolacji, a to wydawało jej się całe wieki temu. Doskwierał jej głód, miała wrażenie, że żołądek przyrósł jej do kręgosłupa.

Deszcz przeszedł w zimną, nieprzyjemną mżawkę i Bronwyn przemarzła do kości. Drżała na całym ciele, kilka razy kichnęła. Bolały pokaleczone i posiniaczone nogi; niezależnie od tego, jak się ustawiała, siodło i tak ocierało poranioną skórę.

Ale raczej umarłaby, niż poprosiła męża o chwilę odpoczynku.

Koło południa zatrzymał się i Bronwyn przyjęła ten postój z westchnieniem ulgi.

Zanim się zorientowała, Stephen stał już przy niej i zdejmował ją z konia. Była zbyt głodna, zziębnięta i wyczerpana, by pamiętać wydarzenia ostatniej nocy.

Postawił ją na ziemi i odszedł kawałek. Gdy się odwrócił, stwierdziła, że wciąż kipi z gniewu.

- Dlaczego? - zapytał, a jego głos zdradzał, że ledwo nad sobą panuje, żeby nie wybuchnąć. - Dlaczego dałaś mi środek nasenny?

Próbowała wyprostować się.

- MacGregorowie planowali następny wypad i musiałam bronić mienia moich ludzi.

Jego oczy patrzyły zimno i niemal wrogo.

- Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że to mężczyzna powinien prowadzić wyprawę wojenną?

Wzruszyła ramionami.

- Tego nauczyli cię w Anglii. W Szkocji jest inaczej. Już od siódmego roku życia pobierałam te same nauki co mój brat Nauczono mnie jeździć konno i, jeśli zajdzie potrzeba, używać miecza.

- I pomyślałaś, że nie jestem w stanie poprowadzić twoich ludzi, więc zdjęłaś ubranie

- wskazał jej kuszą koszule - i poprowadziłaś ich sama. Czy aż tak daleko odbiegam od twojego wyobrażenia o mężczyźnie, iż uznałaś, że sama jesteś lepszym?

- Być mężczyzną! - powiedziała z niesmakiem. - Tylko to cię obchodzi. Na poprzednią wyprawę wyruszyłeś w tej swojej zbroi. Czy wiesz, że MacGregorowie kpili ze mnie?! Naśmiewali się, że MacArranowie mają kobietę za dziedzica, a stalową kolumnę za wodza. Dzisiejszej nocy uciszyłam ich śmiech. Wycięłam „B” na ramieniu jednego z nich.

- Co zrobiłaś?! - zakrzuszył się.

- Słyszałeś - odpowiedziała zaczepnie.

- Boże! - Stephen przeczeszał palcami swoje mokre włosy. - Czy ty nie wiesz nic o męskiej dumie? Przez całe życie będzie nosił ślad, który zrobiła mu kobieta. Znienawidzi ciebie i cały twój klan.

- Mylisz się! MacGregorowie i MacArranowie już od dawna się nienawidzą.

- Ale nie aż tak. Ty wszystkich prowokujesz. Uważasz, że to gra, a nie prawdziwa wojna.

- Nie masz o tym pojęcia. Jesteś Anglikiem. - Odwróciła się i zajęła się zdejmowaniem siodła.

Zatrzymał ją.

- Chcę twego słowa honoru, że już nigdy mnie nie strujesz.

Odskoczyła od niego.

- Czasami aż...

Chwycił Bronwyn za ramiona i popatrzył jej prosto w oczy.

- Nigdy nie wolno ci sterować moim życiem i wolą. A co by się stało, gdybyście mieli kłopoty i potrzebowali mojej pomocy? Spałem tak twardo, że nie zauważyłbym nawet, gdyby ktoś szturmował zamek. Nie potrafię żyć z kimś, komu nie ufam. Musisz mi obiecać.

Posłała mu słaby uśmiech.

- Nie mogę.

Odepchnął ją od siebie.

- Nie będę narażał mojego życia dla kaprysów małej dziewczynki - powiedział spokojnie.

- Dziewczynki?! Nazywam się MacArran. Mam setki ludzi, którzy mnie słuchają i szanują.

- I pozwalają ci na zbyt wiele. Jesteś mądrą kobietą i twoje sądy są słuszne. Ale nie masz doświadczenia w prowadzeniu walki O to chodzi.

- Moi ludzie nie pójną za tobą.

- Pójną, o ile będę na tyle przytomny, żeby ich poprowadzić. - Patrzył na nią, a ona nie odpowiadała.
- Prosiłem cię o obietnicę, teraz sam ją sobie wezmę. Jeśli kiedykolwiek jeszcze dasz mi jakiś środek nasenny, zabiorę ci tego psa.

Bronwyn otworzyła usta.

- Rab wróci do mnie.

- Nie, jeśli znajdzie się kilka stóp pod ziemią. Powoli zaczynało do niej docierać znaczenie tych słów.

- Zabiłbyś go? Zabiłbyś go, żeby postawić na swoim?

- Zabiłbym setkę psów czy nawet koni, żeby uratować choć jednego człowieka, twojego czy mojego. Ich życie jest w niebezpieczeństwie, gdy mnie nie ma przy nich... Nie mogę spędzić reszty życia zastanawiając się, czy danej nocy moja żona zechce mnie pozostawić przytomnym czy nie. Czy wyrażam się jasno?

- Bardzo jasno. Bez wątplenia zabicie mojego psa sprawiło by ci radość. Poza tym zabrałeś mi już prawie wszystko.

Stephen popatrzył na nią rozdrażniony.

- To oczywiste, że widzisz wszystko tylko z własnego punktu widzenia. Pamiętaj, że jeśli kochasz to zwierzę, zastanowisz się dobrze, zanim znowu zatrujesz moje jedzenie.

Nagle Bronwyn poczuła, że to wszystko ją przerasta. Długa deszczowa noc, przerażenie wywołane wypadkiem na urwisku. a teraz możliwość utraty Raba przygniotły ją. Opadła na kolana. Pies podszedł do niej. Objęła go za szyję i ukryła twarz w jego szorstkiej, przemoczonej sierści.

- Tak, kocham go - wyszeptała. - Wy, Anglicy, zabraliście mi wszystko, możecie zabrać i Raba. Zabiliście mojego ojca i jego trzech najwierniejszych towarzyszy. Zabiliście moje szanse na

szczęście z mężem, którego mogłabym pokochać.

- Opuściła głowę, a jej oczy napęłniły się łzami. - Dlaczego miałbyś nie zabrać mi Raba? I Tama? I spalić mojego domu?

Stephen potrząsnął głową i podał jej rękę. Zignorowała ten gest. Wtedy nagle chwycił ją w ramiona. Nie zważał na jej wysiłki, żeby się uwolnić.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że mogłabyś mnie pokochać? Gdybyś to zrobiła, zaoszczędziłoby to nam obojgu wielu strapiień.

- Jak miałabym pokochać człowieka, któremu nie ufam? - zapytała po prostu.

Stephen nie odpowiedział, tylko przytulił ją. Oparł policzek o jej mokrą głowę.

- Chodź - rzekł po chwili. - Zaraz znowu zacznie padać. Mamy jeszcze kilka mil do najbliższego schronienia. - Nie spojrzawszy na nią po tym, jak uwolnił ją z objęć, i Bronwyn odniosła wrażenie, że jest smutny. Szybko odrzuciła tę myśl i dosiadła na konia.

8

Kiedy Stephen zatrzymał się przed starym, kamiennym domem, było już późne popołudnie. Tył domu łączył się ze stokiem wzgórza, dach pokryty był darnią. Zaczął

znowu padać deszcz - właśnie wtedy, gdy rzeczy Bronwyn były już niemal suche - ale ona wciąż nie zsiadała z konia. Była zbyt zmęczona, żeby ruszyć choćby palcem. Stephen chwycił ją w pasie i postawił na ziemi.

- Głodna? - zapytał, niosąc ją do domku.

Wewnątrz już płonął ogień. Pod ścianą był stołek. Stephen posadził ją na nim.

- Zostań tu, a ja zajmę się końmi.

Prawie nie zauważyła, że wrócił, tak była zmęczona.

- Myślałem, że wy, Szkoci, jesteście wytrzymali - rzucił i roześmiał się, gdy z wyraźnym wysiłkiem wyprostowała się, starając się nie opierać o ścianę. - Chodź, zobacz, co tutaj mam. - Otworzył szafkę, stojącą pod sąsiednią ścianą, i zaczął wyjmować jedzenie.

Był tam garnek niebiańsko pachnącego rosółu. Wielki, ciemny chleb. Ryba, owoce i warzywa.

Bronwyn miała wrażenie, że śni. Powoli wstała i podeszła do Stephena. Jej oczy wędrowały od jednej potrawy do drugiej.

Kiedy sięgnęła po smakowity kawałek pieczonej wieprzowiny, zabrał misę.

- Na to wszystko jest cena - powiedział spokojnie Popatrzyła na niego zimno i odwróciła się.

Stephen odstawił misę.

- Co to? - zapytał, chwytając ją za ramiona. - Nie masz poczucia humoru?

' - Nie, gdy dotyczy to podstępnego Anglika. Nagle przyciągnął ją do siebie.

- Przynajmniej jesteś konsekwentna. - Poglądził jej policzek wierzchem dłoni. - Jak myślisz, czego zażądałbym za to jedzenie?

- Żebym razem z moimi ludźmi przysięgła ci posłuszeństwo, że będziemy walczyli na twój rozkaz, nawet gdybyś kazał nam bić się z naszymi ludźmi - powiedziała zdecydowanie.

- Dobry Boże! - Stephen niemal krzyknął. - Za jakiego potwora musisz mnie uważać.

- Patrzył na nią przez chwilę zachmurzony, po czym uśmiechnął się. - Cena będzie dużo wyższa. Chcę, byś mnie pocałowała. Jeden pocałunek ofiarowany bez przymusu. Pocałunek, o który nie będę musiał z tobą walczyć.

W pierwszej chwili Bronwyn miała mu ochotę powiedzieć, co może zrobić ze swoim jedzeniem i pocałunkami, w języku gaelickim oczywiście, ale była pewna, że zrozumie.

Potem zrezygnowała. Szkoci są przede wszystkim praktyczni. Nie mogłaby pozwolić, żeby się to jedzenie zmarnowało.

- Dobrze - szepnęła. - Pocałuję cię.

Kłęcząc, pochyliła się do przodu i dotknęła wargami jego ust Chciał ją objąć, ale odepchnęła jego rękę.

- Moje! - powiedziała z satysfakcją.

Stephen uśmiechnął się i oparł na łokciach, pozwalając jej nacieszyć się zdobyczą.

Jej usta poruszały się łagodnie. Pieściła go zębami, językiem, starając się dotrzeć w najdalsze zakątki jego ust.

Odsunęła się na chwilę, by na niego popatrzeć. Na zewnątrz padało i dźwięk deszczu czynił chatę miejscem samotnym, wyizolowanym. Miękki, złoty blask płonącego ognia kładł cienie na jego przystojnej twarzy. Miał przymknięte oczy, lekko rozchylone usta.

Bronwyn poczuła przyspieszony rytm swojego serca. Czyżby wyprzystojniał od czasu, gdy go poznała? Nagle wydał jej się niezwykle męski.

Leżał nieruchomo, czekał. Nie zdradzał najmniejszego śladu podekscytowania, jakie ją ogarnęło. Brak poczucia humoru! - pomyślała i uśmiechnęła się. Zobaczmy, ile poczucia humoru ma ten Anglik!

Stephen otworzył oczy, gdy usta Bronwyn znów znalazły się obok jego twarzy. Tym razem nie była delikatna, lecz zaborcza. Wpiła się zębami w jego Wargi, wessała się w nie.

Stephen porzucił niedbałą pozycję i opadł na podłogę. Jego dłonie zamknęły się wokół jej talii, przygarniając ją mocniej. Zaśmiała się gardłowo i ponownie odepchnęła jego ręce.

Posłusznie pozwolił im opaść.

Uniosła nieco głowę, nie przestając go całować, a on podążył za nią. Jedną dłoń wczepiła w jego włosy, drugą położyła na jego kolanie. Gdy zaczęła ją przesuwając ku górze, jego ciało zaczęło drżeć. Miał na sobie szkocki plaid, pod spodem był nagi. Cał po całuj jej dłoń wędrowała pieszczotliwie po jego udzie. Gdy dotarła do celu, oczy Stephena otworzyły się szeroko i po chwili już ją miał pod sobą, przyciśniętą jego nogą. - Nie! - powiedziała zdecydowanie, odpychając go od siebie. Tylko jeden pocałunek, taka miała być cena. -

Oddychała z trudem, jakby przebiegła kilka mil.

Stephen powoli dochodził do siebie. Patrzył na nią z głupim wyrazem twarzy.

Obie jej ręce spoczywały na jego piersi.

- Obiecałeś, że będę się mogła najeść, kiedy cię pocałuję. Wydaje mi się, że właśnie to zrobiłam - rzekła poważnie.

- Bronwyn - wyszeptał Stephen głosem umierającego.

Uśmiechnęła się do niego niewinnie, po czym popchnęła go i błyskawicznie się podniosła.

- Niech nikt nigdy nie mówi, że Szkoci nie dotrzymują słowa.

Stephen jęknął i na chwilę zamknął oczy.

- Postarzałem się o dwadzieścia lat, odkąd ciebie poznałem. W nocy narkotyk, polem chodzisz po jakiejś skale, a teraz usiłujesz mnie wykończyć. Czegóż jeszcze mogę się spodziewać? Łamania kołem czy próby wody?

Roześmiała się i podała mu soczysty kawałek wieprzowiny. Ona sama już jadła, a jej usta, zaczerwienione od pocałunku, błyszczą teraz od tłuszczu. Gdy Stephen wziął od niej mięso, sięgnęła po strudel.

- Jak trafiłeś do tej chaty? Kto przyniósł to jedzenie? Skąd wiedziałeś o wypadku?

Tym razem roześmiał się Stephen, ale Bronwyn nie zawtórowała mu. Nie doszedł

jeszcze do siebie po jej pieszczocie. Tam miał zdecydowanie rację, mówiąc o wygodach szkockiego stroju.

- Douglas poszedł do Tama - wyjaśnił po chwili i nachmurzył się. - Szkoda, że nie do mnie - dodał z niesmakiem. - Powinni już się tego nauczyć. Wszystkiego się dowiaduję z drugiej ręki.

Bronwyn miała usta i dłonie pełne jedzenia.

- Douglas jest tylko posłusznym synem.

- Synem? O kim ty mówisz? Mrugnęła do niego.

- Douglas jest synem Tama.

- Ale ja myślałem, że syn Tama został zabity.

Posłała mu pełne niechęci spojrzenie, podczas gdy on smarował masłem kromkę ciemnego chleba.

- Mężczyzna może mieć kilku synów. Mój ojciec często mówił, że Tam chyba próbuje założyć własny klan. Ma dwunastu synów, a raczej miał ich tylu, dopóki Anglicy nie zabili mu jednego.

Stephen podniósł ręce w geście poddania.

- Którzy to?

- Douglas, Aleks, Jarl i Francis to najstarsi. Poza tym ma jeszcze kilku małych chłopców, zbyt młodych, by mogli walczyć. No i jego nowa żona niedługo urodzi mu następnego.

Stephen zakrztusił się. To prawda, że ci najspokojniejsi okazują się najbardziej niebezpieczni.

- Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytania - przypomniała Bronwyn, nie przestając jeść. - Dlaczego mnie tu zabrałeś?

- Liczyłem na to, że przejażdżka mnie uspokoi, a ponadto nie chciałem, żeby twoi ludzie się wtrącali. Tam próbował mnie obudzić, ale mu się nie udało. - Posłał jej groźne spojrzenie, ale Bronwyn udawała, że tego nie widzi. - Morag dała mi do wypicia jakieś świństwo, od którego mało nie umarłem. Zanim się na dobre ocknałem, jechałem już konno na miejsce wypadku. Przyjechaliśmy, gdy wyciągali Aleksa.

Odłożył kurze udko, które właśnie ogryzał, i przyjrzał się jej.

- Dlaczego sama musiałaś zejść na dół? I dlaczego, u diabła, twoi ludzie pozwolili ci na to?

- Czy ty nigdy nie zrozumiesz? Nazywam się MacArran. To ja pozwalam lub nie. To moi ludzie słuchają moich rozkazów, a nie odwrotnie.

Stephen wstał i dołożył nieco suchego tortu do ognia. Jego angielskie wychowanie nie pozwalało mu się z tym pogodzić.

- Ale nic jesteś dość silna. A gdyby Aleks był nieprzytomny i nie mógł ci pomóc?

Nie masz tyle siły, by udźwignąć nieprzytomnego mężczyznę.

Starła się zachować cierpliwość widząc, że on usiłuje to wszystko zrozumieć.

- Poszłam sama, bo jestem mniejsza. Na półce było niewiele miejsca i wiedziałam, że łatwiej mi się tam będzie poruszać niż mężczyźnie. A co do podnoszenia Aleksa, mogłabym go dostatecznie dokładnie obwiązać liną, by inni mogli go podnieść. Gdybym uważała że ktoś inny ma większe szanse na wyciągnięcie go stamtąd, nie wahałabym się.

Zawsze staram się robić to, co jest najlepsze dla moich ludzi.

- A niech to! - zaklął Stephen i szarpnął ją z podłogi. - Nie cierpię mądrych kobiet!

Zdziwiła się, a potem uśmiechnęła, słysząc tak szczere słowa.

- Czy nie znasz ani jednego dobrego wodza, który używałby rozumu zamiast mięśni?

Patrzył na nią przez chwilę, po czym przytulił do siebie i pogładził po włosach.

- Byłem taki wściekły - szepnął - Z początku nie uwierzyłem w to, co mi powiedziano. Nie mogłem oddychać swobodnie, dopóki nie zobaczyłem, że nic ci nie grozi.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Gdybym nie przeżyła. Tam z pewnością dałby ci część moich posiadłości.

- Posiadłości! - prychnął i przytulił jej głowę do swojej Piersi. - Czasami jesteś głupia. Powiniennem cię za to ukarać - Nie pozwolił jej nawet się poruszyć. - Może odłożymy to jedzenie na potem. - Uniósł jej twarz i pocałował ją zachłannie. - Jakaś ty przyziemna - dodał, a ona objęła go za szyję.

Wystarczyła chwila, by znowu rozgorzało w nim pożądanie.

Wspomnienie wydarzeń poranka, gdy Bronwyn wisiała nad przepaścią, sprawiło, że całował ją z desperacją. Trzymał jej twarz w swych dłoniach, spijając słodycz jej ust.

Delikatnie ujął ją pod kolana i położył przy palenisku. Powoli rozpiął jej pas, całował

brzuch. Odsunął plaid z jej ud i bioder, całował długie, połyskujące złoto nogi. - Chodź do mnie - szepnęła.

Ale teraz była jego kolej, by ją torturować. Odsunął wyciągnięte błagalnie ręce i zaczął rozpinać jej koszulę. Całował każdy odsłonięty skrawek jej skóry i uśmiechał się widząc, jak pręży się jej ciało.

Gdy pociągnęła go za włosy, zaśmiał się. Zdecydowanie potrząsnął głową i zaczął

całować jej piersi. Przysiadł na piętach, by popatrzeć na nią. Była taka piękna.

Bronwyn otworzyła oczy, zastanawiając się, o czym on może myśleć. Obserwowała, jak zdejmuje ubranie i kładzie się obok niej. Westchnęła, gdy poczuła dotyk jego skóry. W

pokoju było ciepło, ale ich ciała płonęły.

- Stephen - wyszeptała niemal czule.

- Tak - mruknął sadzając ją na sobie.

Mimo rozbudzonego pożądania, kochali się powoli. Nie spieszyli się. Bronwyn przez chwilę sama kontrolowała ich ruchy. Gdy ich pragnienie bliskie było szczytu, Stephen przewrócił ją na podłogę na tych kilka ostatnich, mocnych pchnięć.

Wyczerpany opadł na nią, dotykając ustami jej szyi. W chwilę później oboje zasnęli.

Dwa tygodnie później przepowiednia Stephena o reakcji MacGregorów sprawdziła się. Cały ten czas Stephen spędził na nauce. Ów koszmarny wypadek w zbroi utwierdził go w przekonaniu, że musi przyswoić sobie szkocki styl walki. Umiał już biegać, używać ciężkiego miecza z Claymore. Potrafił wskoczyć w swój plaid w ciągu kilku sekund. Jego nogi pociemniały i nawet nie czuł zimna, gdy spadł pierwszy śnieg.

Bronwyn natomiast przyglądała mu się podejrzliwie, porzucając te obserwacje jedynie w nocy, gdy była w jego ramionach.

Stephen zmienił się bardzo w ciągu ostatnich kilku tygodni i wydawało się, że wiele czasu upłynęło od owej potyczki, kiedy to Bronwyn wycięła swemu wrogowi własny inicjał

na łopatkę. Pierwszym sygnałem gniewu Lachlana MacGregora było spalenie trzech chat na północy.

- Czy ktoś jest ranny? - spytała Bronwyn, gdy przybyła na miejsce zdarzenia.

Tara wskazał młodego chłopaka, stojącego wśród pogorzeliska. Miał na policzku wyciętą literę L.

Bronwyn zasłoniła ręką usta w przerażeniu.

- MacGregor zapowiedział, że naznaczy tak cały klan. Podobno mało nie umarł po zakażeniu rany, którą mu zadałaś - relacjonował Tam. Odwróciła się i ruszyła do swojego konia. Zatrzymał ją Stephen.

- Nie obawiaj się, nie będę cię pouczał - zapewnił, gdy zobaczył wyraz jej twarzy. -

Myślę, że już się czegoś nauczyłaś. Teraz moja kolej, by zająć się tą sprawą.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała.

- Zamierzam spotkać się z MacGregorem i załatwić to raz na zawsze.

- Spotkać się z nim? Zabije cię! Nienawidzi Anglików jeszcze bardziej niż ja.

- To chyba niemożliwe - powiedział z sarkazmem. Wsiadł na konia i odjechał, pozostawiając za sobą dymiące jeszcze zgliszcza.

Godzinę później Chris zgodził się z opinią Bronwyn. Nadal nosił angielskie ubrania, ciężki aksamitny kaftan podbity futrem, jedwabne bryczesy i obcisłe wełniane pończochy.

Zadziwiająco, jak ci dwaj Anglicy, tak podobni do siebie w chwili przybycia do Szkocji, różnili się teraz wyglądem. Stephen zmienił się całkowicie, nawet jego skóra pociemniała.

Włosy wiły się swobodnie, z tygodnia na tydzień coraz dłuższe. Nawet jego nogi stały się bardziej muskularne od codziennego biegania.

- Ona ma rację - stwierdził Chris. - Nie zapukasz przecież do jego drzwi i nie powiesz, że chcesz rozmawiać z MacGregorem. Słyszałem opowieści o wyczynach Lachlana. Miałbyś szczęście, gdyby zabił cię natychmiast.

- A co innego mogę zrobić? Siedzieć i patrzeć, jak okrada moich ludzi?

Chris popatrzył na przyjaciela.

- Twoich ludzi? - zapytał. - Od kiedy jesteś Szkotem?

Stephen uśmiechnął się i przeczesał palcami włosy.

- To dobrzy ludzie i byłbym dumny, gdybym mógł stać się jednym z nich.

Porywczoci Bronwyn zawdzięczamy całe to zamieszanie. Jestem pewien, że da się to naprawić.

- Czy wiesz, że ten spór trwa już od kilkuset lat? Oba klany bez przerwy są w stanie wojny. Co za barbarzyński naród!

Stephen uśmiechnął się pobłaźliwie. Jeszcze kilka miesięcy temu mówiłby to samo.

- Wejdz i napijmy się. Wczoraj dostałem list od Gavina, w którym mnie prosi, żebym przywiózł Bronwyn do domu na gwiazdkę.

- Ona pojedzie?

Stephen zaśmiał się. - Może tak, może nie. A co z tobą? Pojedziesz z nami?

- Chciałbym. Mam już dość tego zimnego kraju. Nie rozumiem, jak możesz się tak pętać półnagi.

- Chris, powinieneś sam spróbować. To daje mężczyźnie wiele swobody.

Chris skrzywił się.

- Swoboda w zakresie odmrożenia moich najcenniejszych części ciała nie pociąga mnie szczególnie. Lepiej mi powiedz, gdzie tu można zapolować. Pomyślałem, że wezmę kilku moich i twoich ludzi i poszukam jeleni.

- Pod warunkiem że obiecasz zabrać też kilku ludzi Bronwyn.

Chris prychnął zniecierpliwiony.

- Nie wiem, czy nie powinienem się poczuć obrażony. - Przerwał, widząc wyraz twarzy Stephena. - W porządku, zrobię, jak zechcesz. Jeśli przytrafią się jakieś kłopoty, lepiej będzie mieć ze sobą kilku tych twoich dzikusów. - Uśmiechnął się i położył

Stephenowi rękę na ramieniu. - Zobaczymy się jutro, będziemy mieli dziczyznę na obiad.

Stephen już nigdy nie zobaczył go żywego.

Zimowe słońce właśnie zachodziło, gdy czterech ludzi Bronwyn przejechało przez bramę u nasady półwyspu. Ich odzież była podarta i zakrwawiona. Jeden z nich nosił na Policzku sporą szramę. Stephen ćwiczył właśnie na polu pod okiem Tama. Uczył się posługiwać toporem. Bronwyn obserwowała jego postępy. Tam pierwszy spostrzegł

rannych. Rzucił topór i pobiegł do nich, Stephen i Bronwyn ruszyli za nim.

- Co się stało, Francis? - zapytał dysząc. Pomógł synowi zsiąść z konia.

- MacGregor. Napadli na nas podczas polowania.

W okamgnieniu Stephen siedział na koniu. Chłopak popatrzył na niego.

- Dwie mile za jeziorem, przy Wschodnim Trakcie.

Stephen skinął tylko głową i pogalopował. Nawet nie zauważył, że Bronwyn i Tam podążyli za nim.

Promienie zachodzącego słońca odbijały się w zbroi leżącego na zimnej, szkockiej ziemi Chrisa. Stephen zeskoczył z konia i ukląkł przy przyjacielu. Delikatnie odsunął

przyłbicę.

Nie podniósł wzroku, gdy jeden z ludzi Chrisa zawołał:

- Lord Chris chciał pokazać Szkotom, jak się walczy. Włożył zbroję i zamierzał

zmierzyć się z MacGregorem twarzą w twarz.

Stephen objął spojrzeniem nieruchome ciało Chrisa. Wiedział, że ciężka zbroja uniemożliwiała przyjacielowi poruszanie się i ułatwiła MacGregorowi atak. Zbroja nie osłaniała całego ciała, poza tym były w niej liczne wgniecenia.

- Próbowali go uratować.

Dopiero wtedy Stephen zauważył trzech Szkotów leżących obok Chrisa. Ich młode, silne ciała były paskudnie pokiereszowane.

Stephen czuł wzbierającą wściekłość. Jego przyjaciel! Jego przyjaciel był martwy.

Wstał, chwycił Bronwyn i odwrócił ją twarzą do leżących mężczyzn.

- Oto wynik twojej eskapady. Popatrz na nich! Znasz ich?

- Tak - udało jej się wyszeptać. Znała ich od urodzenia. Odwróciła głowę.

Stephen chwycił ją za włosy i brutalnie pociągnął do tyłu.

- Czy pamiętasz ich głosy? Pamiętasz ich śmiech? Czy mają rodzinę? - Obrócił jej głowę tak, by musiała patrzeć na Chrisa. - Chris i ja wychowaliśmy się razem. Mieliśmy wspólne dzieciństwo.

- Puść mnie! - zawołała z desperacją. Stephen uwolnił ją.

- Uśpiłaś mnie i poprowadziłaś swoich ludzi na wyprawę, do tego wyryłaś swój inicjał na ciele MacGregora. To głupie! dziecinne zachowanie! A teraz za nie zapłaciliśmy, widzisz?!

Starła się trzymać głowę wysoko. Przecież nie mógł mieć racji.

Douglas uniósł miecz. Przyjechał tu za Bronwyn i Tamem.

- Musimy im za to odpłacić - wybuchnął. - Musimy najechać ich i pokonać MacGregora.

- Tak! - zawtórowała mu Bronwyn, - Musimy wziąć odwet. Teraz!

Stephen postąpił naprzód i wymierzył cios pięścią w twarz Douglasa. Chwycił jego miecz, zanim chłopak upadł.

- Posłuchajcie mnie uważnie - powiedział. - Ta sprawa zostanie załatwiona, ale bez przelewu krwi. To bezsensowny spór, a ja nie zamierzam go rozstrzygnąć. Zabicie wrogów nie przywróci nam życia przyjaciół.

- Jesteś tchórzem - rzekł cicho Douglas, rozcierając szczękę.

Zanim Stephen zdążył przemówić, Tam stanął obok syna. W jego dłoni błysnął

sztylet. Wymierzony był w pierś Douglasa.

- Możesz się z nim nie zgodzić, ale nie nazywaj go tchórzem - powiedział głębokim, lekko drżącym głosem.

Douglas zmierzył się z nim wzrokiem, po czym skinął głową i zwrócił się do Stephena:

- Pójdziemy za tobą.

- Pójdziecie za nim? - Bronwyn podniosła głos. - To ja jestem MacArran. Czy zapomnieliście, że on jest Anglikiem. Tam przemówił za swojego syna. - Nie sądzę, byśmy zapomnieli wszystko, czego się nauczyliśmy.

Bronwyn nie zapytała, czego się nauczył. Przyglądała się im, każdej twarzy po kolei, i zauważyła w ich spojrzeniu zmianę. Czy to się dokonało stopniowo, zastanawiała się, czy winili ją także za śmierć przyjaciół? Cofnęła się o krok, mając ochotę zakryć twarz rękoma.

- Nie - szepnęła i pobiegła do swego konia. Nie obchodziło ją, dokąd pojedzie. Łzy spływały jej po twarzy, przesłaniając wszystko. Przemierzała wzgórza, mijała jeziora. Nie zauważyła nawet, że przekroczyła granice ziem MacArranów.

- Bronwyn! - krzyknął ktoś za nią.

Z początku pogoniła konia, chcąc uciec od znajomego głosu. Dopiero gdy się z nią zrównał, zdała sobie sprawę, że to brat ją wołał.

- Davey - wyszeptała i gwałtownie zatrzymała konia.

Davey uśmiechnął się do niej. Był tego samego wzrostu, miał czarne włosy ich ojca, ale po matce odziedziczył brązowe oczy. Nieco wyszczuplał od ich ostatniego spotkania, a jego oczy zdradzały ukryty ogień.

- Płakałaś - zauważył. - To z powodu ludzi zabitych przez MacGregora?

- Wiesz? - zapytała, ocierając łzy wierzchem dłoni.

- To nadal mój klan, mimo decyzji ojca. - Na krótką chwilę jego oczy zrobiły się zimne. - Dawno cię nie widziałem. Usiądź ze mną i daj koniowi odpocząć.

Nagle brat wydał jej się dobrym przyjacielem i zapomniała o dniu, w którym Jamie MacArran wyznaczył ją na swoją spadkobierczynię. Doznanie było nieoczekiwane i tym bardziej bolesne. Owego dnia cały klan zebrał się oczekując, że dziedzicem zostanie Davey.

James MacArran zawsze uczciwie oceniał samego siebie i swoje dzieci. Opowiedział o nich swoim ludziom. Nie ukrywał, że Davey za bardzo lubił wojnę, i że bardziej zależało mu na walce niż na ludziach. Powiedział również, że Bronwyn jest zbyt porywcza i czasem działa, zanim zdąży pomyśleć. Oboje czuli się upokorzeni zarzutami ojca. Jamie stwierdził, że Bronwyn dałoby się poskromić, gdyby dostała męża takiego jak Ian, Ramsey czy Ennis.

Nawet wtedy nikt nie podejrzewał, na co się zanoszą. Gdy ogłosił Bronwyn swoją następczynią, pod warunkiem że poślubi jednego z wymienionych młodych ludzi, na dziedzińcu zaległa cisza. Potem, po kolei, wszyscy członkowie klanu pozdrowili ją, zdejmując czapki. Davey dopiero po jakimś czasie pojął, co się dzieje. Wtedy wstał i przeklął ojca, nazwał go zdrajcą i stwierdził, że nie jest już jego synem. Następnie zwrócił

się do zebranych, by poszli za nim i na zawsze opuścili klan. Tej nocy zamek opuściło trzynastu ludzi.

Bronwyn nie widziała brata od owego dnia. Minęło sporo czasu, zginęło wielu ludzi, w tym także jej ojciec, a ona sama wyszła za mąż za Anglika. Nagle słowa dawno wypowiedziane przez Daveya przestały być ważne.

Zsiadła z konia i objęła brata ramionami.

- Och, Davey, wszystko tak się poplątało.

- Ten Anglik?

Przytaknęła, przytulona do jego kościstej piersi.

- Wszystko pozmieniał. Teraz moi ludzie patrzą na mnie jak na intruza. Widziałam to w ich oczach; uważali, że on ma rację, a ja się mylę.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że ustawia twoich własnych ludzi przeciwko tobie? - Odsunął się od niej. - Jak mogą być aż tak ślepi? Musi być niezłym aktorem, skoro udało mu się, pomimo śmierci naszego ojca, przełamać w nich nienawiść. Jak oni mogli zapomnieć, że to Anglicy zabili MacArrana? Czy Tam też zapomniał o śmierci swego syna.

- Nie wiem - odparła Bronwyn, siadając na zwalonym pniu. - Wygląda na to, że wszyscy mu zaufali. Ubiera się jak Szkot Ćwiczy razem z nimi. Nawet zachodzi do chłopów. Widzę ich razem śmiejących się i wiem, że go lubią.

- Ale czy zrobił cokolwiek, by zasłużyć na ich zaufanie? Mam na myśli coś więcej oprócz całowania dzieci.

Dotknęła palcami skroni. Widziała teraz tylko czterech martwych mężczyzn na ziemi.

- Nie zrobił też nic, co wzbudziłoby ich podejrzliwość.

Davey prychnął lekceważąco.

- Starał się na pewno. Poczekaj, aż zdobędzie ich pełne zaufanie, a potem sprowadzi tu Anglików.

- Anglików? O czym ty mówisz?

- Nie rozumiesz? - zapytał cierpliwie. - Powiedz, zamierza wkrótce pojechać do Anglii?

- Tak - odparła zaskoczona. - Chyba chce, żebyśmy wyjechali na kilka tygodni.

- Wtedy właśnie sprowadzi tu swoich Anglików. Nauczy ich tego, czego dowiedział

się o szkockim stylu walki, i trudno wam będzie się przed nimi obronić.

- Nie! - Wstała. - Davey, nie wolno rzucać takich podejrzeń. On nie jest taki. Potrafi być łagodny i wiem, że zależy mu na moich ludziach.

Posłał jej pełne niesmaku spojrzenie.

- Słyszałem, że jęczysz, gdy bierze cię do łóżka. Boisz się go stracić. Poświęciłabyś swój klan, byle czuć na swym ciele te jego angielskie łapska.

- To nieprawda! Klan jest dla mnie najważniejszy. - Urwała nagle. - Zapomniałam, że zawsze się kłóciliśmy. Muszę wracać.

- Nie - rzekł spokojnie Davey, kładąc rękę na jej ramieniu. - Przepraszam, że cię zdenerwowałem. Usiądź ze mną jeszcze na chwilę. Tęskniłem za tobą. Powiedz mi, jak się ma Larenston? Czy załataliście już dziurę w dachu? Ilu Tam ma teraz synów?

Uśmiechnęła się siadając. Przez jakiś czas rozmawiali, aż zapadła noc. Opowiedziała mu o wszystkich wydarzeniach. Dowiedziała się, że Davey mieszka gdzieś na wzgórzach, ale nie zwierzał się jej zbyt wiele, a ona postanowiła to uszanować.

- Podoba ci się bycie głową klanu? - zapytał przymilnie. - Czy ludzie cię słuchają?

- Tak. Okazują mi dużo szacunku.

- Aż do tego ranka, gdy zwrócili się do twojego męża?

- Nie zaczynaj znowu.

Davey oparł się plecami o drzewo.

- To wstyd, by setki MacArranów były podporządkowane Anglikowi. Gdybyś miała czas, mogłabyś odzyskać swój autorytet, ale nie można oczekiwać od mężczyzny, że pójdą za kobietą, którą inny mężczyzna poniża.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Tak sobie tylko myślę. A jeśli ten Stephen jest szpiegiem wysłanym przez króla Henryka? Jak zdobędzie zaufanie twoich ludzi, może wyrządzić Szkocji wiele szkód.

Oczywiście, będziesz próbowała poprowadzić klan przeciw niemu, ale ludzie tak się przyzwyczajają do lekceważenia ciebie, że nie zareagują na twoje wysiłki.

Nie potrafiła odpowiedzieć bratu. Przypomniała sobie, jak ostatnimi czasy jej ludzie często zwracali się do Stephena po radę, a przecież zaraz po jego przyjeździe z Anglii słuchali tylko jej.

Davey nie ustępował.

- To źle, że nie spędziłaś choć kilku dni sama ze swoim klanem. Gdyby tak się stało, sami

zobaczyliby że masz dość rozsądku, by nimi kierować. Kiedy - o ile w ogóle - ten Montgomery zdradzi się, mogłabyś ich uratować.

Nie chciała nawet myśleć o tym, co powiedział. To ona była winna śmierci ludzi. Jej głupota i porywczosć spowodowały śmierć czterech mężczyzn i Stephen miał rację, winiąc ją o to. Jej ludzie mieli prawo zgodzić się z nim. Ale czy był szpiegiem? A jeśli rzeczywiście zamierzał wykorzystać zaufanie jej ludzi przeciwko nim samym? Przez całe pokolenia Szkoci nienawidzili Anglików. I nie bez przyczyny. Być może i w życiu Stephena zdarzyło się wiele tragedii, które mogłyby kazać mu nienawidzić Szkotów. Może Davey miał rację i Stephen prowadził ich wszystkich prosto w zastawione sidła? Chwyciła się za głowę.

- Nie jestem w stanie myśleć - wyszeptała. - Nie wiem, kim on jest i czy można mu ufać.

- Bronwyn - powiedział Davey, biorąc ją za rękę. - Możesz w to nie wierzyć, ale zależy mi na tym klanie. Miałem wiele miesięcy, żeby to przemyśleć. Zrozumiałem, że to ty powinnaś zostać przywódcą klanu. - Przyłożył palec do jej ust - Nie, pozwól mi skończyć.

Chcę ci pomóc. Przekonać się, że on nie jest szpiegiem. Że nie zniszczy naszego klanu.

- Przekonać się? Co masz na myśli?

- Zabiorę go do mojego obozu, to wszystko. Nic mu się nie stanie, a podczas jego nieobecności ty umocnisz swoją pozycję jako głowy klanu MacArran.

- Zabrać go! - Wstała, a jej oczy błyszczały w mroku nocy.

- Nic mu się nie stanie. Głupotą byłoby zrobienie mu krzywdy. Król Henryk wydałby wojnę klanowi MacArran. Chcę ci tylko dać trochę czasu.

Odsunęła się od niego.

- A co ty z tego będziesz miał? - zapytała trzeźwo. - Chcę wrócić do domu - odparł

ciężko. - Jeśli zrobię to dla ciebie, wrócę z honorem. Moi ludzie głodują, Bronwyn. Nie jesteśmy rolnikami i nie mamy chłopów, by na nas pracowali.

- Przejęlibyśmy cię w domu, wiedz o tym - zapewniła go spokojnie. Podskoczył.

- I pozwoliłabyś, by wszyscy się ze mnie śmiali, że wróciłem do domu z podkulonym ogonem? Nie! - Po chwili ochłonął. - Zachowałbym honor, gdybym wrócił

jako zwycięzca. Wjechalibyśmy do Larenston razem z twoim mężem i wszyscy, począwszy od samego króla Henryka, byłiby nam wdzięczni.

- Ja... nie, to niemożliwe. Stephen jest..

- Przemyśl to. Odzyskałabyś kontrolę nad swoimi ludźmi. A może bardziej zależy ci na tym Angliku

niż na własnym bracie? - zadrwił.

- Nie! Oczywiście, że nie. Ale gdyby mu się coś stało...

- Obrażasz mnie! Czy sądzisz, że ja w ogóle nie myślę? Gdybym mu zrobił krzywdę, cóż dopiero zrobiłby nam król Henryk! Bronwyn, proszę, przemyśl to. To dla dobra klanu.

Nie komplikuj bardziej całej tej sytuacji. Nie czekaj, aż staną na polu walki, zmuszeni wybrać między Anglią a Szkocją. Pozwól im poczuć, że są Szkotami. Nie każ im wybierać.

- Davey, muszę już iść. Proszę.

- Powinnaś. Przemyśl to. Masz trzy dni. Spotkamy się przy urwisku. Tam gdzie spadł

Aleks.

Zdziwiona podniosła wzrok.

- Dużo wiem o moim klanie - powiedział, a potem dosiadł konia i odjechał.

Bronwyn patrzyła w ślad za nim, aż pochłonęła go ciemność. Bała się wrócić do Larenston, stawić czoło śmierci swoich ludzi i gniewowi Stephena. Ale należała do MacArranów, nie mogła okazać się tchórzem. Wyprostowała się i wskoczyła na konia.

9

Bronwyn szła powoli przez podwórze. Od czasu śmierci jej ludzi miała trzy dni na myślenie. Prześladowały ją słowa Daveya. Z każdą chwilą uświadamiała sobie coraz wyraźniej, że jej ludzie zaczynają akceptować Stephena. Było naturalne, że potrzebują męzczyzny przywódcy, jako że od śmierci Jamiego MacArrana minęło zaledwie kilka miesięcy. Ale Bronwyn nie ufała żadnemu Anglikowi. Wiedziała, jacy są podstępni, chciwi i okrutni. Miała okazję poznać ich, gdy była jeńcem sir Tomasza Crichtona.

Stephena śmierć przyjaciela dotknęła bardzo boleśnie. Mówił mało i Bronwyn często zastawała go wpatzonego w przestrzeń. Zaraz po wypadku kazał pakować rzeczy mówiąc, że musi zawieźć do Anglii ciało Chrisa.

W nocy leżeli obok siebie, nie dotykając się, nie rozmawiając. Bronwyn miała wciąż przed oczyma widok zabitych. Zastanawiała się, jak postąpiłby jej ojciec, gdyby błąd kosztował go śmierć ludzi, których kochał. Czowała, jak łzy dławia ją w gardle, ale głowa klanu nie powinna płakać. Musi być silna i nie bać się samotności.

Mimo przytłaczającego ją poczucia winy, musiała jeszcze rozważyć propozycję Daveya. Znała dumę swego brata. wiedziała, jak trudno mu było prosić ją o cokolwiek. Ale wysyłać do niego Stephena?...

Przyłożyła ręce do skroni. Chciała robić to, co jest dobre dla wszystkich, tymczasem czuła się taka samotna i bezsilna, I co właściwie powinna teraz uczynić?

Sama osiodłała konia i pojechała na spotkanie z bratem.

Przez kilka chwil Davey świdrował ją wzrokiem. Ale kiedy Bronwyn, patrząc na swoje dłonie, starała się dobrać właściwe słowa, odgadł jej decyzję.

- Ach, tak! - zawołał, jego oczy wyrażały pogardę i wściekłość. - Przedkładasz kochanka nad swój własny klan.

Spojrzała na niego odważnie.

- Wiesz, że to nieprawda.

Prychnął lekceważąco.

- Zapewne mi nie uwierzysz, ale miałem nadzieję, że dasz mi szansę wykazania się, udowodnienia, że wyrosłem już z tego niepokornego chłopca, który przeklął swego ojca.

- Chciałabym, Davey - powiedziała cicho. - Zamierzam robić to, co jest dobre dla nas wszystkich.

- Jak wszyscy diabli! - wybuchnął. - Chodzi ci tylko i o siebie. Boisz się mojego powrotu. Boisz się, że wszyscy pójdą za mną, prawdziwym MacArranem. - Odwrócił się od niej.

- Davey, proszę. Nie chcę, żebyśmy się tak rozstawali. Pojedź ze mną do domu, choćby na chwilę.

- Żeby patrzeć beczynnym, jak moja siostra zajmuje bezprawnie moje miejsce? Nie, dziękuję. Wolę raczej być królem mojego biednego królestwa niż czyimś sługą. - Wskoczył

na siodło i odjechał galopem.

Bronwyn nie miała pojęcia, jak długo tam stała, wpatrując się w ziemię. Czute się bezradnie i głupio. - Kto to był? - zapytał łagodnie Stephen. Podniosła wzrok, wcale nie zaskoczona jego obecnością.

Był przy niej niemal zawsze, nawet wtedy, gdy się tego najmniej spodziewała.

- Mój brat - wyjaśniła bezbarwnym głosem.

- David? - zapytał z zainteresowaniem i popatrzył za oddalającą się sylwetką, jeźdźca.

Nie odpowiedziała.

- Prosiłaś, żeby przyjechał do Larenston? Czy powiedziałaś mu, że bramy są dla niego zawsze otwarte?

- Nie musisz mi podpowiadać, co mam mówić własnemu bratu. - Odwróciła się, czując napływające do oczu łzy. Ujął ją za rękę.

- Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

Szarpnęła się, ale przyciągnął ją do siebie.

- Nie miałem racji, obwiniając cię o śmierć Chrisa. Byłem tak rozżalony, że musiałem się na kimś wyładować. Nie powinienem.

Nie odrywała twarzy od jego piersi. Czekwała, aż obejmie ją i przytuli.

- Nie! Miałaś rację! To ja zabiłam swoich ludzi i twojego przyjaciela.

Przytulił ją mocno, czując drżenie jej ciała. Jej ramiona były takie wąskie i drobne.

- Ale takiej odpowiedzialności nie możesz wziąć na siebie. Uniósł jej brodę.

Popatrz na mnie. Czy chcesz w to wierzyć czy nie, jesteśmy w tym razem i ja dzielę z tobą odpowiedzialność za tę sprawę.

- Ale to ja - zaprzeczyła z desperacją, Przyłożył jej palec do ust i przyjrzał się jej. -

Jesteś taka młoda, nie masz nawet dwudziestu lat, a jednak starasz się chronić setki ludzi, nawet przede mną, podejrzewając, że mogę być szpiegiem. Roześmiał się, widząc wyraz jej twarzy. - Zaczynam cię rozumieć. Teraz myślisz, że pewnie mam jakiś ukryty cel, mówiąc w ten sposób. Podejrzewasz, że planuję jakiś podstęp i chcę ci zamydlić oczy słodkimi słówkami. Odsunęła się od niego.

- Pozwól mi odejść! - Jego słowa były przerażająco bliskie temu, co pomyślała.

Uśmiechnął się.

- Czyżbym trafił aż tak blisko celu? Chcesz, żebym pozostał obcym, prawda? Kimś, kogo łatwo mogłabyś znienawidzić. Ale nie zamierzam cię zostawiać samej tak długo, byś mogła zapomnieć, że przede wszystkim jestem człowiekiem, a dopiero potem Anglikiem.

- To... to nie ma sensu. Muszę wracać do Larenston.

Nie zareagował, tylko usiadł na trawie, pociągając ją za sobą.

- Jutro ruszamy do Anglii Co myślisz o spotkaniu z moją rodziną?

- Nie myślałam jeszcze o tym. - Jej oczy błysnęły, gdy przypomniała sobie pobyt w domu sir Tomasza. - Nie lubię Anglików.

- Nawet ich nie znasz - odparował Stephen. - Spotkałaś tylko ich garstkę.

Wstydziłem się swoich własnych ludzi za to, jak cię traktowali u sir Tomasza.

- Nie pozwolili mi nawet stanąć w ślubnej sukni przed ołtarzem.

Zakrzuszył się.

- Nie zapomnisz mi tego, prawda? Może gdy poznasz moją bratową, Judytę, wybaczysz mi.

- Jaka... ona jest? - zapytała zaciekawiona.

- Piękna. Miła, spokojna i elegancka. Bez najmniejszego trudu zarządza majątkiem Gavna. Król Henryk też jest pod jej wrażeniem i niejednokrotnie zasięgał jej opinii.

Bronwyn westchnęła ciężko.

- To miło usłyszeć o kimś, że jest kompetentny i nie zaniedbuje swoich obowiązków.

Szkoda, że mój ojciec nie mógłby się pochwalić córką godną tytułu dziedzica.

Uśmiechnął się i oparł ją plecami o siebie, a sam wyciągnął się na chłodnej, wilgotnej ziemi.

- Jak na kobietę, radzisz sobie dobrze.

Zamrugła powiekami.

Jak na kobietę? Czy uważasz, że kobieta nie jest zdolna do dowodzenia klanem?

Wzruszył ramionami. - Na pewno nie tak młoda, śliczna i rozpuszczona.

- Rozpuszczona! Przez całe życie się do tego przygotowywałam. Wiesz, że umiem czytać lepiej niż ty i potrafię dodać całą kolumnę liczb.

Roześmiał się.

- Do rządzenia ludźmi potrzebne jest coś więcej niż dodawanie. - Przez chwilę przyglądał się jej. - Jesteś taka piękna - powiedział cicho i pochylił się, by ją pocałować.

- Puść mnie! Jesteś nieznośnym, ograniczonym, ciemnym... - urwała, bo jego ręka zaczęła pieścić jej nogi.

- Tak? - wyszeptał jej prosto w twarz. - Jaki jestem?

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to - odparła nieswoim głosem. Wygięła się do tyłu, gdy dotknął ustami jej szyi.

Mimo pozornego odosobnienia nie byli sami. Z pobliskiego wzgórza śledził ich David MacArran.

- Dziwka! - szepnął. Przedkłada żądze nad potrzeby własnego brata. - I pomyśleć, że Jamie MacArran uznał, że jest bardziej godna tytułu dziedzica.

Uniósł pięść, wygrażając obojgu. Jeszcze im pokaże! Pokaże całej Szkocji, kto tu jest najsilniejszy, kto powinien zostać dziedzicem!

Ostro zaciął konia i ruszył galopem do swojego tajnego obozowiska na wzgórzach.

Słońce ledwo wzeszło, gdy wozy przetoczyły się wąską ścieżką łączącą półwysep z lądem stałym. U boku Stephena jechali jego ludzie, tak ogorzali, że z trudnością można ich było odróżnić od Szkotów. Jechali w ciszy. Wozy załadowane były angielskimi ubraniami, a ludzie Bronwyn zastanawiali się, jak wypadną w angielskim społeczeństwie.

Bronwyn nękały inne obawy. Morag zrobiła jej długi wykład, gdy dowiedziała się o planach Daveya.

- Nie wierz mu - powtarzała, wymierzając w nią swój kościsty palec. - Zawsze był przebiegły, nawet jako dziecko. On chce dostać Larenston i nic go nie powstrzyma.

Bronwyn próbowała bronić brata, ale teraz przypomniła sobie ostrzeżenia Morag.

Po raz setny rozejrzała się z niepokojem.

- Zdenerwowana? - zapytał jadący u jej boku Stephen. - Nie musisz się martwić.

Spodobaś się mojej rodzinie.

Dobłą minutę zajęło jej zrozumienie tego, co mówił. Uniosła głowę:

- Powinieneś się raczej martwić, czy to oni spodobają się MacArranom - powiedziała przyspieszając.

Zachodziło już słońce, gdy pierwsza strzała przeleciała tuż obok ucha Bronwyn.

Właśnie zaczęła się uspokajać i powoli zapominać o swoich obawach. Z początku nie zrozumiała, co się dzieje.

- Napad! - krzyknął Stephen, a jego ludzie błyskawicznie uformowali pierścień broniący kobiet i wozów. Przygotowali broń. Szkoci zeskoczyli z koni, zrzucili plaidy i wbiegli do lasu.

Siedziała ogłupiała na koniu patrząc, jak otaczający ją ludzie padają martwi.

- Bronwyn! - krzyknął Stephen. - Jedź!

Usłuchała instynktownie. Strzały śmigły wokół niej. Jedna musnęła jej udo i zraniła niegroźnie konia, który zarżał, strwożony. Nagle zrozumiała, co ją tak bardzo dziwi.

Wszystkie strzały były wymierzone w nią! A jednym z łuczników był człowiek, który opuścił klan razem z Daveyem. Jej brat próbował ją zabić!

Pochyliła się w siodle i popędziła konia. Nie musiała się odwracać, słyszała pędzących za nią jeźdźców. Trzymała się tui za Stephenem, wyprowadzającym ją z pola obstrzału. Przynajmniej tym razem nie musiała się zastanawiać, czy mu zaufać.

Krzyknęła, gdy trafili jej konia. Zanim zwierzę ukłękło, Stephen wychylił się do tyłu, chwycił ją w pasie, uniósł i posadził przed sobą na siodle. Niemal położyła się na końskiej szyi. Jechali galopem przez dziką, nieznaną okolicę. Bronwyn czuła, że ogier Stephena już się zmęczył.

Nagle Stephen opadł ciężko na jej plecy. Niewiele myśląc ściągnęła cugle. Koń zboczył z drogi i zagłębili się w las. Musiała się zatrzymać, zanim Stephen spadnie z konia.

W lesie nie mogli poruszać się szybko, ale za to może uda się choć trochę odpocząć.

Ponownie ściągnęła wodze, aż wędzidło wpiło się boleśnie w koński pysk.

Bezwładne ciało Stephena opadło na ziemię, zanim zdążyła zeskoczyć. Na głowie Stephena pojawiła się plama krwi, w miejscu gdzie zraniła go strzała. Bronwyn nie miała czasu na rozmyślanie, słyszała już tętent końskich kopyt. Na ziemi pełno było suchych liści, i to poddało jej pewną myśl.

Cicho, by nie zostać usłyszaną przez ścigających, odprowadziła konia na bok. Nie mogła ryzykować, więc odpięła srebrną broszkę i wbiła jej ostry koniec w zad zwierzęcia.

Ruszyło przed siebie z kopyta. Sama pobiegła do Stephena, opadła na kolana i wepchnęła męża pod zwalony pień. Przykryła go naręczem liści. Tkanina jego ubrania zlewała się z kolorem poszycia. Położyła się obok niego i zagrzebała w liściach.

Chwilę później pojawili się rozgorączkowani pościgiem ludzie. Bronwyn otoczyła Stephena ramieniem i zakryła mu dłonią usta na wypadek, gdyby się ocknął i jęknął.

- A niech ją!

Wstrzymała oddech; głos Daveya rozpoznałaby wszędzie.

- Zawsze jak kot spada na cztery łapy! Ale ja ją dopadnę! - dodał zawistnie. - I tego jej angielskiego męża! Pokażę królowi Henrykowi, kto rządzi Szkocją!

- Tam jest koń! - usłyszała inny głos.

- Ruszajmy! - zdecydował Davey. - Nie ujechała daleko.

Dużo czasu upłynęło, zanim Bronwyn odważyła się wyjść z ukrycia. Z początku była zbyt wstrząśnięta i przerażona. Gdy jej umysł zaczął normalnie pracować, wróciła też czujność. Najpierw musiała się upewnić, że Davey nie zostawił nikogo w okolicy.

Nasłuchiwała odgłosu kopyt końskich, czekając tym razem na swoich ludzi, ale gdy w ciągu godziny nikt się nie pojawił, straciła nadzieję.

Było już zupełnie ciemno, gdy Stephen po raz pierwszy poruszył się i jęknął.

- Cicho - szepnęła, gładząc go po policzku. Jej prawa ręka, zdrętwiała zupełnie od podtrzymywania jego głowy.

Powoli, łowiąc uważnie wszelkie dźwięki dochodzące z otaczającego ich lasu, rozgarnęła liście. Jej oczy przyzwyczyły się już do ciemności. Nie opodał, pod niewielką skarpią, był strumień. Pobiegnęła tam i, oderwawszy spory kawał płótna z lnianej koszuli, zmoczyła go w wodzie.

Uklękła przy Stephenie, zwilżyła mu usta i opatrzyła ranę. Nie wygadała groźnie, ale Bronwyn wiedziała, że tego typu urazy głowy mogą mieć poważne konsekwencje.

Niewykluczone, że strzała uszkodziła mózg.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Blask księżyca nadawał jego oczom srebrny odcień.

Pochyliła się nad Stephenem.

- Kim jestem? - zapytała cicho.

Jego twarz pozostała poważna, jakby to pytanie było dla niego niespodzianką.

- Błękitnookim aniołem, który czyni moje życie raz niebem, raz piekłem. Skrzywiła się z niesmakiem i upuściła zakrwawioną szmatkę na jego twarz.

- Niestety, nic się nie zmieniłeś.

Stephen uśmiechnął się blado, po czym spróbował usiąść. Uniósł brwi, gdy Bronwyn w naturalnym geście otoczyła go ramieniem, by mu pomóc.

- Jest aż tak źle? - szepnął pocierając skroń.

- co ci chodzi? - zapytała podejrzliwie.

- Pomagasz mi, musi być gorzej, niż przypuszczałem. Zesztywniała.

- Nie powinnam cię była przykrywać, tylko pozwolić, żeby cię znaleźli.

- Głowa mi pęka i nie mam ochoty na dyskusje. A co, u diabła, zrobiłaś z moimi plecami? Powbijalaś stalowe szpilki.

- Spadłeś z konia - odparła z pewną satysfakcją, Nawet w ciemnościach dostrzegła jego ostrzegawcze spojrzenie. - Chyba muszę zacząć od samego początku.

- Byłbym ci nieskończenie wdzięczny - odparł z jedną ręką na głowie, a drugą masując plecy.

Opowiedziała mu możliwie krótko o tym, jak Davey planował go porwać.

- A ty się pewnie zgodziłaś - skwitował to gorzko.

- Ależ nie!

- Pozbycie się mnie wybawiłoby cię od wielu kłopotów. Dlaczego nie zgodziłaś się na jego plan?

- Nic wiem - odparła poważnie.

- Jego argumenty były dość logiczne, a poza tym to wspaniała okazja, żeby się mnie pozbyć.

- Nie wierni - powtórzyła z naciskiem. - Wydaje mi się, że nie dość mu ufałam.

Teraz, gdy leżeliśmy pod liśćmi, słyszałam, jak mówił, że... chce zabić nas oboje.

- Tyle sam wiedziałem.

- Skąd?

Dotknął pukla jej czarnych włosów.

- Wniosek wyciągnięty na podstawie liczby strzał wymierzonych dokładnie w ciebie.

I to, że chcieli nas oddzielić od reszty naszych ludzi. Zmartwiło cię to, prawda?

Zwiesiła głowę.

- A ty co byś zrobił, gdyby któryś z twoich braci powiedział, że właśnie chciał cię zabić?

Pomimo ciemności dostrzegła bladość jego twarzy. Popatrzył na nią wstrząśnięty.

- To chyba niemożliwe - powiedział, chcąc zakończyć j przykry temat. Rozejrzał się.

- Gdzie my jesteśmy?

- Nie mam pojęcia.

- A co z ludźmi? Są tu gdzieś?

- Jestem tylko kobietą, nie pamiętasz? Cóż mogę wiedzieć I o strategii wojennej?

- Bronwyn! - ostrzegł.

- Nie wiem, gdzie jesteśmy. Jeśli nasi ludzie nie znajdą nas, wrócą do Larenston, gdzie i my musimy dotrzeć jak najszybciej. - Przechyliła głowę. - Cicho! - szepnęła. - Ktoś tu jedzie. Musimy się ukryć.

Pierwszym odruchem Stephena było zmierzyć się z intruzem, kimkolwiek by się okazał. Ale nie miał przy sobie broni oprócz sztyletu przy pasie, a poza tym nie wiedział, ilu ludzi, może tu się pojawić.

Bronwyn chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Poprowadziła go do niewysokiego wału i tam się ukryli. Cicho wśliznęli się pod grubą warstwę liści, obserwując dwóch zbliżających się jeźdźców. Byli to najwyraźniej myśliwi, szukający zabawy, a nie Bronwyn i jej męża.

Stephen poruszył się, jakby miał zamiar odezwać się do nadjeżdżających, ale Bronwyn powstrzymała go. Spojrzał na nią zaskoczony, ale nie wydał z siebie nawet najcichszego dźwięku.

- To nie byli ludzie Daveya - oświadczył Stephen, gdy jeźdźcy znaleźli się dostatecznie daleko.

- Gorzej - odpowiedziała. - To byli MacGregorowie.

- Nie próbuj mi wmawiać, że znasz osobiście każdego z nich.

Pokręciła głową z dezaprobatą na tak niewiarygodną ignorancję.

- Kokardy na ich nakryciach głowy miały kolory i znaki MacGregorów.

Posłał jej pełne podziwu spojrzenie za jej spostrzegawczość.

- Chyba już wiem, gdzie jesteśmy.

Odwrócą się, położył na plecach i westchnął.

- Nic nie mów - powiedział z sarkazmem. - Pozwól zgadnąć. Jesteśmy w samym sercu majątku MacGregorów. Jesteśmy bezbronni, nie mamy konia, żywności ani złote.

Jesteśmy ścigani przez twego brata, a i MacGregorowie nie mieliby nic przeciwko naszym głowom podanym na tacy.

Bronwyn odwróciła się do niego. Nieoczekiwanie zachichotała. Stephen popatrzył na nią zdziwiony i także się uśmiechnął.

- Beznadziejne, prawda?

- Tak - potwierdziła, a w jej oczach igrały figlarne błyski.

- Oczywiście, nie jest to powód do śmiechu.

- Absolutnie.

- Ale to jest śmieszne. - Roześmiał się. Przyłączyła się do niego.

- Jutro już pewnie będziemy martwi, w ten czy inny sposób.

- Co więc zamierzasz robić w swoją ostatnią noc na ziemi? - zapytał, a jego błękitne oczy lśniły w świetle księżyca.

- W każdej chwili może ktoś nadjechać - powiedziała poważnie.

- Hmm. Może warto, żeby coś zobaczył?

- Co takiego?

- Nagą parę w miłosnym uniesieniu. Owinęła się szczelnie plaidem.

- Jest potwornie zimno, nie sądzisz? - zapytała niewinnie.

- Założę się, że udałoby się nam rozgrzać. W istocie połączenie wysiłków nie byłoby takie głupie.

- W takim razie... - podniosła się i przypadła nagle do niego.

Stephen aż sapnął ze zdziwienia, potem roześmiał się.

- Teraz widzę, że powinienem był przywieźć cię na ziemie MacGregorów dużo wcześniej.

- Cicho, Angliku! - rozkazała, pochyliła się i zaczęła go całować.

Żadne z nich nie pamiętało, że znajdują się na krawędzi stoku. Namiętność, podniecana świadomością czekającego ich losu, stępiła ich wrażliwość na mniejsze, bliższe zagrożenia.

Bronwyn pierwsza straciła równowagę. Odsunęła się tylko, by zdjąć spódnicę, podczas gdy Stephen ścigał swoje ubranie, a chwilę później toczyła się już zboczem.

Stephen wyciągnął ku niej rękę, ale była już za daleko. Wychylił się więc bardziej i potoczył się za Bronwyn.

Wylądowali razem na dole, nadzy, oklejeni liśćmi.

- W porządku? - zapytał Stephen.

- Będzie w porządku, jeśli ze mnie zejdziesz. Łamiesz mi nogę.

Zamiast usłuchać, położył się na niej całym ciałem.

- Nigdy dotąd nie skarżyłaś się, że jestem zbyt ciężki - powiedział i zaczął pieścić jej ucho.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

- Czasami rzeczywiście nie jesteś ciężki.

Powędrował ustami na jej szyję.

Nagle coś niebywale ciężkiego wylądowało na jego plecach. Na chwilę oparł się całym ciałem na Bronwyn, potem podniósł się na rękach, żeby ją obronić.

- Ki diabeł?!

- Rab! - krzyknęła Bronwyn i wysliznęła się spod Stephena.

- Och, Rab - powtórzyła głębokim, uradowanym głosem.

- Rab, najśłodszy Rab. - Ukryła twarz w gęstym futrze psa. Stephen przysiadł na piętach.

- Tego mi było trzeba - stwierdził z sarkazmem. - Jakby moje plecy nie były jeszcze dostatecznie zmalretowane.

Rab odsunął się od Bronwyn i przypadł do Stephen. Ten, wbrew swoim własnym słowom, przytulił go, a pies lizał go po twarzy, starając się w ten sposób wyrazić swoje przywiązanie.

- No, nie wstydzisz się teraz? - zaśmiała się Bronwyn. - Kocha cię i cieszy się, że cię widzi.

- Szkoda, że nie zwraca uwagi na moje uczucia. Leżeć, Rab! Zaraz mnie zjesz. Hej, piesku, aport - Stephen udał, że rzuca kij, a pies pognął do lasu.

- To było wstrętne! Wiesz, że całymi godzinami będzie szukał. Tak bardzo chce się przypodobać.

Stephen chwycił ją za rękę. - Mam nadzieję, że spędzi tam resztę nocy. Czy wiesz, jak apetycznie wyglądasz w świetle księżyca? Popatrzyła na niego, na jego szeroką pierś i ramiona.

- Ty też nie wyglądasz źle.

Przyciągnął ją do siebie.

- Gadasz, a ja mogę nigdy już nie wrócić do Larenston. Na czym to stanęliśmy?

- Byłeś ranny w plecy i... Przerwał jej pocałunkiem.

- Chodź tu, dziewczucho - szepnął. Opadli na liście.

Było dość zimno, ale żadne z nich tego nie zauważyło. Przykryły ich liście, dały im ciepło. Bronwyn czuła na sobie uda Stephen i przyciągała go do siebie coraz gwałtowniej.

Mocowali się ze sobą, śmiejąc się. W ich ciała wpijały się kamienie, patyki, ale nie przeszkadzało to im. W pewnym momencie Stephen zaczął łaskotać Bronwyn i gdy usłyszał

jej śmiech, tak dziwny dla jego uszu, żądza rozpalila go do białości.

- Bronwyn - szepnął, przycisnął ją i spoważniał.

Tym razem było inaczej niż zazwyczaj. Sytuacja zagrożenia sprawiła, że poczuli się absolutnie wolni. Była to nie tylko namiętność, ale też radość, zabawa.

- Nie miałem pojęcia, że masz łaskotki - szepnął sennie Stephen, przytulając Bronwyn do siebie.

Rab wyciągnął się po drugiej stronie.

- Ja też nie. Idziemy po ubranie?

- Za chwilę - odparł szeptem Stephen. - Za chwi...

Wczesnie rano obudziło ich warczenie Raba. Stephen zareagował natychmiast.

Usiadł i schował Bronwyn za siebie. Patrzył na mężczyznę stojącego w odległości około dwudziestu stóp od nich. Był niski, mocno zbudowany, miał brązowe oczy i ciemne włosy. I miał kokardę MacGregorów.

- Dzień dobry - zawołał przyjaźnie. - Nie chciałem wam Przeszkadzać. Przeszedłem po wodę, ale wasz pies nie chciał mnie przepuścić.

Stephen usłyszał, jak Bronwyn nabiera powietrza, żeby mu odpowiedzieć. Odwrócił

się do niej i spojrzał na nią ostrzegawczo. Była zakopana w liściach, widać było tylko jej głowę i ramiona.

- Dobry - odparł równie serdecznie Stephen ze szkockim akcentem. - Rab, odejdz, pozwól temu panu przejść.

- Dziękuję, sir - powiedział mężczyzna i podszedł do strumienia.

- Rab, przynieś ubranie - rozkazał Stephen, patrząc, czy pies usłucha. Odwrócił się do człowieka przy strumieniu, obserwującego z zainteresowaniem nagą parę. - Coś w guście Adama i Ewy, czyż nie? - zaśmiał się. Człowiek zawtórował mu śmiechem.

- Właśnie to sobie pomyślałem. - Wstał. - Nie widziałem waszego wozu ani koni, więc nie miałem pojęcia, że ktoś tu jest.

Stephen włożył koszulę, zręcznie owinął się plaidem i zapiął szeroki pas. Obaj odwrócili się dyskretnie, gdy Bronwyn wkładała swoje ubranie. Nie odezwała się, zdumiona, słysząc Stephena mówiącego z ich szkockim akcentem.

- Szczerze mówiąc - powiedział Stephen - mamy tylko to, co na grzbiecie.

Bronwyn zauważyła, że schował za siebie nakrycie głowy i oderwał kokardę MacArranów. - Napadli nas złodzieje.

- Złodzieje?! - zdziwił się mężczyzna. - Na ziemi MacGregorów? Nieładnie.

- O, tak - zgodził się Stephen. - Szczególnie, że niektórzy z nich byli tymi szubrawcami MacArranami. Ach, przepraszam, moja droga, nie chciałem cię pociągnąć za włosy - powiedział, gdy Bronwyn otworzyła usta w przerażeniu.

Ach, MacArranowie - powtórzył człowiek. - Nigdy jeszcze nie było na tej ziemi równie podstępnej, tchórzliwej zgrai. Czy wiesz, że niedawno o mały włos nie zabili MacGregora tylko dlatego, że wjechał na ziemię tej kobiety? Ta wiedźma wyciągnęła nóż i prawie go okaleczyła. Słyszałem, że chciała mu odciąć jego męskość. Pewnie zazdrosna.

Stephen obrócił Bronwyn tak, by mężczyzna nie widział jej twarzy.

- Pozwól, że pomogę ci zapiąć broszkę - rzeki uprzejmie.

- Tylko go drasnęłam - mruknęła z niesmakiem.

- Co takiego? - zapytał obcy. Stephen uśmiechnął się.

- Zona mnie ostrzega, że skaleczyłem ją, gdy ostatnim razem zapinałem jej broszkę.

Mężczyzna zachichotał.

- Jestem Donald Farquhar z klanu MacGregor.

Stephen uśmiechnął się radośnie.

- A ja Stephen Graham. To moja żona Bronwyn. - Uśmiechnął się, widząc jej minę.

- Bronwyn! - powtórzył mężczyzna. - A to paskudne imię. Czy wiesz, że to imię tej wiedźmy MacArran?

Stephen mocno trzymał ramiona Bronwyn.

- Człowiek nie może nic poradzić na to, jak go ochrzczono.

- Jasne. - Popatrzył na długie, gęste włosy, spływające na jej ramiona. Zaplatało się w nie kilka liści.
- Widać, że twoja Bronwyn w niczym nie przypomina tamtej.

Bronwyn pochyliła się i wyglądało to tak, jakby całowała rękę Stephena. Tymczasem ugryzła go. Puścił ją natychmiast, a ona uśmiechnęła się do Donalda. - A ty ją oczywiście widziałeś wiele razy?
- zapytała niewinnie.

- Nie, nie z bliska. Ale z daleka - tak.

- Brzydka jest?

- O, tak. Szerokie bary jak u mężczyzny i wysoka. A twarz ma tak brzydką, że ją zasłania.

Stephen wpił się palcami w jej ramię.

- Też tak słyszałam. To miło spotkać kogoś, kto ją zna, żeby pogadać - powiedziała poważnie.

Stephen pochylił się, by ją pocałować w ucho.

- Zachowuj się przyzwoicie, bo nas zabiją - szepnął.

Donald rozpromienił się.

- Musieliście się niedawno pobrać - rzucił wesoło - Zauważyłem, że nie możecie się powstrzymać od pieszczot.

- Niewiele ci umknie, co, Donald? - zapytała Bronwyn. - Pochlebiam sobie, że jestem bystry. Nasz

wóz jest na wale. Może chcecie zjeść coś z nami i poznać moją żonę Kirsty?

- Nie... - zaczęła Bronwyn, ale Stephen stanął przed nią. - Z przyjemnością - odparł. -

Nie jedliśmy niczego od wczorajszego południa. Może będziecie w stanie udzielić nam kilku wskazówek. Obawiam się, że po tym, jak nas obrabowano, błędziliśmy długo i zgubiliśmy się.

- Ale nie traciliście czasu - roześmiał się Donald, patrząc znacząco na liście.

- Zgadza się! - potwierdził jowialnie Stephen, a jego dłoń ponownie zacisnęła się na ramieniu Bronwyn.

- No to chodźcie, MacGregor zawsze jest mile widziany u MacGregora. - Odwrócił się i ruszył pod górę.

- Nie rób nic, co by nas narażało na niebezpieczeństwo - ostrzegł Stephen, podążając za nim.

- To MacGregor! - mruknęła ze złością.

- I Anglik! - odparował tym samym tonem.

- Sama nie wiem, co gorsze.

Stephen skrzywił się.

- Mnie możesz sobie nienawidzić, ale nie jego. On ma jedzenie.

Na szczycie skarpy przystanęli i popatrzyli na niewysoką kobietę, pochylającą się nad ogniem. Była drobna, niewiele większa od dziecka, miała mały nosek i delikatnie wykrojone usta. Ale co wydawało się najdziwniejsze, była w bardzo zawansowanej ciąży.

Wielki brzuch sterczał przed nią jak imponujący głaz, a mimo to udawało jej się jakoś zachować równowagę.

Wyprostowała się dość łatwo i odwróciła do nadchodzącej trójki. Przez chwilę patrzyła tylko na Donalda, a pełen uwielbienia uśmiech rozświetlił jej twarz. Kiedy jednak spojrzała na Bronwyn, wyraz jej twarzy zmienił się. Odbiły \ się w niej zaskoczenie, strach, niedowierzenie, aż w końcu się i uśmiechnęła.

Stephen i Bronwyn stali nieruchomo, nie oddychając, oczekując, że kobieta za chwilę wyjawí, kim są.

- Kirsty! - zawołał Donald podbiegając do żony. - Dobrze się czujesz?

Położyła dłoń na ciężkim brzuchu i popatrzyła przepaszająco.

- Wybacz, że tak cię witam, ale właśnie kopnął mnie i mocno.

Donald rozpogodził się.

- Silny chłopak - zaśmiał się. - Chodźcie, usiądźcie przy ogniu.

Stephen pierwszy rozluźnił się i ruszył do ogniska. Bronwyn poszła za nim powoli.

Wciąż nie była pewna, czy Kirsty ich rozpoznała. Może zamierzała powiedzieć o tym Donaldowi. Później, by mogli ich zaatakować MacGregorowie?

Donald przedstawił ich swojej żonie, ale nawet gdy wymówił imię Bronwyn, kobieta uśmiechnęła się lekko. To nie było szkockie imię, tylko walijskie, i powinno wywołać komentarz.

- Czy sądzisz, że mamy dość jedzenia? - zapytał gospodarz.

Kirsty znowu się uśmiechnęła. Miała Ciemnoblond włosy i niewinne, brązowe oczy.

Trudno byłoby jej nie zaufać.

- Zawsze możemy się podzielić - odparła spokojnie.

Usiedli, by posilić się plackami owsianymi i smakowitą pieczenia, z królika.

Owiewał ich chłodny wiatr. Wóz Donalda stał na skraju drogi. Był na nim wybudowany mały drewniany domek, wygodne miejsce, ale nie na dłuższą podróż.

Po śniadaniu Stephen zaproponował polowanie. Bronwyn wstała natychmiast, strzepnęła okruchy ze spódnicy z wyraźnym zamiarem towarzyszenia im. Stephen odwrócił

się do niej.

- Powinnaś raczej zostać z Kirsty - powiedział znacząco. - Miejsce kobiety jest przy ogniu.

Bronwyn poczuła ogarniającą ją falę gniewu. Jakież ona ma pojęcie o gotowaniu? Na polowaniu bardziej by się przydała. Dopiero widząc aprobatę w spojrzeniu Donalda, zrozumiała, co miał na myśli Stephen. Donald nabrałby podejrzeń w stosunku do kobiety, która umie polować, a nie radzi sobie w kuchni. Westchnęła z rezygnacją.

- Przynajmniej będziemy miały Raba do obrony.

- Nie - odparł Stephen. - Zapoluje z nami.

- Rab! - rozkazała. - Zostań!

- Chodź, Rab - powiedział cierpliwie Stephen. - Idziemy na polowanie.

Pies nie miał zamiaru się ruszyć. Donald zachichotał.

- Dobrze wytresowany ten pies.

Dostałam go od ojca - wyjaśniła z dumą Bronwyn. - Od ojca? - zapytał Donald.

Chodźmy już - powiedział szybko Stephen, posyłając Bronwyn groźne spojrzenie.

Odwróciła się i usiadła przy ogniu obok Kirsty, jej wroga.

10

Bronwyn owinęła sobie źdźbło trawy wokół dłoni. Uwaga Stephena uzmysłowiła jej, jak łatwo mogłoby się wszystko wydać. Niewiele wiedziała o obowiązkach żony ani też jak zachowuje się zwykła kobieta. Całe dotychczasowe życie spędziła wśród mężczyzn. Umiała jeździć konno i strzelać, ale kuchnia była dla niej obcą dziedziną.

- Dawno się pobraliście? - zainteresowała się Kirsty.

- Nie - odparła Bronwyn. - A wy?

- Dziewięć miesięcy temu. - Kirsty uśmiechnęła się i pogłaskała brzuch.

Bronwyn nagle zdała sobie sprawę, że i ona kiedyś będzie tak wyglądać. Jakoś do tej pory nie pomyślała o tym, że może zajść w ciążę.

- Czy to bardzo boli? - spytała cicho.

- Tylko od czasu do czasu. - Nagle w oczach kobiety Pojawił się ból. - Dziś jest gorzej niż zwykle - powiedziała bezdźwięcznie.

- Może ci coś podać? Wodę? Poduszkę? Cos innego?

Kirsty popatrzyła na nią. Zamrugła powiekami.

- Nie. Rozmawiaj ze mną tylko. Dawno nie rozmawiałam z żadną kobietą. Powiedz, jaki jest twój mąż?

- Stephen? - zapytała bez sensu Bronwyn.

Kirsty roześmiała się.

- Nie przejmuj się. Jestem tylko ciekawa. Nigdy nie znasz mężczyzny, dopóki z nim nie żyjesz.

Bronwyn zastanowiła ta uwaga.

- Czy Donald cię rozczarował?

- Ależ nie. Zanim się pobraliśmy, był bardzo nieśmiały, a teraz jest bardzo czuły i miły. Twój Stephen wygląda na dobrego człowieka.

Bronwyn uświadomiła sobie, że dotychczas widziała w Stephenie jedynie Anglika.

- On... on potrafi mnie rozśmieszyć - powiedziała po chwili - Sprawia, że potrafię śmiać się z siebie, gdy staram się być zbyt poważna.

Kirsty uśmiechnęła się, a zaraz potem się pochyliła, przyłożywszy dłoń do brzucha.

- Co się dzieje?! - krzyknęła Bronwyn i podbiegła do niej.

Kirsty usiadła powoli, oddychając głęboko, z trudem.

- Pozwól sobie pomóc - poprosiła Bronwyn, kładąc rękę na jej ramieniu.

Kirsty spojrzała jej prosto w oczy.

- Jesteś bardzo dobra.

Bronwyn uśmiechnęła się.

- Ani trochę. Jestem.. - urwała, ponieważ zorientowała się, że właśnie miała zamiar wymówić swoje nazwisko. Ale cóż to da? Kirsty dotknęła jej dłoni.

- Myślę, że starasz się to ukryć. Powiedz mi więcej o sobie. To pozwoli mi zapomnieć o moich kłopotach.

- Chyba trzeba kogoś wezwać. Wydaje mi się, że za chwilę zaczniesz rodzić.

- Proszę - nalegała desperacko Kirsty. - Nie przestrasz Donalda. - Jeszcze nie czas.

Nie mogę jeszcze urodzić. Donald i ja jedziemy do moich rodziców. Moja matka ma odbierać dziecko. Ja tylko pewnie coś zjadłam. Już wcześniej miałam te bóle.

Bronwyn zasępiła się, siadając na ziemi.

- Opowiedz mi o sobie - nalegała Kirsty. Jej oczy błyszczały. - Jak to jest być żoną An...

Bronwyn nagle podniosła głowę, ale Kirsty nie dokończyła zdania. Zgięła się w pół, a Bronwyn objęła ją ramionami.

- To dziecko - wyszeptała Kirsty. - Dziecko się rodzi. Tylko ty możesz mi pomóc.

Bronwyn patrzyła na nią przerażona. Były w samym sercu pustkowia, a zatem kto ma wziąć na siebie rolę akuszerki? Przytuliła Kirsty, gdy nadeszła kolejna fala bólu.

- Rab - zawołała cicho. - Idź, sprowadź Stephena, Natychmiast.

Zanim skończyła mówić, Rab puścił się biegiem.

- Wejdźmy do wozu, Kirsty - powiedziała łagodnie. Była silna i wniesienie Kirsty nie sprawiło jej zbytniego kłopotu. Kobieta położyła się, a po chwili wygięła się w kolejnym paroksyzmie.

Bronwyn obserwowała drzewa. Ani śladu mężczyzn. Wróciła do Kirsty i podała jej kubek wody. Cały czas powtarzała sobie, że Stephen będzie wiedział, co robić. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że po raz pierwszy stała się od niego zależna.

Rozpromieniła się, słysząc gniewny głos Stephena.

- Bronwyn!

Wyszła z wozu.

- Czego, do diaska, chce ode mnie ten diabelski pies? - zapytał niecierpliwie. -

Wyskoczył na mnie w chwili, gdy mierzyłem do jelenia. Potem mało nie przegryzł mi nogi, ciągnąc mnie tutaj.

Uśmiechnęła się słabo.

- Kirsty rodzi.

- O mój Boże! - wykrzyknął Donald i pobiegł do wozu.

- Jak szybko? - zapytał Stephen.

- Wydaje mi się, że już.

- Wydaje ci się! - powtórzył ze złością. - Nie wiesz?

- Skąd mam wiedzieć? Żachnął się.

- Kobiety powinny wiedzieć takie rzeczy.

- I mówi im się to podczas lekcji czytania czy walki na miecze? - zapytała ironicznie.

- Niech szlag trafi całą tę twoją edukację. Czyżby twoja rodzina zajmowała się wyłącznie wojaczką?

- Ach, ty!... - zaczęła, ale urwała, zobaczywszy wychodzącego z wozu Donalda. Był przejęty.

- Prosi cię - rzekł zaszepcony. Jego usta zacisnęły się w wąską linię. Ujął w dłoń kawałek drewna, ale jego ręka tak drżała, że natychmiast go wypuścił.

- Mnie? - zapytała Bronwyn. Stephen popchnął ją.

- Przecież nie mnie - powiedział. Zbladła.

- Stephen, nie mam najmniejszego pojęcia o odbieraniu dzieci.

Pogłaskał ją po policzku.

- Boisz się, tak?

Popatrzyła na swoje ręce.

- Przecież to nie może się specjalnie różnić od źrebiącej się klaczy czy cielącej się krowy - przekonywał, starając się dodać jej otuchy.

- Krowy! - Jej oczy błysnęły, a potem westchnęła. - Zostań ze mną - poprosiła. -

Pomóż mi.

Stephen nigdy jeszcze nie widział jej tak uległej, tak bardzo potrzebującej pomocy.

- Jak? Mężczyzna nie może być przy tym obecny. Może gdyby była moją krewną...

- Popatrz na niego! - wskazała Donalda. - Jego interesuje tylko zdrowie żony. Nic poza tym.

- Bronwyn! - Kirsty krzyknęła nagle z wnętrza wozu.

- Proszę - błagała Bronwyn, położywszy rękę na piersi Stephena. - Nigdy jeszcze o nic cię nie prosiłam.

- Z wyjątkiem tego, żebym zmienił nazwisko, narodowość i jeszcze...

Odwróciła się od niego, ale chwycił ją za rękę.

- Razem - szepnął. - Nareszcie zrobimy coś razem.

To nie był łatwy poród. Kirsty była drobna, a jej dziecko duże. Nikt z nich nie miał

specjalnego pojęcia o rodzeniu dzieci, ale wszyscy zgodnie stwierdzili, że to wspaniałe doświadczenie. Bronwyn i Stephen spocili się niemal jak Kirsty. Gdy pojawiła się główka dziecka, popatrzyli na siebie z dumą. Stephen podniósł matkę, by mogła zobaczyć, jak Bronwyn pomaga dziecku wydostać się na zewnątrz.

Reszta ciała wyskoczyła szybko i Bronwyn już po chwili trzymała noworodka w ramionach.

- Zrobiliśmy to! - szepnęła.

Stephen uśmiechnął się do niej, po czym obdarzył Kirsty głośnym całusem.

- Dziękuję wam - powiedziała Kirsty, opierając się na ramieniu Stephena. Była wyczerpana, ale szczęśliwa.

Kilka minut zajęło im mycie noworodka i położnicy. Stephen i Bronwyn przyglądali się obojgu; dziecko wyciągało buzię w kierunku piersi Kirsty.

- Powiedzmy Donaldowi, że ma syna - rzekł Stephen.

Donald stał już przy wozie. Czekał z twarzą pełną niepokoju.

- Nos do góry! Idź zobaczyć swojego chłopaka.

- Chłopaka - powtórzył drżącym głosem Donald, po czym wskoczył do wozu.

Ściemniło się. Jasny, chłodny dzień zmieniał się w ciemną, jeszcze zimniejszą noc.

Bronwyn przeciągnęła się i nabrała w płuca czystego, świeżego powietrza. Z

niewiadomego powodu poczuła się wolna. Nagle uniosła głowę, rozłożyła ręce i zaczęła się kręcić wokół własnej osi. Stephen roześmiał się, chwycił ją w ramiona i unióś nad ziemię.

- Jesteś wspaniała - powiedział radośnie. - Byłaś taka silna i opanowana. Tak wspaniale pomogłaś Kirsty. - Pohamował się pomyślawszy, że daje jej powód do rozpoczęcia kolejnej przemowy na temat przygotowania do bycia jednym z MacArranów.

Bronwyn uśmiechnęła się do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła twarz do jego ramienia.

- Dziękuję. To ty wiedziałeś, co trzeba robić. Gdybym była sama, po prostu patrzyłabym, jak dziecko się rodzi.

Stephenowi przez chwilę trudno było uwierzyć w to, co słyszy. Wiadomość, że przydał się do czegoś, mik polectała jego dumę.

- Jesteś zmęczona? - zapytał, po czym przytulił ją mocniej i pogładził po włosach.

- Bardzo - odparła, czując się bezpiecznie i dobrze w jego objęciach.

Schylił się i ujął ją pod kolana.

- Chodźmy znaleźć jakieś miejsce do spania.

Przeniósł ją przez pagórek, postawił na ziemi, zdjął z siebie plaid i rozłożył go na ziemi. Po chwili leżeli już blisko siebie, żeby było cieplej. Rab oparł się o plecy Bronwyn.

- Stephen? - zapytała szeptem Bronwyn. - Co my teraz zrobimy? Nadal nie mamy jak dostać się do Anglii Samych łatwo nas złapią.

Stephen leżał nieruchomo, a natłok myśli rozsadzał mu głowę. Bronwyn nigdy dotąd nie pytała go o zdanie - ani też nigdy jeszcze nie przytulała się do niego tak ufnie.

Uśmiechnął się, pocałował ją w czubek głowy, przytulił ją mocniej i odetchnął głęboko.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem, ale sędzę, że powinniśmy zostać z Donaldem i Kirsty tak długo, jak to będzie możliwe. - Przerwał na chwilę. - I co o tym sądzisz?

Wypowiedziawszy te słowa, zdał sobie sprawę ze zmiany, która w nim zaszła.

Nieledwie kilka miesięcy temu rozkazywałby swojej żonie, teraz pytał ją o radę.

Bronwyn skinęła aprobuszą głową.

- Jadą na południe do jej rodziców. Jeśli pojedziemy z nimi, może uda nam się kupić konie.

- Kupić? Za co? Za dobre słowo? - zapytał Stephen. - Nie mamy przecież nic. Nie możemy nawet wynagrodzić Donalda za jego gościnność.

- Szkota nie trzeba wynagradzać. - Nawet MacGregora? Roześmiała się lekko.

- Dopóki wierzy, że nie jesteśmy MacArranami, Dobrze się składa, że z ciebie niezły myśliwy, podejrzewam, że lepszy niż Donald. Teraz musimy coś wymyślić, żeby móc kupić konie. - Westchnęła. - Szkoda, że Davey nie zaatakował nas bliżej granicy.

- Dlaczego?

- Miałabym na sobie jedną z tych angielskich sukien. To draństwo całe pokryte jest klejnotami i moglibyśmy je sprzedać.

- Gdybyś była ubrana jak Angielka, nie uszlibyśmy z życiem, a poza tym nie moglibyśmy się owinać ciepłym plaidem.

Podniosła na niego wzrok.

- Wydawało mi się, że nie cierpisz naszego szkockiego stroju. O ile dobrze pamiętam, powiedziałaś, że masz w nim goła całą dolną połowę.

- Nie bądź impertynencja - skarcił ją z pozorną powagą - Trzeba przecież pamiętać, jak to upraszcza sprawy. Zanim Anglik zdąży pomyśleć o rozebraniu się, Szkot już zdąży pozbyć się plaidu. Uśmiechnęła się do niego.

- Czyżbym słyszała dumę w twoim głosie? - zapytała ze śmiechem. - I skąd, u Boga Ojca, wzięłaś ten akcent?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. A jeżeli to nawet prawda, pewnie naszło to na mnie równocześnie z włożeniem plaide.

- Podoba mi się to - powiedziała, pocierając kolanem jego nogę, - Nie miałbyś ochoty kochać się z akuszerką? Czy też upierałbyś się przy dziedzicze klanu?

Pogładził ją po włosach.

- Teraz wezmę cię, kimkolwiek byś była. Jesteś Bronwyn, słodki, delikatny drobiażdżek, który jeździ konno jak demon, potrafi ocalić swojego męża i przyjąć dziecko.

- Miałam pomoc - szepnęła, zanim ich usta się połączyły.

Bronwyn wyczuwała niezwykłość tego miejsca i czasu. Powinna martwić się o klan, ale wiedziała, że Tam jest na miejscu i w razie potrzeby poprowadzi ludzi, a w ogóle może to i lepiej, że odpoczna trochę od ciągłej wojny, którą toczą ze sobą. Szczerze mówiąc, teraz jakoś nie czuła się jego przeciwnikiem. Było jej dziwnie, jak jeszcze nigdy przedtem. Miała wrażenie, że jest bardzo krucha i kobieca. Nie istniały już żadne problemy wymagające podjęcia decyzji, nie było gniewu ani strachu, że po przeciwnej stronie jest Stephen. Tym razem ścigano ich oboje.

- Masz taki nieobecny wzrok - powiedział - Podziel się ze mną myślami.

- Myślałam, że w tej chwili jestem szczęśliwa. A przecież od śmierci ojca nie miałam jednej szczęśliwej ani nawet pogodnej myśli.

Stephen uśmiechnął się, ponieważ mówiąc o swoim ojcu, po raz pierwszy Bronwyn nie nazwała go mordercą.

- Chodź, kochanie, zobaczymy, czy mogę cię uczynić jeszcze szczęśliwszą.

Rozebrał ją powoli. Turlali się, owinięci plaidem, śmiejąc się, gdy czyjś łokieć trafił

na czule miejsce. Były to żartobliwe zmagania, pełne radości, poczucia swobody.

Dotyk jego dłoni uspokajał ją. Uczyla się przyjemności miłości fizycznej. Całowała twarz Stephena, jego szyję, patrzyła na refleksy światła na jego skórze. On przebiegł ustami po jej ramionach, przesunął się niżej, na piersi. Przeszył ją dreszcz. Stephen - westchnęła.

Jego ręce powędrowały do jej talii. Jego siła ekscytowała ją sprawiała, że sama czuła się mała i słaba.

- Jesteś taka piękna - szepnął Stephen.

Uśmiechnęła się czując, że to on czyni ją piękną. Dotknął ręką wnętrza jej ud i po chwili i jemu udzieliło się jej drzenie. Powoli wspiał się na nią. Poddała się łatwo, chętnie, szukając ustami jego warg. Gdy jęknęła głośno, Stephen zamknął jej usta głębokim pocałunkiem. Owo całkowite poddanie się fali namiętności, ekscytowało go.

Kochali się powoli do chwili, gdy Bronwyn zaczęła go ponaglać. Wygięła się ku niemu w łuk, a on eksplodował w jednym, mocnym pchnięciu. Przyłgnęła do niego, chcąc czuć każdy, najmniejszy skrawek jego dała.

Zasnęli tak zjednoczeni, obejmując się nawzajem ramionami. Bronwyn obudziła się pierwsza.

Stephen przytulał ją tak mocno, że prawie nie mogła oddychać. Przez chwilę przyglądała mu się. Za jego uchem pojawiło się to samo pasemko włosów. Stwierdziła, że bardzo zmienił się przez ostatnie miesiące. Zniknęła bladość i krótkie, gładko zaczesane włosy. Tak, pomyślała, trudno byłoby teraz rozpoznać w nim Anglika. Pochyliła się, by pocałować owo niesforne pasemko włosów. Przypomniała sobie, że kiedyś miała ogromne opory, by odważyć się na taki gest. Tego ranka wydawało jej się właściwe pocałować go na powitanie.

- Dzień dobry - szepnęła.

- Boję się otworzyć oczy - powiedział marzycielsko. - Czyżby moja Bronwyn przemieniła się w leśną nimfę? Ugryzła go w ucho.

- Au! - zachichotał. - Nie zamieniłbym cię na najlepszego nawet duszka - stwierdził, przysuwając się do niej.

- O, nie! - odepchnęła go. - Chcę zobaczyć nasze dziecko. Nasze dziecko? Zostańmy tu lepiej i postarajmy się o prawdziwe, własne dziecko.

Odturlała się od niego.

- Nie jestem pewna, czy chcę przejść przez to, czego doświadczyła wczoraj Kirsty.

Chodź, pobiegniemy. Zobaczymy, kto pierwszy osiągnie szczyt wzgórza. Stephen ubierał

się w pośpiechu, tymczasem Bronwyn stała już na wzgórzu, śmiejąc się i trzymając w podniesionych rękach jego buty. Krzyknął na Raba, żeby przyniósł mu buty. Szarpanina pomiędzy psem i jego panią dała mu czas na dotarcie do szczytu wzgórza. Wyrwał buty z ręki Bronwyn i pobiegł w samych wełnianych skarpetach do wozu. Gdy dotarła tam Bronwyn, siedział spokojnie z niewinnym wyrazem twarzy.

- Dzień dobry! - zawołał, jakby nie widzieli się od kilku dni. - Dobrze spałaś?

Roześmiała się i weszła do wozu, żeby przywitać się z Kirsty.

Potem niewiele było czasu na śmiech i zabawę. Mężczyźni poszli na polowanie, a Bronwyn została, żeby doglądać Kirsty i obozowiska. Zaskoczyły ją skąpe zapasy żywności Donalda. Praktycznie ograniczały się do dwóch worków mąki owsianej. Nie chciała denerwować Kirsty pytaniami o resztę, ale miała nadzieję, że to nie wszystko, co mają do jedzenia.

Mężczyźni wrócili o zachodzie słońca, przynosząc jedynie dwa małe króliki.

- Stephen - powiedziała Bronwyn, wzięwszy go na stronę. - Nie możemy ich objadać. I tak mają mało.

Oparł się o drzewo.

- Wiem, ale też nie możemy ich zostawić samych. Donald ledwie odróżnia łuk od strzały. A zwierzęta

tutejsze potrafią się strzec myśliwych. Nie chciałbym ich zostawiać samych, a jednocześnie nie chcę ich obciążać.

- Szkoda, że nie możemy im jakoś pomóc. Proszę, pij - podała mu kubek.

- Co to jest?

- Kirsty to zrobiła. Z jakichś porostów i piwa. Mówiła, że to jest dobre na wszystko.

Przez cały dzień niepokoiła się o was biegających na zimnie.

Stephen sączył gorący płyn.

- A ty też się martwiłaś? Uśmiechnęła się.

- Może o Donalda, ale byłam pewna, że ty zadbasz o was obu. Już miał

odpowiedzieć, ale napój przyciągnął jego uwagę. - To jest naprawdę dobre. Czuję, że przestaje mnie boleć głowa. Spoważniała.

- Nie wiedziałam, że cię boli.

- Od czasu zranienia mnie przez twego brata. - Porzucił ten temat. - Mam pomysł.

Czy trudno znaleźć te porosty?

- Nie - odparła zdziwiona.

Oczy Stephena zabłysły.

- Dziś Donald powiedział mi, że w dolinie jest jakieś miasteczko. Chce tam zanieść syna do chrztu. Może gdybyśmy zrobili tego całe wiadro, udałoby nam się to sprzedać.

- Świetny pomysł! - krzyknęła i od razu zaczęła czynić przygotowania.

Spędzili cały wieczór na szukaniu porostów. Donald wziął wszystkie swoje pieniądze, wyprzągnął jednego konia i pojechał do miasta kupić więcej piwa.

Było już bardzo późno, gdy zawinęli się w plaid obok zamierającego ogniska.

Bronwyn cieszyła się z bliskości Stephena, wystarczyło jej to, nie musieli się kochać. Bycie z kimś tak blisko było dla niej czymś nowym, ale dawało jej spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Wczesnie rano zaprzęgli konie do wozu i ruszyli do miasteczka w dolinie. Wewnątrz murów znaleźli setki sklepików, warsztatów oraz małych domków. Powietrze było tam ciężkie i smrodliwe. Całe to miejsce zrobiło na Bronwyn odpychające wrażenie.

Widziała dotąd tylko kilka miast. Wystarczali wędrowni handlarze, docierający od czasu do czasu do

Larenston.

Donald skręcił z głównej ulicy, przystanął tuż przy browarze. Wystawili połowę przyrządzonego napoju i zaczęli nawoływaniem zachęcać ludzi do kupowania. Kirsty i Bronwyn siedziały na wozie i nasłuchiwały. Głęboki głos Stephena przebijał się przez miejski gwar. Obiecywał dość dziwne korzyści płynące z używania mikstury, opowiadając o swoich własnych doświadczeniach w taki sposób, jakby został wyleczony z trądu.

Ale nikt nie chciał tego kupować.

Ludzie przystawali, słuchali, ale nie dali nawet pensa za cudowny płyn.

- Może powinienes zrobić kilka tych swoich sztuczek cyrkowych, które demonstrowałeś przy Tamie - zaproponowała złośliwie Bronwyn.

Stephen zbył uwagę milczeniem i spróbował wcisnąć napój jakiemuś młodzieńcowi twierdząc, że wpłynie to korzystnie na jego męskość.

- Może ty potrzebujesz pomocy. Ja nie - odparł młodzian.

Tłum zaczął się śmiać i rozstał się.

- Czuję, że czas na mnie - stwierdziła Bronwyn i zaczęła rozpinąć koszulę.

- Bronwyn! - zaprotestowała Kirsty. - Chcesz rozgniewać Stephena?

- Może. - Uśmiechnęła się. - Dostatecznie nisko? - zapytała, patrząc na piękną linię piersi odsłoniętych po rozpięciu koszuli.

- Aż za bardzo, Donald powyrywałby mi włosy, gdybym się tak pokazała.

- Angielki noszą suknie równie głęboko wycięte - odparła Bronwyn.

- Ale ty nie jesteś Angielką!

Bronwyn uśmiechnęła się w odpowiedzi i podeszła do Stephena. Ucieszył się, widząc ją obok siebie.

- To lekarstwo wyzwoli was od wszystkich chorób, począwszy od czyraków, a skończywszy na gorączce! - wołała.

Zauważył, że ludzie zaczęli się wokół niej gromadzić.

- Czy twoja żona jest nieszczęśliwa? Może to twoja wina? Ten napój uczyni cię najsilniejszym z mężczyzn. Jako eliksir miłości jest niezastąpiony!

- Myślisz, że zdobędę dzięki niemu kogoś takiego jak ty? - zawołał jakiś mężczyzna.

- Tylko wtedy, jeśli wypijesz tego cały kufel - odparła bez namysłu. Tłum zafalował

śmiechem.

- Ja tego spróbuję - zdecydował się ktoś.

- Kupię trochę dla mojego męża! - krzyknęła jakaś kobieta, przepychając się do wozu, gdzie czekali Donald i Stephen.

Przez dłuższy czas Stephen był zbyt zajęty napełnianiem naczyń gawiedzi i przyjmowaniem miedzaków, by słuchać tego, co mówi Bronwyn. Był dumny, że się jej udało i że spodobała się ludziom. Zachichotał na myśl o angielskiej damie odgrywającej szczekaczkę, i to z takim powodzeniem.

Dopiero gdy usłyszał niski, sugestywny śmiech mężczyzny, jej zachowanie przyciągnęło jego uwagę.

Jakiś mężczyzna trzymający kubek odwrócił się do swojego towarzysza:

- Prawie się ze mną umówiła na spotkanie przy studni miejskiej.

Twarz Stephena stężała.

- Czy powiedziała, że ja też tam będę? - zapytał groźnie.

Nieznajomy popatrzył na Stephena. Ujrawszy wyzwanie w jego pięknych oczach, cofnął się.

- Nie złość się na mnie. To był jej pomysł.

- A niech ją! - krzyknął z wściekłością Stephen i wrzucił łyżkę do kadzi. Co ona sobie myśli?!

Obszedł w koło wóz i przystanął. Bronwyn w koszuli rozchylonej tak, że ukazywała niemal w całości jej wysokie, jędrne piersi, i w spódnicy wyraźnie podkreślającej zarys jej bioder, wzięła się pod boki, uwodzicielsko kołysząc biodrami przed gromadzącym się tłumem.

Stephen stał chwilę zbyt wstrząśnięty, by się poruszyć. Potem podszedł do niej.

Wciągnął ją w zaułek za wozem.

- Co ty sobie, u diabła, myślisz?! - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Sprzedaję tylko miksturę - odparła spokojnie. - Ty i Donald nie radziliście sobie zbyt dobrze, więc postanowiłam wam pomóc. Puścił jej ramię, po czym zaczął zapinać jej koszulę.

- Pewnie świetnie się bawiłaś? Paradując jak sprzedajna dziewczka?

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się pogodnie.

- Jesteś zazdrosny, prawda?

- Jasne, że nie! - wybuchnął, ale się pohamował. - Do diabła, masz rację, jestem zazdrosny! Te brudasy nie będą oglądać tego, co należy do mnie.

- Stephen, to... to jest.. Nie wiem, ale cieszy mnie twoja zazdrość.

- Cieszy?! - ryknął wściekle. - Następnym razem, mam nadzieję, będziesz pamiętać, kim jesteś, i nie zaryzykujesz Prowokowania takich uczuć. - Chwycił ją w ramiona i pocałował dziko, zaborczo. Odpowiedziała mu, przytulając się do niego mocno.

Nagle ich pocałunek przerwał głos, który wprawiał w drżenie okoliczne domy.

- Gdzie ta dziewczka, która sprzedaje miksturę?! Bronwyn z wahaniem popatrzyła na Stephena.

- Gdzie ona jest?! - zagrzmiął głos.

- To MacGregor - szepnęła. - Już go kiedyś słyszałam. Chciała pójść w kierunku głosu, ale Stephen chwycił ją za ramię.

- Nie możesz tam pójść.

- Dlaczego? Nigdy mnie nie widział. Nie domyśli się, kim jestem, a poza tym, jak mogę mu odmówić? To ziemia MacGregora.

Stephen skrzywił się, ale puścił ją, Odmowa rzeczywiście mogłaby się wydać podejrzana.

- Tu jestem - powiedziała, wychodząc z zaułka. Stephen nie odstępował jej na krok.

MacGregor siedział na koniu i patrzył na Bronwyn w rozbawieniu. Był dużym, masywnym mężczyzną o włosach siwiejących na skroniach i wyjątkowo mocnej szczęce.

Jego oczy błyszczały nad wydatnym nosem.

- Kto mnie szuka? - zapytała wyzywająco.

MacGregor odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Jakbyś nie знаła własnego pana - odparł, a jego oczy nabrały koloru szmaragdu.

Uśmiechnęła się do niego słodko.

- A czy ten pan nie zna członków własnego klanu?

- Smakowity z ciebie kasek. Jak się nazywasz?

- Bronwyn - odparła dumnie, jakby to imię było wyzwaniem. - Tak samo jak dziedziczka MacArranów.

Dłoń Stephena zacisnęła się ostrzegawczo na jej ramieniu. Rysy twarzy MacGregora stężały. - Nie

wspominaj przy mnie tej kobiety. Bronwyn oparła ręce na biodrach. - Czy dlatego, że na swoim ciele nosisz dotąd jej znak?

Nagle wokół nich zapadła martwa cisza. Tłum zamarł, wszyscy wstrzymali oddech.

- Bronwyn - zacznij Stephen, wstrząśnięty tym, co powiedziała.

MacGregor uniósł dłonie.

- Jesteś nie tylko apetyczna, ale masz też odwagę. Nikt nie ośmielił się jeszcze przypomnieć mi o tej nocy.

- Powiedz, co rozżłościło cię w tak niewinnym znaku?

MacGregor milczał, rozmyślając o niej i jej pytaniu.

- Dużo o tym wiesz. - Nagle napięcie go opuściło i uśmiechnął się. - Myślę, że to zależy od kobiety. Gdyby tamta przypominała cię, nosiłbym ten znak z dumą, ale żadna paskudna wiedźma nie ma prawa naznaczyć MacGregora.

Bronwyn już miała coś powiedzieć, ale Stephen objął ją tak mocno w pasie, że nie mogła złapać tchu. - Wybacz mojej żonie - rzekł przeprasząco. - Jest zanadto wygadana.

- Zgadza się - potwierdził MacGregor z entuzjazmem.

- Spodziewam się, że masz dosyć ciężką rękę..

- Jasne - zaśmiał się Stephen.

- Lubię kobiety z charakterem - stwierdził MacGregor.

- Ta, nie dość, że jest piękna, ma jeszcze główkę nie od parady.

- Wolałbym tylko, żeby czasem zachowała swoje myśli dla siebie.

- Niewiele kobiet to potrafi. Życzę wam obojgu dobrego dnia - zakończył rozmowę i odjechał.

- A niech cię! - Bronwyn okręciła się w objęciach Stephena, by stanąć do niego przodem.

Zanim zdążyła przemówić, potrząsnął nią tak energicznie, że aż zaszczekały jej zęby.

- Mogłaś na nas ściągnąć nie lada kłopoty! urwał, zauważywszy obserwujący ich tłum. Chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę wozu. - Bronwyn - powiedział spokojnie.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mogłaś zrobić? Jeszcze trochę, a obwieściłabyś wszystkim, że nazywasz się Bronwyn MacArran.

- A gdybym nawet to zrobiła? - zapytała nieustępliwie.

- Słyszałeś, że powiedział...

Przerwał jej.

- Co mężczyzna mówi do pięknej kobiety to jedno, a to, jak musi zachować się przed całym tłumem, to drugie. A pomyślałaś o Kirsty i Donaldzie? Udzielili nam schronienia.

Ku jego zdziwieniu Bronwyn rozluźniła się, wręcz zwiotczała w jego ramionach.

Opuściła ją werwa. Oparła się o niego.

- Masz rację, Stephen. Kiedy ja się wreszcie nauczę?

Przytulił ją do siebie, gładząc jej włosy. Lubił, gdy się na niego zdawała, w każdej sytuacji, zawierając jego rozumowi i ciału.

- Czy kiedykolwiek będę dość mądra, by zasłużyć na nazwisko MacArran?

- Będziesz, kochanie - szepnął. - Tak bardzo chcesz, że na pewno na tu zasłużysz.

- Bronwyn?

Oboje podnieśli wzrok i zobaczyli stojącego obok Donalda.

- Kirsty pyta, czy jesteście gotowi na spotkanie z księdzem. Myśleliśmy, że ochrzczymy dziecko przed zapadnięciem zmroku. Żadnemu z nas nie uśmiecha się pozostanie wewnątrz murów miasta.

- Oczywiście, jesteśmy gotowi - odparł Stephen. Zauważył, że Donalda, tego miłego, spokojnego człowieka, wyraźnie coś nurtowało. I dlaczego zwrócił się bezpośrednio do Bronwyn? Nagle przyszło mu do głowy, że Donald, siedząc w wozie, usłyszał, jak Bronwyn mówiła, że nazywa się MacArran. Jeśli nawet już wiedział, widać było, że nie zamierza ich wydać MacGregorom.

Kościół był najokazalszym budynkiem w miasteczku. Wewnątrz panował spokój i cisza; dziecko spało bezpiecznie w ramionach Kirsty.

- Czy możesz ze mną porozmawiać? - zwróciła się do Bronwyn, zanim doszli do ołtarza. - Zgodzicie się zostać rodzicami chrzestnymi naszego syna?

Bronwyn spojrzała na nią zaskoczona.

- Tak mało o nas wiesz - szepnęła.

- Wiem dostatecznie dużo. Wiem, że będziecie dobrymi rodzicami chrzestnymi.

Stephen ujął Bronwyn za rękę.

- Tak, będziemy dobrymi kumami i postaramy się wywiązać ze wszystkich obowiązków. Dopóki

żyjemy, chłopcu niczego nie zabraknie - powiedział.

Kirsty uśmiechnęła się do nich i ruszyła do ołtarza. Chłopiec otrzymał imiona Rory Stephen. Stephen najpierw zdumiał się, a potem rozpromienił w uśmiechu. Bronwyn nie zaprotestowała, gdy podał księdzu nazwisko Montgomery.

Gdy wychodzili, to on trzymał dziecko. Popatrzył na Bronwyn.

- Nie masz ochoty na własne? Chciałbym mieć chłopaka z czarnymi włosami, niebieskimi oczyma i dziurką w brodzie.

- Uważasz, że wyglądam jak mężczyzna? - zapytała prowokacyjnie.

Roześmiał się.

- Wiesz, coraz bardziej mi się podobaś, od kiedy nie wykrzykujesz, że jestem Anglikiem.

Ogarnęła spojrzeniem jego długie włosy, niedbale narzucony plaid.

- Nie wyglądasz już jak Anglik. Co powiedzą twoi bracia, gdy zobaczą, że ich brat stał się pół - Szkotem?

- Zaakceptują mnie takiego, jakim jestem, a jeśli mają choć trochę rozumu, nauczą się paru rzeczy od nas, Szkotów.

- Nas? - zapytała ostro i przystanęła.

- Nie zatrzymuj się i nic patrz na mnie, jakby mi wyrosła druga głowa.

Poszła za nim i, obserwując go, zdała sobie sprawę, że ostatnio bez przerwy mówił

ze szkockim akcentem, nawet gdy byli sami. Jego kilt opadał nad kolanami pod właściwym kątem, a on sam chodził tak, jakby urodził się Szkotem. Uśmiechnęła się i przyspieszyła kroku. Dobrze wyglądał, niosąc w jednej ręce dziecko, a drugą obejmując ją.

Wrócili razem do wozu śmiejąc się.

11

Przez dwa dni podróżowali w zółwym tempie. Bronwyn starała się nakłonić Kirsty do pozostania w wozie, ale ta tylko śmiała się. Stephen stwierdził, że to odruch samoobrony po spróbowaniu potraw ugotowanych przez Bronwyn.

- To jest najgorszy pieczony królik, jakiego kiedykolwiek jadłem - stwierdził

pewnego wieczoru. - W ogóle nie ma smaku.

- Królik? - zapytała obojętnie Bronwyn. Trzymała na rękach dziecko, wodząc oczyma za odbłaskiem zachodzącego słońca na broszce. - O, nie! - krzyknęła, gdy dotarły do niej słowa Stephena. Zaczerwieniła się. - Króliki wiszą jeszcze na ścianie wozu. Ja...

Przerwał jej śmiech Stephena.

- Co się stało z tą bystrą kobietą, z którą się ożeniłem?

Bronwyn uśmiechnęła się do niego.

- Jest tu nadal. Każdy może gotować. Ja za to... - Urwała i popatrzyła na niego zdumiona.

- Czekamy - przypomniał jej Stephen.

- Przestań ją prowokować - powiedziała cicho Kristy.

- Bronwyn, jesteś tak piękna, że nie musisz umieć gotować. A poza tym jesteś odważna, masz zmysł praktyczny i...

Bronwyn roześmiała się.

- Popatrz! - zawołała do Stephena. - Ktoś tu mnie jednak docenia.

- Och, Stephen też cię docenia - zaprotestowała Kristy. - Szczerze mówiąc, rzadko widuje się dwoje równie zakochanych ludzi jak wy.

Bronwyn podniosła wzrok znad dziecka, zaskoczona. Stephen przyglądał się jej z idiotycznym wyrazem twarzy. Miała wrażenie, jakby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu.

- Ładna jest, prawda? - stwierdził Stephen. - Gdyby tylko umiała gotować..

Powiedział to z takim żalem, że Bronwyn nadąsała się i rzuciła w niego grudką ziemi. Roześmiał się, wracając do rzeczywistości.

- Daj mi mojego chrześniaka. Za dużo przebywa z kobietami. - Roześmiał się ponownie, zobaczywszy reakcję Bronwyn.

Późnym wieczorem następnego dnia ujrzeli dom rodziców Kristy. Był to typowy chłopski domek z bielonego wapnem kamienia, kryty strzechą. Otaczało go kilka pól, na których zauważyli nieliczne owce i krowy. Z jednej strony teren otoczony był kamiennym murem.

Rodzice Kristy wyszli na powitanie. Ojciec, Harben, niski, przysadzisty mężczyzna bez prawej ręki, miał szpakowate włosy, imponującą brodę i wiecznie zagniewaną twarz.

Nesta, matka Kristy, drobna kobieta z ciasno ściągniętymi do tyłu siwiejącymi włosami, była tak ciepła i miła, jak oschły był jej mąż. Przytuliła dziecko, Kristy i Bronwyn, całą trójkę naraz. Wielokrotnie dziękowała Bronwyn i Stephenowi za pomoc przy narodzinach jej jedyne wnuka.

Stephena uściskała równie entuzjastycznie, jak Donald.

Stephen zapytał, czy mogą przenocować, żeby rano ruszyć dalej.

Harben wyglądał na obrażonego.

- Zostać tylko na jedną noc? - zagrzniał. - Co z ciebie za mężczyzna? Ta twoja żona jest zbyt koścista. A gdzie dzieci? - Nie czekał na odpowiedź. - Moje domowe piwo od razu nadmucha ten jej płaski brzuch.

Stephen skinął głową, jakby właśnie usłyszał jakąś złotą myśl.

- A ja zawsze się zastanawiałem, jak sprawić, by zaszła w ciążę. Okazuje się, że brakowało domowego piwa.

Harben wydał z siebie dźwięk imitujący śmiech.

- Wejdźcie.

Po skromnej kolacji, składającej się z mleka, masła, sera i płatków owsianych, usiedli wokół paleniska. Stephen przycupnął na stołku, strugając zabawkę dla Rory'ego Stephena. Bronwyn usiadła na podłodze, oparłszy się o nogi męża. Kristy z matką usadowiły się po przeciwnej stronie, a Donald i Harben najbliżej ognia.

Donald, który okazał się niezłym gawędziarzem, przedstawił dowcipnie scenę z Bronwyn sprzedającą miksturę i ze Stephenem jako zazdrosnym mężem. Zakończył

spotkaniem Bronwyn z MacGregorem.

Bronwyn śmiała się z siebie równie szczerze jak pozostali.

Nagle Harben podskoczył, przewracając stołek.

- Ojciec - zapytała zatroskana Kirsty - boli cię ramię?

- O, tak - odparł gorzko. - Nigdy nie przestaje, od czasu gdy odcięli mi je MacArranowie.

Stephen natychmiast położył ostrzegawczo dłoń na ramieniu żony.

- Nie czas teraz... - zaczęła Nesta.

- Nie czas?! - wykrzyknął Harben. - Od kiedy to nie czas nienawidzić MacArranów?

- Zwrócił się do Bronwyn i Stephena: - Widzicie? - wskazał na pusty rękaw. - Co może działać mężczyzna bez prawej ręki? Zabrał mi ją MacArran. Sześć lat temu najechał nas i zabrał ją razem z naszym bydłem.

- Sześć lat - szepnęła Bronwyn. - Ale czy MacGregor nie zrobił tego samego i nie zabił przy tym czterech ludzi?

Harben machnął ręką.

- Dobrze im tak, za te złodziejskie zakusy.

- Czy MacArran miał siedzieć z założonymi rękami po tym, jak zabiłeś jego ludzi?

Czyż nie powinien się mścić?

- Bronwyn - szepnął ostrzegawczo Stephen.

- Zostaw ją - parsknął Harben. - Już dobrze. Co wiecie o MacArranach?

- On...

Kirsty przerwała jej.

- Bronwyn mieszka tuż przy granicy z ziemią MacArranów. - Musieli ci dopiec -

powiedział ze współczuciem Harben.

- Szczerze powiedziawszy, nawet nie. - Bronwyn uśmiechnęła się.

- Musisz mi powiedzieć, jak... - zaczął Harben.

Kirsty wstała.

- Myślę, że już czas iść spać. Musimy przypilnować porannego udoju.

- Zgadza się - potwierdził Harben. - Ranki przychodzą każdego roku coraz wcześniej.

Potem, gdy Bronwyn i Stephen leżeli razem na sienniku, Bronwyn odezwała się pokornie: - Nie pouczaj mnie, proszę.

Przytulił ją.

- Nie miałem zamiaru. Podoba mi się, jak dyskutujesz ze starym Harbenem.

Nareszcie trafiła kosa na kamień. Żadne z was nie jest w stanie przypisać nic dobrego przeciwnemu klanowi.

Gdy zbierała się, by mu odpowiedzieć, pocałował ją i po chwili zasnął.

Następnego ranka nadeszły wieści, które pokrzyżowały plany Stephena dotyczące opuszczenia gościnnego domostwa. Dowiedzieli się, że zaginęła dziedziczka MacArranów i jej angielski mąż. MacGregor wyznaczył wysoką nagrodę za ujęcie obojga.

Stephen uśmiechnął się, kiedy Harben stwierdził, że chciałby oddać tę wiedźmę w ręce MacGregora. Uśmiech jednak spęłzył z jego twarzy, gdy Harben określił Anglika jako próżnego strojnisia, niegodnego, by go pochować w szkockiej ziemi. Nachmurzył się, ponieważ w tej kwestii Bronwyn poparła Harbena entuzjastycznie. Prowokowałyby go nadal, ale Kirsty przerwała tyradę ojca.

- Odplączę ci za to - szepnął Stephen do ucha żony, kiedy szli do przybudówki, gdzie czekały krowy.

- Podporządkowując mnie tym nieprzystojnym, angielskim obyczajom? - zapytała i ruszyła przed nim, uwodzicielsko Kręcąc biodrami.

Nie odpowiedział na tę zaczepkę, bo w tej chwili nawiedziły go nieprzystojne myśli.

Uśmiechnął się tylko i ruszył do krów.

Bronwyn spędziła swoje życie wśród chłopów gospodarskie nie były jej obce.

Stephen natomiast znał tylko rycerskie rzemiosło. Usiadł obok krowy i patrzył przed siebie zdezorientowany.

- O, tak - powiedziała spokojnie Kirsty i pokazała mu, jak należy doić krowę. Udała, że nie słyszy jego przekleństw, gdy okazało się, że więcej mleka wylał na siebie, niż zebrał

w wiadrze.

Później złali wszystko do jednego naczynia, żeby nie było widać różnicy. Nesta popatrzyła zatroskana na tak małą ilość mleka z rannego udoju, ale w końcu uśmiechnęła się do nich przyjaźnie i wysłała w pole.

Trzeba było zebrać późnojesienne warzywa i zreperować ogrodzenie. Donald i Bronwyn mieli dużo uciechy, widząc minę Stephena naprawiającego mur. Nareszcie znalazł

coś, co potrafił zrobić. Cieszył się jak dziecko. Przyniósł więcej kamieni niż oni wszyscy razem. Gdy przymierzał się do jakiegoś głazu, Kirsty trąciła łokciem Bronwyn. Harben patrzył na Stephena z zachwytem.

- Wydaje mi się, że będziecie tu mogli zostać tak długo, jak zechcecie - powiedziała cicho.

- Dziękuję - odparła Bronwyn wyczuwając, że Kirsty wie o niej bardzo dużo.

Tego wieczoru grupa wielce utrudzonych ludzi wróciła z radością do ciepłego domu.

Byli jednak szczęśliwi. Harben patrzył, jak żartują, śmieją się, przypominając sobie wydarzenia minionego dnia. Zapalił fajkę, oparł łokieć na kolanie i po raz pierwszy od lat nie myślał o dniu, w którym stracił rękę.

Dwa dni później Kirsty i Bronwyn poszły szukać porostów po drugiej stronie kamiennego muru za domem. Rory Stephen, szczeble otulony kocem, spał smacznie w koszyku nad strumieniem. W nocy

spadło trochę śniegu i szukanie porostów zajęło kobietom wiele czasu. Śmiały się, rozmawiały o farmie o mężach. Bronwyn nigdy jeszcze nie czuła się tak swobodnie. Nie niepokoiły jej żadne obowiązki, obawy.

Nagle zastygła w bezruchu. Właściwie nic takiego nie usłyszała, ale wyczuła w powietrzu zbliżające się niebezpieczeństwo. Zbyt wiele lat miała z tym do czynienia, by zapomnieć.

- Kirsty - powiedziała cicho. - Słyszałam kogoś wydającego rozkazy. Nie ruszaj się.

Rozumiesz? - Nie była już roześmianą kobietą, tylko głową klanu MacArran.

- Rory - szepnęła Kirsty z oczyma rozszerzonymi strachem.

- Posłuchaj, i zrób to, co mówię. - Bronwyn cedziła słowa powoli, wyraźnie. -

Musisz pójść za te wysokie krzaki i ukryć się.

- Rory - powtórzyła Kirsty.

- Zaufaj mi! - powiedziała zdecydowanie Bronwyn.

Popatrzyły sobie w oczy.

- Tak - odparła Kirsty. Czuła, że może zaufać swej nowej przyjaciółce. Bronwyn była silniejsza, szybsza, a Rory był zbyt ważny, żeby ryzykować jego życie dla matczynej zazdrości. Odeszła w krzaki i przykucnęła obserwując, co się dzieje. Wiedziała, że Bronwyn ma większą szansę na ucieczkę z dzieckiem - słabszą Kirsty złapano by po kilku krokach.

Bronwyn stała nieruchomo, czekając na to, co miało nadejść. Szum wody w strumieniu zagłuszał odgłos końskich kopyt. W chwilę po tym, jak Kirsty zniknęła w krzakach, pojawiło się czterech jeźdźców. Byli Anglikami, ubranymi w grube, ocieplane stroje. Ich kaftany miały postrzępione brzegi, ich oczy zdradzały głód.

Natychmiast zauważyli Bronwyn. Rory zaczął płakać, więc Podbiegła do niego i przytuliła dziecko do piersi.

- Co my tu mamy? - powiedział blondyn, podjeżdżając do niej.

- Piękność ze szkockich wrzosowisk - zaśmiał się jego towarzysz tuż za nią. -

Popatrz, jakie ma włosy! - krzyknął pierwszy.

- Wszystkie Szkotki to dziwki - rzekł trzeci. On i czwarty jeździec zamknęli krąg wokół Bronwyn.

Blondyn podjechał do niej tak blisko, że musiała się cofnąć.

- Nie wygląda na zbyt przerażoną - stwierdził. - Aż się prosi, by zetrzeć jej ten uśmiech z twarzy.

Kobiety nie powinny mieć dołków w brodzie - zaśmiał się. - To nie pasuje.

- Czarne włosy i niebieskie oczy - zauważył drugi. - Gdzie ja to już widziałem?

- Sądzę, że zapamiętałbym ją, gdybym ją już kiedyś widział - odparł trzeci. Dobył miecza i przyłożył go ostrym końcem do szyi Bronwyn.

Popatrzyła na niego bez strachu, starając się ocenić sytuację.

- Dobry Boże! - wykrzyknął drugi. - Już wiem, kto to jest.

- A kogo to obchodzi - rzekł pierwszy, zsiadając z konia. - Oto coś, czego zamierzam skosztować. I tylko to jest ważne.

- Czeka! - powstrzymał go tamten. - Ona jest z MacArranów. Widziałem ją u sir Tomasza Crichtona. Pamiętasz? Wyszła za jednego z Montgomerych.

Mężczyzna stojący przed Bronwyn cofnął się o krok.

- Czy to prawda? - zapytał z lękiem.

Patrzyła tylko na niego, tuląc do siebie dziecko. Jeden z siedzących na koniu roześmiał się.

- Tylko spójrz na nią! Ona musi nazywać się MacArran. Czy widziałeś kiedyś kobietę z tak dumnym wyrazem twarzy? Słyszałem, że zmusiła tego Montgomery'ego, by o nią walczył po tym, jak król Henryk obiecał mu ją.

- Zgadza się - potwierdził drugi. - Ale sami widzicie, dlaczego Montgomery tak chętnie wyciągnął dla niej miecz.

- Lady Bronwyn - zwrócił się do niej pierwszy. Jej imię znane było w wyższych kręgach angielskiej szlachty. - Gdzie jest lord Stephen?

Bronwyn milczała. Jej oczy co chwila uciekały do muru ogradzającego dom Harbena. Dziecko zakwiliło i przytuliła twarz do jego policzka.

- Cóż za niespodzianka! - powiedział czwarty z mężczyzn.

- Co z nią zrobimy? Zwrócimy ją Montgomerym. Jestem pewien, że Stephen jej szuka - zaproponował pierwszy.

- I z pewnością hojnie odwdzięczy się za jej dostarczenie - dodał ze śmiechem trzeci.

Czwarty podjechał bliżej, zmuszając Bronwyn do cofnięcia się.

- A co z jej klanem? - zapytał poważnie. - Czy wiesz, że MacArranowie są w stanie wojny z

MacGregorami? To ziemia MacGregorów, wiesz przecież.

- Karolu - powiedział z namysłem pierwszy. - Wydaje nu się, że masz niezły pomysł.

Ona się wyraźnie ukrywa. Czyje to dziecko? - zapytał, adresując swoje pytanie do Bronwyn.

- Za duże na jej własne. Może uciekła od Montgomery'ego by mieć je z kimś innym.

Drugi mężczyzna zaśmiał się.

- Pewnie dużo za nią zapłaci, a wtedy potraktuje ją wrzącym olejem.

- A gdyby tak spróbować wydobyć nagrodę od wszystkich trzech stron: jej klanu, MacGregora i Montgomerych?

- I zabawić się, czekając na ich odpowiedź - dorzucił trzeci.

Kirsty obserwowała wszystko zza krzaków. W jej oczach Pojawiły się łzy, a z zagryzionej wargi spłynęła kropla krwi. Wiedziała, że Bronwyn mogłaby uciec. Mur był zbyt wysoki dla koni. Ale nie udałoby się jej uciec z dzieckiem. Żeby wspiąć się po kamieniach, trzeba mieć obie ręce wolne. Dopóki Bronwyn ma dziecko, nie może uciec.

- Mam pomysł - powiedział pierwszy. Podszedł do Bronwyn. - Mogłabyś z nami współpracować. Oddaj mi dziecko. - Przemawiał do niej, jakby była niespełna rozumu. Gdy Bronwyn zrobiła krok do tyłu, skrzywił się. - Wiemy, że to nie jest dziecko Montgomerych, więc może lepiej od razu się go pozbyć? Bronwyn stała niewzruszona.

- Skrzywdzisz mnie lub dziecko, a będziesz miał przeciwko sobie mój klan i wszystkich Montgomerych - odparła spokojnie.

Mężczyzna przez chwilę patrzył na nią zaskoczony, potem ochłonął.

- Czy próbujesz nas przestraszyć? - zbliżył się jeszcze o krok. - Oddaj dziecko!

- Nie zbliżaj się - ostrzegła zdecydowanie Bronwyn.

Jeden z mężczyzn roześmiał się.

- Sądzę, że powinieneś uważać. Wygląda mi na niebezpieczną.

Mężczyzna za jej plecami zsunął się z konia. - Potrzebujesz pomocy? - zapytał

spokojnie.

Pozostali siedzieli nadal na koniach, ale przybliżyli się.

Bronwyn nie uległa panice. Nie mogła położyć dziecka ani sięgnąć po nóż. Jej szansą była tylko

szybka ucieczka; musiała zdystansować Anglików, całe życie przyzwyczajonych do koni. Zręcznie wyminęła stojącego przed nią mężczyznę i pobiegła przed siebie, obejmując mocno Rory'ego.

Ale nawet Szkot nie prześcignie konia.

Jeden z jeźdźców przeciął jej drogę. Jego zdradziecki śmiech rozległ się głośno po okolicy. Rory zaczął głośniej płakać, przyciśnięty mocno do piersi Bronwyn. Wiedziała, że ci ludzie zabiją go natychmiast, gdy tylko ona położy go na ziemi.

Mężczyźni ponownie ją otoczyli. Któryś chwycił ją za ramię i popchnął w kierunku drugiego.

Nagie jakaś strzała wystrzelona znikąd utkwiała w piersi blondyna właśnie w chwili, gdy ponownie wyciągnął rękę w kierunku Bronwyn.

Pozostali trzej zamarli z przerażenia, patrząc na leżącego u ich stóp towarzysza.

Bronwyn nie traciła czasu na zastanawianie się, kto wystrzelił tę strzałę, tylko puściła się biegiem w kierunku skał. Mężczyźni rozglądali się, próbując wypatrzeć strzelca. Zanim zdążyli pomyśleć, na kamiennym murze stanął jakiś samotny Szkot i posłał kolejną strzałę, która dosięgła drugiego ze stojących wokół Bronwyn mężczyzn.

Pozostali dwaj zawrócili konie i ruszyli galopem drogą, którą tu przyjechali.

Stephen zręcznie pokonał kamienny mur. Rab biegł niż za nim. To właśnie pies go zaalarmował. Stephen podążył za uciekającymi, napinając w biegu łuk. Jeden z napastników

spadł z konia, ale jego wierzchowiec nie zwolnił kroku, ciągnąc jeźdźcę, którego stopa uwięzła w strzemieniu. Stephen biegł za czwartym.

Kirsty z wahaniem opuściła kryjówkę. Bronwyn ruszyła w jej kierunku. Kirsty odebrała synka i przytuliła go mocno, a gdy podniosła wzrok i zobaczyła nadchodzącego Donalda, Podbiegła do niego i oddała mu dziecko, po czym wróciła do Bronwyn.

- Ocaliłaś go - wyszeptała drżąc. - Mogłaś uciec, ale tego nie robiłaś. Zaryzykowałaś własne życie dla mojego dziecka.

Ale Bronwyn nie słuchała. Patrzyła za Stephenem.

- Zabił Anglika! - powtarzała. Była wstrząśnięta i szczęśliwa. Zabił Anglika w obronie jej i szkockiego dziecka.

Donald położył rękę na jej ramieniu.

- Będziecie musieli wyjechać - powiedział smutno.

- Och, Donald, proszę... - zaczęła Kirsty.

- Nie. Tak musi być. Ci ludzie... - urwał, gdy zobaczył Stephena.

Bronwyn podeszła do męża oszołomiona. Obejrzała go dokładnie, ale nie dostrzegła śladów krwi. Był spocony po biegu i chciała mu otrzeć czoło.

- Nic ci nie zrobili? - spytała cicho. Przyjrzał się jej, po czym przytulił.

- Zachowałaś się bardzo odważnie. Obroniłaś to maleństwo. Zanim zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się Donald.

- Stephen, co z tym czwartym?

- Uciekł - odparł, gładząc Bronwyn po plecach, jakby jeszcze raz chciał się upewnić, że jest bezpieczna.

Kirsty i Donald wymienili spojrzenia.

- Z pewnością pojedzie do MacGregora - stwierdził Donald.

Bronwyn wysunęła się z objęć Stephena.

- Od jak dawna wiecie, że nazywam się MacArran? - zapytała.

- Od kiedy cię ujrzałam - odparła Kirsty. - Widziałam cię rok temu jadącą z twoim ojcem. Zbierałyśmy z matką jagody.

- Więc twoja matka też wie - skostatowała Bronwyn. Nadal trzymała za rękę Stephena, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa. - A twój ojciec?

Kirsty zmarszczyła czoło. - Jest zbyt rozgoryczony, by wybaczyć. Chciałam mu dać trochę czasu. Chciałam, żeby najpierw dobrze was poznał... Po waszym wyjeździe powiedziałabym mu. Jego nienawiść musiałaby wtedy osłabnąć.

- Ale było zbyt mało czasu - uzupełnił Donald. - Ci Anglicy rozpoviedzą wszystko po okolicy.

- Stephen - odezwała się Bronwyn. - Musimy jechać. Nie możemy narażać Kirsty i jej rodziny.

Skinął głową.

- Donald, Kirsty... - zaczej.

- Nie - przerwała mu Kirsty. - Nic musisz nic mówić. Jesteście rodzicami chrzestnymi mojego syna i zamierzam się tego trzymać.

Stephen uśmiechnął się do niej.

- Może się chować z jednym z moich braci.

- Anglikiem! - prychnęła Bronwyn. - Nie, Kirsty, może przyjechać do MacArranów.

Donald rozpromienił się.

- Przestańcie. Będzie niedługo więcej chłopców do podziału, postaramy się o to.

Teraz bierzcie konie tych Anglików i jedźcie do domu. Musicie dotrzeć do braci Stephena przed Bożym Narodzeniem.

- Kirsty - zaczęła Bronwyn, a Kirsty przytuliła ją serdecznie. - Co powiedzą moi ludzie, gdy dowiedzą się, że moja najlepsza przyjaciółka należy do klanu MacGregorów? -

roześmiały się.

Kirsty spoważniała.

- Musicie do nas wrócić i porozmawiać z MacGregorem. To dobry człowiek i potrafi się poznać na pięknej kobiecie. Musicie zakończyć ten spór. Nie chciałabym, żeby nasi synowie musieli kiedyś walczyć przeciw sobie.

- Ja też nie - odparta Bronwyn odsuwając się. - Daję ci moje słowo, że tu wrócę.

Stephen otoczył ją ramieniem.

- Musimy tu wrócić po resztę domowego piwa Harbena.

Donald roześmiał się.

- Wydaje mi się, Bronwyn, że jestem ci coś winien za to, że się ze mnie śmiałaś przy pierwszym spotkaniu. Gdy pomyślę, co wygadywaliśmy o MacArranach!

- Samą prawdę - zachichotał Stephen. - Ona jest najbardziej upartą, nieposłuszną...

- ...najbardziej godną podziwu kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem - dokończył

Donald i uściskał ją serdecznie.

- Nigdy ci się nie wypłacę za uratowanie życia mojemu synowi Dziękuję. - Teraz uściskał Stephena. - Jedźcie już. Weźcie konie tych Anglików i jedźcie. Gdy mi Kirsty powiedziała, że jesteś Anglikiem, nie uwierzyłem. Dotąd nie wierzę. Stephen roześmiał się.

- Wydaje mi się, że to komplement. Kirsty, jestem zaszczycony, że mogłem cię poznać. Żałuję, że nie zostajemy dłużej, by moja żona mogła się od ciebie nauczyć właściwego postępowania.

Zanim Bronwyn zdążyła mu odpowiedzieć, Donald wybuchnął śmiechem.

- To tylko pozory, przyjacielu. Jest tak samo apodyktyczna jak Bronwyn, tylko inaczej się do tego

zabiera. Bronwyn popatrzyła na Stephena spod półprzymkniętych powiek.

- Pomyśl, zanim coś odpowiesz - ostrzegła. Stephen przyciągnął ją do siebie. -

Powinniśmy już ruszać. - Dotknął rączki Rory'ego i przez chwilę czuł zaciskającą się małą piąstkę. Potem wziął Bronwyn za rękę i poprowadził do koni. Gdy odjeżdżali, żadne z nich nie było w stanie spojrzeć za siebie. Ten krótki czas spędzony w chłopskiej chacie był okresem całkowitego spokoju i nie mogli bez bólu myśleć o odjeździe.

Jechali powoli przez wiele godzin. Nie chcieli ściągać na siebie uwagi zbyt szybkim tempem. Raz Stephen zatrzymał się, by zdjęć z koni kilka typowo angielskich elementów uprząży, po czym rzucił je w krzaki. Bronwyn dostała od jakiejś chłopki trochę ciemnej farby, którą zamalowała białe znaki na ciele koni. Jeśliby przyjrzeć się dokładniej, można było zauważyć, że pęciny zwierząt miały odcień purpury zamiast głębokiej, kasztanowej maści reszty ciała.

Stephen martwił się o żywność i chciał wydać kilka monet, które znaleźli w jukach.

Bronwyn wyśmiała go przypominając, że są w Szkocji. Gdziekolwiek zapukali, spotykali się z hojnością i gościnnością. Nawet jeśli gospodarz sam miał niewiele, zawsze był skory podzielić się tym co ma z innym Szkotem, czy też po prostu nie - Anglikiem. Bronwyn bawiła się świetnie, kiedy Stephen wraz z innymi pomstował na Anglików. Kolejni gospodarze oprowadzali go po polach spalonych przez Anglików. Inny zaś pokazał im swoją wnuczkę, namacalny dowód gwałtu na jego córce. Stephen wysłuchiwał tych smutnych opowieści i odpowiadał z miękkim przeciągającym głosem, tak u niego naturalnym jak oddychanie.

W nocy, zawinięci w plaidy, kochali się. Czasami zdarzało się w ciągu dnia, że spojrzeli tylko na siebie i po chwili tarzali się po ziemi.

Porozumiewali się bez słów. Bronwyn zawsze umiała odgadnąć jego myśli. Jej oczy miały iskry, a ciało stawało się gorące. Uśmiechała się do niego, gdy sadzał ją przed sobą w siodle.

- Wątpię, bym kiedykolwiek zdołał się tobą nasycić - szepnął Stephen, pieszcząc ustami jej ucho.

- I nawet nie dlatego, żebyś nie próbował - odparła nieskromnie, ale zaraz potem zamknęła oczy i odchyliła głowę, by mógł dosięgnąć jej szyi. - Stephen! - powiedziała nagle i wyprostowała się, widząc kilku ludzi obserwujących ich z pobocza drogi.

- Witam - rzucił Stephen, a potem ponownie zajął się jej szyją, Odsunęła się od niego.

- Nie ma w tobie ani krzty przyzwoitości? Moglibyśmy przynajmniej... - urwała, zobaczywszy pragnienie w jego oczach. - Tam są jakieś drzewa - szepnęła.

Rab trzymał straż, gdy oni położyli się na skraju niewielkiego lasu. Bronwyn odnosiła wrażenie, że im częściej się kochali, tym bardziej Stephen był urzeczony jej ciałem.

Migoczący blask przedzierającego się przez korony drzew światła słonecznego igrał na ciemnej skórze opinającej jego mięśnie. Fascynowała ją jego siła i zręczność, z jaką unosił

ja. jedną ręką. Prowokowała go, odsuwała się od niego, ale wystarczyło, by położył na niej rękę, i już ją miał obok siebie.

Kochali się na wiele sposobów. Bronwyn eksperymentowała, potrzeby ciała zawładnęły jej umysłem. Leżała na plecach, zarzuciwszy nogi na opartego na boku Stephen. Przyciągnęła go do siebie, jęcząc, kiedy pieścił dłońmi jej nogi. Całe ciało Bronwyn wyprężyło się, gdy razem przeżywali ekstazę.

Leżeli nieruchomo przez chwilę, przytuleni, nie czując ani zimowego wiatru, ani chłodu wilgotnej, prawie zmrożonej ziemi.

- Jaka jest twoja rodzina? - zapytała ochryple Bronwyn. Stephen nie odpowiadał, tylko patrzył na nią, zadowolony, że wyglądała na bardzo zmęczoną, niemal tak wyczerpaną, jak on sam. Wzdrygnął się pod wpływem lodowatego wiatru.

- Ubierz się, potem upieczemy trochę placków.

Gdy już byli ubrani, Stephen podszedł do swojego konia, wyjął z torby płaską blachę i woreczek mąki owsianej. Ten kawałek metalu był ich jedynym sprzętem. Kiedy wrócił, Bronwyn siedziała już przy płonącym ognisku. Szybko rozrobili mąkę z wodą i rozprowadzili cienką warstwę papki na rozgrzanej już blasze. Stephen przewrócił placek palcami.

- Nie odpowiedziałeś mi - przypomniała Bronwyn, jedząc pierwszy placek.

Stephen wiedział, o co jej chodzi, ale nie chciał się zdradzić, jak bardzo go ucieszyło to zainteresowanie jego rodziną. Nagle uświadomił sobie, że wcale nie ma ochoty jechać do majątku Montgomerych, że chce zatrzymać Bronwyn dla siebie. Blask ognia igrał w jej włosach, odbijał się od srebrnej broszki na ramieniu. Nie miał ochoty się nią dzielić z nikim.

- Stephen? Tak mi się dziwnie przyglądasz.

Uśmiechnął się i odwrócił placek na blasze.

- Tylko myślę. Ciekawe. Chcesz się czegoś dowiedzieć o mojej rodzinie. - Zwinął

placek w rulonik i ugryzł. - Gavin jest najstarszy, potem ja, Raine i Miles.

- Jacy oni są? Podobni do ciebie?

- Trudno mi to ocenić. Gavin jest wysoki i niezwykle uparty. Bardzo dba o dziedzictwo Montgomerych, dlatego spędza w majątku większość czasu.

- I tylko on się ożenił?

- Zapominasz o mnie. - Roześmiał się. - Gavin i Judyta pobrali się rok temu.

- A ona? Jaka jest?

- Piękna! Miła, słodka i wyrozumiała. Odchrząknął - Będzie zmuszona obcować z Gavinem. On zupełnie nie zna się na kobietach, no i często popada w tarapaty.

- Tak, rzeczywiście, on jeden z waszej czwórki nie wie nic o kobietach.

Stephen zignorował ironię zawartą w jej słowach. Zaczynał tęsknić za rodziną.

- Potem jest Raine. Przypomina Tama, ciężki, mocny, jak nasz ojciec. Raine... Nie wiem, jak to określić. Jest dobry, na wskroś dobry. Mierzi go niesprawiedliwość. Raczej zaryzykuje własne życie, niż pozwoli, by skrzywdzono na przykład jakiegoś chłopca.

- A Miles?

- Miles - powtórzył Stephen i uśmiechnął się. - W zasadzie jest spokojny, ale właściwie nikt go nie zna. Od czasu do czasu wybucha, i wtedy zupełnie nie panuje nad sobą. Pamiętam, kiedyś, gdy byliśmy jeszcze dziećmi, pogniwał się na któregoś z paziów mojego ojca i wszyscy trzej musieliśmy go hamować.

- Co zrobił ten paż? - spytała zaciekawiona, przyjmując kolejny placek.

Oczy Stephena rozblęły na to wspomnienie. - Zalecał się do jakiejś dziewczynki.

Miles uwielbia kobiety.

- Wszystkie?

- Wszystkie - potwierdził Stephen. - Idą za nim, jak gdyby miał klucze do rajów.

Nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety, której Miles by się nie spodobał.

- Brzmi zachęcająco - stwierdziła, oblizując palce.

- Jeśli kiedykolwiek!... - Urwał, ponieważ Bronwyn spojrzała na niego z nagłym zainteresowaniem. Skupił uwagę na plackach. - I jest jeszcze Maria.

- Maria?

- Nasza siostra.

Sposób, w jaki wypowiedział to imię, sprawił, że znowu podniosła na niego oczy.

- Nigdy nie wspominałaś o siostrze. Jaka jest? Spotkamy ją w czasie świąt?

- Maria wygląda jak Madonna - powiedział z zachwytem. - Już jako dzieci zdawaliśmy sobie sprawę z jej inności. Była najstarsza i zawsze potrafiła uchronić nas od kłopotów.

Czasami Gavin i Raine skakali sobie do gardła. Gavin świadom tego, że pewnego dnia majątek

przypadnie jemu, nieraz złościł się na Raine'a, kiedy ten wybaczał jakiemuś chłopu uczynioną szkodę. Maria stała wówczas pomiędzy nimi i potrafiła ich ostudzić.

- Jak? - zapytała Bronwyn, myśląc o swoich własnych powinnościach wobec klanu.

- Nigdy nie wiedziałem, jak ona to robi. Wtedy gdy Miles próbował zabić pazia, to właśnie Marii udało się go uspokoić.

- A co się z nią teraz dzieje? Czy jej mąż jest dla niej dobry?

- Nie ma męża. Prosiła, byśmy jej pozwolili nigdy nie wychodzić za mąż, a ponieważ dotychczas nie spotkaliśmy człowieka, którego uznalibyśmy za dostatecznie dobrego dla niej, uszanowaliśmy to życzenie. Mieszka w klasztorze oddalonym o kilka mil od posiadłości Montgomerych.

- To ładnie, że przychyliliście się do jej prośby. Słyszałam, że Angielki nie mają specjalnego wyboru, jeśli chodzi o ich własną przyszłość.

Stephen nie próbował się bronić.

- Chyba masz rację. Może Anglicy powinni się czegoś od nas nauczyć.

- Oni? - spytała niewinnie.

Roześmiał się, zrozumiawszy.

- Czy uwierzysz, że czasami myślę o sobie jak o Szkocie? - Wstał i klepnął się w udo. - Jak sadzisz, moi bracia rozpoznają mnie?

- Chyba tak - odparła. - Ale pewnie tylko oni. - W jej głosie zabrzmiała nuta dumy.

- Chciałbym, żebyś się nie pomyliła.

- Masz jakieś plany? - zapytała podejrzliwie, widząc w jego oczach przekorne iskierki, niczym u małego chłopca, który szykuje jakąś psotę. - Słuchaj, Stephen, goni nas już MacGregor, mój brat ze swoimi ludźmi, a być może i kilku Anglików, ponieważ zabiłeś już trzech z nich. Chciałabym dotrzeć do twoich braci w jednym kawałku.

- I tak się stanie - odparł, ale patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. - Musimy tylko złożyć komuś wizytę po drodze.

Bronwyn westchnęła, wstała i otrzepała spódnice. Gdy podchodziła do konia, myślała o chłopcach, którzy nigdy nie dorosną.

12

Gdy przekroczyli granice Anglii, Stephen poczuł inny zapach w powietrzu. Ludzie mieszkający nawet tak blisko granic nie byli przyzwyczajeni do widoku Szkotów. Otwarcie przyglądali się ich strojom;

niektórzy wykrzykiwali coś gniewnie, ponieważ Szkoci dokonywali wypadów na ich ziemię. Bronwyn siedziała wyprostowana, z wysoko podniesioną głową. Nie reagowała na to, co usłyszała od Anglików. Tylko raz okazała emocje, gdy Stephen poszedł do chłopskiej zagrody, żeby napełnić wodą bukłak. Wtedy wybiegł jakiś mężczyzna z widłami i zranił Stephena. Ten chciał biec za przeklinającym Szkotów człowiekiem, ale Bronwyn powstrzymała go. Jeszcze długo potem Stephen mamrotał coś pod nosem o głupocie Anglików. Bronwyn uśmiechała się, słysząc jego słowa; żadne z nich nie było jej obce.

Teraz pokłócili się o coś innego. Dwa dni wcześniej Stephen powiedział jej o figlu, jaki miał zamiar spłatać swojemu przyjacielowi z dzieciństwa.

- Nie! Nie rozumiem! - powtórzyła po raz setny Bronwyn.

- To jest waśń - tłumaczył jej cierpliwie Stephen - Przede wszystkim ty powinnaś rozumieć, na czym to polega.

- To, co się dzieje między MacGregorami i MacArranami, jest prawdziwe, to długie lata krzywd i nienawiści. Zabijali moich ludzi i kradli moje bydło. Niektóre moje kobiety wychowują ich dzieci - Posłała mu błagalne spojrzenie. - Proszę, Stephen, twoja dziecinna zabawa może spowodować kłopoty. Co za różnica, czy ten człowiek cię rozpozna, czy nie.

Stephen nie odpowiedział, tym bardziej że pytał ją o zdanie kilka razy. Nie potrafił

jej wytłumaczyć, kim jest Hugo. Nie mógł przypomnieć sobie nawet jednego momentu spędzonego z tym człowiekiem, który nie łączyłby się z jakimś zamieszaniem czy przykrością.

Razem patrolowali tereny graniczące z niziną częścią Szkocji; gdy otrzymali wiadomość, że król Henryk przeznaczył dziedziczkę klanu MacArran na żonę dla Stephena.

Hugo wybuchnął wówczas gromkim śmiechem. Przez kilka dni zajmował się rozpowszechnianiem karykaturalnych opisów Bronwyn. Wkrótce cały obóz rozprawiał o kreaturze, którą miał poślubić lord Stephen.

Sytuacja stała się szczególnie przykra, ponieważ Stephenowi wydawało się wtedy, że jest zakochany. Dziewczyna nazywała się Margaret, w skrócie Meg. Była pulchną, różową blondynką, córką handlarza ze szkockich nizin. Miała wielkie, błękitne oczy i małe, delikatne usta, stworzone do całowania. Była nieśmiała, cicha i nie widziała świata za Stephenem, a przynajmniej on tak twierdził. W nocy trzymał Meg w ramionach, pieszcząc jej delikatne ciało, i wyobrażał sobie owe upiorne chwile, które czekały go z przywódczynią szkockiego klanu.

Po kilku nie przespanych nocach zaczął rozważać możliwość odrzucenia propozycji króla Henryka. Myślał o poślubieniu córki kupca.

Nie była bogata, ale jej ojciec nie czynił żadnych przeszkód, a Stephen zadowalał się niewielkim dochodem ze swych własnych dóbr. im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej mu się ten pomysł podobał. Starał się nie pamiętać o gniewie króla.

Ale to właśnie Hugo pozbawił go złudzeń, informując Meg o zaplanowanym przez króla małżeństwie. Wtedy biedna dziewczyna, przerażona i bezradna, wpadła wprost w otwarte ramiona Hugona. Hugo niewiele myśląc zaciągnął ją do swego łóżka.

Stephen był wstrząśnięty, znalazłszy przyjaciela w łóżku z kobietą, którą kochał. Ale skonstatował z zaskoczeniem, że ten fakt nie wywołał w nim gniewu. Wysunął więc wniosek, że nigdy właściwie nie kochał Meg, ani też ona jego, skoro tak łatwo zamieniła go na innego. Chciał tylko odplacić Hugonowi tą samą monetą. Zanim zdążył cokolwiek wymyślić, przybył posłaniec z wiadomością, że Gavin potrzebuje pomocy, i Stephen pojechał do brata, nie zaprzatając sobie głowy Hugonem.

Teraz dostrzegł sposobność odplacenia przyjacielowi. Gdyby jemu, Stephenowi, udało się dostać do posiadłości Hugona i wyjść stamtąd niepostrzeżenie, a jednak zostawiając świadectwo swojej tam bytności, miałby sporą satysfakcję. Hugo obawiał się obcych, rzadko kiedy wypuszczał się gdzieś bez silnej straży. Tak, Stephen uśmiechnął się do siebie, był sposób na odplacenie Hugonowi Lasco.

Przybyli do Lasco tuż przed zachodem słońca. Duży, kamienny dom miał okna osłonięte kratami. Na dziedzińcu kręciło się mnóstwo ludzi, wyraźnie zaaferowanych powierzonymi im zadaniami. Nie dostrzegli ani jednej grupki plotkującej służby.

Gdy tylko Stephen i Bronwyn znaleźli się w zasięgu wzroku straży, zapytano ich, kim są. Mówiąc z silnym szkockim akcentem, Stephen wyjaśnił, że chciałby zaśpiewać do kolacji panu tego domu. Czekali cierpliwie, aż strażnik przyniesie im zgodę sir Hugona.

Stephen wiedział, że Hugo uważa się za wytrawnego lutnistę i nie przepuści okazji ocenienia kogoś innego. Uśmiechnął się, kiedy strażnik polecił im zaprowadzić konie do stajni, a potem iść do kuchni.

Później, siedząc przy wielkim dębowym stole i jedząc obfity posiłek, Bronwyn zaczęła przychyłać się do planów Stephena. Nie, żeby jej o nich dużo opowiadał.

Przeciwnie. Wiedziała tylko o zamiarze spłatania przyjacielowi niegroźnego figla.

- Jaki jest sir Hugo? - zapytała z ustami pełnymi świeżego chleba.

Stephen wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się dość przystojny, jeśli o to ci chodzi. Ale jest niski, krępy i raczej ciemny. Poza tym doprowadza swoje otoczenie do szału. To najpowolniejszy człowiek na ziemi. Gdy patrolowaliśmy niziny, zawsze bałem się, że w przypadku ataku, Hugo może zginąć, zanim zdąży otworzyć oczy, nie mówiąc już o włożeniu zbroi.

- Żonaty?

Posłał jej gniewne spojrzenie. Przez chwilę przyglądał się żonie uważnie, zastanawiając się, czemu tak wiele kobiet uważało Hugona za atrakcyjnego. Flegmatyczne, przesadnie ostrożne zachowanie przyjaciela doprowadzało Stephena do szału. Ale kobiety....

- Chciałbym, żebyś przez cały czas trzymała głowę pochyloną - powiedział

zdecydowanie. - Tym razem tyczyłbym sobie, byś zachowywała się jak posłuszna żona.

Uniosła brwi.

- A czy kiedykolwiek zachowywałam się inaczej? - Bronwyn! Ostrzegam cię. To sprawa pomiędzy Hugonem i mną. Nie chcę, żebyś się w to mieszała.

- Mówisz tak, jakbyś się go bał - stwierdziła prowokacyjnie. - Czy jest w nim coś takiego, co rzuca kobiety na kolana?

Miało to zabrzmieć lekko, ale popatrzysz na Stephena stwierdziła, że osiągnęła większy skutek od spodziewanego. Zapragnęła pocieszyć go, że nie ma najmniejszego zamiaru rzucać się przed nikim na kolana. No, oczywiście zdarzało się, że jej głowa znajdowała się pomiędzy stopami Stephena... Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Nie ma się z czego śmiać! - powiedział ostro Stephen. - Jeśli mnie nie posłuchasz...

- Urwał, gdyż zbliżył się do nich jeden ze strażników Hugona i wezwał Stephena.

Długie stoły w głównej sali były zastawione i posiłek już się rozpoczął. Stephen niemal pchnął Bronwyn na stołek pod ścianą. Uśmiechnęła się figlarnie, a nawet zachichotała cichutko, widząc jego groźne spojrzenie. Miała nadzieję, że to odwiedzie męża od powziętych zamiarów.

Tymczasem Stephen przyjął podaną mu lutnię i usiadł obok głównego stołu. Grał

dość dobrze, miał głęboki głos i śpiewał czysto.

Przez chwilę Bronwyn rozglądała się po sali. Ciemnowłosa mężczyzna, siedzący na poczesnym miejscu przy głównym stole, nie patrzył na śpiewającego. Bronwyn z zainteresowaniem obserwowała, jak on je; rzeczywiście robił to niezwykle powoli, a każdy jego ruch sprawiał wrażenie przemyślanego.

Szybko straciła zainteresowanie Hugonem Lasco, oparła się głową o kamienną ścianę, zamknęła oczy i poddała się muzyce Stephena, Czuła się tak, jakby grał tylko dla niej. Kiedy otworzyła oczy, stwierdziła, że na nią patrzy. Jego wzrok był równie przejmujący, jak dotknięcie. Poczwała przeszywający ją dreszcz i zobaczyła wyraz jego twarzy. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, po czym znowu zamknęła oczy. Śpiewał jakąś celtycką pieśń i ucieszyła się, że znalazł czas na nauczenie się jej od Tama. Słodka muzyka, słowa miłości śpiewane w jej ojczystym języku sprawiły, że zapomniała o Anglii, otoczona przez Anglików i poślubiona jednemu z nich. Znalazła się w Larenston z mężczyzną, którego kochała.

Uśmiechnęła się marzycielsko, ale wtedy wyczuła jakąś zmianę w śpiewie Stephena.

Szybko otworzyła oczy. Nie patrzył na nią, tylko na Hugona. Powoli odwróciła głowę.

Zanim to zrobiła, wiedziała, że Hugo ją obserwuje.

Był dość przystojny w tradycyjnym tego słowa znaczenia. Miał ciemne oczy i włosy oraz nieco zbyt wydatne wargi jak na mężczyznę. Poruszał nimi w typowy dla siebie powolny sposób i Bronwyn przemknęła przez myśl, że w łóżku pewnie też tak się porusza.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. A więc na tym polegała atrakcyjność Hugona!

Stephen oczywiście nie był w stanie tego dostrzec, ale ona, jako kobieta, uznała to za interesujące. Uśmiechnęła się pomyślawszy, że powie Stephenowi o swoim odkryciu.

Odwróciła się do męża i zobaczyła, że patrzy na nią pociemniałymi oczyma, ze zmarszczonym czołem. Przez chwilę zastanawiała się, co go rozgniewało, a potem o mało się nie roześmiała. On po prostu był zazdrosny, pomyślała zaskoczona, a świadomość tego dała jej więcej satysfakcji niż wszystkie gorące spojrzenia Hugona.

Spuściła wzrok na swoje ręce. Choć nie powinna, czuła się niezwykle zadowolona, że Stephen jest zazdrosny. Nie odważyłaby się powiedzieć Stephenowi, że Hugo nic jej nie obchodził, albo raczej, że obchodził ją o tyle, o ile dawał jej radość z powodu zazdrości Stephena.

Hugo powiedział coś do stojących za nim strażników, wtedy jeden z nich podszedł

do Stephena. Ten wysłuchał go, oddał mu lutnię i pomaszerował gniewnie przez salę, po drodze chwytając Bronwyn za ramię.

Kiedy już znaleźli się za drzwiami, odwrócił ją gwałtownie twarzą do siebie.

- Z pewnością dobrze się bawiłaś! - syknął przez zaciśnięte zęby.

- To boli - powiedziała cicho, starając się rozluźnić jego palce zaciśnięte na jej ramieniu.

- Powinienem cię zabić!

Nie wytrzymała. Doprawdy pozwalał sobie na zbyt wiele!

- Typowe męskie myślenie! To ty chciałeś tu przyjść. To ty chciałeś zabawić się jak dziecko. A teraz, żeby odwrócić uwagę od własnej głupoty, chcesz mnie bić?!

Wpił się mocniej palcami w jej ramię.

- Mówiłem ci, żebyś siedziała spokojnie, ale ty musiałaś posyłać Hugonowi te swoje prowokacyjne uśmiešky. Dałaś mu do zrozumienia, że dostanie wszystko, o co tylko poprosi.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

- To najbardziej absurdalna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Kłamiesz! Widziałem!

Oslupiała. Starła się jednak zachować spokój, gdy do niego przemówiła.

- Stephen, co się z tobą dzieje? Patrzyłam na niego jak na każdego innego.

Zaciekawił mnie, bo mówiłeś, że jest bardzo powolny, a mimo to cieszy się powodzeniem u kobiet.

- Czy chciałaś dołączyć do jego stadka?

- Jesteś wulgarny i obrażasz mnie - stwierdziła. - I przez cały czas sprawiasz mi ból.

Nie wypuścił jej.

- Może żałujesz, że to nie jemu oddał cię król Henryk, albo Rogerowi Chatworthowi? Jeśli pokonałem jednego, z pewnością uda mi się pokonać i drugiego.

Zachowywał się tak dziecinnie, że jedyną odpowiedzią Bronwyn był śmiech.

- To wszystko nie ma sensu. Przecież tylko na niego patrzyłam. Jeśli nawet się uśmiechałam, to dlatego, że myślałam o czymś innym, I jeszcze raz ci przypominam, że to nic ja chciałam tu przyjechać.

Nagle gniew go opuścił i przygarnął Bronwyn do siebie.

- Nie rób tego nigdy więcej - powiedział poważnie.

Już miała mu odpowiedzieć, że przecież nic nie zrobiła, ale przytulił ją z taką desperacją, że zrezygnowała. Bolała ją ręka, czuła na niej odcisk każdego jego palca, a mimo to była zadowolona, że Stephen jest o nią zazdrosny, kiedy patrzy na nią inny mężczyzna.

Wypuścił ją z objęć.

- Aż szkoda, że jesteś taka śliczna - szepnął. - Znowu zgłodniałem. Chodź, zobaczymy, czy nie ma czegoś w kuchni.

Bronwyn wyczuwała niezwykłą więź łączącą ich oboje, jakby to była prawdziwa miłość, a nie jedynie fizyczna fascynacja. Pomoce kuchenne zaczęły szemrać, widząc ich znowu, ale Stephen mrugnął do kucharki i wtedy ta stara, gruba kobieta zmiękła pod jego spojrzeniem. Teraz Bronwyn doświadczyła ukłucia zazdrości i pomyślała, że wołałaby, żeby Stephen patrzył tylko na nią.

Przez chwilę stali z boku, zajadając ciasto z jabłkami. - Strasznie dużo się tu marnuje

- stwierdziła Bronwyn.

Stephen miał zamiar bronić angielskiej kuchni, ale zbyt dużo czasu spędził w Szkocji. Mieszkał u rodziców Kirsty, widział ich biedę. Nawet w Larenston ludzie byli oszczędni.

zawsze świadomi wartości jedzenia i tego, że jutro może go zabraknąć.

- O, tak - potwierdził. - Przydałoby się trochę tego w domu.

Bronwyn spojrzała na niego z sympatią, Odgarnęła mu włosy za ucho. Dobrze mu było w długich włosach i z ciemną opalenizną. Zauważyła, że jakaś hoża pomoc kuchenna przygląda się muskularnym udom Stephena. Chwyciła go za rękę.

- Mam już dość tego miejsca. Czy możemy stąd wyjść?

Stephen zgodził się i wyszedł, nie zauważywszy spojrzenia kucharki.

Ale nie opuścili domostwa Hugona - powstrzymała ich burza. Nadeszła niespodziewanie z ulewnym deszczem. Tak czyste jeszcze przed chwilą niebo nagle zrobiło się ciemne, grożąc biblijnym potopem.

Bronwyn błagała męża, by nie zostawali. Przekonywała, że deszcz nigdy jeszcze nie zaszkodził żadnemu Szkotowi, ale jej nie słuchał. Nie chciał ryzykować złapania zapalenia płuc, szczególnie w sytuacji, gdy mógł tego uniknąć. Tak więc przygotowali się do spędzenia nocy w domu Hugona.

Cały główny hall pokryty był siennikami dla służby i przyjezdnych. Stephen starał

się znaleźć jakieś ustronne miejsce, ale bez powodzenia. Gdy już leżeli, wsunął rękę pod jej spódnicę i dotknął jej kolana, ale potraktowała go ostro twierdząc, że nie zamierza robić z siebie widowiska. Westchnął więc i skapitulował. Bronwyn przytuliła się do niego i natychmiast zasnęła.

Stephen nie mógł spać. Zbyt dużo czasu spędził na otwartej przestrzeni i w murach się dusił. Wielokrotnie zmieniał pozycję, ale wciąż było mu niewygodnie. Raz nawet Rab warknął na niego, zdenerwowany tym wierceniem się. Stephen Podłożył ręce pod głowę i zapatrzył się w sufit. Przypomniawszy sobie, jak Hugo przyglądał się Bronwyn. A niech go!

Hugo był przekonany, że może dostać każdą kobietę, której tylko zapragnie. Niewątpliwie miała w tym swój udział Meg, tak łatwo zmieniając kochanka.

Im dłużej myślał o tym, co zrobił mu Hugo, tym bardziej narastał w nim gniew.

Pomimo ostrzeżeń Bronwyn miał ochotę odegrać się na Hugonie.

Po cichu wstał z posiana, kazał Rabowi pilnować Bronwyn i cicho ruszył ku wschodnim drzwiom głównego hallu.

W dzieciństwie często odwiedzał z braćmi ten dom. Kiedyś odkryli z Hugonem tajne przejście na górę. Drżeli z podniecenia, gdy dotarli do drzwi na szczycie schodów. Zdziwili się stwierdziwszy, że drzwi są świeżo naoliwione. Wsunęli się do pomieszczenia i stanęli za ciężką draperią pokrywającą ściany. Z początku nie dosłyszeli głosów dochodzących z łóżka. A wtedy było już za późno. W łóżku był dziadek Hugona z młodą pokojówką, obydwoje wyraźnie sobą zachwyceni. Ale starszy pan nie znalazł nic zabawnego w widoku dwóch siedmioletnich chłopców przyglądających mu się z uwagą. Stephen dotąd krzywił się na wspomnienie batów, jakie dostał za podglądanie, i zapowiedzi następnych, gdyby zachciało im się kiedyś ujawnić tajne przejście. Cztery lata temu Stephen zapłakał

na pogrzebie dziadka Hugona. Pomyślał wtedy, że sam chciałby móc zadowalać młode dziewczęta, gdy osiągnie tak sędziwy wiek. Stephen uśmiechnął się z zadowolenia, że Bronwyn nie może poznać jego myśli.

Wśliznął się za parawan antyszambru przy głównym hallu. Podszedł do ławki pod oknem, wyjął z kieszeni nóż i przeciął miana tapicerkę w miejscu zakrytym poduszką. Wiele lat temu pewna wyjątkowo zażarta bitwa na poduszki pozwoliła znaleźć to miejsce. Odsunął

płytę i musiał przedrzeć się przez gęste pajęczyny, zanim dotknął skraju otworu. Gdy znalazł się na schodach, wsunął płytę na miejsce.

Wewnątrz było ciemno; zauważył dwie ścieżki rozbiegające się stąd w przeciwnych kierunkach. Pajęczyny uderzały Stephena w twarz i żałował, że nie wziął ze sobą miecza, by je odgarniać. Za życia dziadka Hugona przejście to było często używane i utrzymywane w czystości. Stephen odgadł, że teraz Hugo nie musi kryć się ze swymi podbojami i nie korzysta z tego ustronia.

Drzwi na szczycie schodów otworzyły się lekko z cichym skrzypnięciem, ale Stephen nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i oślepiła go zapalona świeca w pokoju. Stephen uśmiechnął się pomyślawszy, że szczęście mu dopisuje. Zobaczył Hugona śpiącego w łóżku, Stephen popatrzył na nie spodziewającego się ataku mężczyznę i wyjął z pochwy nóż.

Nawet jako dziecko Hugo bał się poruszać bez straży. Gdy miał zaledwie pięć lat, usiłowano go porwać. Niewiele o tym opowiadał, ale zawsze starał się mieć przy sobie strażnika. Obudzić go z nożem przystawionym do szyi, to więcej niż satysfakcja odpłacenia mu za uwiedzenie Meg.

Stephen owinał rękojeść sztyletu kawałkiem plaidu i przywiązał kokardę MacArranów. Cicho położył nóż obok głowy przyjaciela. Uśmiechając się szeroko, odwrócił się ku sekretnemu przejściu.

- Brać go! - zagrzniał głos Hugona.

Z ciemnych kątów pokoju wyskoczyli czterej strażnicy. Stephen powalił jednego, walnął pięścią w twarz drugiego. Mężczyźni wycofali się. Reakcja Stephena była szybsza niż atak dwóch pozostałych mężczyzn. Był już przy drzwiach, gdy poczuł na szyi czubek miecza Hugona.

- Dobra robota! - pochwalił go Hugo. - Widzę, że nie zaniedbywałeś ćwiczeń w Szkocji. - Cofnął miecz na tyle, by Stephen mógł się odwrócić.

Był ubrany. Trzymał miecz przy szyi Stephena, skinieniem głowy polecił swym strażnikom otoczyć Stephena, po czym podniósł sztylet z poduszki.

- MacArran, prawda? - Przełożył nóż do lewej ręki. - Miło cię znowu widzieć, Stephen. Stephen uśmiechnął się szeroko.

- A niech cię! Skąd wiedziałeś?

- Gavin przejeżdżał tędy kilka dni temu i mówił, że się ciebie spodziewa. Słyszał, że wpadłeś w

tarapaty w Szkocji, niepokoił się o ciebie. Pomyślał, że najpierw tu się zatrzymasz.

Stephen potrząsnął głową.

- Zdradził mnie mój własny brat. - Podniósł wzrok w zaskoczeniu. - Ale nawet wiedząc o tym, jak...?
- Zdawał sobie sprawę, że różni się wyglądem od tego dawnego

„angielskiego” Stephena.

Hugo uśmiechnął się.

- Zaśpiewałeś pieśń, której uczyliśmy się kiedyś razem na nizinach, pamiętasz? Jak mogłeś zapomnieć te długie dni, kiedy uczyliśmy się refrenu!

- Oczywiście! - zawołał Stephen rozumiejąc, że zbyt zaufał swojemu przebraniu. -

Bronwyn miała rację, że to nie wyjdzie, że się z czymś zdradzę.

- Muszę przyznać, że twój akcent jest znakomity, ale możesz go już porzucić.

- Akcent? - zapytał Stephen prawdziwie zdumiony. - Przestałem mówić jak Szkoci, gdy tylko opuściliśmy granice ziem MacGregorów. Hugo zaśmiał się serdecznie. - Stephen, ty naprawdę stałeś się Szkotem. Opowiedz mi co wydarzyło się w Szkocji. Czy ożeniłeś się z tą okropną kobietą? Czym ona była, głową jakiegoś klanu? A kim jest to apetyczne stworzenie, które wpatrywało się w ciebie namiętnie. kiedy śpiewałeś?

Stephen skrzywił się.

- To Bronwyn - powiedział krótko.

- Bronwyn? To chyba walijskie imię? Znalazłeś ją w Szkocji? I jak udało ci się uciec od twojej żony?

- Bronwyn jest dziedziczką klanu MacArran i moją żoną - odparł sztywno Stephen, z trudem poruszając wargami. Hugo otworzył ze zdumienia usta.

- Twierdzisz, że ten błękitnooki anioł jest głową jakiegoś klanu, a ty miałeś tyle szczęścia, by ją poślubić?

Stephen nie odpowiedział, mierzając go wzrokiem. Dlaczego nadal otaczali go strażnicy?

- Co tu się dzieje? - zapytał spokojnie.

Hugo uśmiechnął się, jego oczy zabłyśły.

- Zupełnie nic. Tylko niewinny żart, ten, który ty dla mnie przygotowałeś. - Potarł

miecz palcami. - Bronwyn, tak? - zapytał w zadumie. Obniżył nieco nóż, ale nadal trzymał

go w pogotowiu. - Pamiętasz, jak pierwszy raz o niej usłyszeliśmy? Jęczałeś, że nie masz zamiaru zenić się z brzydką kobietą. Pragnąłeś... jak ona się nazywała? Elżbieta?

- Margaret - rzucił Stephen. - Hugo, nie wiem, o co ci chodzi, ale...

- Mam na myśli dokładnie to samo, co wtedy.

Stephen patrzył na niego z niedowierzaniem, przypomniawszy go sobie w łóżku z Meg. Myśl o tym, że mógłby choćby dotknąć Bronwyn... - Dotknij jej, a zabiję cię -

powiedział ze śmiertelną powagą.

Zdumiony Hugo zamrugał powiekami.

- Brzmi to prawie na serio.

- Bo tak to mówię. Hugo uśmiechnął się.

- Ale przecież jesteśmy przyjaciółmi. Zdarzyło się już nam dzielić kobietami.

- Bronwyn jest moją żoną! - krzyknął Stephen, rzucając się na Hugona. Wszyscy czterej strażnicy natychmiast podskoczyli do niego, ale nie zdołali go utrzymać. Hugo odsunął się szybko, ale Stephen nie rezygnował. Wtedy otworzyły się drzwi i pojawili się następni strażnicy. Pochwycili Stephena. - Zabrać go do wieży! - rozkazał Hugo, patrząc na przyjaciela z podziwem.

- Nie rób tego! - ostrzegł Stephen, a siedmiu trzymających go ludzi wyciągnęło go z pokoju.

- Nie zrobię tego siłą, jeśli o to ci chodzi - zaśmiał się Hugo. - Chcę tylko jednego pełnego dnia, a jeśli nie dostanę jej w tym czasie, zyskasz pewność, że masz wierną żonę.

- A niech cię szlag! - zaklął Stephen, szamocąc się podczas wyprowadzania z pokoju.

Bronwyn stała przed wysokim lustrem, przyglądając się sobie krytycznie. Prawie godzinę zajęło jej ubieranie się w angielską suknię. Spódnica i rękawy uszyte były z marszczonego, błyszczącego brokatu. Wokół szyi przywiązana była wstążkami mała skórka z gronostaja. Spódnica, rozcięta z przodu, ukazywała aksamit koloni cynamonu. Głęboki dekolt miał kształt prostokąta.

Jej włosy wiły się na plecach w gęstych puklach. Krótsze pasma za uszami układały się w fantazyjne loczki.

- Wyglądasz pięknie, milady - powiedziała za jej plecami młoda, nieśmiała pokojówka. - Sir Hugo nigdy jeszcze nie przyjmował tu tak pięknej damy.

Bronwyn obróciła się ku niej i już miała zamiar coś powiedzieć, ale się pohamowała.

Nauczyła się już, że zadawanie pytań w tym domu nie ma sensu. Tego ranka musiała siłą przytrzymać Raba, by nie rzucił się na Hugona, gdy ten podszedł do jej siennika w głównym hallu. Z niewiadomego powodu pies znenawidził tego człowieka.

Zanim Bronwyn zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie, Hugo obszernie wyjaśnił jej przyczynę nieobecności Stephena. Kiedy skończył (powiedział, że Stephen pojechał do jakiejś pobliskiej miejscowości, w odwiedziny do starego przyjaciela), uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

Zarzuciła go pytaniami. Dlaczego Stephen wyjechał, nie porozmawiawszy z nią wcześniej? Cóż to za sprawa, której Hugo nie może załatwić osobiście? Skoro potrzebował

pomocy, dlaczego nie poprosił o nią braci Stephena?

Patrzyła, jak Hugo płacze się, przecząc swoim własnym słowom. Wyglądał dziwnie, często unikał jej wzroku. Gdy w końcu się uśmiechnął, odniosła wrażenie, że wpadł na jakiś dobry pomysł. Opowiedział jej historię, jak to Stephen chciał jej zrobić niespodziankę i poprosił Hugona, żeby się nią zajął przez jeden dzień.

Bronwyn nie zadała już ani jednego pytania. Na razie lepiej było udawać, że mu uwierzyła. Uśmiechnęła się do tego niższego od siebie mężczyzny.

- Niespodzianka! - zawołała, mając nadzieję, że jej głos brzmi dostatecznie dziewczęco i niewinnie.
- Jak sądzisz, co to będzie?

Hugo odpowiedział jej przyjaznym uśmiechem.

- Możemy tylko czekać, prawda? Ale zaplanowałem na ten czas rozrywki. Właśnie rozstawiane są namioty, przygotowywane sztuczne ognie.

- Och, jak miło! - ucieszyła się, klaszcząc w ręce. a zaraz Potem odrywając Raba od jego gardła.

Hugo zaprowadził ją do czystego, ciepłego pokoju, gdzie Przygotowano dla niej brokatową suknię. Zauważyła, że dolny brzeg spódnicy został nieco odłożony, by suknia me była na nią za krótka. Ktoś musiał nad nią pracować przez całą noc. Wychodząc Hugo posłał

jej jeden ze swoich uwodzicielskich uśmiechów i Bronwyn poczuła się w obowiązku odpowiedzieć mu choćby lekkim wygięciem ust, co kosztowało ją niemało Kiedy została sama, szybko podbiegła do okna. Zobaczyła cieśli pracujących z zapałem na rusztowaniach.

Rozpalono już sześć ognisk i jedno wielkie palenisko pod wpółotwartym baldachimem.

Ściągnęła brwi, zaskoczona. Z jakiego powodu jakiś Anglik miałby planować w grudniu festyn? Ubiegłej nocy spadł śnieg, przykrywając ziemię cienką warstewką. Z tego, co wiedziała. Anglicy byli dość słabowitymi stworzeniami i woleli zabawy pod dachem.

Przyszła pokojówka, żeby pomóc jej przy sukni, ale Bronwyn nie uzyskała żadnej informacji z tego źródła. Dowiedziała się jedynie, że sir Hugo przez całą noc zarządzał

przygotowywanie rozmaitych atrakcji. Bronwyn zastanawiała się, czy nie przesadza ze swoimi obawami. Może Stephen rzeczywiście został gdzieś wezwany, a Hugo chce tylko rozerwać żonę przyjaciela? Ale czyżby Stephen zostawił ją samą, by przygotować niespodziankę? Był zbyt wielkim realistą. Raczej zaprzęglby ją do pomocy.

Zanim zdążyła zebrać myśli, w drzwiach pojawił się Hugo. Powoli mierzył jej postać wzrokiem pełnym zachwyty.

- Jesteś wspaniała - wyszeptał. - Stephen jest szczęściarzem.

Podziękowała mu i przyjęła podane ramię, kiedy schodzili po schodach.

- Musisz mi opowiedzieć o tym swoim klanie - rzekł, nie spuszczać wzroku z jej ust - Pewnie cieszysz się, że dostał ci się mąż Anglik. Może nawet kiedyś spotkasz króla Henryka i wtedy osobiście mu podziękujesz.

Bronwyn niemal zakipiała z wściekłości. Do tej pory uważała, że to Stephen jest próżny, ale ten człowiek przekraczał wszelkie granice.

- O, tak - odparła miękko. - Stephen jest dla mnie bardzo dobry i tak wiele się od niego nauczyliśmy. - Miała ochotę roześmiać się, przypomniawszy sobie, że to przecież Stephen bardzo się zmienił, a nie jej ludzie.

- Oczywiście. - Hugo uśmiechnął się. - My, Anglicy, jesteśmy lepsi w walce. Wy, Szkoci, moglibyście się wiele od nas nauczyć. - Urwał. - Wybacz, nie chciałem tego powiedzieć. Poza tym jesteś przecież głową klanu.

Słowa te miały dla niej wartość miedziaka rzuconego żebrakowi. Przemilczała je, ale gdyby on dorzucił choć jedno słowo, poszczułaaby go Rabem.

- Ach, popatrz! - wykrzyknęła zachwycona. - Czyż to nie śliczne? - wskazała ręką pstry namiot.

Hugo przystanął, spojrzął przelotnie na dom i pocałował dłoń Bronwyn.

- Nic nie jest zbyt dobre dla ciebie, zbyt piękne.

Popatrzyła na niego krytycznie. Gdy go zobaczyła po raz pierwszy, uznała jego powolne ruchy i niezwykle usta za interesujące. Teraz wydawał jej się dość nudny. Nie wiedzieć czemu uważał, że ona jest zachwycona tym, że on całuje ją w rękę.

Z trudem powstrzymała się, by się od niego nie odsunąć. Czy wszyscy mężczyźni uważają się za atrakcyjnych? Nagle dotarło do niej, jak niewielkie doświadczenie miała w tej materii. Mężczyźni z jej klanu nigdy nie próbowali jej dotknąć, prawdopodobnie, bojąc się gniewu jej ojca. W Anglii miała do czynienia jedynie z Rogerem Chatworthem, który rozprawiał tylko o swoich planach dotyczących jej ludzi. Stephen był jedynym mężczyzną, który jej dotknął i, jak się okazuje, jedynym, na którego pieśczęty była w stanie opowiedzieć. Dotknięcie Hugona wzbudziło w niej tylko chęć odsunięcia się od niego.

On jednak wydawał się zadowolony z jej reakcji, czy też jej braku, i poprowadził

Bronwyn do wyścielanego krzesła przy namiocie. Klasnął w dłonie i na podeście pojawiło się trzech zonglerów. Bronwyn uśmiechnęła się nieznacznie i z udanym zainteresowaniem oglądała przedstawienie. Ale naprawdę obserwowała otoczenie. Z każdą mijającą chwilą stawała się coraz bardziej nieufna. Coś było nie w porządku. Dlaczego ten festyn odbywa się na świeżym powietrzu?

Do zonglerów dołączyły tancerki. Bronwyn zauważyła, że są sine z zimna.

Lodowaty wiatr owiewał ich twarze. Jeden ze służących Hugona zaproponował

przestawienie namiotu, by osłonić wszystkich przed wiatrem. Odpowiedź była wręcz niegrzeczna, a przede wszystkim odmowna.

- Musisz mi wybaczyć, sir Hugonie - powiedziała Bronwyn, wstając z krzesła.

Chciała rozejrzeć się po domu. Może tam znajdzie klucz do tajemnicy? Może Stephen nigdzie nie wyjechał?

- Ależ nie odchodź jeszcze, proszę. Każę dorzucić do ognia. Albo przynieść jeszcze jeden piec.

- Nie jest mi zimno - odpowiedziała zgodnie z prawdą, starając się nie rozeźmiać na widok fioletowego z zimna nosa Hugona. - Chciałabym tylko... - spuściła wzrok na swoje ręce, urwawszy w pół zdania.

- Oczywiście - odparł zmieszany. - Wyślę strażnika...

- Nie! Mam Raba, a poza tym znam drogę.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Uśmiechnął się i ponownie ucałował jej dłoń.

Bronwyn z trudem powstrzymywała się od biegu. Nie chciała wzbudzić podejrzeń Hugona. Gdy jednak znalazła się w domu, zrozumiała, że nie ma czasu do stracenia.

- Rab - rozkazała. - Szukaj Stephena.

Rab radośnie ruszył w górę po schodach. Przez cały ranek opierał się poleceniom Bronwyn. Zatrzymał się pod drzwiami pokoju, który, jak przypuszczała Bronwyn, należał

do Hugona. Węszył tam przez chwilę, po czym ruszył wyżej. Bronwyn pobiegła za nim, wysoko unosząc spódnicę.

U szczytu trzeciego rzędu schodów znajdowały się masywne, dębowe drzwi z otworem osłoniętym kratą. Rab podskoczył, opierając się o nie przednimi łapami. Szczeknął

dwukrotnie, dając do zrozumienia, że wykonał zadanie.

- Rab! - dał się słyszeć głos Stephena.

- Leżeć! - rozkazała Bronwyn. - Stephen, nic ci się nie stało? Dlaczego cię uwięziono? - Chwyliła go za rękę przez kratę.

Ujął jej dłoń w obie ręce i patrząc na nią zimno, zapytał:

- Czy to tę dłoń Hugo tak często całował?

- Nie czas na ataki zazdrości. Dlaczego cię tu zamknięto? I czemu ma służyć ta bzdurna uroczystość?

- Bzdurna? - wyrzucił z siebie Stephen, wypychając jej rękę przez kraty. - Nie wyglądałaś na niezadowoloną. Powiedz, podoba ci się Hugo? Wiele kobiet uważa go za atrakcyjnego.

Patrzyła na niego, gładząc Raba. zaniepokojonego uwięzieniem pana. Próbowwała myśleć.

- To jakiś żart, prawda? - zapytała niepewnie. - To jakaś rozgrywka pomiędzy tobą i twoim przyjacielem?

- Nie ma żartów, gdy chodzi o czyjaś żonę - odparł ponuro.

- A niech cię, Stephenie Montgomery! - syknęła. - Mówiłam, żebyśmy tu nie przyjeżdżali. Ale nie, ty zawsze postawisz na swoim. Teraz chcę się dowiedzieć, o co tu chodzi i jak cię stąd wydostać, chociaż nie mam właściwie pojęcia, po co mi to.

Stephen zmrużył oczy.

- Jeśli oddasz się Hugonowi i pozwolisz mu wygrać, skręcę ci kark. Zaczynała rozumieć.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem przedmiotem jakiegoś zakładu? Co jest stawką? Gdy Stephen milczał, odpowiedziała za niego.

- Chyba już wiem. Hugo sądzi, że potrafi mnie zwabić do swojego łóżka, a ty też w to wierzysz. Czy kiedykolwiek przyszło ci do tej puste, przeklętej głowy, że ja również mogę mieć tu coś do powiedzenia? Uważasz, że jestem tak pusta, iż każdy mężczyzna, który się do mnie uśmiecha i całuje mnie w rękę, może mnie mieć? Powinieneś wiedzieć, że obroniłabym się. W ostateczności nawet nożem. Rab warczy za każdym razem, gdy on mnie dotyka.

- Co dzieje się dość często, jak miałem okazję zaobserwować.

Bronwyn zauważyła okno po drugiej stronie celi. To dlatego Hugo odmówił

przesunięcia namiotu. Chciał, żeby Stephen zobaczył ich razem. Popatrzyła na zaciętą twarz Stephena i czuła, jak wzbiera w niej gniew. Ci dwaj mężczyźni wykorzystali ją do zabawy godnej dziesięciolatków. Hugo obwieścił, że zaciągnie Bronwyn do łóżka, a Stephen, człowiek małej wiary, nie zaufał jej uczciwości sądząc, że może ją zdobyć każdy mężczyzna, który odpowiednio przyłoży się do tego zadania. A Hugo! Obraził ją, potraktował jak głupią i jeszcze wierzył, że podziela na nią

jego wątpliwy urok.

- A niech was obu! - szepnęła, odwracając się od drzwi.

- Bronwyn! Wracaj! - rozkazał Stephen. - Powiedz Hugo nowi, że już o wszystkim wiesz i wydobądź od niego klucz.

Obejrzała się i posłała mu najśłodszy ze swych uśmiechów.

- Żeby stracić te wszystkie rozrywki, które przygotował dla mnie sir Hugo? -

zapytała, marszcząc czoło. Zeszła po schodach, zaciskając usta, podczas gdy Stephen kłął. -

A niech was obu! - powtórzyła pod nosem.

13

Bronwyn wciąż jeszcze mruczała pod nosem, gdy dotarła do hallu. Czekał tam na nią sir Hugo z niepokojem malującym się na twarzy. Wyglądał tak, jakby miał zamiar zrugać ją za guzdranie się. Z początku chciała wygarnąć mu, co myśli o wszelkich zakładach, ale porzuciła ten zamiar. Anglicy! Kiedy poznała Stephena, on też był przekonany, że to, co angielskie, jest najlepsze. Wyśmiał ją, gdy zaproponowała mu szkocki strój zamiast angielskiej zbroi. Teraz wątpiła, by dał się namówić na włożenie któregoś z ciężkich kaftanów sir Hugona. Ale Stephen dużo przeszedł, zanim zdołał się zmienić.

Być może uda jej się tu przeprowadzić własną batalię i udowodnić tym Anglikom prawdę, którą znał każdy Szkot: Kobiety potrafią myśleć.

- Już zaczynałem się martwić - rzekł sir Hugo, wyciągając rękę.

Bronwyn otworzyła szeroko oczy.

- Nie masz chyba nic przeciwko temu, że oglądałam twój dom? Jest wspaniały.

Powiedz, to wszystko twoje?

Sir Hugo wziął ją za rękę. Wypiął pierś.

- Owszem, a ponadto siedemset akrów ziemi. Oczywiście mam jeszcze inną posiadłość na południu.

Westchnęła ciężko.

- Stephen - zaczęła nieśmiała - Stephen nie ma takiego domu, prawda? Hugo skrzywił się.

- No, ma jakąś ziemię, a na niej chyba jakiś stary zamek, ale nie taki dom. Ale twoje posiadłości...

Ponownie westchnęła.

- Cóż z tego, skoro są w Szkocji.

- Tak, oczywiście. Rozumiem. To zimny, mokry kraj, prawda? Nic dziwnego, że wolisz mieszkać tutaj. Może Stephen... - urwał.

Uśmiechnęła się do siebie. Było tak, jak myślała. Hugo nie interesował się nią samą, nie chciał też obrazić Stephena. Po prostu doskwierała mu nuda i miał zamiar rozerwać się widokiem rozwścieczonego przyjaciela. Zbyt często mówił o Stephenie, by mógł być jego wrogiem. Stephen uważał, że może ją zwabić do swego łóżka każdy atrakcyjny mężczyzna, a Hugo chciał jej użyć jako zabawki. Żaden z nich nie brał pod uwagę jej uczuć i myśli.

Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób mogłaby pokrzyżować ich plany. Ciekawe, co powiedziałyby sir Hugo, gdyby zaczęła narzekać na męża i stwierdziła, że miałyby ochotę zostać z takim delikatnym, przystojnym mężczyzną jak Hugo.

Gdy zbliżali się do namiotu, popatrzyła na niebo.

- Chyba zaraz wyjdzie słońce. Może wyniesiemy nasze krzesła spod osłony?

Sir Hugo przystał na to z uśmiechem i kazał przestawić krzesła.

Bronwyn poleciła ustawić je bliżej siebie, co wywołało zaskoczenie Hugona. Gdy usiedli, nie traciła czasu. Muzycy grali słodką pieśń miłosną, ale nawet na nich nie spojrzała; siedziała wpatrzona w Hugona.

- Nie masz żony, milordzie? - zapytała cicho.

- Nie... jeszcze nie. Nie miałam tyle szczęścia, co mój przyjaciel Stephen.

- Czy rzeczywiście jest twoim przyjacielem? A czy ty mógłbyś zostać moim?

Hugo popatrzył jej głęboko w oczy, bojąc się, że w nich zatonie. Stephen naprawdę miał szczęście.

- Oczywiście. Jestem nim - powiedział ojcowskim tonem.

Westchnęła, oblizła usta i rozchyliła je.

- Widzę, żeś jest wrażliwym, inteligentnym mężczyzną. Szkoda, że nie mam takiego męża. - Rozpromieniła się, widząc, że opadła mu szczęka. - Muszę ci coś powiedzieć o moim małżeństwie. Nie mam wyboru. Chciałam to powiedzieć komuś innemu, ale... Lord Stephen...

Hugo zeszywniał.

- Słyszałem, że Stephen musiał o ciebie walczyć i że całkiem nieźle mu poszło.

Podobno Chatworth zaszedł go od tyłu.

- tak, Stephen jest doskonały w walce, ale... Nie wiem, jak to wyrazić. Nie jest taki, jakim bym go chciała.

Oczy Hugona rozszerzyły się.

- Chcesz powiedzieć, że ma jakieś braki? Posłuchaj, przyjaźnimy się praktycznie od zawsze. A jeśli chodzi o kobiety... - zaczynał w nim wzbierać gniew. - Kiedy byliśmy razem w Szkocji, Stephen niemal zakochał się w pewnej dziewczce. Był ślepy, nie widział, że ona spała z poławą oddziału. Zapłaciłem dziewczynie, żeby poszła ze mną do łóżka właśnie wtedy, gdy spodziewałem się wizyty Stephena.

- Czy dlatego jest na ciebie zły? - zapytała, zapominając o słodkim głosiku, jakim się do niego zwracała.

- Nigdy by mi nie uwierzył, gdybym wyjawiał, kim była naprawdę. Wszystko przesłaniały mu jej dołeczki w policzkach.

Bronwyn oparła się na krześle, analizując to, co właśnie usłyszała. A więc to tak!

Stephen chciał ją wykorzystać, by odplacić Hugonowi za zabranie jednej ze swych kobiet Kobiety, w której był niemal zakochany! Uczuła w piersi gwałtowny ból, w jej oczach zaczęły się zbierać łzy. Nie miał ochoty się z nią żenić, ponieważ kochał się w pucołowatej dziewczce.

- Lady Bronwyn, dobrze się czujesz? Dotknęła oczu wierzchem dłoni.

- Coś mi wpadło do oka.

- Zobaczmy. - Ujął jej twarz w swe silne dłonie, a ona podniosła na niego wzrok.

Wiedziała, że Stephen ich obserwuje i zadała sobie pytanie, czy Stephen myśli jeszcze czasem o tamtej kobiecie.

- Nic nie widzę - stwierdził sir Hugo, puszczając jej twarz. - Jesteś niezwykle piękną kobietą - szepnął. - Stephen jest...

Wyrwała mu się.

- Nie chcę słyszeć jego imienia - powiedziała ze złością, - Dziś jestem od niego wolna i niech tak zostanie. Może muzycy posunęliby się nieco, robiąc nam miejsce do tańca.

Mogłabym pokazać ci kilka szkockich tańców.

Obejrzał się nerwowo na dom i pozwolił poprowadzić się na drewniany podest.

Sir Hugo już dawno się tak nie bawił. Nie był przyzwyczajony do tego, by włosy jakiejś kobiety luźno spływały na jej plecy. Oczy Bronwyn błyszczały wesoło, kiedy on nieudolnie próbował naśladować jej zawile kroki. Wydawało mu się, że zrobiło się cieplej i zapomniał o jej mężu

patrzającym na nich przez okno.

- Bronwyn - roześmiał się. Oficjalny zwrot „lady” porzucili już godzinę wcześniej. -

Muszę odpocząć. Złapała mnie kolka.

- Nie będzie z ciebie dobrego Szkota, skoro nie wytrzymujesz tej odrobiny ćwiczeń - zakpiła.

Ujął ją za rękę.

- Nie ćwiczyłem intensywnie od czasu tygodniowej zaprawy z braćmi Montgomery.

- Tak - odparła siadając. - Stephen rzeczywiście dużo ćwiczy. - Tym razem była poważna.

- To dobry człowiek - stwierdził, biorąc kawałek sera z tacy podsuniętej mu przez służącego.

- Zapewne - powiedziała, pijąc ciepłe, korzenne wino.

- Zazdroszczę mu.

- Naprawdę? - zapytała, patrząc mu głęboko w oczy. - Może mógłbyś go zastąpić...

w kilku sprawach. - Zauważyła rosnące zainteresowanie, gdy pojął znaczenie jej słów.

Próżny jak paw! Nigdy nie przyszło mu do głowy (nie tylko jemu, innym mężczyznom także), że nie jest ósmym cudem świata.

- Lady Bronwyn - zwrócił się do niej oficjalnie. - Muszę z tobą poważnie porozmawiać. O Stephenie...

- Jaki był jako dziecko? - przerwała mu.

Zdawał się zaskoczony.

- Poważny. Jak Gavin. Wszyscy dorastali w świecie mężczyzn. Jeśli jest niezręczny, to dlatego, że niewiele wie o kobietach.

- W przeciwieństwie do ciebie - mruknęła.

Uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- Mam pewne doświadczenie i może to cię do mnie przyciąga. Od niedawna jesteś żoną Stephena. Sądzę, że z biegiem lat nabierzecie do siebie... sympatii.

- Czy tego oczekujesz od życia? Sympatii.

- Jestem inny niż Stephen - odparł nieskromnie.

Skwitowała to stwierdzenie uśmiechem, a w jej umyśle zaczął się krystalizować pewien plan.

- Niedawno, jadąc przez Szkocję, zatrzymaliśmy się u farmerów. Jedna z kobiet przyrządziła pyszny napój z pewnej odmiany porostów. Kiedy dojeżdżaliśmy do twojego majątku, zauważyłam, że rosną przy skałach. Może' warto byłoby je pozierać. Mogłabym przygotować dla ciebie taki napój.

Hugo zastanawiał się przez chwilę, po czym się zgodził. Nie podobało mu się, że sprawy potoczyły się w ten sposób. Wyglądało na to, że żona Stephena tylko czeka na okazję, by go zdradzić. Hugo wolałby stwierdzić, że Bronwyn okazała się niezłomna, ale wyglądało na to, że ona się nim interesuje. Podczas spaceru Hugo zaczął mówić o Stephenie, jakim to jest honorowym człowiekiem, zasługującym na kobietę taką jak Bronwyn.

Bronwyn odzywała się z rzadka, zbierając porosty i zeschnięte główki kwiatów do koszyka. Słuchała uważnie Hugona.

Kiedy wrócili do domu, zaczęło padać. Sir Hugo - bardzo oficjalny - zaprowadził ją do odosobnionego pokoju. Służący przyniósł grzane wino i kubki, by mogła przyrządzić napój. Mieszając starannie składniki, przyglądała się ukradkiem Hugonowi, którego rozpierała duma z tego, że oparł się awansom Bronwyn.

- Milordzie - powiedziała, podając mu kubek. Jej dłoń pieszczotliwie musnęła jego rękę. Uśmiechnęła się, gdy pochwalił napój, wypił wszystko i poprosił o więcej.

- Muszę z tobą porozmawiać - zaczął, sącząc gorący płyn. - Muszę cię wyprowadzić z błędu.

- Jakiego błędu? - zapytała niewinnie.

- Stephen jest moim przyjacielem, zawsze nim był. I mam nadzieję, że tak pozostanie.

- A czemuż by nie?

- To zależy od ciebie. Nie powinnaś już nigdy mówić o... swojej sympatii do mnie.

- Mojej sympatii do ciebie? - Udała, że nic nie rozumie. Usiadła naprzeciw niego. -

O czym ty mówisz?

- Och, milady. Obydwoje doskonale wiemy, co dziś zaszło między nami. Wszystkie kobiety znają się na sprawach sercowych.

Uniosła brwi, zdziwiona.

- Wszystkie kobiety? A na czym jeszcze się one znają?

- Nie rób ze mnie idioty! - obruszył się. - Nie jestem taki niewinny jak Stephen Montgomery. Może

uda ci się przekonać Stephena, że nie interesują cię inni mężczyźni, a ja, jako jego przyjaciel, potwierdzę to. Ale nie udawaj przede mną niewiniątka.

- Wpadłam! - przyznała się z uśmiechem. - Tyle wiesz o kobietach i swoim przyjacielu, że nie mam wyjścia.

Hugo już miał coś powiedzieć, gdy nagły atak bólu skręcił mu wnętrzności.

- Proszę, wypij jeszcze. Wyglądasz blado.

Hugo chwycił kubek, wychylił go jednym haustem. Po chwili przyszedł do siebie, ale miał trudności z oddychaniem.

- Ryba musiała być nieświeża - stwierdza, po czym powrócił do tematu. - Na czym stanąłem?

- Mówiłeś mi, że jestem gotowa opuścić dla ciebie mojego męża.

- Zmieniasz moje słowa. Ja...

Z hukiem postawiła pusty dzban na stole. Emalia naczynia pokryła się siateczką pęknięć.

- Nie! Pozwól, że ci coś powiem! - Stała nad nim, oparłszy ręce na biodrach. -

Twierdzisz, że jesteś przyjacielem Stephena, a jednak zabawiasz się jego kosztem i zamykasz go w pokoju, skąd będzie mógł zobaczyć, jak ty robisz z siebie głupca przed jego żoną.

- Głupca? Nie traktowałam mnie dziś jak głupca...

- Sądzisz, że potrafisz odczytać moje myśli? Czy jesteś aż tak próżny, by uwierzyć, że po tylu miesiącach spędzonych w łóżku Stephena Montgomery'ego mogę czuć się nie usatysfakcjonowana?

- Ale powiedziałaś...

- Uwierzyłeś w to, w co chciałeś uwierzyć. Jesteś przekonany, że postąpiłeś niebywale szlachetnie, płacąc tej dziwce za pójście z tobą do łóżka. Wydaje ci się, że zrobiłeś Stephenowi przysługę, ale mam wątpliwości, czy nie byłeś po prostu zazdrosny.

Wszyscy w obozie musieli jej płacić, wszyscy z wyjątkiem jednego - mojego Stephena!

- Twojego Stephena! - zaczął Hugo wstając, ale wtedy kolejna fala bólu zgięła go we dwoje. Popatrzył na nią przerażony. - Otrułaś mnie.

Uśmiechnęła się.

- Nie otrułam, ale jeszcze przez kilka dni będziesz się czuł fatalnie. Chciałabym, żebyś długo pamiętał ten dzień.

- Dlaczego? - wyszeptał. - Co ja ci takiego zrobiłem?

- Nic - odparła poważnie. - Absolutnie nic. Zbyt dużo miałam do czynienia z Anglikami, żeby to znieść. Wykorzystałeś mnie do porachunków ze Stephenem. Nawet nie przeszło wam przez myśl, że i ja mogę mieć coś do powiedzenia w tej sprawie. Zauważyłam to wczoraj wieczorem, gdy Stephen grał na lutni. Byłeś przekonany, że żadna kobieta ci się nie oprze.

Hugo zgiął się w pół.

- Ty suko! wysapał. - Zabieraj sobie tego swojego Stephena.

- Czy jestem suką tylko dlatego, że chciałam być czymś więcej niż pionkiem w waszej grze? Pamiętaj, sir Hugonie, że na szachownicy jest tylko jedna kobieta i to ona jest najswobodniej poruszającą się i najmocniejszą figurą. - Pochyliła się i wyciągnęła klucz z kieszeni jego kamizelki.

- Stephen cię widział. Nigdy nie uwierzy, że nie miałaś na mnie ochoty.

Wyprostowała się.

- W przeciwieństwie do twoich wyobrażeń Stephen Montgomery to najbardziej przytomny i inteligentny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam. - Zatrzymała się przy drzwiach. - Jeszcze jedno. Gdy następnym razem będziesz potrzebował pomocy w sprawach związanych z kobietami, sir Hugonie, poproś Stephena o radę. O ile się orientuję, niewiele jest rzeczy, o których by nie wiedział. - Opuściła pokój.

Rab czekał na nią na korytarzu i razem wbiegli na schody. Gdy dotarli do drzwi, Bronwyn zobaczyła przez kraty zagniewaną twarz Stephena. Wściekłość i nienawiść w jego oczach wywołały w niej dreszcze. Włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi.

- Jesteś wolny - powiedziała spokojnie. - Jest jeszcze jasno i możemy zaraz wyruszyć do domu twojego brata. Stephen siedział milcząc, ze ściągniętymi brwiami. Podeszła do niego, wyciągnęła rękę i pogładziła go po włosach.

- Lepiej by było, gdybyś powiedział, co cię gnębi.

Odepchnął jej rękę.

- Ośmielasz się przyjść do mnie prosto od niego? Masz jeszcze na sobie suknię, w której się przed nim puszyłaś. Podobało mu się? Podobało mu się, że paradujesz przed nim z prawie nagą górną połową ciała?

Westchnęła i usiadła przy oknie.

- Hugo powiedział, że nie uwierzysz w moją niewinność po tym, co widziałeś.

- Hugo, tak? - warknął i uniósł w jej kierunku zaciśnięte pięści, a potem opuścił je bezradnie. - Odpłaciłaś mi zawiązką za nasze małżeństwo. Dość długo czekałaś na rewanz

- Usiadł ciężko na stołku, ignorując Raba ocierającego się o jego nogi. - W naszą noc poślubną twój nóż powinien być dosięgnąć mojego serca.

Bronwyn wstała tak szybko, że Rab nie zorientował się, co zamierza zrobić.

Wymierzyła Stephenowi siarczysty policzek.

- A niech cię piekło pochłonie, Stephenie Montgomery! Mam już dość tego ciągłego obrażania mnie. Najpierw twój tak zwany przyjaciel traktuje mnie jak rzecz, którą chce mieć dla siebie, a potem, gdy mu odmawiam i odpłacam mu się za jego próżność, on nazywa mnie suką. Teraz muszę jeszcze wysłuchiwać twoich oskarżeń, że jestem dziwką. Ja nie jestem tą twoją pulchną kobietą z obozu!

Stephen pocierał zaczerwieniony policzek.

- czym ty mówisz? Jaką kobietą?

- Ona się nie liczy - powiedziała ze złością. - Cóż takiego zrobiłam, abyś miał prawo nazywać mnie dziwką? Kiedy okazałam czynem, że jestem nieuczciwa i nie dotrzymuję przysięgi?

- To nie ma sensu. Jakiej przysięgi?

Parsknęła zniecierpliwiona.

- Naszej ślubnej przysięgi, ty durniu! Złożyłam ją i nie mam zamiaru łamać.

- Przysięgłaś też mnie słuchać - powiedział ponuro. Odwróciła się od niego.

- Chodź, Rab. Idziemy do domu. Stephen podniósł się natychmiast. Chwycił ją za rękę. - Co ty sobie myślisz? Wracasz do Hugona? Chciała go kopnąć, ale odwrócił ją plecami do siebie. - Ty chyba oszalałaś - szepnął. - Jak mogłaś mi to zrobić? Wiedziałaś, że patrzę.

Jego słowa rozbroiły ją. Wydawało jej się, że już od wieków jej nie przytulał. Oparła się policzkiem o jego ramie.

- Rozzłościście mnie. Obaj chcieliście się mną posłużyć jakbym nie miała żadnych praw.

Odwrócił ją twarzą do siebie.

- Zapomnieliśmy, że nazywasz się MacArran, prawda? Bronwyn, ja...

- Przytul mnie - wyszeptała - po prostu mnie przytul.

Zmiażdżył ją niemal w uścisku.

- Nie mogłem znieść, że on cię dotyka. Za każdym razem, kiedy brał cię za rękę... i gdy trzymał w dłoniach twoją twarz!

- Przestań! - rozkazała. - Skończ z tym natychmiast - Odsunęła się od niego. -

Między mną i Hugonem Lasco nic się nie wydarzyło. Myślał, że potrafi zdobyć każdą kobietę, a ja chciałam mu udowodnić, że tak nie jest.

Gniew Stephena znów przybrał na sile.

- Dobrze ci szło. Wyglądało na to, że od lat jesteście kochankami.

- Tak uważasz? Czy sądzisz, że pozwoliłabym się obskakiwać jakimś mężczyzną, gdybym nie miała powodu?

Oczy Stephena pociemniały.

- Był powód! Wiem, jaka jesteś w łóżku. Może chciałaś sprawdzić, czy inny mężczyzna też doprowadzi cię do takiego stanu, że będziesz jęczała. Powiedz, czy już za pierwszym razem odkrył tajemnicę twoich kolan?

- Ty naprawdę wierzysz, że spędziłam z nim to popołudnie w łóżku?

- Nie - odparł pokonany. - Nie było dość czasu, a poza tym Hugo.

- Pozwól mi skończyć. Hugo jest twoim przyjacielem i nie zrobiłby czegoś tak obrzydliwego. Z drugiej strony ja jestem kobietą, a zatem istotą bez honoru. Jestem jak listek, który leci tam, gdzie go wiatr poniesie. Zgadza się?

- Przekręcasz moje słowa.

- Nie wydaje mi się. Dziś rano, kiedy cię tu zobaczyłam, stwierdziłaś, że Hugo mógłby mnie mieć, gdyby tylko chciał. Ale on chciał tylko obsypywać mnie słodkimi słówkami. Gdybyś mnie znał choć trochę, siedziałbyś tu spokojnie, a potem śmiał się razem ze mną z figla, który mu splatałam.

- Jakiego figla? - zapytał ostro Stephen.

Bronwyn zabrakło tchu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy dużo nauczyła się o Stephenie, nauczyła się mu ufać, wierzyć, a nawet czasem wydawało jej się, że i kochać go.

On za to wciąż nic o niej nie wiedział. Nadal uważał ją za pustogłową, słabą zabawkę.

- Dałam mu napój z ziół, które według Kirsty powodują poważne bóle brzucha.

Przez kilka dni będzie chory.

Stephen patrzył na nią. Jak bardzo chciał jej zaufać! Wydawało mu się, że czas, który spędził na obserwowaniu jej z Hugonem, to była wieczność. Szarpał kraty w oknie widząc ich w tańcu. Pod spódnicą Bronwyn migały jej stopy, na jej sukni igrało słońce. Jak mogła oczekiwać od niego rozsądku, skoro sama doprowadziła go do zwierzęcej furii? Gdyby był

na wolności, zabiłby Hugona, rozerwał przyjaciela gołymi rękami.

Przetarł dłonią oczy. Co ona mu zrobiła? Od chwili, kiedy ujrzał ją pierwszy raz, leżącą na ziemi w mokrej koszuli, nie mógł normalnie myśleć. Walczył dla niej, niemal postradał życie na urwisku, ratując jednego z jej ludzi, o mało jej nie zabił, gdy za jej bezmyślność Chris zapłacił życiem. Jak mogła w ogóle mówić o rozsądku? Przebywanie obok niej pozbawiało człowieka rozumu.

- Powinniśmy iść - powiedziała chłodno i odwróciła się. Patrzył, jak ona wychodzi, Rab za nią. Chciał do niej podejść, zapewne, że jej wierzy, ale nie potrafił. Hugo raz już dowiódł, że może mu odebrać kobietę. Słodka Meg kochała Stephen, a jednak odeszła.

Bronwyn nie ukrywała, że Stephen jest jej wrogiem. Dla niej jeden Anglik wart był

drugiego. Może Hugon poczynił jakieś propozycje związane z klanem. Jeżeli wmieszał w to klan...

Podniósł wzrok, usłyszawszy warknięcie Raba. Powrócił do rzeczywistości i zbiegł schodami do pokoju Hugona.

Przyjaciel leżał na łóżku z kolanami podciągniętymi do piersi. Wokół niego stała służba i straż.

- Wynoś się stąd! - wystękał. - Nie chcę cię więcej widzieć. Ani tej twojej suki.

Stephen cofnął się, ale już rozpozgodzony. Powiedziała prawdę!

- Wynoś się! - powtórzył. Chwycił się za brzuch i opadł na łóżko.

- Przechytrzony przez kobietę - zaśmiał się Stephen, opuściwszy pokój. Pobiegnął do głównego hallu. Czekala tam na niego Bronwyn ubrana w białą bluzkę i tartan. Była znowu jego dziką Szkotką. Podszedł do niej, uśmiechając się, i dotknął jej ramienia.

Odwróciła się bez słowa.

- Bronwyn - zaczął.

- Skoro już się zjawileś, sędzę, że powinniśmy jechać Oczywiście ty tu jesteś panem i ty zadecydujesz.

Przez chwilę wpatrywał się w jej lodowatobłękitne oczy.

- Nie, nie chcę tu zostać - odpowiedział. Odwrócił się i wyszedł.

Bronwyn ruszyła za nim bez pośpiechu. Cała ta historia zaczęła się od dziecinnej zabawy, ale też uświadomiła jej coś dziwnego. Otóż z jakiegoś powodu Bronwyn uważam że Stephen musi sobie zasłużyć na jej zaufanie. Obserwować go Przez ostatnie miesiące; bez emocji zauważyła, że arogancki Anglik zmienił się prawie w Szkota. Patrzyła, jak jej ludzie tracą dystans do niego, a jego towarzysze zmieniają się razem z nim. Jeden po drugim wkładali plaid i przestawali polerować

ciężkie zbroje. Potem, tak przecież niedawno, Stephen zabił trzech Anglików, by uratować Bronwyn i dziecko Kirsty. Dla Bronwyn czyn ten był ukoronowaniem jego wysiłków i uznała, że można mu już zaufać.

A czego Stephen nauczył się o niej? Nie akceptował tego, co robiła. Klął, kiedy chciała być przywódcą swoich ludzi: Był zły, gdy ryzykowała dla kogoś życie. Co miała zrobić, by go zadowolić? Czy ma udawać kogoś innego? Czy powinna zachowywać się tak jak ta... śliczna jego bratowa? Wyobrażała sobie, że Judyta jest spokojna, nigdy nie podnosi głosu, zawsze uśmiecha się słodko do męża, nigdy się z nim nie kłóci.

- To tego chcą mężczyźni! - mruknęła pod nosem. Stephen oczekiwał, że będzie siedziała cicho jak mysz pod miotłą.

- Jak jakaś Angielka! - zaklęła. Nie jest przecież pozbawioną ikry Angielką. Nazywa się MacArran i im wcześniej Stephen Montgomery zda sobie z tego sprawę, tym lepiej dla nich wszystkich.

Uniosła wysoko głowę, idąc do stajni.

Za obopólną, cichą zgodą nie zatrzymali się po drodze. Jechali powoli, w milczeniu, każde zajęte własnymi myślami Stephenowi trudno było wymazać z pamięci obraz Bronwyn i Hugona. Wiedział, że ona zemściła się na Hugonie, ale żałował, że nie użyła noża.

Bronwyn natomiast zapomniała o Hugonie. Liczyło się to, że Stephen jej nie ufa i oskarżył ją o kłamstwo.

Wczesnie rano wyrosły przed nimi mury starego zamku Montgomerych. Nie spodziewała się ciemnej, masywnej fortecy, lecz domu podobnego do posiadłości Hugona Lasco. Zerknęła na Stephena i zauważyła, że jego twarz rozjaśniła się. Zapewne czuł teraz to co ona kiedy zbliżała się do Larenston.

- Wjedziemy od strony rzeki - powiedział i popędził konia. Front zamku ograniczały dwie masywne wieże. Kiedy znaleźli się pomiędzy dwiema niskimi ścianami, na ścieżce prowadzącej do bocznej furty, Stephen zwolnił, zagłębiając się w tunel. Nagle powietrze przecięła strzała i upadła u stóp konia.

- Kto przybywa? - zapytał ktoś ukryty za murem.

- Stephen Montgomery! - odkrzyknął głośno Stephen. Bronwyn uśmiechnęła się, słysząc w jego głosie szkocką nutkę.

- Nie jesteś lordem Stephenem, ja go znam! Zawróćcie swoje kuce i odjeżdżajcie. W

te mury wpuszczani są tylko przyjaciele. Wróćcie za godzinę do głównej bramy i tam proście o pozwolenie wjazdu.

- Mateuszu Greene! - zawołał Stephen. - Czyżbyś zapomniał swego pana?

Mężczyzna wychylił się.

- To ty! - stwierdził po chwili. - Otworzyć bramę! - krzyknął z radością. - Lord Stephen jest bezpieczny! Witamy w domu, milordzie!

Stephen pomachał mu ręką. Zza muru co chwila padały słowa powitania i radości.

Otworzyła się brama i wjechali na podwórze za domem.

- Jak to dobrze widzieć cię znowu, milordzie - rzekł jakiś starszy człowiek, biorąc lejce. - Nie domyśliłbym się, gdyby mi nie powiedzieli, że to ty.

- Miło być w domu, James. Są moi bracia?

- Lord Gavin powrócił niecałą godzinę temu.

- Powrócił?

- O, tak, milordzie. Wszyscy twoi bracia szukali cię. Słyszeliśmy, że cię zabiła ta piekielnica, twoja żona.

- Pilnuj się, James! - rzucił ostro Stephen. Cofnął się o krok i ujął Bronwyn za rękę. -

To jest moja żona, lady Bronwyn.

- Ach, milady - wysapał stary sługa. - Wybacz, myślałem, że jesteś jedną z... To znaczy, on często przywoził do domu...

- Dość już powiedziałaś. Chodź, Bronwyn - przerwał mu Stephen.

Nie dał jej czasu na przygotowanie się. Miała być przedstawiona jego rodzinie w stroju dziewczki służebnej. Nawet jego sługa za taką ją uznał. Wiedziała, jak wielką wagę przykładają Anglicy do stroju, i pomyślała tęsknie o pięknych sukniach, które nosiła u sir Tomasza Crichtona. Mogła teraz jedynie wysoko trzymać głowę i starać się ignorować spojrzenia ciekawskich. No, może wyjątkiem okaże się Judyta. Ta bez wątpienia będzie wyrozumiała, miła i słodka jak cukierek.

- Wyglądasz na śmiertelnie przerażoną - parsknął Stephen, patrząc na nią. -

Zapewniam cię, że Gavin rzadko bije kobiety, a Judyta...

Uniosła rękę.

- Daruj sobie. Dość już słyszałam o Judycie. - Wyprostowała się. - Prędzej Szkoci wyprą się plaidu, niż zobaczysz któregoś z MacArranów obawiającego się jakiegoś Anglika.

Uśmiechnął się do niej i otworzył drzwi pokoju oświetlonego jasnym, porannym słońcem. Bronwyn podziwiała piękne wnętrze, potem jej uwagę przykuły dwie postacie stojące wewnątrz.

- A niech to, Judyto! - krzyknął jakiś wysoki mężczyzna; Miał ciemne włosy, szare oczy i ostre,

wystające kości policzkowe. Niezwykle przystojny mężczyzna z twarzą wykrzywioną gniewem. - Zostawiłem przecież wyraźne rozkazy dotyczące przebudowy mleczarni, dałem nawet rysunki. Jak gdyby nie dość było kłopotów z zaginięciem Stephena i jego nowej żony, wracam tu i widzę położone fundamenty, które w niczym nie przypominają moich planów.

Judyta patrzyła na niego ze spokojem. Miała gęste, kasztanowe włosy, częściowo przykryte francuskim czepkiem. Jej oczy miały złoty blask.

- Dlatego, że twoje plany okazały się nieprzydatne. Czy robiłeś kiedyś masło albo ser? Albo chociaż doiłeś krowę?

Pochylił się nad nią, ale ona nawet nie drgnęła.

- A jakie, u diabła, może mieć znaczenie to, czy doiłem kiedyś jakąś sakramencką krowę czy nie? - Był tak rozzłoszczony, że wydawało się, iż napięta skóra na jego twarzy ledwo wytrzyma napór wystających kości. - Chodzi o to, że zmieniłaś moje rozkazy. Jak ja teraz wyglądam przed moimi ludźmi?

Judyta zmrużyła oczy.

- Będą wdzięczni, że nie muszą pracować w tej króliczej norze, którą dla nich zaprojektowałeś.

- Judyto! - zagrział. - Gdybym miał choć cień nadziei, że to coś zmieni, sprabym cię na kwaśne jabłko!

- To rzeczywiście zastanawiające jak bardzo się wściekasz, kiedy ja mam rację.

Mężczyzna zagryzł wargi i zrobił krok naprzód.

- Gavin! - krzyknął Stephen, chwytając ze ściany topór.

Ten, zawsze czujny, rozpoznał głos. Odwrócił się i chwycił ciśnięty przez Stephena topór. Przez chwilę patrzył zaskoczony na tak dziwnie ubranego brata, po czym przeniósł

wzrok na topór.

- To do obrony przed Judytą! - roześmiał się Stephen. Zanim Gavin zdążył

zareagować, Judyta przebiegła przez pokój i rzuciła się Stephenowi na szyję.

- Gdzie się podziewałeś? Szukamy cię od wielu dni. Tak się o ciebie martwiliśmy.

Stephen przytulił bratową do siebie.

- Dobrze się czujesz? Ta gorączka...? Przerwało mu parsknięcie Gavina.

- Czuje się na tyle dobrze, by wtrącać się w moje sprawy.

- Sprawy? - roześmiał się Stephen. - Nadal nic się nie nauczyłeś?

- Przestańcie - uciszyła ich obu Judyta, odrywając się od Stephena. Gavin uściskał brata.

- Gdzieś się odziewał? Słyszeliśmy, że cię zabili, a potem znowu, że ktoś cię dopadł.

To wszystko... - nie potrafił wyrazić słowami koszmaru niepewności, jaki przeżyli w ciągu ostatnich kilku dni.

- Wszystko w porządku, jak widzicie. - Stephen cofnął się o krok.

- Widzę, że jeszcze wyprzystojniałeś - stwierdziła Judyta, patrząc na muskularne nogi szwagra. Gavin gestem posiadacza objął ją ramieniem.

- Przestań flirtować z moim bratem. Poza tym mogę ci od razu powiedzieć, że nie zamierzam czegoś takiego nosić.

Judyta roześmiała się i przytuliła do męża.

Bronwyn stała obok wysokiego krzesła, obserwując rodzinę. A więc tak wygląda delikatna Judyta! Była niższa od Bronwyn, drobna i naprawdę urocza, A jednak potrafiła bez strachu stawić czoło swojemu wysokiemu mężowi. To nie jest kobieta, która spędza dni na haftowaniu.

Judyta pierwsza zauważyła Bronwyn. Z początku pomyślała że Stephen zrobił to, co obiecywał. Zamknął swoją żonę w wieży i znalazł sobie wieśniaczkę, która go uszczęśliwi.

Ale przyjrząwszy się Bronwyn stwierdziła, że żadna wieśniaczka nie będzie się tak zachowywać. To nic tylko świadomość własnej wartości i urody, ale jakaś wewnętrzna duma. Ta kobieta zna swoją pozycję. Judyta odsunęła się od męża i podeszła do Bronwyn.

- Lady Bronwyn? - zapytała cicho, wyciągając rękę.

Ich oczy spotkały się i związała je nić porozumienia. Poczuły się równe sobie.

- Skąd wiedziałaś? - roześmiał się Stephen. - James sądził, że jest jedną z moich...

no, z pewnością nie żoną.

- James jest głupi - odpowiedziała stanowczo Judyta. Odsunęła się od Bronwyn o krok. Przyglądała się jej ubraniu.

- Taka spódnica daje wiele swobody, prawda? I nie jest tak ciężka jak ta suknia, zgadza się?

Bronwyn uśmiechnęła się promiennie.

- Rzeczywiście jest niezwykle lekka, ale nie tak piękna jak twoja.

- Chodźmy do mnie porozmawiać - zaproponowała Judyta.

Mężczyźni patrzyli na wychodzące kobiety z ustami otwartymi ze zdziwienia.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, by Judyta tak się zachowała - powiedział Gavin. - I skąd ona wiedziała, że to twoja żona? Sądząc po stroju, gotów byłbym zgodzić się z Jamesem.

- A Bronwyn? - zawtórował mu Stephen. - Nienawidzi angielskich sukien. Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, ile już kazań usłyszałem na temat tego, jak Anglicy ubierają swoje kobiety.

Gavin rozchmurzył się.

- Czarne włosy i błękitne oczy! To prawda czy tylko wytwór mojej wyobraźni? Jeśli dobrze pamiętam, mówiłeś, że ona jest brzydka i gruba. To niemożliwe, by ona była głową klanu.

Stephen zachichotał.

- Usiądźmy. Nie masz czegoś do jedzenia? - Jego oczy błysnęły. - A może służba słucha już tylko Judyty?

- Gdyby nie radość ze spotkania. odpłaciłbym ci tę uwagę - pogroził Gavin, wychodząc z pokoju, by zarządzić posiłek i wysłać kogoś po Raine'a i Milesa.

- Jak się naprawdę czuje Judyta? - zapytał Stephen, gdy przyniesiono jedzenie. - W

liście napisałeś, że wyzdrowiała całkowicie po tym poronieniu, ale...

Gavin wziął jajko ugotowane na twardo.

- Widziałeś ją - westchnął ciężko, - Muszę walczyć o każdą sprawę, która dotyczy sprawowania kontroli nad moimi ludźmi.

Stephen spojrzał na niego z ukosa.

- Ty to lubisz - stwierdził powoli.

Gavin uśmiechnął się krzywo.

- Ona potrafi uczynić życie ciekawym. Za każdym razem, gdy widzę jedną z tych nadętych, różowiotkich żoneczek sąsiadów, dziękuję Bogu, że mam Judytę. Chyba oszalałbym bez tych cotygodniowych pojedynków. No, ale dość o mnie! Jaka jest Bronwyn?

Czy zawsze taka słodka, jak chwilę temu?

Stephen nie wiedział; śmiać się czy płakać.

- Słodka? Bronwyn? Ona nawet nie wie, co to słowo oznacza. Stała z boku pewnie nie mogąc się zdecydować, czy wyciągnąć nóż, czy poszczuć tego swojego diabelskiego psa.

- A dlaczego miałyby to zrobić?

- Jest Szkotką, człowieku! Szkoci nienawidzą Anglików za to, że ci palą ich pola, gwałcą ich kobiety, za to, że Anglicy są zgrają niezdolnych, przeklętych wałkoni, którzy uważają się za lepszych od szlachetnych, hojnych Szkotów i...

- Czekaj, czekaj! - roześmiał się Gavin. - Ostatnio, jak słyszałem, byłeś Anglikiem.

Stephen starał się opanować, powracając do przerwane go posiłku.

- Chyba o tym zapomniałem.

Gavin, rozparty na krześle, przyglądał się bratu.

- Sądząc po długości twoich włosów, stało się to kilka miesięcy temu.

- Nie powiedziałbyś ani jednego złego słowa o szkockim stroju, gdybyś spróbował go ponosić.

Gavin położył dłoń na ramieniu brata.

- Co się dzieje? Co cię gnębi?

Stephen wstał i podszedł do kominka.

- Czasem nie wiem, kim jestem. Jadąc do Szkocji wiedziałem, że nazywam się Montgomery, i czułem się dumny z mojej misji. Miałem nauczyć ciemnych Szkotów naszych cywilizowanych obyczajów. - Przesunął dłonią po włosach. - Oni nie są ciemni, Gavinie. Daleko im do tego. Dobry Boże, ileśmy się od nich nauczyli! Nie mamy pojęcia o ich lojalności. Ten klan Bronwyn oddałby za nią życie, a i ona zaryzykowała by je dla każdego z nich. Ich kobiety zasiadają w radach i podejmują piekielnie trafne decyzje.

- Jak Judyta - dodał cicho Gavin.

- Tak! - potwierdził głośno Stephen. - Ale ona musi o to walczyć.

- Oczywiście - odparł zdecydowanie Gavin. - Kobieta powinna...

Przerwał mu śmiech Stephena.

- Gdzieś po drodze przesiałem myśleć, że „kobieta powinna” .

- Opowiedz mi o Szkocji - poprosił Gavin, chcąc zmienić temat Stephen ponownie zabrał się do

jedzenia. Jego głos stał się cichy, odległy.

- - To piękne miejsce.

- Słyszałem tylko, że nie dzieje się tam nic poza tym, że ciągle pada.

Stephen machnął ręką.

- Co znaczy odrobina deszczu dla Szkota?

Gavin popatrzył na niego z namysłem, starając się dobrze zrozumieć jego słowa.

- Christopher Audley pojawił się tu jakiś czas temu. Zdążył przed twoim ślubem?

Stephen odsunął jedzenie.

- Chris został zabity w Szkocji.

- Jak?

Stephen zastanawiał się, jak wyjaśnić Gavinowi, że Chris zginął w czymś, co dla rycerza byłoby niehonorową walką.

- Wypad po bydło. Kilku ludzi Bronwyn zginęło, starając się go bronić.

- Bronić Chrisa? Ależ to wspaniały rycerz. Jego zbroja...

- Do diabła że zbroją! - parsknął Stephen. - Człowiek nie może się w niej ruszać.

Douglas powiedział, że on utknął w stalowej trumnie.

- Nie rozumiem. Jak?

Od odpowiedzi uratowały Stephena nagle otworzone drzwi.

Do pokoju wpadli Raine i Miles. Raine sadził ciężkimi susami, jego krok sprawił, że naczynia na stole zadzwięczały. Objął starszego, choć drobniejszego brata w miążdżącym uścisku.

- Stephen! Mówiono nam, że zginąłeś.

- I tak się stanie, jeżeli go nie puścisz - odparł spokojnie Miles.

Raine rozluźnił uścisk.

- Nadal z ciebie chudziak - stwierdził przyjaźnie.

Stephen uśmiechnął się, po czym wyciągnął rękę do Raine'a.

Przycisnął go do siebie mocno i poczuł podobny uścisk. Nacisnął mocniej i Raine ustąpił. Stephen uśmiechnął się ponownie. Niewielu było mężczyzn zdolnych pokonać siłę Raine'a bez uciekania się do użycia broni. W myśli podziękował Tamowi. Raine cofnął się o krok i uśmiechnął z dumą.

- Szkocja dobrze ci robi.

- Albo ty zaniedbałeś ćwiczenia - odparł Stephen.

W policzkach młodszego brata pojawiły się dołki.

- Może chcesz sprawdzić?

- Dość! - zawołał Miles, stając pomiędzy nimi. - Nie pozwolę, by Raine cię zabił, zanim się z tobą przywitam w domu. - Objął go serdecznie.

- Wyrosłeś, Miles - zauważył Stephen. - I przybrałeś na wadze.

Gavin prychnął.

- To przez kobiety. Dwie pomoce kuchenne rywalizują między sobą.

- Rozumiem - roześmiał się Stephen. - A nagrodą jest nasz młodszy brat?

- Albo to, co z niego zostało po poprzednich przygodach.

Miles ignorował te uwagi. Rzadko uśmiechał się tak szeroko jak jego bracia. Był

zawsze skupiony, a jego emocje znajdowały odbicie jedynie w szarych, świdrujących oczach. Teraz rozejrzał się po pokoju.

- James mówił, że przyjechałeś z żoną.

- Zostawmy to Milesowi - zaśmiał się Gavin. - Będę przynajmniej miał teraz Judytę dla siebie. Za każdym razem, kiedy jej potrzebuję, znajduję ją z najmniej wartościowym z moich braci.

- Gavin orze nią jak mułem - powiedział na wpół serio Raine.

Stephen uśmiechnął się. Dobrze było znowu znaleźć się w domu, słyszeć kłócących się Gavna i Raine'a, podpuszczających Milesa. Raine wydawał się silniejszy i zdrowszy, kipiała w nim miłość do świata. Miles jakby trzymał się na uboczu. I wreszcie Gavin -

solidny, kochający ziemię - łączący ich wszystkich. Tam gdzie on się znajdował, tam był

dom dla Montgomerych.

- Nie jestem pewien, czy już teraz powinniście poznać Bronwyn - zaczął Stephen.

- Nieśmiała jest, tak? - zapytał z zainteresowaniem Raine.

- Mam nadzieję, że nie przyciągnęłaś jej tu na siłę. Dlaczego nie zabraliście wozów?

Gdzie twoi ludzie?

Stephen odetchnął głęboko i roześmiał się. Nie uwierzyliby mu, gdyby powiedział prawdę.

- Nie. Z pewnością nie nazwałbym Bronwyn nieśmiałą - odparł z chichotem.

14

Bronwyn siedziała w wannie, zanurzona po szyję w mydlanej wodzie. Na kominku płonął wesoło ogień, wypełniając pokój charakterystycznym światłem i zapachem. Rozparła się wygodnie i rozejrzała wokół siebie. Sypialnia była piękna, począwszy od łukowatego sklepienia, a skończywszy na hiszpańskiej mozaice na podłodze. Drewno, którym obłożono ściany, miało biały kolor. Na tym tle wymalowano pączki róż. Ogromne łóżce z baldachimem przykrywał ciemnoróżowy aksamit Krzesła, ławki i reszta mebli były bogato rzeźbione, wykończone ostrymi łukami.

Bronwyn uśmiechnęła się do siebie. Jakże miło zanurzyć się w tym luksusie, choć pieniądze nań wydane z pewnością by się przydały na inne, ważniejsze rzeczy. Widziała wiele biedy w majątku Montgomerych. Ona wydałaby te pieniądze na swoich ludzi, ale Anglicy są inni.

Zamknęła oczy i pomyślała o ostatnich kilku minutach. Uśmiechnęła się, porównując Judytę taką, jakiej się spodziewała, z tą, którą poznała. Oczekiwała słodkiej, miękkiej kobietki. Potem nadbiegły służące i zanim się zorientowała, już ją rozebrały. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebna jej była gorąca kąpiel.

Drzwi uchylły się cicho i weszła Judyta.

- Lepiej się czujesz? - zapytała.

- wiele. Już zapomniałam, że można być tak rozpieszczaną.

Judyta uśmiechnęła się, podając jej wielki, gorący ręcznik.

- Obawiam się, że mężczyźni z rodu Montgomerych nie bardzo się do tego nadają.

Gavin miałby ochotę wyciągać mnie na przejażdżki w deszczu.

Bronwyn owinęła się ręcznikiem i przyjrzała się uważnie Judycie.

- A gdyby ci rozkazał zostać w domu? - zapytała cicho.

- Nic z tego. - Uśmiechnęła się ciepło. - Gavin zazwyczaj nie zwraca uwagi na to, co nazywa nieistotnymi drobiazgami, jak na przykład zboże ukradzione ze spichrza przez zarządcę.

Bronwyn usiadła przed kominkiem i westchnęła.

- Szkoda, że i ja nie mogę przejrzeć teraz ksiąg. Obawiam się, że zbyt często je zaniedbuję.

Judyta wyjęła grzebień z kości słoniowej i zaczęła rozczesywać włosy szwagierki.

- Ale ty musisz zajmować się czymś jeszcze oprócz fasoli w spichrzu. Powiedz mi, jak to jest być głową klanu i mieć do dyspozycji tych wszystkich przystojnych mężczyzn?

Bronwyn wybuchnęła śmiechem. Rozbawił ją ton zazdrości w głosie Judyty. Wstała i sama zaczęła układać włosy.

- To wielka odpowiedzialność - odparła poważnie. - A co do posłuszeństwa... -

Westchnęła i zdjęła włosy z grzebienia. - W Szkocji jest inaczej. Tu kobiety mają inne obowiązki.

- Jakbyśmy nie potrafiły myśleć! - uzupełniła Judyta.

- Tak, to prawda, ale gdy już mężczyźni uwierzą, że kobiety mogą być inteligentne, więcej od nich wymagają..

- Nie rozumiem.

- Moi ludzie nie są mi ślepo posłuszni. Analizują każdą moją decyzję. W Szkocji wszyscy są sobie równi. Stephen może rozkazać swoim ludziom osiodłać konie i przygotować wszystko do wyjazdu i nikt nie zastanawia się, po co to wszystko.

- Zaczynam rozumieć - stwierdziła Judyta. - Twoi ludzie chcieliby wtedy dowiedzieć się, dokąd jada i po co? Jeśli tak... rzeczywiście wygląda to na dość...

- Denerwujące - dokończyła za nią Bronwyn. - Jest taki człowiek, starszy mężczyzna, który obserwuje każdy mój krok, komentuje każdą moją decyzję. Potem są jego, Tama, synowie, którzy wykorzystują każdą okazję, by mi się sprzeciwić. W rzeczywistości podejmuję decyzje mniejszej wagi. Wszystkie pozostałe podejmujemy razem.

- A jeśli chcesz coś zrobić, a oni ci się sprzeciwiają? Co wtedy?

Bronwyn uśmiechnęła się słabo.

- Na mężczyzn zawsze znajdują się sposoby, nawet na samych orłów.

Tym razem roześmiała się Judyta.

- Jak z naszą mleczarnią! Nie mogłam pozwolić Gavinowi na wybudowanie tego paskudztwa, które narysował. Poleciałam ludziom kopać przez całą noc, żeby położyć fundamenty przed jego powrotem. Wiedziałam, że jest zbyt oszczędny, by kazać je usunąć, i zbyt dumny, by mi przyznać rację.

Bronwyn przysiadła na ławce obok bratowej.

- I pomyśleć, że obawiałam się spotkania z tobą. Stephen mówił... Nieważne.

Sposób, w jaki mi ciebie opisał, wywołał w moich myślach obraz ładnej, ale pozbawionej życia idiotki.

- Stephen! - roześmiała się Judyta i ujęte ją za rękę. - To przeze mnie spóźnił się na wasz ślub. Było mi przykro, gdy dowiedziałam się, że nie wysłał nawet wiadomości. -

Zawahała się. - Słyszałam, że wyniknęły z tego jakieś kłopoty.

- Stephen Montgomery sam jest winien swoich kłopotów - stwierdziła stanowczo Bronwyn. - Czasami jest najbardziej aroganckim, nieznośnym, doprowadzającym do szału...

- ...i fascynującym mężczyzną, jaki się kiedykolwiek urodził. Nie musisz mi mówić.

Sama takiego poślubiłam. Ale nie zamieniłabym Gavina na żadnego uperfumowanego elegancika. Ty też pewnie tak myślisz o Stephenie.

Bronwyn czuła, że powinna jej coś odpowiedzieć, ale nie miała najmniejszego pojęcia, o co właściwie chodzi.

Nagle Rab poderwał się i zaczął radośnie poszczekiwać, merdając ogonem i wpatrując się w drzwi.

Wtedy wszedł Stephen. Ukląkł, by podrapać psa za uchem.

- Wyglądacie na dziwnie zadowolone - powiedział.

- Chwila ciszy i spokoju to prawdziwa radość - odcięła się Bronwyn.

Stephen uśmiechnął się do Judyty.

- Dopóki tu gościmy, postaraj się powściągnąć swój język. A przy okazji, na dole jest jakiś człowiek bredzący coś o sukniach.

- Świetnie! - zawołała Judyta i wybiegła z pokoju.

- O co chodzi? - zapytał, zdejmując z jej piersi kosmyk mokrych włosów. -

Wyglądasz tak podniecająco, jak świeży, wiosenny poranek. Odsunęła się od niego i odwróciła w stronę kominka.

- Bronwyn, czy nadal masz mi za złe to, co wydarzyło się w domu Hugona?

Zwróciła ku niemu twarz.

- Za złe? - powtórzyła chłodno. - Nie, nie mam ci tego za złe. To ja byłam głupia, nic więcej.

- Głupia? - zapytał, obejmując ją ramieniem. Ani jej wściekłość, ani chwila, gdy ruszyła na niego z nożem, nie rozstrajały go tak jak jej chłód. - Dlaczego mówisz, że byłaś głupia?

- Bo zaczynałam wierzyć, że może nas coś łączyć - Miłość? - zapytał z błyszczącymi oczyma. Jego usta wygięły się w lekkim uśmiechu. - Przyznać się, że mnie kochasz to nie grzech.

Wydeła usta i odtrąciła jego rękę.

- Miłość - powtórzyła ze złością. - Mówię o rzeczach ważniejszych niż miłość, a które łączą kobietę i mężczyznę. Mówię o zaufaniu, lojalności i wierze, jaką się pokłada w drugiej osobie.

Skrzywił się.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Wydawało mi się, że większość kobiet najbardziej pragnie miłości.

Aż sapnęła ze złości, ale się opanowała.

- Kiedy wreszcie zrozumiesz, że ja to nie „większość kobiet”? Jestem Bronwyn, nazywam się MacArran i jestem wyjątkowa. Możliwe, że większość kobiet uważa miłość za jedyny cel w życiu, ale ja już ją mam. Moi ludzie mnie kochają, Tam mnie kocha. Mam przyjaciółki w swoim klanie, a nawet wśród MacGregorów mam Kirsty.

- A jak ja do tego wszystkiego pasuję? - zapytał przez zęby Stephen.

- Jestem pewna, że w jakiś sposób się kochamy. Doglądałam cię, gdy zraniła cię strzała Daveya, a i ty zawsze okazywałeś zainteresowanie mną.

- Dzięki choć za to - odparł chmurnie. - Myślałem, że ucieszysz się, słysząc, że cię kocham.

Popatrzyła na niego czując, że serce podskoczyło jej do gardła. Nie chciała jednak dać tego poznać po sobie.

- Chcę czegoś więcej niż miłości. Chcę czegoś niezależnego od mojej skóry i szczupłej talii. - Urwała na chwilę. - Chcę szacunku. Chcę godności i zaufania. Nie życzę sobie być oskarżana o kłamstwo i niepotrzebna mi twoja zazdrość. Jako MacArran muszę żyć w świecie mężczyzn i nie chcę męża, który mnie będzie oskarżał o nieuczciwość, gdy tylko straci mnie z oczu.

Mięśnie na twarzy Stephena zadrżały.

- Ach tak! A więc mam stać z boku, przyglądając się, jak dotykają cię inni mężczyźni?

- Wydaje mi się, że był tylko jeden. Powinieneś się domyślić, że mam jakiś cel.

- Cel! A niech cię, Bronwyn! Jak mogę w ogóle myśleć, kiedy ktoś inny cię dotyka?

Warknięcie Raba uniemożliwiło jej odpowiedź. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

- Gryzie? - zapytała Judyta.

- Do mnie. Rab - nakazała psu Bronwyn. - Nie zrobi ci krzywdy, jeśli nie podejdziesz do mnie z bronią.

- Zapamiętam - roześmiała się Judyta i wyciągnęła do niej rękę. Trzymała w nich suknię z ciemnego, brązowego aksamitu, haftowanego złotą nicią. - Dla ciebie, zobaczymy, czy pasuje.

- Jak...? - zaczęła Bronwyn, biorąc w rękę suknię.

Judyta uśmiechnęła się tajemniczo.

- Jest taki paskudny człowieczek, który pracuje dla Gavina. Gavin bez przerwy zamyka go w ciemnicy za różnego rodzaju niedyskrecje. Postanowiłam wykorzystać jego talenty. Dałam mu pełną sakiewkę, powiedziałam, jakiego jesteś wzrostu, i poleciłam mu zdobyć suknię godną damy.

- Jest piękna - szepnęła Bronwyn, gładząc aksamit - Jesteś dla mnie taka miła, taka gościnna.

Judyta patrzyła na stojącego tyłem Stephen'a. Położyła mu, rękę na ramieniu.

- Stephen? Wszystko w porządku? Wyglądasz na zmęczonego.

Usiłował się uśmiechnąć, kiedy całował ją w rękę.

- Może tak. - Odwrócił się do Bronwyn. - Moi bracia chcieliby cię poznać - rzekł

oficjalnym tonem. - Będą zaszczytzeni twoją tutaj wizytą. - Wyszedł z pokoju.

Judyta nie pytała, co zaszło między nimi. Chciała, by ich wizyta przebiegła możliwie najłagodniej.

- Chodź, pomogę ci się ubrać. Jutro przymierzysz inne rzeczy, które dla ciebie zamówiłam.

- Nowe...? Nie powinnaś była tego robić.

- Ale już zrobiłam, a ty mogłabyś się chociaż ucieszyć. A teraz zobaczymy, czy to pasuje.

Kilka godzin później Bronwyn była już ubrana. Judyta powiedziała jej, że nauczyła się kilku sztuczek na dworze, w miejscu, za którym nie tęskniła. Spodobało jej się noszenie rozpuszczonych włosów na sposób szkocki, i to tak bardzo, że zdjęła czepek i pozwoliła swoim gęstym, kasztanowym włosom spływać swobodnie po plecach. Judyta miała na sobie fioletową jedwabną suknię o rękawach wykończonych ciemnobrązowym futerkiem. W talii ściśnięta była złotym pasem wysadzonymi ametystami.

Bronwyn wygładziła aksamit na biodrach. Ciężka suknia krępowała jej ruchy, ale dziś właśnie Bronwyn to odpowiadało Głęboki, prostokątny dekolt odsłaniał jej piersi.

Bufiaste rękawy były ponacinane, by odsłonić cieniutką, złotą tkaninę. Bronwyn prostowała się i

poszła na spotkanie swoich.

Wszyscy czterej stali rzędem przed kamiennym kominkiem w salonie zimowym.

Obie przystanąły na chwilę, by popatrzeć na nich z dumą.

Stephen ułożył swoje długie włosy i pozbył się szkockiego stroju; co wywołało w sercu Bronwyn ułucie tęsknoty za tym niemal Szkotem. Miał teraz na sobie ciemnoniebieski aksamitny kaftan z kołnierzem wykończonym sobolowym futrem, Jego muskularne nogi opinały granatowe, wełniane pończochy.

Gavin ubrał się na szaro, w kaftan obszuty szarym futrem wiewiórki, a Raine przywdział czarny aksamit, wykończony przy kołnierzu delikatnym, hiszpańskim srebrnym haftem. Miles prezentował się okazale w szmaragdowozielonym aksamitnym kaftanie z rozciętymi rękawami, ukazującymi srebrne płócienko. Rękawy jego koszuli były obszyte perłami.

Miles pierwszy odwrócił się i zauważył kobiety. Odstawił srebrny kielich na półkę nad kominkiem i podszedł do Bronwyn. Jego czarne oczy płonęły. Przyklęknął na jedno kolano.

- Jestem zaszczycony - rzekł cicho, pochylając głowę. Bronwyn popatrzyła na niego skonsternowana. Judyta uśmiechnęła się do niej z dumą.

- Pozwól, że ci przedstawię Milesa.

Bronwyn podała mu rękę, którą Miles ujął delikatnie i pocałował.

- Masz punkt, Miles - stwierdził kwaśno Stephen.

Gavin roześmiał się i klepnął go w ramię tak mocno, że wino chlusnęło z jego kielicha.

- No, teraz będę miał kogoś do pomocy przy moim maleńkim braciszku. Pozwól, lady Bronwyn, że ja przedstawię się bardziej oficjalnie. Jestem Gavin Montgomery.

Bronwyn cofnęła trzymaną przez Milesa dłoń i z wahaniem odwróciła od niego wzrok. W tym młodzieńcu było coś intrygującego. Wyciągnęła rękę do Gavina, po czym zwróciła się ku następnemu z braci.

- A ty musisz być Raine. Wiele o tobie słyszałam.

- Coś dobrego? - zapytał, przyjmując jej rękę i uśmiechając się tak szeroko, że w jego policzkach pojawiły się dołeczki.

- Niezupełnie - odparła szczerze. - Jeden z moich ludzi, silny jak dąb, o imieniu Tam, ćwiczył ze Stephenem w Szkocji Przez całe tygodnie słyszałam twoje imię używane jako okrzyk wojenny, gdy Stephen próbował wymigać się od poleceń Tama.

Raine roześmiał się głośno.

- Widać zadziałało, skoro pokonał mnie na rękę dziś rano. Ale oczywiście musi jeszcze przyjąć moje wyzwanie do dłuższego pojedynku - dodał, mierząc Stephena wzrokiem.

Bronwyn przyjrzała się jego masywnemu ciału.

- Wydaje mi się, że jedna próba wystarczy, by pokonać mężczyznę.

Raine chwycił ją za ramiona i energicznie pocałował w policzek.

- Stephen, powinieneś jej pilnować - stwierdził ze śmiechem.

- Staram się - odparł Stephen, ujmując ją za rękę, zanim zdążył zbliżyć się do niej Miles. - Obiad podany, idziemy? - zapytał, wpatrując się jej w oczy.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, jakby nie skłóceni.

- Tak - odparła ulegle.

Później, gdy siedzieli już przy stole, kosztując kolejno podawanych potraw, Bronwyn zdała sobie sprawę, jak bardzo ci otaczający ją ludzie różnili się od dotychczas spotkanych Przez nią Anglików. Ta roześmiana, szczęśliwa rodzina nie miała nic wspólnego z ludźmi widzianymi u sir Tomasza Crichtona. Powitanie szwagierki kosztowało Judytę wiele Pieniędzy i zachodu. Bracia Stephena zaakceptowali ją, nie czyniąc żadnych uszczypliwych uwag związanych z klanem. Nagle zakręciło jej się w głowie. Wyrosła ucząc się nienawiści do MacGregorów i Anglików. Teraz była kumą MacGregorów i członkiem tej ciepłej, kochającej się angielskiej rodziny. A jednak MacGregorowie zabijali od wieków jej ludzi. Anglicy pozbawili życia jej ojca. Jak mogła pokochać ludzi, których powinna nienawidzić?

- Lady Bronwyn? - zapytał Gavin. - Czyżby wino okazało się dla ciebie zbyt mocne?

- Nie - uśmiechnęła się. - Wszystko jest wręcz idealne. I chyba to właśnie jest problem.

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że my jesteśmy twoją rodziną. Jeśli tylko będziesz potrzebowała kóregoś z nas, pomożemy ci.

- Dziękuję - odpowiedziała poważnie. Czowała, że mówił prawdę.

Po obiedzie Judyta zabrała ją na przechadzkę wewnątrz murów zamkowych.

Zewnętrzna część przeznaczona była dla służby, natomiast wewnętrzny krąg, pilniej strzeżony - dla rodziny. Bronwyn słuchała i zadawała setki pytań na temat niezwykle skutecznej organizacji i układu całego kompleksu zamkowego. Ziemie znajdujące się wewnątrz murów wydawały się praktycznie nie do zdobycia.

Stephen zatrzymał je, gdy rozmawiała z kowalem, a Judyta wyjaśniała jej nową technikę kucia.

- Bronwyn, czy mogę z tobą porozmawiać?

Wyczuła, że ma jej coś ważnego do zakomunikowania, i odeszła z nim na bok.

- Gavin i ja wracamy do Larenston, żeby zabrać ciało Chrisa.

- Tam z pewnością już go pochował. Skinął głową.

- Wiem, ale sądzę, że jesteśmy to winni rodzinie Chrisa. Oni nawet nie wiedzą, że on nie żyje. Byłoby dobrze, gdyby mogli choć pochować go na jego własnej ziemi. - przyznała Stephenowi rację.

- Chris nie lubił Szkocji - powiedziała poważnie. Pogładził ją po policzku.

- Po raz pierwszy od czasu naszego ślubu mamy się rozstać. Chciałbym wierzyć, że...

- Urwał i opuścił rękę.

- Stephen - zaczęła.

Nagle wziął ją w ramiona i przytulił do siebie.

- Szkoda, że nie wrócą dni, które spędziliśmy u Kirsty i Donalda. Byłaś tam chyba szczęśliwa.

Przywarła do niego. Mimo grożącego im wtedy niebezpieczeństwa, wspominała te czasy jako bardzo szczęśliwe.

- Znaczysz dla mnie tak wiele - szepnął. - Nie chciałbym wyjeżdżać, kiedy jesteś dla mnie taka... oziębła.

Gdy się roześmiała, odepchnął ją.

- Czy to cię bawi? - zapytał ze złością.

- Pomyślałam, że teraz daleko mi do oziębłości. Kiedy wyjeżdżacie?

- Za chwilę. - Powiedział to z takim żalem, że roześmiała się ponownie.

- A kiedy wróćcie?

Ujął ją za brodę.

- Za trzy długie dni, najmarniej. Znając Gavina, będziemy jechali szybko. -

Uśmiechnął się. - Bez kilkugodzinnych postojów, jak w tę stronę.

Objęła go za szyję.

- Nie zapomnisz o mnie? - zapytała, zbliżając usta do jego warg.

- Nie, tak jak nie zapomina się uderzenia pioruna - odparł lekko i zachichotał, kiedy próbowała się odsunąć. - Chodź, kobieto - rozkazał.

Pocałował ją tak namiętnie, że zapomniała o honorze, szacunku i zaufaniu. Pamiętała tylko ich zmagania na szkockich wrzosowiskach. Przytrzymał jej głowę ręką i wpił się w nią ustami czując, jak ona rozchyła wargi. Przycisnęła się do niego i objęła ciaśniej ramionami.

- Stephen... - zaczęła. Położył jej palec na ustach.

- Będziemy musieli porozmawiać, gdy wrócę. Zgadzasz się?

Uśmiechnęła się pogodnie.

- Tak, zgadzam się.

Jego następny pocałunek wyrażał tęsknotę i obietnicę. Odszedł z wyraźnym wahaniem.

Dopiero wieczorem Bronwyn zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskni za Stephenem.

Wielkie łóżko w pięknie urządzonej sypialni wydawało się nieznośnie zimne. Myślała o jadącym bez wytchnienia mężu. Przeklinała siebie, że nie zaproponowała mu swego towarzystwa.

Im więcej myślała, tym bardziej czuła się niespokojna. Odrzuciła na bok kołdrę i przeszła przez zimny pokój do komody. Wyjęła z niej swój szkocki strój i po chwili była już ubrana. Pomyślała, że może przechadzka na świeżym powietrzu pomoże jej zasnąć.

Kiedy wyszła, usłyszała odbity od murów echem odgłos końskich kopyt.

- Stephen! - szepnęła i ruszyła biegiem. Wiedziała, że wstęp do wewnętrznej części zamku mieli tylko członkowie rodziny.

- Lady Mario - ktoś powiedział cicho. - Miło cię znowu widzieć. Jak się udała podróż?

- Nie mogłabym sobie życzyć lepszej, James - odpowiedział miękki, łagodny głos.

- Czy mam zbudzić lady Judytę?

- Nie. Nie będziemy jej niepokoić. Potrzebuje odpoczynku Sama sobie poradzę.

Stojąca w cieniu Bronwyn obserwowała, jak jeden ze sług pomaga Marii zsiąść z konia. Przypomniała sobie, że Stephen porównywał siostrę do Madonny, mówił, że potrafiła załagodzić spory i mieszkała w klasztorze blisko ziem Montgomerych.

- Długo na ciebie czekaliśmy - odezwał się znowu James. - Mam nadzieję, że nic złego się nie stało?

- Jedno z dzieci zachorowało. Zostałam, żeby się nim zająć.

- Jesteś za dobra, lady Mario. Nie powinnaś się zbliżać do dzieci żebraków. Ojcowie niektórych z nich są mordercami. A pewnie też i niejedna matka.

Zamiast odpowiedzi Maria odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z Bronwyn.

Uśmiechnęła się.

- Miałam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Musisz być Bronwyn, żona.

Stephena.

Ciemne podwórze oświetlał jedynie księżyc i jedna latarnia. Maria była niska i pulchna, miała idealnie owalną twarz. Twarz, która wzbudzała zaufanie. - Skąd wiedziałas?

Nie udało mi się oszukać żadnego z Montgomerych.

- Słyszałam o serdeczności Szkotów. A poza tym potrzeba wiele samozaparcia, by wytrzymać na takim wietrze.

Bronwyn roześmiała się.

- Wejźmy do salonu zimowego. Zaraz rozpalę dla ciebie ogień. .

- To brzmi niebiańsko - rzekła Maria, chowając ręce pod gruby wełniany płaszcz.

Ruszyła za szwagierka do dużego, wyłożonego drewnem Pokoju Czekala spokojnie, aż Bronwyn rozpali ogień na kominku. Uśmiechnęła się zadowolona, że dama o pozycji Bronwyn nic bała się codziennych zajęć.

Bronwyn odwróciła się. - Musisz być zmęczona. Może wolisz, żebym rozpaliła ogień w twoim pokoju?

Maria usiadła na wyściełanym krześle i wyciągnęła ręce w kierunku ognia.

- Jestem zmęczona. Zbyt zmęczona, by pójść spać. Chciałabym tu przez chwilę posiedzieć i rozgrzać się.

Bronwyn przystanęła, zanim zawiesiła pogrzebacz na miejscu. Maria rzeczywiście wyglądała jak Madonna. Miała wysokie, jasne czoło i łagodne, wyraziste, brązowe oczy. Jej usta były małe, delikatne, a w jednym policzku robił się czasem maleńki dołek. Dołek Raine'a, pomyślała Bronwyn.

- Dobrze być znowu w domu - westchnęła Maria i popatrzyła na Bronwyn. -

Dlaczego nie śpisz? Czy Stephen...?

Bronwyn roześmiała się i usiadła na krześle obok Marii.

- Pojechał z Gavinem do Szkocji, żeby zabrać... ciało przyjaciela.

- Chrisa - powiedziała z westchnieniem Maria i oparła się wygodniej na krześle.

- Wiesz o nim? - zapytała Bronwyn niepewnie.

- Tak. Stephen pisał mi o jego śmierci.

Bronwyn umilkła.

- Czy napisał, że to ja byłem przyczyną jego śmierci?

- Nie! A ty nie powinnaś nawet tak myśleć. Napisał, że to pewność siebie stała się przyczyną śmierci Chrisa. Twierdził, że każdy Anglik przekraczający granice Szkocji popełnia samobójstwo.

- Anglicy zabili wielu Szkotów! - powiedziała twardo Bronwyn, a potem odwróciła się, by popatrzeć na Marię.

- Przepraszam, zapomniałam, że...

- Że jesteśmy Anglikami? To komplement - Przyglądała się Bronwyn oświetlonej łagodnym blaskiem ognia. - Stephen pisał mi o twojej urodzie, ale nawet w połowie nie oddał jej słowami.

Bronwyn skrzywiła się.

- Zbyt pochopnie sędzi kobiety po wyglądzie.

Maria roześmiała się.

- Odkrywasz to samo co Judyta. Moi bracia uważają, że wszystkie kobiety są takie jak ja, pozbawione temperamentu i namiętności.

- Ale z pewnością...

Maria podniosła rękę.

- Ale z pewnością kobieta mająca tak energicznych braci, nie może być zupełnie pozbawiona temperamentu? To chciałaś powiedzieć? - Nie czekała na odpowiedź. - Nie, obawiam się, że mam ciągoty do uciekania od życia. Kobiety takie jak Judyta i ty, o ile dobrze odczytałam list Stephena, chwytają życie pełnymi garściami.

Bronwyn nie wiedziała, co rzec. Pomyślała, że prowadzą bardzo dziwną rozmowę.

Jakby się znały od wielu lat, a nie od kilku minut Spokój komnaty, ciepłe światło ognia na kominku sprawiały wrażenie izolacji, a jednocześnie wszystko wydawało się takie zwyczajne.

- Czy czujesz się samotna? - zapytała Mana. - Brakuje ci Szkocji? A twojej rodziny i przyjaciół?

Bronwyn odpowiedziała dopiero po chwili.

- Tak, brakuje mi przyjaciół. - Pomyślała o Tamie, Douglasie i reszcie ludzi. - Tak, bardzo za nimi tęsknię.

- A teraz nie ma też przy tobie Stephena. Może jutro się gdzieś przejedziemy?

Chciałabym usłyszeć co nieco o Szkocji.

Bronwyn uśmiechnęła się i pochyliła na krześle. Ucieszyła ją perspektywa spędzenia całego dnia z tą kobietą. W Marii było tyle spokoju, którego Bronwyn tak bardzo teraz potrzebowała.

Bronwyn spędziła dwa następne dni z lady Marią. Czas ten wystarczył jej, żeby pokochać szwagierkę. Podczas gdy Judyta zajęta była księgami rachunkowymi i zarządzaniem dobrami, Maria i Bronwyn odkryły wspólną dla nich miłość do ludzi.

Bronwyn nigdy nie okazywała szczególnego zainteresowania cyframi, więcej mogła powiedzieć o zysku z danej ziemi na podstawie rozmów z ludźmi. Jeździła z Marią po posiadłości, rozmawiała z chłopami. Ci, z początku nieśmiali, wkrótce się ozywiali, widząc jej otwartość. Była przyzwyczajona rozmawiać z nimi jak z równymi, i Maria widziała, jak jeden po drugim prostują się z dumą. Bronwyn wysyłała chorych do domu. Wypytywała o dzieci.

Nie zawsze dawała im jednak zapomogę. Uważała, że ludzie są odpowiedzialni za swój los i nie obnosiła się ze współczuciem. Odkryła, że niektórzy okradali swojego pana, i dopilnowała, by zostali ukarani. Kilka cichych, pracowitych i lojalnych rodzin zostało wyróżnionych bardziej odpowiedzialnymi stanowiskami.

Pierwszego wieczoru Bronwyn i Judyta spędziły wiele godzin na rozmowie. Judyta słuchała z podziwem. Zdała sobie sprawę z wiedzy szwagierki i wysłuchiwała uważnie każdej jej rady.

Bronwyn także wiele się nauczyła, niektóre metody gospodarowania postanowiła wprowadzić w Larenston. Studiowała szkice Judyty, przedstawiające projekty budynków gospodarskich i ogrodów. Judyta obiecała wysłać jej na wiosnę pełen wóz sadzonek.

Ale przede wszystkim okazała się specjalistką od hodowli zwierząt. Bronwyn była zafascynowana zabiegami Judyty, które sprawiły, że jej owce i bydło dawały więcej mięsa, mleka i wełny.

Kiedy Bronwyn wróciła do siebie, była zbyt zmęczona, by myśleć. Przed jej oczami wirowały liczby, rysunki, twarze ludzkie i nazwiska.

Rano pojawiła się w stajni, zanim jeszcze wstała większość mieszkańców zamku.

Miała znów na sobie szkocki strój, ponieważ, jak zauważyła, ludzie reagowali z sympatią na jej proste ubranie.

Wsunęła lekkie siodło na grzbiet jabłkowitej klaczy.

- Milady - doszedł ją z tyłu młody, silny głos. - Pozwól.

Odwróciła się i zobaczyła niskiego blondyna, jednego z ludzi Milesa, który towarzyszył jej i Marii poprzedniego dnia.

- Dziękuję, Ryszardzie.

Jego ciemnozielone oczy zabłyśły, gdy na nią spojrział.

- Nie wiedziałem, że znasz moje imię. To dla mnie zaszczyt.

Roześmiała się.

- Nonsens! W Szkocji znam imiona wszystkich moich ludzi, a i oni nazywają mnie po imieniu.

Pochylił się, by poprawić strzemię.

- Rozmawiałem z kilkoma towarzyszami lorda Stephena, którzy byli z nim w Szkocji. Mówili, że często jeździłaś nocą, sama lub ze swoimi ludźmi.

- Prawda - odparła z namysłem. - Nazywam się MacArran i jestem panią moich ludzi.

Uśmiechnął się nieco prowokacyjnie. - Muszę się przyznać, że zazdroszczę Szkotom.

W Anglii rzadko dowodzi nami kobieta, a już nigdy tek piękna.

Gniewnie ściągnęła brwi i sięgnęła po lejce.

- Dziękuję - powiedziała sztywno i wyprowadziła konia ze stajni.

- Co ty sobie myślisz?! - syknął ktoś za plecami Ryszarda. Ryszard obejrzał się na drzwi, za którymi zniknęła Bronwyn, a potem odwrócił się do stojącego za nim mężczyzny.

- Nic, co by cię mogło interesować, George - odparł, mijając rycerza.

George chwycił go za ramię.

- Widziałem, jak z nią rozmawiałeś, i chcę wiedzieć, o czym była mowa.

- A to dlaczego? Żebyś ją miał tylko dla siebie? Słyszałem, co ty i reszta ludzi Stephena o niej mówiliście.

- Dla ciebie: lorda Stephena.

- Jesteś hipokrytą! Nazywasz ją Bronwyn i rozmawiasz z nią jak z młodszą siostrą, a wystarczy, że ktoś zamieni z nią słowo, a ty już chwytasz za miecz. Otóż powiem ci, że nie zamierzam jej traktować inaczej niż jak szkocką dziewczkę, którą jest. Żadna dama nie rozmawiałaby tak z mężczyznami i chłopstwem, gdyby jej nie chodziło o to, co mają między nogami. A ja...

Zanim zdążył dokończyć, pięść George'a dosięgła jego szczęki.

- Zabiję cię za to! - krzyknął George, rzucając mu się do gardła.

Ryszardowi udało się uniknąć drugiego ciosu. Złączył dłonie i uderzył przeciwnika w kark. George padł twarzą w siano.

- Co tu się dzieje?! - zawołała od drzwi Bronwyn.

George wstał i potarł szyję. Ryszardowi krew kapłała z nosa, otarł ją wierzchem dłoni.

- Zadałam pytanie - powtórzyła spokojnie Bronwyn, patrząc na obu mężczyzn. - Nie pytam o przyczynę kłótni, bo to wasza osobista sprawa, ale chcę wiedzieć, kto uderzył

pierwszy.

Ryszard spojrzał na George'a.

- Ja to zrobiłem, milady - powiedział George wstając.

- Ty, George? Ale... - urwała. Musiał być ważny powód, by ktoś tak spokojny i zrównoważony uderzył pierwszy. Nie lubiła Ryszarda i nie ufała mu. Wczoraj zbyt często zerkał na młode chłopki. Nie mogła ich tu razem zostawić ani też zabrać George'a, bo to on zaczął kłótnię. Lepiej było trzymać przy sobie Ryszarda i w ten sposób chronić sługę Stephena.

- Ryszardzie - powiedziała spokojnie. - Możesz dziś jechać z lady Marią i ze mną. -

Posłała George'owi pełne żalu spojrzenie i opuściła stajnię.

- Jak dla mnie, gorąca jest - zaśmiał się Ryszard, gdy George był zbyt daleko, żeby go zaatakować.

15

Maria wsunęła się na siodło, posyłając szwagierce senne spojrzenie. Zastanawiała się, czy Bronwyn zna takie słowa, jak zimno lub wyczerpanie. Jeździły przez cały wczorajszy dzień, aż zmęczeni się towarzyszący im strażnicy. Potem Bronwyn siedziała do północy z Judytą, zasypując ją pytaniami.

Maria przeciągnęła się, ziewnęła, a potem uśmiechnęła się na wspomnienie listu brata. Nic dziwnego, że Stephen musi ciężko pracować, by nadażyć za żoną. Przez chwilę zastanawiała się, czy Stephen powiedział żonie, jak bardzo ją podziwia. Jego listy pełne były pochwał dla nowo poznanych ludzi i żony; szczególnie dla odważnej żony.

Maria pogoniła konia, bo Bronwyn już wchodziła do chłopskiej chaty.

Tuż przed południem przystanąły na wzgórzu na krótki popas. Mężczyźni wyciągnęli się na trawie, oddychając ciężko, jedząc łąpczywie chleb, ser, popijając winem.

Maria i Bronwyn usiadły na zboczu wzgórza, skąd miały rozległy widok na okolicę.

- Co to było? - zapytała nagle Bronwyn.

Maria nasłuchiwała przez chwilę, ale usłyszała jedynie łagodny szum wiatru i głosy eskorty.

- Znowu! - Bronwyn obejrzała się, a Rab przybiegł do niej. - Tak, piesku - szepnęła i znieruchomiała.
- Coś się komuś stało - powiedziała do Marii i ruszyła biegiem na szczyt wzgórza. Rab tuż przy niej.

Strażnicy popatrzyli na nie, ale postanowili się nie wtrącać sądząc, że to naturalna potrzeba wezwwała je na przeciwną stronę wzgórza.

Maria wyteżęła wzrok, ale nie mogła nic zobaczyć. Poniżej był na wpół zamarznięty strumień, po którym płynęła kra.

Bronwyn też się wpatrzyła w tamtą stronę. Nagle Rab warknął.

- Rab! - krzyknęła i ruszyła biegiem.

Maria nie dostrzegła nic niezwykłego, ale podniosła spódnicę i pobiegła za nią.

Będąc już w połowie drogi do strumienia ujrzała głowę i ramiona jakiegoś dziecka uwięzionego w lodowatej wodzie.

Maria poczuła dreszcz przebiegający przez jej plecy i przyspieszyła kroku. Nawet nie zauważyła, jak minęła Bronwyn. Wbiegła do wody i chwyciła dziecko.

Mały chłopiec popatrzył na nią wielkimi, pozbawionymi wyrazu oczyma. Brakowało kilku chwil, a zamarłby w wodzie.

- Utknął tu! - zawołała do Bronwyn, - Coś go trzyma za stopę. Rzuć mi nóż!

Umysł Bronwyn pracował szybko. Wiedziała, że czas jest na wagę złota. Jeśli rzuci Marii nóż, a ta go nie złapie, najprawdopodobniej nie uratują dziecka. Istniał tylko jeden sposób, by bezpiecznie podać nóż.

- Rab! - zawołała, a pies wyczuł napięcie w jej głosie. - Idź po pomoc. Przyrowadź

kogoś. Potrzebujemy pomocy.

Pies śmignął jak strzała. Ale nie skierował się do strażników na szczycie wzgórza.

- A niech to szlag! - zakląła Bronwyn, ale było już za późno, by ponownie wezwać psa.

Wyjęła nóż i rzuciła się do strumienia. Poruszała się tak szybko jak na to pozwalała wartko płynąca woda. Maria zsiniała z zimna, ale nic wypuściła z rąk chłopca, którego twarz poszarzała.

Bronwyn uklękała, a woda uderzyła w jej piersi jak ściana lodu. Wymacała nogi chłopca i zielsko, w które się zaplątały, po czym, szcękając zębami, przecięła wodorosty.

- Jest wolny! - szepnęła po chwili. Zauważyła, że twarz Marii przybrała podejrzenie szarą barwę. Bronwyn przyklękała i wzięła dziecko na ręce. - Możesz iść za mną? - krzyknęła przez ramię.

Maria nie miała dość siły, by odpowiedzieć. Skoncentrowała się na poruszaniu nogami, by nie stracić z oczu sylwetki Bronwyn.

Ledwo Bronwyn dotarła do brzegu strumienia, ktoś odebrał jej dziecko. Popatrzyła prosto w poważną twarz Raine'a.

- Skąd...? - zaczęła.

- Miles i ja jechaliśmy wam na spotkanie, gdy pojawił się twój pies. Pędził jak sam diabeł. - Mówiąc do niej, cały czas coś robił. Podał dziecko innemu mężczyźnie, po czym owinął mokre ramiona Bronwyn swoim płaszczem.

- Maria? - zapytała drżąc.

- Miles się nią zajął - wyjaśnił Raine, wsadzając ją na konia, po czym usiadł tuż za nią.

Szybko wrócili do zamka Montgomerych. Raine jedną ręką prowadził konia, a drugą rozcierał ramiona i plecy Bronwyn. Czowała, że zamarza, i starała się zwinąć w kłębek i przytulić mocno do ciepłego ciała Raine'a.

Gdy dojechali, Raine zaniósł ją do sypialni i wyciągnął z komody ciężki strój ze złotawej wełny.

- Włóż to, proszę - powiedział. Dyskretnie odwrócił się i zaczął rozniecać ogień.

Gdy rozpiniała koszulę, drżały jej palce. Mokre, cienkie płótno przylgnęło do jej ciała. Zsunęła je z siebie i założyła podaną jej przez Raine'a szatę. Wełna była gruba, ale nie czuła jeszcze ciepła.

Raine odwrócił się do niej, popatrzył na jej bezbarwną twarz i wziął ją na ręce.

Usiadł przy kominku, sadzając ją sobie na kolanach. Poprawił na niej ubranie, które należało do Stephena, i przytulił ją do siebie mocno, a ona podciągnęła kolana pod brodę i oparła się głową o jego szeroką pierś.

Dopiero po kilku minutach opuściły ją dreszcze.

- Maria? - szepnęła po chwili.

- Miles się nią zajął, a teraz już pewnie Judyta wsadziła ją do wanny z gorącą wodą.

- Co z dzieckiem?

Raine popatrzył na nią, a jego oczy pociemniały.

- Czy wiedziałaś, że to chłopskie dziecko? - zapytał cicho. Odsunęła się od niego.

- A co to ma do rzeczy? Potrzebowało pomocy.

Raine uśmiechnął się do niej i przytulił ją ponownie do piersi.

- Nie sądziłem, żeby to miało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. Dla Marii też. Ale będziesz miała kłopoty z Gavinem. Nie zaryzykowałby jednego włoska z głowy kogokolwiek z rodziny, nawet dla wszystkich chłopów na świecie.

- Przez wiele miesięcy radziłam sobie ze Stephenem, poradzę sobie i z Gavinem. -

Wydała z siebie głębokie westchnienie pełne rezygnacji.

Raine roześmiał się. Wyczuła drżenie jego płaskiego brzucha, a dopiero potem usłyszała ten śmiech.

- Dobrze powiedziane! Widzę, że rozumiesz moich starszych braci. Uśmiechnęła się do niego.

- Raine, dlaczego jeszcze się nie ożeniłeś?

- Typowo babskie pytanie. Nie przyszło ci do głowy, że może nikt mnie nie chce?

Pytanie było tak absurdalne, że nawet nie odpowiedziała.

- Tak naprawdę odprawiłem sześć kobiet w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy.

- Dlaczego? Były brzydkie, chude czy grube? A może w ogóle ich nie widziałeś?

- Widziałem - odparł spokojnie. - Nie jestem taki jak moi bracia, którzy poznają swe żony na ślubnym kobiercu. Otrzymałem kilka propozycji od ojców, a potem spędziłem z każdą z panien po trzy dni.

- A jednak odprawiłeś je.

- O, tak.

Westchnęła.

- Czego oczekujesz od kobiety? Z pewnością któraś z nich musiała być ładna.

- Ładna! - parsknął Raine. - Trzy z nich były po prostu piękne! Ale ja oczekuję jeszcze czegoś. Chcę kobiety interesującej się czymś więcej, niż tylko najnowszym wzorem haftu. - Jego oczy błysnęły wesoło. - Marzę o kobiecie, która wejdzie do lodowatego strumienia i zaryzykuje własne życie dla uratowania chłopskiego dziecka.

- Ale przecież, gdyby jakakolwiek inna kobieta zobaczyła to dziecko... Raine popatrzył w ogień.

- Ty i Maria jesteście wyjątkowe. Podobnie jak Judyta. Czy wiesz, że Judyta poprowadziła kiedyś ludzi Gavina, gdy on sam był jeńcem pewnego szaleńca? Podjęła ryzyko, by go ratować - Uśmiechnął się do niej. - Czekam na kogoś takiego jak ty lub Judyta. Bronwyn myślała przez chwilę.

- Nie, nie wydaje mi się, byśmy byli dla ciebie odpowiednie. Gavin jest przywiązany do ziemi, Judyta także. Pasują do siebie. Ja mam Szkocję. Stephen jest wolny i może tam ze mną zamieszkać. Ale ty... Sądzę, że nie potrafisz nigdzie zagrzać miejsca. Potrzebujesz kogoś wolnego jak ty sam, kogoś, kto nie jest przywiązany do żadnego kawałka ziemi.

Raine popatrzył na nią z otwartymi ustami, po czym się uśmiechnął.

- Nie będę pytał, skąd to wszystko wiesz. Z pewnością odpowiedzią będzie: Jestem czarownicą. Skoro wiesz o mnie tak dużo, chciałbym ci zadać kilka osobistych pytań.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Co się dzieje między tobą a Stephenem? Dlaczego ciągle jesteś na niego zła?

Bronwyn ociągała się z odpowiedzią. Wiedziała o bliskości łączącej braci, ale nie była pewna, jak Raine zniesie krytykę starszego brata. Me czy mogła kłamać?

Odetchnęła głęboko.

- Stephen uważa, że nie mam dumy ani honoru. Zawsze jest skłonny najpierw uwierzyć innym. W Szkocji bez przerwy umie krytykował i rzeczywiście czasami słusznie, ale nie miał prawa traktować mnie tak, jakby wszystko, co robię, było złe.

Raine skinął głową. Pamiętał, że Gavin też potrzebował trochę czasu, by zrozumieć, że Judyta nie jest tylko ładną buzią. Zanim jednak zdążył się odezwać, drzwi rozwarły się z hukiem i do pokoju wpadł brudny i zmęczony Stephen.

- Miles powiedział, że Bronwyn wskoczyła do zamrożonego jeziora! - zagrział. -

Gdzie ona jest? - Ale już zauważył ją na kolanach Raine'a. Zrobił dwa długie kroki w ich kierunku i chwycił ją na rękę.

- A niech cię! - krzyknął. - Nie mogę cię zostawić nawet na godzinę, żebyś nie wpadła w jakieś tarapaty.

- Puść mnie! - zażądała chłodno. Tyle dni go nie było, rozstali się po raz pierwszy, a on kłął ją na powitanie.

Stephen musiał wyczuć jej myśli. Postawił ją na ziemi.

- Bronwyn - rzekł łagodnie, dotykając jej policzka.

Uniosła ciężką wełnianą tkaninę i podeszła do drzwi. Była jedną z nielicznych kobiet, które mimo

bosych stóp i zakrywającego dłonie ubrania potrafiły wyglądać dumnie.

Położyła rękę na klamce i nie odwracając się powiedziała:

- Kiedyś zrozumiesz, że nie jestem dzieckiem ani idiotką, - Otworzyła drzwi i opuściła pokój.

Stephen zrobił krok w jej kierunku, ale zatrzymał go zdecydowany głos Raine'a:

- Usiądź i zostaw ją w spokoju.

Stephen przez chwilę jeszcze patrzył na drzwi, potem odwrócił się i usiadł naprzeciw brata. Przesunął ręką po brudnych włosach.

- Nic jej się nie stało? Nie zachoruje?

- Oczywiście - odparł z przekonaniem Raine. - Jest silna i zdrowa, a poza tym, z tego, co słyszałem o Szkotach, większą część życia spędziła na świeżym powietrzu.

Stephen zapatrzył się w ogień. - Wiem - westchnął ciężko.

- Co cię gryzie? - zapytał Raine. - Nie jesteś tym Stephenem, którego znałem.

- Bronwyn - szepnęła. - Zamorduje mnie. Kiedy byliśmy w Szkocji, postanowiła pewnej nocy poprowadzić wypad przeciwko wrogom jej klanu. Żeby się upewnić, że nie wejdę jej w drogę, uśpiła mnie.

- Co zrobiła?! - wybuchnął Raine, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie naraziła męża swoim postępkami.

Stephen skrzywił się.

- Jeden z jej ludzi odkrył, co mi zrobiła, i dobudził mnie. Gdy ją znalazłem, wisiała na linie nad przepaścią.

- Dobry Boże! - westchnął Raine.

- Nie wiedziałem, czy ją zabić, czy zamknąć pa klucz, żeby uchronić ją przed nią samą.

- I co zrobiłeś?

Stephen rozparł się na krześle. Jego głos zdradzał głęboki niesmak.

- To, na czym zwykle się kończyło: poszliśmy do łóżka.

Raine zachichotał.

- Wydaje mi się, że problem leży w jej egoizmie.

Stephen wstał i podszedł do kominka.

- Ona za mało myśli o sobie. Czasami wręcz mnie zawstydza. Gdy chodzi o jej klan, robi dla swoich ludzi wszystko, nie bacząc na własne bezpieczeństwo.

- A ty się o nią martwisz? - zapytał Raine.

- Jasne! Dlaczego ona nie może siedzieć w domu, rodzić dzieci, zajmować się nimi...

i mną, jak dobra żona? Dlaczego ona musi prowadzić wyprawy wojenne, wycinać swoje inicjały ; na ciele jakiegoś mężczyzny, a potem zawijać się w swój plaid i zasypiać smacznie na ziemi? Dlaczego ona nie może... nie może...

- ...być słodkoustą kobietką, która będzie na ciebie patrzyła z uwielbieniem i zajmie się obrębianiem wszystkich kołnierzyków? - odpowiedział Raine.

Stephen usiadł ciężko.

- Tego nie chcę, ale przydałby się jakiś kompromis.

- Czy naprawdę chcesz, żeby się zmieniła? - zapytał Raine. - A co w niej ci się spodobało? I nie mów mi, że jej uroda. Miałeś już w łóżku kilka pięknych kobiet, ale się w nich nie zakochałeś.

- Czy to takie widoczne?

- Dla mnie tak. I pewnie dla Gavina i Milesa, ale nie sądzę, by Bronwyn zdawała sobie z tego sprawę. Ona nie wierzy, by cię mogła obchodzić choć trochę.

Stephen westchnął.

- Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak ona, mężczyzny ani kobiety. Jest taka silna i pełna godności, prawie jak mężczyzna. Powinieneś zobaczyć, jak ją traktuje klan. Chłopskie dzieci podbiegają, by ją uściskać, a ona je wszystkie całuje. Zna imię każdego człowieka na swojej ziemi, a i oni nazywają ją po imieniu. Oszczędza na jedzeniu i ubraniu, żeby jej ludzie mieli więcej. Któregoś wieczoru, w miesiąc po naszym ślubie, przyłapałem ją, jak zawijała chleb i ser w swój plaid. Nie zwróciła na mnie uwagi, tylko wpatrywała się w Tama. On zastępuje jej ojca. Zrozumiałem, że chce, żeby Tam nie widział

tego, co zamierzała zrobić. Po kolacji poszedłem za nią Zaniósła żywność jednemu z chłopców, który uciekł z domu.

- I co jej powiedziałaś? - zapytał Raine.

Stephen potrząsnął głową.

- Ja, wielki mędrzec, poradziłem jej, żeby odesłała chłopca z powrotem do domu, zamiast utrzymywać go w przekonaniu, że postępuje właściwie.

- Co na to Bronwyn?

- Wyjaśniła, że chłopiec jest dla niej równie ważny, jak jego rodzice i nie widzi powodu, by go zdradzić tylko dlatego, że jest dzieckiem. Zapewniła, że on wróci do domu za kilka dni i przyjmie czekającą go karę.

Raine gwizdnął z podziwem.

- Wygląda na to, że wiele się od niej mógłbyś nauczyć. Sądziś, że już tego nie zrobiłem? Zmieniła całe moje życie. Przyjeżdżając do Szkocji byłem Anglikiem, a teraz popatrz tylko na mnie. Ciasno mi w angielskim stroju. Po obcięciu włosów czuję się jak Samson. Patrzę na angielskie pola i myślę, że tu jest goręcej i bardziej sucho niż w domu. W

domu! Przysięgam, że tęsknię za miejscem, którego nawet nie znałem kilka miesięcy temu.

- Powiedz mi - przerwał mu Raine. - Czy mówiłeś Bronwyn, co czujesz? Czy powiedziałeś jej, że ją kochasz i obawiasz się tylko o jej bezpieczeństwo?

- Próbowałem. Kiedyś wyznałem jej, że ją kocham, a ona mi na to, że to nieważne, że honor i szacunek więcej dla niej znaczą.

- Ale tego ci nie brakuje, o ile dobrze rozumiem twoje słowa.

- Niełatwo jej coś powiedzieć. Mieliśmy... wydaje mi się że można to nazwać kłótnią, zanim tu przyjechaliśmy. - Opowiedział bratu pokrótce historię o Hugonie Lasco.

- Hugo! - parsknął Raine. - Nigdy nie przepadałem za tym guzdrałą.

- Bronwyn jego powolność nie przeszkadzała - zauważył z niesmakiem Stephen.

Raine roześmiał się.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że jesteś zazdrosny jak Gavin?

Stephen popatrzył na niego gniewnie.

- Poczekaj, aż ciebie dopadnie uczucie do kobiety. Założę się, że wtedy nie będziesz taki opanowany!

Raine uniósł dłoń.

- Mam nadzieję, że miłość stanie się moją radością, a nie chorobą, która będzie mnie zżerać tak jak ciebie.

Stephen odwrócił się i wpatrzył w ogień. Czasami jego miłość do Bronwyn rzeczywiście przypominała chorobę. Czuł, że odebrano mu serce i duszę. Bronwyn opuściła swoją sypialnię i poszła prosto do Marii. Znalazła ją w łóżku, nad nią pochylała się Judyta, rozkładając gorące kamienie.

- Judyto - zaprotestowała cicho Maria. - To nie jest śmiertelne. - Uśmiechnęła się do Bronwyn. - Chodź, pomożesz mi wytłumaczyć Judycie, że nasza eskapada nie była wcale aż tak niebezpieczna.

Bronwyn odpowiedziała jej uśmiechem i przyjrzała się Marii. Na policzkach szwagierki pojawiły się wypieki.

- Oczywiście - potwierdziła Bronwyn. - Ale zazdroszczę ci cierpliwości - Mrugnęła okiem. - Jestem tak podniecona myślą o nowej sukni, którą obiecała mi Judyta, że nie mogę usiedzieć. Może da się ją zobaczyć już teraz. - Spojrzała wymownie na Judytę. Ta zrozumiała natychmiast i obie opuściły pokój.

- Sądzisz, że z tego wyjdzie? - zapytała Judyta, gdy znalazły się na korytarzu.

- Tak, potrzebuje tylko odpoczynku. Nie wydaje mi się, by nasza Maria była całkiem z tego świata. Część jej z pewnością należy do Niebios. Może dlatego jest taka słaba.

- Tak - zgodziła się Judyta. - A ta suknia... Bronwyn machnęła ręką.

- To tylko pretekst, żeby jej dać możliwość odpoczynku. Judyta roześmiała się.

- Przykro mi, ale ubranie Stephena w najmniejszym stopniu nie zastąpi ci sukni.

Teraz chodź ze mną i nie przyjmuję żadnych protestów.

Godzinę później Bronwyn stała ubrana w suknię z pięknego zielonego aksamitu, przywodzącego na myśl las o zachodzie słońca. Obramowane rudym futrem z lisa rozcięcia rękawów ukazywały jasnozielony jedwab. Ciężkie złote frędzle otaczały głęboki, prostokątny dekolt.

- Jest piękna, Judyto - szepnęła Bronwyn. - Nie wiem, jak mam ci dziękować.

Wszyscy jesteście tacy hojni.

Judyta pocałowała ją w policzek.

- Muszę już iść do pracy. Może Stephen zechce zobaczyć nową suknię - zasugerowała.

Bronwyn odwróciła się. Stephen narzekałby, że dekolt jest zbyt głęboki lub coś w tym guście.

Po odejściu Judyty zeszła na zimny dziedziniec. Narzuciła na ramiona podbitą futrem z lisa pelerynkę i ruszyła do stajni.

- Bronwyn - odezwał się ktoś, gdy weszła do środka.

Rozejrzała się i zobaczyła mężczyznę, który bił się tego ranka z George'em.

- Tak - powiedziała krótko. - O co chodzi?

Nawet w ciemności oczy mężczyzny błyszczały.

- Doskonale wyglądasz w tej angielskiej sukni. - Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, przyjął bardziej oficjalny ton. - Słyszałem, że twoi Szkoci doskonale sobie radzą z łukiem. Może mogłabyś mnie czegoś nauczyć. - Z jakiegoś powodu wydało mu się to zabawne.

Zignorowała jego wesołość przypuszczając, że chciał nią pokryć obawę odmowy.

Ale Bronwyn spędziła wiele godzin ćwicząc z łukiem i potrafiła uczyć mężczyzn. Dobrze, że ten Anglik chciał się czegoś nauczyć.

- Z przyjemnością cię tego nauczę - powiedziała i minęła go. Uderzyła prosto w szeroką pierś Stephena, Ryszard szybko wyszedł ze stajni.

- Co powiedziałaś do tego mężczyzny? - zapytał ostro Stephen.

Wyśliznęła się z jego uścisku.

- Czy ty potrafisz się na mnie tylko złościć? Dlaczego nie przywitasz się ze mną przyjaźnie, jak inni mężowie? Nie widziałam cię od kilku dni, a ty na wstępie mnie przeklinasz.

Chwycił ją w ramiona.

- Bronwyn - szepnął. - Ty mnie zamordujesz. Dlaczego musiałaś wejść do tego lodowatego strumienia w samym środku zimy?

Odsunęła się od niego.

- Nie będę odpowiadać na takie pytania.

Chwycił ją ponownie i pocałował namiętnie, wgrzyzając się zębami w jej usta, jakby chciał czegoś więcej niż tylko pocałunku.

- Tęskniłem za tobą - szepnął. - Nie było chwili, bym o tobie nie myślał.

Serce dudniło w jej piersi. Miała wrażenie, że się rozplywa. Ale kiedy się znowu odezwał, prysnął nastrój.

- Czy to z człowiekiem Milesa rozmawiałaś, gdy tu wszedłem?

Chciała się odsunąć od niego.

- Znowu ta twoja zazdrość? Słyszę to w twoim głosie.

- Bronwyn, nie. Posłuchaj. Chcę cię tylko ostrzec. Anglicy nie są tacy jak twoi Szkoci. Nie powinnaś

z nimi rozmawiać jak ze swoimi ludźmi. W Anglii damy zbyt często sypiają z towarzyszami broni swoich mężów.

Oczy Bronwyn rozszerzyły się.

- Oskarżasz mnie o zdradę z jednym z twoich ludzi?

- Ależ nie, tylko...

- Ale oskarżyłeś mnie o to w przypadku Hugona Lasco.

- Hugo Lasco jest dżentelmenem! - parsknął Stephen.

Bronwyn niemal podskoczyła.

- Ach taki - wybuchnęła. - Przynajmniej uważasz, że jestem wybredną dziewczką i byle kogo sobie nie wezmę - Odwróciła się na piecie i ruszyła do drzwi.

Stephen złapał ją za rękę.

- O nic cię nie oskarżam. Próbuję ci tylko wyjaśnić, że pewne sprawy inaczej wyglądają w Szkocji, a inaczej w Anglii.

- Aha! A więc jestem aż tak głupia, że nie potrafię odróżnić jednego kraju od drugiego. Ty potrafisz się przystosować, a ja nie! Patrzył na nią uważnie.

- Co z tobą? Zachowujesz się dziwnie.

Odwróciła się od niego.

- A co ty o mnie wiesz? Od czasu naszego spotkania masz do mnie tylko pretensje.

Nic, co robię poza sypialnią, nie jest w stanie cię zadowolić. Gdy poprowadzę gdzieś swoich ludzi, jesteś zły. Jeśli próbuję uratować jednego z poddanych twojego brata, jesteś zły.

Kiedy staram się być miła dla twoich ludzi, oskarżasz mnie, że z nimi śpię. Powiesz, co mam zrobić, żeby ciebie nareszcie zadowolić?

Stephen popatrzył na nią zimno.

- Nie miałem pojęcia, że aż tak jestem ci niemiły. Zostawię cię więc w spokoju. -

Odwrócił się sztywno i wyszedł.

Bronwyn patrzyła za nim, czując, jak pod jej powiekami zbierają się łzy. Co się z nią dzieje? Stephen tak naprawdę nie oskarżył jej o zdradę i miał wszelkie prawo, by ostrzec ją przed tym, co mogą sobie o niej pomyśleć mężczyźni. Dlaczego nie potrafiła go przywitać w domu tak, jak na to zasługiwał?

Chciała tylko, by ją objął, kochał. A jednak z jakiegoś powodu wszczyniała z nim kłótnie, za każdym razem, gdy się do niej zbliżał.

Nagle poczuła się cała obolała. Przyłożyła rękę do czoła. Zdała sobie sprawę, że już od kilku dni się tak czuje. Oczywiście, przesiadywanie z Judytą do późna w nocy i wchodzenie do zamrożonego strumienia nie poprawiły sytuacji. Przeklinając niezdrowe angielskie powietrze, wyszła ze stajni.

- Bronwyn? - zawołała Judyta. - Chcesz trochę świeżego chleba?

Bronwyn oparła się o kamienną ścianę stajni. Ta kłótnia rozstroiła ją zupełnie. Myśl o jedzeniu przyprawiła ją o mdłości.

- Nie - szepnęła, przyłożywszy do brzucha rękę.

- Bronwyn, co się dzieje? - zaniepokoiła się Judyta, odstawiając koszyk. - Źle się czujesz? - Dotknęła ręką jej czoła. - Usiądź. - Popchnęła ją na beczkę ustawioną przy ścianie. - Oddychaj głęboko, to ci przejdzie.

- Przejdzie? - powtórzyła ostro.

- Mdłości.

- Co? - zapytała, łapiąc z trudem powietrze. - O czym ty mówisz?

Judyta milczała przez chwilę.

- O ile się nie mylę, będziesz miała dziecko. - Uśmiechnęła się szeroko do Bronwyn, widząc wyraz jej twarzy. - Wiem, że czujesz się dziwnie. - Pogładziła się po brzuchu. -

Urodzimy w tym samym czasie - powiedziała z dumą.

- Ty?! Ty też spodziewasz się dziecka?

Judyta uśmiechnęła się tajemniczo.

- Tak. Ja... straciłam pierwsze. Poroniłam. Tym razem będę ostrożniejsza i nie powiem o tym nikomu, nawet Gavinowi.

- Oczywiście - powtórzyła Bronwyn, odwracając wzrok. - Kiedy się urodzi?

- Za siedem miesięcy. - Roześmiała się.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała Bronwyn. - Też chciałabym się pośmiać.

- Właśnie pomyślałam, że moja matka przyjedzie akurat na rozwiązanie. - Urwała, by po chwili wyjaśnić jej, o co chodzi. - Myślałam, że jej się to nie uda, bo sama ma urodzić w tym czasie.

- Twoja matka?! Masz szczęście, że twoi rodzice jeszcze żyją.

- Nie. Mój ojciec zmarł kilka miesięcy temu.

- I to nie jest jego dziecko? - zapytała cicho Bronwyn.

- Nie. I cieszy mnie to. Mój ojciec często bił matkę. Została porwana przez pewnego młodego człowieka, a jej strażnikiem był najlepszy z ludzi Gavina, Jan Basset. Obawiam się, że znaleźli sobie dość nietypowy sposób spędzania czasu.

Bronwyn roześmiała się.

- Tak - ciągnęła Judyta, - Gdy Gavin dowiedział się o dziecku, pozwolił Janowi i mojej matce na ślub.

- Kiedy się urodzi?

- Za kilka miesięcy. Będzie zatem w stanie przyjechać do mnie, gdy nadejdzie mój czas. Muszę już wracać do pracy. Może posiedzisz tu i odpoczniesz?

- Judyto, powiedziałaś, że twoja matka była uwięziona. Jak jej się udało uciec?

- Złote oczy Judyty pociemniały na to wspomnienie.

- Ja zabiłam porywacza, a ludzie Stephena zburzyli mury starej wieży.

Bronwyn zobaczyła ból w oczach szwagierki. Nie zadała już żadnych pytań, a Judyta ruszyła ku bramie oddzielającej zewnętrzną część zamku od wewnętrznej.

Przez jakiś czas Bronwyn siedziała nieruchomo. Dziecko! Słodkie, delikatne maleństwo, jak dziecko Kirsty. Bezwiednie wstała i ruszyła ku domowi. Pomyślała, że Tam będzie z niej dumny. Uśmiechnęła się marzycielsko, wyobrażając sobie reakcję Stephena.

Będzie na pewno szczęśliwy. Przygarnie ja do siebie, śmiejąc się z radości. Potem pokłóca, się, czy dziecko ma nosić nazwisko MacArran czy Montgomery. Oczywiście MacArran.

Szła pogrążona w marzeniach, nie zauważywszy, że dotarła do otwartej bramy.

Mężczyźni strzegący murów nie zatrzymali jej. Jak nazwie to dziecko? James po ojcu, a może jakimś imieniem z rodziny Stephena? A jeśli urodzi się dziewczynka? Uśmiechnęła się ciepło. Klan MacArranów otrzyma drugą z rzędu dziedziczkę. Musi nauczyć córkę wszystkiego, co przyda jej się potem jako przywódcy klanu.

- Milady - ktoś przerwał jej rozmyślenia.

Bronwyn ledwie usłyszała ten głos. Była jak w transie i nic do niej nie docierało.

Nawet fakt, że szła już przez dłuższy czas i zniknęła z zasięgu wzroku strażników na murach.

- Milady - powtórzył głos. - Dobrze się czujesz?

Bronwyn podniosła na niego wzrok, uśmiechając się anielsko.

- Tak - odparła lekko. - Nawet lepiej niż dobrze. Mężczyzna zsiadł z konia i podszedł do niej.

- Widzę - rzekł, podchodząc do niej blisko.

Bronwyn nadal nie zwracała na niego uwagi. Myślała tylko o dziecku. Morag będzie szczęśliwa, mogąc się zająć niemowlęciem. Wtem usta mężczyzny dotknęły jej ucha.

Oprzytomniała w jednej chwili i odskoczyła od niego.

- Jak śmiesz! - krzyknęła. Żaden człowiek, nie licząc Stephena, nie dotknął jej jeszcze bez pozwolenia. Rozejrzała się stwierdzając, że jest bardzo daleko od zamku.

Ryszard inaczej zrozumiał to spojrzenie.

- Nie ma powodów do obaw. Jesteśmy sami, a lord Gavin właśnie powrócił ze Szkocji i wszyscy są zajęci. Mamy czas.

Odwróciła się od niego. W głowie kłębiło jej się tysiące myśli. Przypomniała sobie ostrzeżenia Stephena. Przejmował ją też strach o dziecko. Proszę, nie krzywdź mojego dziecka!

- Nie ma się czego bać - powiedział poufałym tonem Ryszard. - Mamy szansę się zabawić.

Bronwyn wyprostowała się.

- Ja jestem Bronwyn MacArran, a ty masz wracać do zamku.

- MacArran - zaśmiał się. - Ludzie mówili, że jesteś niezależna, ale nie wspominali, że zapuszczasz się aż tak daleko, żeby zaprzeć się swego męża.

- Obrażasz mnie. Odejdź i zostaw mnie samą.

Uśmiech spełził z twarzy Ryszarda.

- Myślisz, że odejdę po tym, jak mnie prowokowałaś? Sama mnie wybrałaś, bym ci towarzyszył w przejażdżce dziś rano. Załóżę się, że żałujesz, iż nie mieliśmy wtedy czasu dla siebie.

Była wstrząśnięta.

- O tym myślałaś? Że chcę zostać z tobą sama?

Dotknął jej włosów, potem musnął dłonią jej pierś.

Otworzyła szeroko oczy, rozglądając się za Rabem, który powinien znajdować się gdzieś w pobliżu.

- Przygotowałem się, zamykając twego psa w spichrzu. - Ryszard uśmiechnął się. - A teraz skończ z tymi swoimi gierkami. Wiem, że pragniesz mnie tak samo, jak ja ciebie.

- Chwycił Bronwyn i zmiażdżył jej usta w pocałunku. Bronwyn poczuła narastającą w niej wściekłość. Zdołała rozluźnić jego uścisk, przegięła się do tyłu, a gdy on też się pochylił, nagle podniosła jedno kolano.

Ryszard jęknął, wypuszczając ją natychmiast.

Bronwyn z trudem zachowała równowagę. Zadarła spódnice i klnąc ruszyła biegiem.

Ale miała na sobie tyle warstw tkaniny, że wkrótce jej nogi się w nią zaplątały. Bez namysłu zarzuciła spódnice na ramiona. Za trzecim razem, gdy uwalniała się z sukni, Ryszard ją dopadł. Złapał ją za kostkę, a ona upadła, uderzając twarzą w zimną, twardą ziemię. Z

trudem chwyciła powietrze.

Ryszard pogłodził jej nogi.

- No, moja dzika Szkotkę, zobaczmy, ile ognia uda mi się z ciebie wykrzesać.

Bronwyn starała się go kopnąć, ale przygwoździł ją do ziemi. Chwycił ręką brzeg jej sukni i szarpnął, odsłaniając jej plecy. - No już - szepnął, przywierając ustami do jej karku.

W następnej chwili Ryszard krzyknął, gdy zwała się na niego masa kosmatego ciała i kiedy poczuł siłę ostrych psich zębów. Bronwyn odturlała się na bok, a Ryszard próbował

wstać, mocując się z Rabem.

Czyjeś ramię pomogło jej się podnieść. Miles przytulił ją do siebie jedną ręką, w drugiej trzymał miecz.

- Odwołaj psa - powiedział cicho.

- Rab! - rozkazała Bronwyn drżącym głosem.

Pies z wahaniem zaprzestał walki i podszedł do swej pani. Ryszard był w opłakanym stanie. Jego ramię i nogi znaczyła krew, ubranie zaś liczne rozdarcia.

- Ten cholerny pies zaatakował mnie bez powodu! - zaczął. - Lady Bronwyn upadła, a ja przystanąłem, żeby jej pomóc.

Miles odsunął się od bratowej. Spojrzenie miał twarde jak stal.

- Nie dotykaj kobiet Montgomerych - rzekł ze śmiertelną powagą.

- Sama przyszła! Chciała, żebym...

To były jego ostatnie słowa. Miecz Milesa przeszył mu serce. Miles nawet nie zaszczycił Ryszarda spojrzeniem, choć tamten należał do jego ludzi. Odwrócił się do Bronwyn, wyraźnie nie odgadując jej myśli. Czowała się bezradna i sponiewierana. Delikatnie objął ją i przytulił.

- Teraz jesteś bezpieczna - powiedział cicho. - Nikt cię już nie będzie próbował skrzywdzić.

Nagle jej ciało zaczęło drżeć, a Miles przytulił ją mocniej.

- Mówił, że go zachęcałam - wyszeptała.

- Cicho - odparł Miles. - Obserwowałem go. On po prostu nie rozumiał waszych szkockich obyczajów.

Bronwyn odsunęła się, by popatrzeć mu w oczy.

- Tak mówił Stephen. Przestrzegał mnie przed rozmowami z mężczyznami.

Twierdził, że Anglicy tego nie rozumieją.

Miles odgarnął jej włosy z czoła. - Pomiędzy angielską damą a ludźmi jej męża istnieje przepaść nie znana w twojej kulturze. A teraz wracamy. Jestem pewien, że widziano mnie, gdy wyjeżdżałem z zaniku za twoim psem.

Popatrzyła na ciało leżące u ich stóp.

- Zamknął Raba, a ja nawet tego nie zauważyłam. Ja... - Nie mogła nikomu wspominać o dziecku, dopóki nie powie o tym Stephenowi.

- Usłyszałem jego wycie, a gdy go uwolniłem, zachowywał się, jakby oszalał, szczekał, węszył wokół. - Popatrzył na psa z podziwem. - Wiedział, że coś ci grozi.

Uklękła i wtuliła twarz w szorstkie futro.

Usłyszawszy tętent, odwrócili się oboje. Zbliżał się do nich Stephen z Gavinem.

Stephen zsunął się z siodła, zanim jego koń zatrzymał się w miejscu.

- Co tu się stało? - zapytał ostro.

- Ten człowiek chciał zaatakować Bronwyn.

Stephen popatrzył na żonę, na jej zadrapany policzek i podartą suknię.

- Mówiłem ci - syknął przez zaciśnięte zęby. - Ale mnie nie słuchałaś.

- Stephen - przerwał mu Gavin, kładąc rękę na ramieniu brata. - Teraz nie czas.

- Nie czas! - wybuchnął Stephen. - Niecałą godzinę temu wytykałaś mi wszystkie moje wady. Czy spotkałaś nareszcie kogoś lepszego ode mnie? A może celowo go zachęcałaś?

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Stephen odwrócili się i wskoczył na konia.

Bronwyn, Miles i Gavin patrzyli za nim bezradnie. - Powinien za to dostać baty - mruknął

Miles.

- Spokój! - rozkazał Gavin. Zwrócił się do Bronwyn. - Jest zmieszany i rozdrażniony. Musisz mu wybaczyć.

- - Jest zazdrosny! - szepnęła ze zgrozą Bronwyn. - Ta jego niepohamowana zazdrość zmienia go w szaleńca. - Czuła się słaba i pokonana. Nie obchodziła go ona sama, tylko jego zazdrość. Gavin objął ją przyjaźnie ramieniem.

- Jedźmy do domu. Judyta da ci coś do picia. Robi wspaniałe napój jabłkowy.

Bronwyn chmurnie zgodziła się i pozwoliła Milesowi wsadzić się na konia.

16

Napój podany przez Judytę spowodował, że Bronwyn prawie natychmiast zasnęła.

Tak wiele zdarzyło się tego dnia od uratowania dziecka do próby gwałtu. Śniło jej się, że zablądziła, szukała Stephena i nie mogła go znaleźć.

Obudziła się nagle, oblana potem, i wyciągnęła rękę. Łóżko obok niej było puste.

Usiadła i rozejrzała się po ciemnym pokoju.

Poczuła się niewyobrażalnie samotna. Dlaczego wciąż się z nim kłóci? Kiedy Miles powiedział jej, że szkockie obyczaje są inne, nie pogniewała się na niego. Tylko gdy Stephen mówił takie rzeczy, wpadała w złość.

Odrzuciła kołdrę i sięgnęła po suknię pożyczoną jej przez Judytę. Musi odnaleźć Stephena i powiedzieć mu, że się myliła. Musi mu powiedzieć o dziecku i poprosić go o wybaczenie jej złego humoru.

Rab poszedł za nią do komody, skąd wyciągnęła plaid. Pies bał się ją teraz spuścić z oczu.

Ubrała się szybko i wyszła. Dom był cichy i pogrążony w ciemnościach. Tylko w zimowym salonie paliła się jedna gruba świeca. Ogień na kominku przygasał.

Pchnęła drzwi i usłyszała chichot jakiejś kobiety. Bronwyn zatrzymała się sądząc, że nakryła Raine'a lub Milesa z którąś z pokojówek. Już miała odejść, ale powstrzymały ją słowa wypowiedziane przez kobietę.

- Och, Stephen, tak za tobą tęskniłam. Nikt nie ma takich dłoni jak ty.

Bronwyn usłyszała znajomy śmiech. Nie była tak nieśmiała, by uciec stamtąd z płaczem. Ta obraza przepełniła kielich goryczy. Pchnęła zdecydowanie drzwi i wmaszerowała do pokoju.

Stephen siedział na wysokim krześle, ubrany, a na jego kolanach siedziała młoda dziewczyna, obnażona do pasa. Jedną ręką głaskał od niechcienia jej pierś, w drugiej trzymał gašior wina.

Rab wyszczerzył zęby, a dziewczyna, rzuciwszy szybkie spojrzenie na Bronwyn i psa, uciekła z krzykiem.

Stephen popatrzył na żonę.

- Witaj - wybełkotał i podsunął jej swój kielich.

Serce Bronwyn dudniło. Zobaczyć Stephena dotykającego inną kobietę! Bolało ją całe ciało i miała wrażenie, że głowa jej zaraz pęknie z bólu.

Stephen ponownie podniósł na nią wzrok.

- No i jak się czujesz, moja droga żono? - Jego oczy były przekrwione, ruchy powolne. - Miałem stać z boku i patrzeć, jak ty się zabawiasz z kolejnymi mężczyznami?

Czy wiesz, jak się czułem, kiedy dotykał cię Hugo?

- Zrobiłeś to celowo - szepnęła. - Żeby mnie ukarać. - Wyprostowała się. Chciała go zranić, żeby poczuł taki sam ból jak ona. - Miałam rację, mówiąc sir Tomaszowi Crichtonowi, że nie mogę wyjść za ciebie za mąż. Nie dorosłeś do tego, by być mężem Szkotki Przez wiele miesięcy patrzyłam, jak małpujesz nasze obyczaje. Nie radziłeś sobie z niczym.

Mimo zamroczenia alkoholem zareagował natychmiast. Odrzucił naczynie z winem, zerwał się na nogi i chwycił ją za plaid.

- A co ty mi dałaś? Robiłem wszystko co w mojej mocy, by się czegoś od ciebie dowiedzieć, ale czy ty Kiedykolwiek mnie słuchałaś? O wszystko ze mną walczyłaś.

Wyśmiewałaś mnie przed moimi własnymi ludźmi, a nawet zlekceważyłaś moje rady w obecności moich braci. A ja to przyjąłem, bo jestem na tyle głupi, by myśleć, że cię kocham.

Jak można kochać kogoś tak samolubnego jak ty? Kiedy dorośniesz i przestaniesz się zasłaniać klanem? Nie obchodzi cię klan, naprawdę obchodzi cię tylko to, czego ty chcesz i potrzebujesz.

Odepchnął ją nagle, jakby się jej brzydził.

- Mam dość zadowalania zimnej jak lód kobiety. Zamierzam poszukać sobie takiej, która mi da to, czego potrzebuję.

Odwrócił się i chwiejnym krokiem opuścił pokój. Bronwyn stała nieruchomo przez jakiś czas. Nie miała pojęcia, że wzbudza w nim aż taką niechęć. Ileż to razy niemal wyznał

jej, że ją kocha, a ona zignorowała to? Ach, była przecież na tyle dumna i zarozumiała, by mu wtedy powiedzieć, że choć zależało im na sobie, to ona oczekiwała czegoś o wiele ważniejszego niż miłość.

Cóż mogło być dla niej ważniejsze od miłości Stephena? Teraz wiedziała, że absolutnie nic. Otworzył przed nią swoje serce, a ona odwróciła się od niego. W Szkocji bardzo starał się postępować właściwie i nauczyć się żyć w tym kraju, a co ona zrobiła, by poznać jego zwyczaje? Najbardziej interesowały ją kosztowne angielskie suknie, a i na to narzekała.

Zacisnęła pięści Stephen miał rację! Była samolubna. Domagała się, by stał się Szkotem, zmienił się zupełnie, a sama nic dla niego nie zrobiła. Od początku kazała mu słono płacić za przywilej poślubienia jej.

- Przywilej! - powtórzyła głośno. Zmusiła go, by walczył o nią w dniu ich ślubu.

Wyskoczyła na niego z nożem w noc poślubną. Co on wtedy powiedział? „Kiedyś zrozumiesz, że jedna kropla mojej krwi jest cenniejsza od wszystkich twoich złości”.

Jak mogła zranić piękne ciało, które znała tak dobrze? Jak mogła zranić go do krwi?

Łzy płynęły po jej twarzy. Już jej nie kochał. Powiedział to. Miała jego miłość, a jednak odrzuciła ją jak śmieć.

Rozejrzała się. Stephen jest taki dobry, jego rodzina także. Nienawidziła go za to, że był Anglikiem, tak jak nienawidziła MacGregorów. Ale Stephen pokazał jej, że istnieją dobrzy MacGregorowie i serdeczni, gościnni Anglicy.

Stephen tyle ją nauczył, a ona nawet nie była dla niego miła. Uśpiła go kiedyś, przeklinała, lekceważyła, słowem - robiła wszystko, żeby mu dokuczyć.

Wszystko, by się w nim nie zakochać. Nie chciała pokochać Anglika. Bała się, że ludzie z jej klanu uznają ją za słabą, niegodną tego, by być przywódcą. Ale nawet Tam go pokochał i większość jej ludzi ceniła go.

Odwróciła się szybko i wyszła na dziedziniec. Rozejrzała się w nadziei, że może uda się go odszukać. Była pewna, że nie poszedł do sypialni.

- Stephen odjechał kilka minut temu - powiedział za jej plecami Miles.

Odwróciła się powoli. Miles jest dla niej taki dobry. przytulił ją po ataku Ryszarda.

Nagle owionął ją zimny powiew wiatru i przypomniała się jej Szkocja. Najbardziej teraz pragnęła znaleźć się w domu. Może w Szkocji wymyśli jakiś sposób na odzyskanie miłości Stephena. Może uda jej się przekonać go, że go kocha i jest gotowa się ugiąć.

Popatrzyła na Milesa niewidzącym wzrokiem i ruszyła w kierunku stajni.

- Bronwyn - zawołał, chwytając ją za rękę. - Co się stało?

- Jadę do domu - wyjaśniła spokojnie.

- Do Szkocji? - zapytał zdziwiony.

- Tak - odparła, przymykając oczy. - Do domu, do Szkocji. Przekaż Judycie, że jest mi przykro.

Miles przyglądał się jej przez chwilę.

- Judyta rozumie pewne rzeczy bez wyjaśnień. Ruszajmy.

Bronwyn chciała zaprotestować, ale powstrzymała się.

Wiedziała, że nie odwiedzi Milesa od zamiaru towarzyszenia jej, tak jak on nie powstrzymałby jej od powrotu do domu.

Jechali przez całą długą, nieprzyjemną noc, nie powiedziawszy do siebie ani słowa.

Bronwyn czuła ból spowodowany utratą Stephena. Może będzie szczęśliwszy z rodziną w Anglii, gdzie nie musi walczyć o przeżycie. Przykładała dłoń do brzucha czekając, aż wyczuje jakiś ruch. Potrzebowała wyraźnego znaku, że będzie miała dziecko.

Dotarli do Szkocji wczesnym rankiem i wówczas zdała sobie sprawę, jak samolubnie się zachowała, godząc się na towarzystwo Milesa. Zbyt wielu Szkotów, takich jak Harbena gotowych było zabić każdego napotkanego Anglika. Za - proponowała Milesowi, że skoro nie mają eskorty, powinien przebrać się w szkocki strój. Miles popatrzył tylko na nią dziwnie.

Później, kiedy znaleźli się na północy, zaczęła rozumieć. Miles był bezpieczny wszędzie tam, gdzie były kobiety. Ładne dziewczęta zatrzymywały się, żeby dać im kubek mleka, ale ich oczy obiecywały Milesowi znacznie więcej. Jakaś kobieta, idąca z czteroletnią córeczką, zatrzymała się na krótką pogawędkę, a dziewczynka podbiegła i rzuciła mu się w ramiona. Miles najwyraźniej nie uważał tego za nic nadzwyczajnego.

Wsadził ją sobie na barana i razem przebyli część drogi.

Tuż przed zachodem słońca przybyli do starej chłopskiej chaty, gdzie przywitała ich stara, brzydka, bezzębna staruszka. Uśmiechnęła się, zadowolona, do Milesa i wzięła w swoje ręce jego dłoń. Potarła ją mocno i przekreśliła wnętrzem ku zachodzącemu słońcu.

- Co widzisz? - zapytał cicho Miles.

- Anioły - zaskrzeczała. - Dwa anioły. Jeden piękny anioł i jeden cherubin.

Miles uśmiechnął się, a kobieta zaśmiała się chrapliwie.

- Dla innych to anioły, a dla ciebie diabły wcielone. - Jakaś błyskawica przecięła niebo. - O, tak. Tym właśnie są. Aniołami deszczu i burzy. - Odwróciła się do Bronwyn. - A teraz ty mi pokaż rękę.

Bronwyn cofnęła się.

- Nie, ja nie - odmówiła zdecydowanie.

Kobieta wzruszyła ramionami i zaprosiła ich, by spędzili u niej noc. Rano chwyciła dłoń Bronwyn i jej twarz zachmurzyła się.

- Wystrzegaj się blondyna...

Bronwyn wyrwała jej rękę.

- Obawiam się, że twoje ostrzeżenia są spóźnione - powiedziała, mając na myśli złote włosy Stephena. Wyszła z domu.

Przez cały dzień jechali, a na noc zatrzymali się w ruinach zamku. Miles zdał sobie sprawę z tego, że jest Wigilia Bożego Narodzenia. Postanowili to uczcić w miarę możliwości, ale zauważył smutek Bronwyn i pozostawił ją jej własnym myślom. Bronwyn tymczasem zastanawiała się, co ją w Milesie najbardziej fascynuje, i doszła do wniosku, że to, iż doskonale rozumiał uczucia kobiety. Nie wymagał od niej niczego, jak Stephen, ani też nie wymuszał rozmów, jak Raine. Miles po prostu rozumiał i dawał jej spokój. Nie miała jednak wątpliwości, że gdyby miała ochotę porozmawiać, znalazłaby w nim wdzięcznego słuchacza.

Uśmiechnęła się do niego i przyjęła podany przez niego placek owsiany.

- Obawiam się, że pozbawiłam cię świat w gronie rodzinnym.

- Ty jesteś moją rodziną - powiedział znacząco. Popatrzył na czarne niebo, zwieszające się nad ruinami zamku. - Mam tylko nadzieję, że tym razem nie będzie padać.

Bronwyn roześmiała się.

- Za bardzo przyzwyczyłeś się do swojego suchego kraju. - Uśmiechnęła się, owładnięta wspomnieniami. - Stephenowi nigdy deszcz nie przeszkadzał. On... - urwała i zapatrzyła się w dał.

- Wydaje mi się, że Stephen zgodziłby się mieszkać nawet pod wodą, byleby być z tobą.

Spojrzała na niego zaskoczona, przypomniawszy sobie pomoc kuchenną siedzącą u niego na kolanach. Zamrugała powiekami, by odzyskać ostrość widzenia.

- Chyba pójdę spać.

Miles patrzył, mile zaskoczony, jak ona zawija się w plaid i błyskawicznie zasypia.

Westchnął i owinał się podbij futrem peleryną. Wątpił, by kiedyś mógł być z niego dobry Szkot.

Rano dotarli do wzgórza, zasłaniającego Larenston. Miles znieruchomiał ze zdziwienia, ujrawszy twierdzą na półwyspie. Bronwyn puściła konia biegiem, po czym zeskoczyła z niego prosto w ramiona dobrze zbudowanego mężczyzny. - Tam! - krzyknęła, przytulając się do niego.

Tam odsunął ją od siebie.

- Mam przez ciebie kolejny siwy włos. Jak ktoś tak mały może wpadać w lak wielkie tarapaty? - zapytał, niepomyślnie tego, że ona jest od niego odrobinę wyższa. Ale przy jego masywnym ciele wyglądała na drobną.

- Czy wiesz, że MacGregor prosił o spotkanie z tobą? Wspominał coś o jakimś napoju i smakowitej dziewczce, która go wyśmiała. Bronwyn, co ty wyprawiasz?

Przyglądała mu się przez chwilę zaskoczona. MacGregor chciał się z nią widzieć!

Może teraz uda się udowodnić Stephenowi, że nie jest samolubna. Drugi raz uścisnęła Tama.

- Jeszcze będzie czas, żeby ci wszystko opowiedzieć. Teraz chcę iść do domu.

Obawiam się, że podróż porządnie mnie zmęczyła.

- Zmęczyła? - przestraszył się Tam. Nigdy dotąd nie słyszał tego słowa z jej ust.

- Nie patrz na mnie jak na wariatkę. Niełatwo jest nosić wciąż kogoś przy sobie.

Tam zrozumiał natychmiast i jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

- Wiedziałem, że ten Anglik potrafi jednak zrobić coś bez ćwiczeń. Ale gdzie on jest? I kto to?

W drodze przez wąski przesmyk, łączący Larenston z lądem stałym, Bronwyn odpowiadała na pytania. Dołączyli do nich inni członkowie klanu i zasypywali ją setkami pytań. Miles przyglądał się temu z podziwem. Słudzy i poddani Bronwyn bardziej przypominali wielką rodzinę niż podzielone na klasy społeczeństwo. Mężczyźni serdecznie powitali Milesea, mówiąc bez przerwy o Stephenie.

Bronwyn pożegnała mężczyzn i poszła do swego pokoju na górze, gdzie czekała na nią Morag.

- Czyżbyś prehandlowała jednego brata za drugiego? - zapytała oskarżycielsko.

- Nawet mnie nie witasz? - powiedziała zmęczonym głosem Bronwyn, kierując się do łóżka. - Przynoszę ci moje dziecko, a ciebie nie stać nawet na ciepłe powitanie?

Pomarszczona twarz Morag rozjaśniła się w uśmiechu.

- To mój słodki Stephen. Wiedziałam, że z niego prawdziwy mężczyzna.

Bronwyn położyła się, nie racząc nawet podjąć dyskusji.

- Idź, poznaj drugiego Anglika, którego ci przywiozłam. Spodoba ci się. - Zdjęła kilt.

Teraz chciała już tylko spać.

Mijały tygodnie, a Bronwyn spędzała większość czasu na spaniu. Jej organizm wycieńczony napięciem nerwowym i zmianami, spowodowanymi odmiennym stanem, wymagał odpoczynku. Któregoś ranka przyszedł do niej Miles z wiadomością, że wraca do Anglii. Podziękował jej za gościnność i obiecał przekazać przeprosiny Judycie i Gavinowi.

Żadne z nich nie wspomniało o Stephenie.

Bronwyn starała się nie myśleć o mężu, ale nie było to łatwe. Wszyscy o niego pytali. Tam chciał koniecznie wiedzieć, co, u diabła, skłoniło ją do samotnego opuszczenia Anglii. Dlaczego nie została, by o niego walczyć? Ale Bronwyn rozplakała się i wybiegła z pokoju, pozostawiając go w osłupieniu. Potem rzadziej zadawano jej pytania, na które nie mogła odpowiedzieć.

W trzy tygodnie po jej powrocie doniesiono, że do zamku zbliża się grupa Anglików.

- Gavin! - krzyknęła i pobiegła do siebie, żeby się przebrać.

Wskoczyła w srebrną suknię podarowaną jej przez Stephena i z niecierpliwością czekała, by powitać szwagra. Nie miała wątpliwości, że to Gavin. Był już kiedyś w Szkocji i z pewnością to on podjął się przekazania jej wieści o Stephenie. Może Stephen jej wybaczył

i wraca do niej? Nie, nie powinna tego oczekiwać.

Starała się ukryć rozczarowanie, gdy wyciągnęła rękę na powitanie.

- Lordzie Rogerze, jak miło cię znowu widzieć.

Roger przyklęknął na jedno kolano i podniósł jej dłoń do swoich ust. Jego blond włosy nieco pociemniały, szrama pod okiem była wyraźna. Przywołał wspomnienia o dniach spędzonych u sir Tomasza Crichtona. Czowała się tam bardzo samotna, a Roger okazał

się taki miły, wyrozumiały. Nawet zaryzykował życie, by dostać to, czego pragnął.

- Jesteś coraz piękniejsza - powiedział cicho.

- Chodźmy, lordzie Rogerze. Nie zapamiętałam cię jako pochlebcy.

Wstał, wpatrzony w nią.

- A jakim mnie zapamiętałaś?

- Chętnym do pomożenia mi, gdy tego potrzebowałam. Douglas! - zawołała. - Zajmij się lordem Rogerem i jego ludźmi.

Roger patrzył, jak jej rozkaz zostaje natychmiast wykonany. Rozejrzał się po nagich, surowych ścianach Larenston. Po drodze widział tylko kilka nędznych domów. Czyżby to było całe bogactwo MacArranów?

- Lordzie Rogerze, chodźmy na górę, żeby porozmawiać. Co sprowadza cię do Szkocji? Ach, zapomniałam przecież, że masz tu krewnych.

Roger uniósł brwi.

- A, tak.

Poszedł na górę. by znaleźć się w kolejnym niemal pustym pomieszczeniu, gdzie na kominku płonął nieduży ogień.

- Nie usiądziesz? - zapytała, posyłając wymowne spojrzenie skrzywionej Morag, nakazując jej przyniesienie wina i poczęstunku. Gdy zostali sami, Roger pochylił się ku niej.

Będę z tobą szczery. Przyjechałem sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy. Kiedy zobaczyłem Stephena na dworze króla Henryka...

- Widziałeś Stephena na dworze! - krzyknęła. Przyglądał się jej.

- Myślałem, że może o tym nie wiesz. Wokół niego kręciło się tyle kobiet, że...

Bronwyn wstała i podeszła do ognia.

- Wołałabym nie słyszeć reszty tego, co masz do powiedzenia - przerwała mu ostro.

Przypomniała sobie co nieco o Rogerze Chatworcie. Zaatakował kiedyś Stephena od tyłu.

- Lady Bronwyn - rzekł zmieszany. - Myślałem, że wiesz. Nie chciałem ci zrobić przykrości. Odwróciła się do niego.

- Wiele się nauczyłam od czasu naszego ostatniego spotkania. Kiedyś byłam podatna na twoje zabiegi i gniewałam się jak dziecko, bo mój mąż spóźnił się na ślub. Ale teraz jestem starsza i o wiele mądrzejsza. Jak pewnie odgadłeś, pokłóciłam się z mężem. Nic wiem, czy się pogodzimy, ale ta sprzeczka to wyłącznie nasza sprawa.

Roger zmrużył oczy. Miał zwyczaj odrzucać głowę do tyłu by demonstrować swój wąski, orli nos.

- Czy sądzisz, że przyjechałem tu rozsiewać plotki jak, przymierzając, praczka?

- Tak to zabrzmiało. Mówiłeś o kobietach otaczających Stephena.

Roger uśmiechnął się nieznacznie.

- Rzeczywiście. Wybacz mi. Po prostu zdziwiłem się, widząc go samego.

- Więc popędziłeś, żeby mi natychmiast donieść o jego... wyczynach?

Popatrzył na nią żywo.

- Usiądź, proszę. Dawniej nie byłaś dla mnie taka przykra. Kiedyś nawet chciałaś, byśmy się pobrali.

Usiadła obok niego na krześle.

- To było dawno temu. A przynajmniej na tyle dawno, by mogły zmienić się moje uczucia. - Wpatrzyła się w ogień.

- Nie jesteś ciekawa, co jest rzeczywistą przyczyną mojego przyjazdu?

Nie odpowiedziała.

- Mam wiadomość od kobiety o imieniu Kirsty.

Głowa Bronwyn uniosła się nagle, ale zanim zdążyła coś rzec, weszła Meg z tacą pełną jedzenia. Wydawało się, że minęła cała godzina, zanim wyszła. Uparła się, żeby dorzucić drewna do ognia i zadać Rogerowi lalka pytań. Bronwyn też chciała go o coś zapytać. Skąd znał Kirsty? Jaką ma wiadomość? Czy ma ona coś wspólnego z przekazaną jej przez Tama propozycją spotkania z MacGregorem?

- To już chyba wszystko, Morag! - zniecierpliwiła się ignorując obrażone spojrzenie starej kobiety. - A teraz mów, co usłyszałeś od Kirsty.

Roger rozparł się na krześle. Nie takiej Bronwyn oczekiwał. Może to wpływ jej domu, a może Stephena, ale nie była już tą łatwą do manipulowania kobietą, którą poznał.

Przez przypadek usłyszał opowieść o niektórych przygodach Bronwyn i Stephena w Szkocji. Jakiś biedny i głodny człowiek przyłączył się do niego. Pewnej nocy opowiedział

Rogerowi o swoich przeżyciach w noc, gdy chciano porwać dziedziczkę MacArranów.

Roger zmusił mężczyznę do dokładnego zrelacjonowania całej historii. Oczywiście brakowało kilku szczegółów, których odnalezienie kosztowało Rogera niemało pieniędzy.

Kiedy już wszystkie kawałki ułożyły się w całość, wiedział, że uda mu się to wykorzystać. Śmiał się z głupiego Stephena, paradującego w koszmarnym szkockim stroju.

Pociągnął łyk wina i jeszcze raz pomyślał z nienawiścią o Stephenie, sprawcy jego upokorzenia na

polu walki. Zbyt wielu ludzi wiedziało o tym pojedynku i często słyszał

poszeptywania o „tym, który zaatakował od tyłu”. Odplaci Stephenowi za to przezwisko.

Planował uwieść jego żonę, kobietę, o którą walczył. Ale Bronwyn pokrzyżowała jego plany. Niełatwo poddawała się mężczyźnie. Może gdyby miał trochę czasu... Ale nie, nie miał pojęcia, jak długo Stephen będzie nieobecny.

Nagle przyszedł mu do głowy inny plan. O tak. pomyślał, Stephen słono mu za wszystko zapłaci.

- A zatem? - ponagliła Bronwyn. - Czego dotyczyła wiadomość? Czy jestem potrzebna?

- Tak. - Roger uśmiechnął się. A szczególnie mnie, pomyślał.

17

Bronwyn leżała w łóżku, przyglądając się baldachimowi. Wszystkie jej mięśnie były napięte. Po raz pierwszy od kilku tygodni czuła się ożywiona. Jej ospałość i nudności minęły, cieszyła się, że coś się zaczyna dziać.

Kiedy wróciła do domu i Tam przekazał jej wiadomość od MacGregora, zignorowała to. Zbyt pochłaniały ją własne problemy, by chciała zajmować się kimś innym. Stephen rzucił jej w twarz, że jest samolubna i interesuje się tylko sobą, że niczego się od niego nie nauczyła i nigdy go nie słuchała. Nareszcie miała szansę zrobić coś, co mu się spodoba.

Zawsze twierdził, że należy zakończyć spory z MacGregorami, a teraz Kirsty umożliwiła jej to.

Wtedy nie przejęła się propozycją MacGregora, a i jej ludzie zaprotestowali głośno.

Szybko zapomniała o całej sprawie.

Teraz wszystko się dla niej skończyło. Ale znalazła sposób. by odzyskać Stephena.

Musi mu udowodnić, że nauczyła się od niego czegoś, że nie jest samolubna.

Roger opowiedział jej nieprawdopodobną historię o spotkaniu z Kirsty, która poprosiła go, by przekazał Bronwyn, że MacGregor jest przygotowany do rozmowy i że chce się z nią zobaczyć - samą! - jutro wieczorem. Kirsty miała też powiedzieć, że MacGregorowie byli równie przeciwni porozumieniu, jak MacArranowie. Zrobiła zatem wszystko, by zorganizować to prywatne spotkanie. Przesyłała Bronwyn i Stephenowi gorące pozdrowienia i błagała o wykorzystanie szansy dla dobra i spokoju ich wszystkich.

Bronwyn odrzuciła kołdrę i podeszła do okna. Księżyc jeszcze nie zaszedł, miała więc dużo czasu. Umówiła się z Rogerem Chatworthem przy powozowni, obiecała wy -

prowadzić go z półwyspu. Dalej poniosą ich konie na spotkanie Kirsty i Donalda.

Nie mogła się doczekać. Ubrała się na długo przed czasem. Przez chwilę stała przy łóżku, gładząc poduszkę, na której zwykle spał Stephen.

- Już niedługo, kochany, niedługo - szepnęła. Kiedy między klanami zapanuje już spokój, wtedy stanie przed Stephenem z podniesionym czołem. I może Stephen uzna, że jej miłość jest jednak coś warta.

Bez trudności wysliznęła się z pokoju. W dzieciństwie ona i David często przekradali się do stajni, by zobaczyć się z Tamem lub którymi z jego synów. Rab pobiegł za nią po wytartych schodach, instynktownie zachowując się cicho.

Roger stał ukryty w cieniu.

Bronwyn skinęła mu głową i gestem nakazała Rabowi zachowanie spokoju. Pies nigdy Rogera nie lubił i wcale tego nie krył. Bronwyn poprowadziła Rogera ścieżką.

Wyczuwała jego napięcie, kilkakrotnie chwycił ją za rękę dla zachowania równowagi i zatrzymywał się, by uspokoić oddech.

Bronwyn starała się ukryć niesmak. Cieszyła się, że nie wszyscy Anglicy są podobni do tego tu. Teraz wiedziała, że są wśród nich odważni mężczyźni, tacy jak Stephen i jego bracia, na których mogła się wesprzeć każda kobieta, a nie odwrotnie.

Gdy dotarli do łądu stałego i koni, Roger zaczął oddychać swobodniej. Ale nie mogli rozmawiać, dopóki nie opuścili doliny MacArranów. Bronwyn prowadziła ich brzegiem morza. Jechała wolno, żeby Roger mógł uspokoić konia. Noc była ciemna i bardziej instynktownie niż wzrokiem odnajdywała właściwy kierunek.

Zbliżał się ranek, kiedy stanęli na wzgórzu, by popatrzeć na jej ziemię. Bronwyn chciała dać Rogerowi chwilę wytchnienia.

- Jesteś zmęczona, lady Bronwyn? - zapytał, a jego głos drżał. Przeszedł coś, co okazało się dla niego ciężką próbą. Zsiadł z konia.

- Nie, powinniśmy jechać dalej - nagliła. - Nie odjechaliśmy jeszcze dość daleko od Larenston. Gdy moi ludzie...

Urwała, nie wierząc własnym oczom. Roger Chatworth jednym szybkim ruchem wyszarpnął spod siodła topór i uderzył nim w Raba. Pies patrzył na swoją panią i zbyt wolno zareagował, by umknąć ostrza.

Bronwyn zeskoczyła z konia. Opadła na kolana obok psa. Nawet w ciemnościach zauważyła ogromną dziurę ziejącą w boku zwierzęcia.

Rab? - szepnęła przez zaciśnięte gardło. Pies słabo poruszył głową.

- Jest martwy! - powiedział stanowczo Roger. - A teraz wstań.

Bronwyn odwróciła się do niego.

- Ty!... - Nie traciła więcej czasu na słowa. Poszybowała ku Rogerowi z nożem wymierzonym w jego szyję.

Nie był przygotowany na jej reakcję i zachwiał się. Nóż ugodził w ramię, minawszy szyję. Chwyił ją za włosy i odciągnął jej głowę do tyłu, ale Bronwyn uderzyła go kolaniem pomiędzy nogi. Zachwiał się ponownie, jednak nie zwolnił uścisku i padając na ziemię, pociągnął ją za sobą. Odrzuciła głowę na bok i biła go dotąd, aż puścił jej włosy. Gdy uwolniła się, ponownie rzuciła się na niego z nożem.

Ale ostrze nie dosięgło Rogera, ponieważ z tyłu chwyciła ją para mocnych rak.

- Dużo czasu wam to zajęło - parsknął Roger do mężczyzn trzymających Bronwyn. -

Jeszcze chwila, a mogło być za późno.

Bronwyn popatrzyła na leżącego na ziemi Raba, potem na Rogera.

- Nie było żadnej wiadomości od Kirsty, prawda?

Roger dotknął rany na ramieniu.

- A cóż mnie może obchodzić jakiś przeklęty Szkot? Myślisz, że nosiłbym wiadomości jak jakiś kmicz? Czy zapomniałaś, że jestem parem?

- Zapomniałam - powiedziała powoli Bronwyn - kim jesteś.

Zapomniałam, że potrafisz podstępnie zaatakować od tyłu.

Po tych słowach pięść Rogera wystrzeliła w kierunku jej twarzy. Zdołała się uchylić na tyle, żeby cios trafił w jej policzek zamiast w nos. Upadła nieprzytomna.

Kiedy się ocknęła, nie wiedziała, gdzie jest. Głowa pulsowała jej dziką furją, a myśli mieszały się. Bolało ją całe ciało, nie mogła poruszyć ustami. Starła się zebrać myśli, ale zaraz zasnęła.

Gdy się obudziła ponownie, czuła się już o wiele lepiej. Leżała nieruchomo, bolały ją zakneblowane usta, dokuczwały skrępowane ręce i nogi. Stwierdziła, że znajduje się w wozie, wepchnięta w stóg siana. Była noc musiała przespać dzień.

Chwilami chciało jej się płakać z bólu spowodowanego przymusowym bezruchem.

Sznury wrzynały jej się w ciało. usta były spierzchnięte i obolałe od knebla.

- Obudziła się - powiedział jakiś męski głos.

Wóz zatrzymał się, a nad nią pochylił się Roger Chartworth.

- Dam ci wody, jeśli obiecasz, że nie będziesz krzyczeć. Zresztą jesteśmy w lesie i nikt by cię nie usłyszał, ale potrzebne mi twoje słowo.

Miała tak zeszywniała szyję, że z trudem nią poruszyła. Dała mu słowo.

Uniósł jej głowę i rozwiązał knebel. Bronwyn poczuła ogromną ulgę. Pomasowała szczęki, krzywiąc się, gdy dotknęła siniaka, który zostawiła pięść Rogera.

- Pij - ponaglał niecierpliwie, podając jej kubek wody. - Nie mamy na to całej nocy.

Wypiła chciwie.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała z trudem.

Roger wyrwał jej kubek.

- Montgomery może sobie tolerować twoje zuchwalstwo, ale ja nie mam najmniejszego zamiaru. Gdybym chciał ci coś powiedzieć, już bym to zrobił. - Zanim zdążyła oderwać wzrok od kubka, chwycił ją za włosy, cisnął na bok kubek i zawiązał jej ponownie knebel. Pchnął ją na siano.

Przez cały następny dzień Bronwyn drzemała. Roger przykrył ją dodatkowo workami. Brak powietrza i ruchu pozbawiał ją jasności myślenia. Była to pół świadomość, pół sen.

Dwukrotnie wyjęto ją z wozu, żeby dać jej jedzenie, wodę i chwilę samotności.

Trzeciej nocy wóz się zatrzymał. Zdjęto z niej worki i brutalnie zerwano ją z pośłania. Zimne powietrze nocy podziałało na nią tak, jakby ją wrzucono do lodowatej wody.

- Zabieracie ją na górę - rozkazał Roger. - Zamknijcie ją we wschodnim pokoju.

Mężczyzna ujął łagodnie bezwładne ciało Bronwyn.

- Mam ją rozwiązać?

- Ruszaj. Może sobie krzyczeć do woli. Nikt jej nie usłyszy.

Bronwyn nadal miała zamknięte oczy i nie poruszała się, ale z wysiłkiem starała się odzyskać przytomność umysłu. Zaczęła liczyć, potem przypominać sobie imiona dzieci Tama, a następnie ich wiek. Kiedy mężczyzna położył ją na łóżku, jej umysł pracował już sprawnie. Musi uciekać! Teraz, zanim wszyscy powrócą do swoich zajęć.

Tymczasem mężczyzna delikatnie rozwiązywał sznur na jej nogach. Zachować bezruch zdrętwiałych nóg było bardzo ciężko, ale zdobyła się na to wielkim wysiłkiem woli.

Skoncentrowała się na stopach, ignorując tysiące igieł wbijających się w ścierpnięte dłonie.

Knebel był ostami. Przesunęła językiem po wyschniętym wnętrzu ust. Leżała wciąż nieruchomo,

powstrzymując drgnienie, gdy mężczyzna dotknął jej policzka i włosów, Dało jej to przynajmniej czas do przyzwyczajenie się do żywiej płynącej krwi.

- Niektórzy dostają wszystko, czego chcą - mruknął mężczyzna z zawistnym westchnieniem, odchodząc od łóżka.

Bronwyn czekała, aż usłyszy odgłos kroków. Miała nadzieję, że mężczyzna sobie pójdzie. Uchyliła powiekę i zobaczyła go kręcącego się koło drzwi. Odwróciła głowę i zauważyła dzban na stoliku przy łóżku. Przeturlała się do niego, chwyciła go i cisnęła w przeciwległą ścianę. Roztrzaskał się o mur.

Leżała nieruchomo z przymkniętymi oczyma, gdy mężczyzna odwrócił się i ruszył w kierunku skorup. W mgnieniu oka Bronwyn zeskoczyła z łóżka i zaczęła biec do drzwi. Zesztywniała noga wykręciła się w kostce, ale nie zważając na to i nie oglądając się na mężczyznę, dopadła drzwi. chwyciła klamkę i zatrzasnęła je z hukiem, po czym zamknęła na skobel.

Usłyszała kroki. Ledwo zdążyła wcisnąć się w niszę przy oknie, a pojawił się Roger Chatworth. Zatrzymał się przed progiem, nasłuchując walenia w drzwi i krzyku. Bronwyn wstrzymała oddech. Roger uśmiechnął się z satysfakcją i ruszył schodami w dół.

Bronwyn pozwoliła sobie jedynie na kilka sekund na opanowanie oddechu i po raz pierwszy potarła bolące nadgarstki i stopy. Kilkakrotnie dotknęła siniaka na twarzy, po czym wyśliznęła się z cienia i pobięła za Rogerem.

Roger zszedł ze schodów, skręcił w lewo i wszedł do jakiegoś pokoju. Bronwyn ukryła się w cieniu tuż za uchylonymi drzwiami. Doskonale wiedziała stąd wnętrze komnaty. Był tam stół i cztery krzesła oraz gruba świeca, oświetlająca pomieszczenie.

Bokiem do Bronwyn siedziała jakaś piękna kobieta, ubrana w śliczną, błyszczącą suknię z satyny w zielone i purpurowe pasy. Miała idealny profil, delikatnie zarysowane usta i błękitne oczy w kształcie migdałów.

- Po coś ją tu sprowadził? Przecież mogłeś ją dopaść gdziekolwiek - powiedziała ze złością kobieta, głosem niepasującym do jej urody.

Roger odwrócił się tyłem do Bronwyn i usiadł na krześle.

- Nic się nie dało zrobić. Nie chciała słuchać tego, co mówiłem o Stephenie.

- Nie chciała słuchać? - zapytała ironicznie. - Do diabła z Montgomerymi! A swoją drogą, co Stephen robił na dworze?

Roger machnął ręką.

- Składał jakąś petycję o zaniechanie najazdów na Szkocję. Powinnaś go była widzieć! Prawie cały dwór łkał, słuchając jego rzewnych opowieści o szlachetnych, skrzywdzonych Szkotach.

Bronwyn przyknęła oczy i uśmiechnęła się. Stephen! Jej drogi, słodki Stephen.

Wróciła jednak do rzeczywistości i zdała sobie sprawę z tego, że traci czas, słuchając tych dwojga. Musi uciekać!

Ale następne słowa Rogera powstrzymały ją.

- Skąd u diabła miałem wiedzieć, że ty w tym samym czasie porwiesz Marię Montgomery?

Bronwyn zamarła, nasłuchując.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko, ukazując krzywe zęby.

- Chciałam dopaść jego żony - powiedziała rozmarzona.

- Jak przypuszczam, żony Gavina, Judyty?

- Tak. Tej dziwki, która ukradła mi Gavina.

- Wątpię, by kiedykolwiek był twój, a jeśli nawet, sama go odrzuciłaś, godząc się na małżeństwo z moim drugim zmarłym starszym bratem.

Kobieta nie zareagowała.

- Ale po co przywiozłaś Marię? - dopytywał się Roger. Robił to jednak z takim zainteresowaniem, jakby rozmawiali o pogodzie.

- Wracала do tego swojego konwentu i znalazła się pod ręką. Mam ochotę wybić wszystkich Montgomerych, jednego po drugim. To bez znaczenia, od którego zacznę. A teraz powiedz mi o tej, którą ty porwałeś. To żona Stephena? - Kobieta nadal nie poruszyła głową, Wciąż siedziała bokiem do Bronwyn, ale też i do Rogera.

- Zmieniła się. W Anglii, zanim wyszła za mąż, łatwo | mogłem nią manipulować.

Opowiedziałem jej jakąś bzdurną [historię o rodzinie w Szkocji - Roześmiał się. - Jak mogła uwierzyć, że ja jestem spokrewniony z jakimiś brudasami ze Szkocji?

- A jednak doprowadziła do tego, że musiałeś walczyć.

- Dość łatwo było zaszcześcić różne pomysły w tej jej pustej główce - stwierdził

Roger. - Ale to Montgomery chciał się o nią [bić. Tak bardzo się do niej palił, że oczy mu z orbit wychodziły.

- Słyszałam, że jest piękna - powiedziała z goryczą kobieta.

- Żadna kobieta nie jest tak piękna, jak ziemia, którą posiada. Wyszłaby za mnie za mąż, wysłałbym

tam angielskich chłopów i miałbym z tej ziemi ładny zysk. Ci Szkoci myślą, że powinni się dzielić ziemią ze swoimi chłopami.

- Ale straciłeś ją, jak przegrałeś pojedynek - stwierdziła spokojnie kobieta.

Roger wstał, przewracając niemal krzesło.

- Ten drań! Ośmieszył mnie. Śmiał się i pozwolił innym naigrywać się ze mnie.

- Wolałbyś, żeby cię zabił? Roger stanął naprzeciw niej.

- A czy ty wolałabyś umrzeć?

- No tak - szepnęła, po czym pochyliła głowę. - Ale każemy im za to zapłacić, prawda? Mamy żonę Stephena i siostrę ich obu. Powiedz, co zamierzasz z nimi zrobić?

Roger uśmiechnął się.

- Bronwyn jest moja. Skoro nie mogę mieć jej ziemi, dostanę ją samą. Oczywiście, Maria zostaje dla ciebie. Kobieta podniosła rękę.

- Żadna atrakcja. Boi się wszystkich i wszystkiego. Może odeślę ją do domu w tym stanie - rzekła z nienawiścią, odwracając się przodem w kierunku miejsca, w którym stała Bronwyn.

Widok zeszpeconej głęboką szramą twarzy kobiety oraz obawa o Marię sprawiły, że Bronwyn zaparło dech w piersiach. Zanim zdążyła się poruszyć, Roger dopadł drzwi, chwycił ją za rękę i wciągnął do pokoju.

Bronwyn skrzywiła się z bólu, gdy palce Rogera wpiły się w jej ramię.

- Ach tak! Więc to jest ta dziedziczka, którą porwałeś - syknęła kobieta.

Bronwyn patrzyła na nią. Piękna niegdyś twarz była zniekształcona z jednej strony; długie szramy ściągnęły oko w dół, kącik ust w górę. Wyglądała koszmarnie.

- Patrz, patrz! - zaskrzeczała, - Powinnaś to zobaczyć, skoro masz zapłacić za to, co zrobiłaś.

Roger odsunął Bronwyn i chwycił kobietę za tece.

- Siadaj! - rozkazał. - Mamy ważniejsze sprawy do załatwienia niż twoje humory.

Kobieta usiadła, nie przestając wpatrywać się w Bronwyn.

- Gdzie jest Maria? - zapytała cicho Bronwyn. - Jeśli ją uwolnicie, nie będę próbowała ucieczki. Możecie ze mną zrobić, co chcecie.

Roger wyśmiał ją.

- Jak to szlachetnie z twojej strony. Ale nie masz się czym wkupić. A na ucieczkę nie damy ci najmniejszej szansy.

- Ale na co wam się przyda Maria? Nigdy nikogo nie skrzywdziła.

- To dla ciebie jest nic? - krzyknęła kobieta, dotykając palcami szram.

- Maria tego nie zrobiła - powiedziała z przekonaniem Bronwyn. Zaczynała wierzyć, że oszpecona twarz odzwierciedla prawdziwą naturę tej kobiety.

- Cicho! Obie! - krzyknął Roger. Odwrócił Bronwyn przodem do siebie. - To jest lady Alicja Chatworth, moja bratowa. Obydwoje mamy powody, by nienawidzić Montgomerych, i przysięgliśmy ich zniszczyć.

- Zniszczyć! - Bronwyn otworzyła usta z przerażenia. - Ale Maria...

Roger chwycił ją za rękę.

- A twój własny los w ogóle cię nie obchodzi?

- Wiem, czego chcą tacy jak ty - odparowała. - Czy ty nie potrafisz zdobyć kobiety bez kłamstw i zdrady?

Roger zamierzył się, żeby ją uderzyć, ale powstrzymał go śmiech Alicji.

- Po to jechałeś do Szkocji? Dlaczego koniecznie musiałeś przywieźć ją tu związaną?

Roger patrzył to na jedną, to na drugą, wreszcie wypchnął Bronwyn z pokoju.

Wciągnął ją po schodach, przystanął przy zamkniętym na skobel pokoju, ale zawrócił z powrotem na dół do hallu. Pchnął ją na łóżko w bogato umeblowanym pokoju. Nad nią zwieszał się baldachim z ciężkiego aksamitu. Brązowe aksamitne draperię zasłaniały okna.

Tkanina obszyta była złotym pasem frędzli.

- Rozbierz się! - rozkazał.

Bronwyn uśmiechnęła się.

- Nigdy - powiedziała spokojnie.

- Jeśli cenisz życie Marii, usłuchasz mnie. Każda sekunda wahania będzie ją kosztowała jeden palec.

Bronwyn otworzyła szeroko oczy i zaczęła rozpinać guziki Roger rozparł się na krześle, przyglądając się jej z zainteresowaniem.

- Czy wiedziałaś, że w dniu twojego ślubu upiłem się? - zapytał. - Nie, oczywiście nie. Założę się, że

nawet o mnie nie pomyślałaś. Nie lubię być wykorzystywany. Użyłaś mnie do jakichś porachunków ze Stephenem Montgomerym.

Zamarła z ręką na guzikach koszuli.

- Nigdy cię do niczego nie wykorzystyłam. Gdybyś wygrał pojedynek, wyszłabym za ciebie za męż. Myślałam, że nie kłamiesz mówiąc, że zależy ci na moim klanie.

Parsknął zniecierpliwiony.

- Nie grzeb się. Chcę zobaczyć to, co kosztowało mnie tyle bólu i upokorzenia.

Bronwyn zagryzła wargi. Nigdy jeszcze nie rozebrała się przed żadnym mężczyzną, nie licząc Stephena. Starła się powstrzymać napływające łzy. Stephen już jej nie pokocha, jeśli odda się innemu mężczyźnie. Był przecież taki zazdrosny i nie ufał jej. Jak się zachowa, kiedy się dowie, że miał ją Roger Chatworth?

Wstała, rozpięła pas i spódnicę i pozwoliła jej opaść na podłogę. Czy zareaguje na dotknięcie Rogera Chatwortha? Stephen zaledwie spojrzał, a już do niego lgnęła. Jego najłżejsze dotknięcie przyprawiało ją o dreszcz podniecenia. Czy Roger potrafi tego dokonać?

- Szybciej! - rozkazał Roger, - Czekałem na to wiele miesięcy.

Bronwyn na chwilę zamknęła oczy, nabrała powietrza głęboko w płuca i zrzuciła koszulę na ziemię. Starła się trzymać wysoko głowę, gdy Roger podszedł do niej ze świecą.

Przyglądał się jej, jej jedwabistej skórze, jędrnym, pełnym piersiom. Delikatnie dotknął jej biodra, przebiegł palcem wokół pępka.

- Piękna - wyszeptał. - Montgomery miał rację, że o ciebie walczył.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Niemal podskoczyli oboje.

- Spokój! - rozkazał Roger, patrząc na drzwi.

- Roger - dobiegł ich zza drzwi głos młodego mężczyzny. - Nie śpisz?

- Wracaj do łóżka - warknął Roger przez zaciśnięte zęby - Siedź pod kołdrą i nic nie mów. Mam cię postraszyć?

Bronwyn usłuchała natychmiast, szczęśliwa, że znalazł się powód, by mogła ukryć swe nagie ciało. Zagrzebała się w futra i prześcieradła, a Roger zasunął szarpnięciem zasłony łóżka.

- O co chodzi, Brian? - zapytał zupełnie innym, miękkim głosem, otwierając jednocześnie drzwi, - Znowu miałaś zły sen?

Bronwyn przesunęła się bezszelestnie, żeby wyrzeć przez szparę między zasłonami.

Roger zapalił kilka świec przy łóżku. Odsunął się, a ona zobaczyła młodego człowieka stojącego obok.

Brian miał około dwudziestu lat, ale jego delikatna budowa ciała upodobniła go raczej do małego chłopca. Wszedł do środka niepewnym krokiem, jakby miał sztywną jedną nogę, ale nauczył się w miarę równo chodzić. Był bez wątpienia młodszym bratem Rogera, jego młodszą, słabszą, bardziej delikatną wersją.

- Powinieneś już spać - powiedział łagodnie Roger głosem, którego Bronwyn jeszcze nigdy u niego nie słyszała. Każde jego słowo zdradzało głęboką troskę i miłość do brata.

Brian osunął się na krzesło.

. Czekałem na twój powrót Nawet nie wiedziałem, dokąd pojechałeś. Alicja mówiła... - urwał.

- Zrobiła ci jakąś przykrość? - zapytał z przejęciem Roger.

- Jeśli...

- Ależ nie - zapewnił go Brian. - Alicja jest bardzo nieszczęśliwa. Przeżywa śmierć Edmunda.

- Tak, z pewnością - zgodził się ironicznie Roger. Zmienił temat - Odwiedziłem nasze dalsze dobra, żeby sprawdzić, czy za plecami nie okradają nas chłopi.

- Kim jest ta kobieta, która ciągle płacze?

Roger gwałtownie uniósł głowę.

- Ja... nie wiem, o co ci chodzi. Tu nie ma żadnej płaczącej kobiety.

- Już od trzech nocy słyszę, że ktoś płacze. Czasem nawet słychać to za dnia.

Roger uśmiechnął się.

- Może w tym domu są duchy? A może Edmund... - urwał nagle.

- Wiem, co masz na myśli - rzekł stanowczo Brian.

- Wiem więcej o naszym starszym bracie, niż mógłbyś się spodziewać. Chciałeś powiedzieć, że może to płacz ducha jednej z kobiet Edmunda. Może nawet tej, która popełniła samobójstwo w noc, kiedy go zamordowano.

- Brian! Skąd ci do głowy przychodzą takie rzeczy? Jest późno i powinieneś już być w łóżku.

Brian westchnął i podniósł się z krzesła z pomocą brata.

- Chyba pójdę spać. Zobaczymy się rano? Alicja ma się dużo lepiej, kiedy ty tu jesteś. Tęsknię za

Elżbietą. Święta są takie krótkie.

fet - Tak, oczywiście. Będę tu. Dobranoc, braciszku.

Drzwi się zamknęły, a Roger stał przez chwilę w milczeniu. Bronwyn nie poruszyła się, patrząc na niego. Roger mógł być kłamcą, człowiekiem zdolnym zaatakować podstępnie kogoś od tyłu, ale z pewnością kochał swego młodszego brata. Roger odwrócił się i rozsunął

zasłony łóżka.

- Miałaś nadzieję, że o tobie zapomniałem? - Jego głos znowu brzmiał chłodno.

Zakryła się pościelą aż po szyję i cofnęła do samego brzegu łóżka.

- Kim jest Elżbieta?

Roger spojrzał na nią dziwnie.

- Elżbieta to moja siostra. A teraz chodź tu.

- Jest młodsza czy starsza od Briana? - zapytała szybko.

- Chcesz zobaczyć moje drzewo genealogiczne? - Chwycił ją za ramię i przyciągnął

do siebie. - Elżbieta jest o trzy lata młodsza od Briana.

- Czy ona... - Urwała, ponieważ chwycił ją w ramiona i zaczął całować chciwie. Ona natomiast zeszywniają cała.

Usta mężczyzny były jędrne i nawet dość miłe, jego oddech przyjemny, ale Roger nie potrafił rozpalić w niej ognia namiętności. Jego palce przebiegały wzdłuż jej pleców, potem wbiły się w jej pośladki i przyciągnęły jej ciało bliżej. Jeszcze się nie rozebrał i dotyk jego miękkiego, aksamitnego kaftana na jej nagiej skórze był wcale przyjemny.

Jednak brakowało w tym wszystkim ognia. Czowała się tak, jakby obserwowała tę sytuację z zewnątrz, a nie była jednym z aktorów.

- Nie próbujesz nawet walczyć? - zapytał gardłowym szeptem, w jego głosie czaiła się iskierka humoru.

- Nie - odparła uczciwie. - Ja...

Znowu przerwał jej pocałunkiem. Położył ją delikatnie na łóżku, całował jej szyję, gładził dłonią jej piersi. Potem jego usta zastąpiły dłonie.

- Nie, nie próbuję z tobą walczyć - stwierdziła poważnie Bronwyn. - Szczerze mówiąc, nie ma po co. Muszę przyznać, że byłam ciekawa, jak zareaguję na dotyk lanego mężczyzny. Stephen mówi, że tak

często się do niego dobieram, że nie ma czasu odpocząć.

Roześmiała się, utkwiała wzrok w baldachimie i podłożyła ręce pod głowę.

- Nie, żeby zawsze miał rację - zaśmiała się ponownie. - Ale muszę przyznać - że to nie to samo. Chociaż dotykasz mnie w te same miejsca, co Stephen, nic nie czuję. Czy to nie dziwne?

Popatrzyła niewinnie na Rogera, który pochylał się nad nią zamarły w bezruchu, z wytrzeszczonymi oczyma.

- Przepraszam, nie chciałam cię obrazić. Nie wątpię, że są kobiety, którym to się podoba. Prawdopodobnie jestem po prostu monogamiczna.

Roger uniósł dłoń, żeby ją uderzyć, a oczy Bronwyn nabrały zimnego blasku.

- Nie zamierzam z tobą walczyć, ale też nie odpowiem na twoje pieszczoty. Czy nie złości cię, że nie jesteś nawet w połowie takim mężczyzną jak Stephen Montgomery? Ani w łóżku, ani poza nim?

- Zabiję cię za to! - huknął Roger, rzucając się ku niej.

Bronwyn odsunęła się i wylądował twarzą w pościeli.

Wyskoczyła z łóżka, rozglądając się za jakąkolwiek bronią, ale nic nie znalazła.

Roger zatrzymał się w pół kroku. Wyglądała diabelnie pięknie. Czarne włosy spowijały ją niczym chmura. Jej Wyprostowane, silne ciało fascynowało go. Była naprawdę zachwycająca, niczym pogańska bogini, dumna, wyzywająca, próbująca zastraszyć go swa niewielką w rzeczywistości siłą.

Każde słowo, które powiedziała o mężu, raniło jego dumę. Znała się na mężczyznach. Z każdym jej słowem rosła w nim wściekłość. Jakież mężczyzna zdołałby ją posiąść, gdy tak siej z niego wyśmiewa? Gdyby się go bak, zgwałciłby ją, ale jej śmiech uniemożliwiał to skutecznie.

- Straż! - krzyknął.

Bronwyn wiedziała, że zamierzał uwolnić ją od koszmaru swego łoża. Chwyciła ubranie i zanim drzwi się otworzyły stała już owinięta w plaid, trzymając resztę rzeczy pod pachą.

- Zabierzcie ją do wschodniego pokoju - rozkazał zmęczonym głosem. - Jeśli ucieknie, polecą głowy.

Bronwyn nie odważyła się odetchnąć głęboko do chwili, aż skobel został zasunięty i została w pokoju sama. Strażnicy wypuścili zamkniętego tu przez nią mężczyznę.

Opadła na łóżko i prawie natychmiast zaczęła drżeć. Przez trzy dni leżała przecież związana na wozie. Gnębił ją strach o Marię, a epizod z Rogerem jeszcze bardziej nadwerężył jej siły.

Kiedyś, jako mała dziewczynka, wybrała się na przejażdżkę z jednym z ludzi jej ojca. Gdy zatrzymali się, by dać odpocząć koniom, mężczyzna rzucił ją na ziemię i zaczął

rozbierać. Bronwyn była wtedy nie uświadomiona, i dlatego przerażona. Mężczyzna rozebrał się i z dumą wyjął swoją męskość. Bronwyn, która do tej pory widziała tylko byki i konie, roześmiała mu się w twarz i jego dumnie wyprężony członek oklapł na jej oczach.

Tego dnia nauczyła się dwóch rzeczy. Po pierwsze: nigdy nie jeździć z jednym lub dwoma mężczyznami, a po drugie: strach ofiary podnieca mężczyznę, ale jej śmiech go niszczy.

Nie opowiedziała ojcu o tym zajściu, a mężczyzna został zabity w jakiejś wyprawie trzy miesiące później.

Powinna odczuwać satysfakcję, że tak bardzo zraniła Rogera, ale nie mogła. Opadła na łóżko, zagrzebując twarz w pościeli. Tak bardzo potrzebowała Stephena. Był

fundamentem jej istnienia. Powstrzymywał ją od robienia głupstw pod wpływem impulsu.

Gdyby z nią był, nie opuściłaby Larenston. Rab żyłby, a ona nie zostałaby więźniem Rogera Chatwortha.

Stephen był u swojego króla, prosząc go o zaprzestanie wypraw na jej kraj. Jej kraj!

Czyż Stephen nie udowodnił, że czuje się Szkotem? Zaslugiwał na ten tytuł jak nikt inny.

Nawet nie wiedziała, kiedy zaczęła płakać. Łzy płynęły z początku spokojnie, potem zaczęła szlochać. Przysięgła, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie z tej opresji, zawsze już będzie uczciwa wobec Stephena. Powie mu, jak bardzo go kocha i potrzebuje. O tak! Tak bardzo go potrzebuje.

Płakała z powodu Marii, Raba. Stephena, a przede wszystkim nad sobą samą. Miała w rękach coś tak pięknego, a jednak odrzuciła to.

- Stephen - szepnęła i rozplakała się jeszcze żałośniej.

Gdy jej twarz wyschła i zabrakło jej łez, zasnęła.

18

Brian Chatworth poruszał się bardzo cicho, schodząc do piwnicy. Dom zbudowano na ruinach zamku zdobytego i zburzonego przez jego ojca. Niektórzy mówili, że budowanie domu na ziemi wroga przynosi nieszczęście.

Brian pomyślał o duchu wspomnianym przez brata i uśmiechnął się. Roger był taki opiekuńczy wobec brata i siostry. W dzieciństwie bardzo potrzebowali tej opieki. Ale teraz, po śmierci Edmunda, nie było już powodu do kłamstw i ukrywania się. Słyszał płacz jakiejś kobiety i zamierzał dowiedzieć się, kto to jest. Najprawdopodobniej to jakaś pomoc kuchenna zakochana w Rogerze i nieszczęśliwa, ponieważ jej uczucie pozostało nie odwzajemnione. Brian zdał sobie sprawę, że Roger sądzi, iż jego młodszy brat nie ma pojęcia, co dzieje się między mężczyzną a kobietą. Dla Rogera Brian to wciąż zastraszony, wiecznie ukrywający się dzieciak.

Przystanął u stóp schodów. Piwnice były ciemne, pełne beczek wina i solonych ryb.

Usłyszał grzechot kostki do gry oraz śmiech i przekleństwa strażników. Wśliznął się pomiędzy beczki i ruszył ku zamkniętej części piwnicy. Nie wiedział, dlaczego tak węszy, słyszał jednak kiedyś, za życia Edmunda, że jest w tym dobry. Wolał jednak, by Roger żywił więcej szacunku do młodszego brata.

Płacz stawał się coraz wyraźniejszy w miarę jak zbliżał się do zamkniętej piwnicy.

Ten cichy, przejmujący szloch dobywał się z głębi serca jakiejś kobiety. Teraz rozumiał, dlaczego strażnicy przenieśli się do odległego końca piwnicy: nie chcieli słuchać tego płaczu.

Brian zajrzał do celi. Na stercie słomy w rogu pomieszczenia leżała kobieta w habicie zakonnicy.

Brian, nie namyślając się, chwycił klucz wiszący na gwoździu obok drzwi i otworzył celę. Drzwi uchyliły się cicho na naoliwionych zawiasach.

- Siostro - wyszeptał Brian, klękając obok niej. - Pozwól, że ci pomogę.

Maria popatrzyła na niego przez łzy. Bała się.

- Proszę, zostaw mnie - szepnęła. - Moi bracia mogą wywołać wojnę z tego powodu.

Proszę! Nie zniósłabym, gdyby się im coś stało.

Brian spojrzał na nią zaskoczony.

- Twoi bracia? Kim jesteś? Co zrobiłaś Rogerowi, że cię uwięził?

- Roger? - zapytała Maria. - Czy to on mnie tu więzi? Gdzie jestem? Kim ty jesteś?

Brian przyglądał się jej. Owalna twarz kobiety była zapuchnięta, brązowe oczy zaczerwienione. Nagle odnalazł w niej podobieństwo do jego siostry, Elżbiety. Elżbieta była piękna jak anioł, a ta kobieta wyglądała jak Madonna.

- Jestem Brian Chatworth i to jest mój dom w majątku Chatworth. Jego właścicielem jest mój brat Roger.

- Chatworth? - zapytała Maria podnosząc się. - Mój brat był kiedyś zakochany w jakiejś pięknej kobiecie, ale ona wyszła za człowieka nazwiskiem Chatworth.

Brian przykucnął. Zaczynał wyczuwać powód uwięzienia tej kobiety.

- Ty się nazywasz Montgomery! Słyszałem tylko o czterech braciach. Nie miałem pojęcia, że jest i siostra.

- Jestem najstarszym dzieckiem, Marią Montgomery.

Przez kilka chwil Brian milczał.

- Powiedz mi, co wiesz. Moi bracia czasami są nadopiekuńczy. Dlaczego jestem tu uwięziona? Dlaczego twój brat miałby nienawidzić mojej rodziny?

Brian poczuł sympatię do Marii.

- Mój brat też się mną opiekuje. Ale ja umiem słuchać, co się mówi. Powiem ci, co wiem. Pewna młoda kobieta. Alicja Valence, była kiedyś zakochana w twoim bracie, najstarszym. Nazywa się chyba Gavin, prawda?

Maria potwierdziła.

- Ale z jakiegoś powodu, nie wiem jakiego, nie pobrali się. Alicja poślubiła mojego najstarszego brata, Edmunda, a Gavin ożenił się...

- Z Judytą - uzupełniła Maria.

- Tak, Judytą. Którejś nocy mój brat został zamordowany. - Na chwilę przerwał

opowieść. Nie wspomniał o złej naturze brata, o tym, że wszyscy się go bali. Nie wspomniał

o uroczej, młodej dziewczynie, która podcięła sobie żyły w noc, gdy zginął Edmund.

- I Alicja jest teraz wdową - powiedziała cicho Maria.

- Tak. I wydaje mi się, że czyniła jakieś wysiłki, by odzyskać Gavina. Zdarzył się jakiś wypadek i na twarz wylał jej się gorący olej. Ma głębokie szramy.

- Czy uważasz, że istnieje jakiś związek między tym wydarzeniami, a moim uwięzieniem? Gdzie jest teraz Alicja?

- Tu mieszka. Nie ma nikogo innego. - Pomyślał o dobroci swego brata Rogera. - Tej jesieni Roger miał pojedynek z innym twoim bratem. Walczyli o kobietę.

- To mógł być tylko Stephen. Bronwyn... nic o tym nie mówiła. - Maria otarła twarz dłonią. - Nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Och, Brian, co my teraz zrobimy? Nie możemy pozwolić, by rozpełtała się wojna pomiędzy naszymi rodzinami.

Briana zaskoczyły jej słowa. Co ona miała na myśli, mówiąc „my”? Skąd wiedziała, że on jest po jej stronie? przecież Roger jest jego bratem. Musi być jakiś sensowny powód, dla którego Roger więził tę cichą, miłą kobietę. Zanim zdążył powiedzieć cokolwiek, Maria odezwała się ponownie.

- Dlaczego kulejesz? - zapytała łagodnie.

Brian zdziwił się. Od dłuższego czasu nikt go o to nie pytał.

- Kiedyś koń zmiażdżył mi nogę - odparł krótko.

Maria patrzyła na niego wyczekująco i Brian przeniósł się myślami w czas, którego wolał nie pamiętać.

- Elżbieta miała pięć lat - powiedział głucho. - Wyglądała wtedy jak anioł. Pozowała jednemu z rzeźbiarzy do wizerunków aniołków w kaplicy. A ja miałem osiem lat Bawiliśmy się na polu przeznaczonym do turniejów. Nasz brat Edmund był już wtedy dorosły, liczył

sobie dwadzieścia jeden lat.

Przerwał na chwilę.

- Nie pamiętam wszystkiego. Później mówiono, że Edmund się upił. Nie zauważył mnie i Elżbiety, kiedy wjechał na pole.

Przerażona Maria otworzyła usta.

- Zginęlibyśmy, gdyby nie Roger. Jak na czternastolatka był duży i silny. Przebiegł

tuż przed koniem Edmunda i chwycił nas. Ale koń uderzył go kopytem w lewe ramię i Roger upuścił mnie. - Brian odwrócił wzrok. Koń zmiażdżył mi nogę od kolana w dół. -

Uśmiechnął się słabo. - Miałem szczęście, że jej całej nie straciłem. Elżbieta uważa, że to opieka Rogera pomogła mi ją zachować. Całymi miesiącami siedział przy moim łóżku.

- Bardzo go kochasz., prawda?

- Tak - odpowiedział po prostu Brian. - On... bronił Elżbiety i mnie, kiedy byliśmy dziećmi Umieścił Elżbietę w klasztorze, gdy miała sześć lat.

- Jest tam dotąd?

- Roger mówi, że szuka odpowiedniego dla niej mężczyzny, ale jeszcze nie znalazł.

Jak można znaleźć męża dla anioła? - Roześmiał się na wspomnienie czegoś, co powiedziała Elżbieta. zaproponowała, żeby Roger znalazł dla niej diabła, ale ten nie uznał tego za śmieszne, Roger często ignorował ostre uwagi Elżbiety. Czasami jej ostry język dziwnie kontrastował z jej urodą.

- Nie możemy pozwolić na wojnę między naszymi rodzinami - powtórzyła Mana, -

Udowodniłeś mi, że twój brat jest dobrym, wrażliwym człowiekiem. Jest po prostu rozeźlony, tak jak Stephen. I twoja bratowa także.

Brian niemal się roześmiał. Wybuchy szaleńczej pasji Alicji czasami przeradzały się w obłęd i trzeba było dawać jej zioła nasenne. Bez przerwy krzyczała o Judycie i Gavinie Montgomerych.

- Tak mało mówisz o sobie - zauważył Brian. - Jesteś tu uwięziona, przez kilka dni płakałaś, a jednak wypytyujesz o mnie. Powiedz, dlaczego płakałaś? Nad sobą czy twoimi braćmi?

Maria popatrzyła na swoje dłonie.

- Jestem słabą, tchórzliwą istotą. Żałuję, że nie potrafię się modlić tak, jak bym chciała, ale moi bracia nauczyli mnie realizmu. Kiedy odkryją, że mnie nie ma, wpadną w złość.

Gavin i Stephen na zimno przygotowują wyprawę, ale w przypadku Raine'a i Milesa trudno będzie mówić o spokoju.

- Co zrobią?

Trudno przewidzieć. Zrobią to, co uznają za stosowne w danym momencie. Raine jest zwykle spokojny jak niedźwiedź, ale nie potrafi znieść żadnej niesprawiedliwości. A Miles ma wybuchowy charakter. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co zrobi.

- Trzeba to powstrzymać! - stwierdził Brian wstając. - Pójdę do Rogera i zażadam, żeby cię uwolnił.

Maria stanęła obok niego. Była od niego niższa.

- Nie sądzisz, że żądanie tylko go rozżłości? Nie lepiej poprosić?

Brian popatrzył na jej miłą okrągłą twarz, wielkie, błyszczące oczy. Przy niej czuł się silny jak góra. Nigdy o nic nie prosił Rogera, tylko o to, by był. Maria miała rację. Jak mógł

zadać czegokolwiek od człowieka, którego tak kochał?

Pogłaskał ją po policzku. - Zabiorę cię stąd. Obiecuję.

- A ja ci wierzę - zapewniła z przekonaniem. - Teraz musisz już iść.

Brian rozejrzał się po małej, wilgotnej celi. Na podłodze było trochę brudnego siana.

Jedyne meble to twarda prycza i kubek w rogu pomieszczenia.

- Wstrętne miejsce. Chodź ze mną już teraz.

- Nie! - Cofnęła się. - Musimy zachować ostrożność. Nie wolno rozgniewać twego brata. Jeśli jest taki jak mój, może wypowiedzieć słowa, których potem będzie żałował, ale nie będzie już miał odwrotu. Musisz poczekać do rana, a gdy wstanie wypoczęty, wtedy z nim porozmawiasz.

- Czy zechcesz mieć cokolwiek do czynienia z moim bratem, jeśli każe ci spędzić kolejną noc w tej ciemnicy?

Odpowiedziała mu spojrzeniem.

- Idź w pokoju. Nie musisz się o mnie martwić.

Brian przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, po czym chwycił jej dłoń i ucałował.

- Jesteś dobrą kobietą, Mario Montgomery. - Odwrócił się i wyszedł.

Maria poderwała się, słysząc ponownie zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Miała nadzieję, że Brian nie zauważył, jak bardzo jest przerażona. Coś przebiegło po podłodze, aż podskoczyła. Wiedziała, że nie powinna płakać, ale z drugiej strony była tak wielkim tchórzem...

Roger patrzył wstrząśnięty na młodszego brata.

. - Chcę, żebyś wypuścił ją z tej celi - powtórzył spokojnie Brian. Zrobił tak, jak poradziła mu Maria, i odłożył do rana spotkanie z Rogerem. Ale ani sam nie spał tej nocy, ani też z twarzy Rogera nie zniknęły ciemne kręgi pod oczami.

- Brian, proszę... - Roger zaczął głosem, jakim przemawiał tylko do młodszego brata i siostry.

Brian nie ustępował.

- Nadal nie wyjaśniłeś mi, dlaczego ją uwięziłeś, ale jakikolwiek by to był powód, chcę, byś ją uwolnił.

Roger odwrócił głowę, żeby Brian nie widział udręki w jego oczach. Jak miał

wyjaśnić upokorzenie, którego doznał od Montgomerych? Bolało go, że bratowa narzucała się Gavinowi i została odepchnięta. Potem Bronwyn wybrała go na męża, a przypadek sprawił, że dostał ją Stephen. Wściekłość zmąciła mu rozum i zaatakował rywala od tyłu. Teraz chciał pokazać Montgomerym, że nie zawsze przegrywa. - Nic jej się nie stanie -

odpowiedział. - Obiecuję ci, że jej nie skrzywdzę.

- To dlaczego ją tu trzymasz? Uwolnij ją, zanim naprawdę zacznie się wojna.

- Jest już za późno.

- czym ty mówisz?

Roger popatrzył na młodszego brata. - Raine prowadził parę setek ludzi do Walu, kiedy dowiedział się, że porwałem Marię. Zawrócił, kierując się do nas.

- Co? Mamy zostać zaatakowani? Jesteśmy bezbronni. Czy on sobie wyobraża, że może tak po prostu na nas napaść? Czy nie ma już króla i prawa, by nas obronić?

- Raine interweniował u króla, ale król rozżłościł się, że tamten chciał użyć żołnierzy królewskich do

załatwiania osobistych porachunków. Dlatego ogłosił go wyjętym spod prawa. Raine schronił się w lesie.

- Dobry Boże! - sapnął Brian, opadając na krzesło. - Nie mamy takiego systemu obronnego, jak forteca Montgomerych. Jeśli uwolnisz Marię...

Roger popatrzył na niego z miłością.

- Nie chciałem ciebie włączać do tego sporu. Musisz tu pozostać. Jedź do jakiegoś innego naszego majątku. Wkrótce do ciebie dołączę.

- Nie - odparł zdecydowanie Brian. - Musimy zakończyć ten spór. Wyślemy wiadomość do króla i do Montgomerych. Do tego czasu osobiście zajmę się Marią. - Wstał i wyszedł chwiejnie z pokoju.

Roger patrzył na zamknięte drzwi. Zagryzł gniewnie wargi i chwycił ze ściany topór.

Rzucił nim mocno, aż utkwiał w ciężkich, dębowych drzwiach.

- Niech szlag trafi wszystkich Montgomerych! - zaklął.

Cieszyło go, że znaleźli się w niełasce u króla. Potrafili tylko brać. Odebrali jego bratowej urodę oraz rozum. Odebrali mu te wszystkie szkockie ziemie, które miały być jego.

A teraz chcieli mu odebrać szacunek brata. Brian nigdy dotąd nie podważał jego decyzji, nigdy mu się nie sprzeciwił. I dopiero dziś wydawało mu się, że może sam podejmować decyzje i rozkazywać starszemu bratu!

Otworzyły się drzwi i weszła Alicja. Miała na sobie szmaragdowozieloną, satynową suknię, wykończoną króliczym futrem farbowanym na zielono. Jej twarz zakrywał cienki jaw mgiełka woal.

- Właśnie widziałam Briana - zakomunikowała kłótliwym tonem. - Prowadził tę kobietę Montgomerych po schodach.

Jak mogłeś wypuścić ją z lochu? Tę kobietę powinno się rzucić psom.

- Brian sam ją znalazł. I sam zadecydował, że się nią zajmie.

- Zajmie się nią! - prychnęła Alicja. - Chcesz powiedzieć, że zamierzasz traktować ją jak gościa, tak jak tamtą na górze? - Wybuchnęła śmiechem. - Chyba że już nie ty rządzisz w tym domu. Wygląda na to, że Brian jest tu teraz mężczyzną.

- Ty się na tym znasz, prawda? Z opowieści wynika, że miałaś ich wszystkich.

Uśmiechnęła się jadowniczo.

- Zazdrosny? Słyszałam, że wczoraj w nocy odesłałeś żonę Stephena ze swego pokoju. Nie byłeś w stanie „zrealizować się” z nią? Może wyślesz do niej Briana, żeby cię i w tym wyręczył?

- Wynoś się! - rozkazał jej Roger tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego intencji.

Bronwyn patrzyła przez okno na śnieg spowijający dziedziniec. Już od miesiąca była więziona przez Rogera Chatwortha i przez cały ten czas kontaktowała się tylko z jedną czy dwiema pokojówkami. Przynosiły jej żywność, drewno na opał i czyste płótna. Pokój był

sprzątnięty, nocnik opróżniany, ale nie zostało wypowiedziane ani jedno słowo. Próbowwała zadawać służącym pytania, ale one tylko patrzyły na nią przerażone i wychodziły na palcach z pokoju.

Wypróbowała już wszystkie metody ucieczki. Związała prześcieradła i zsunęła się po nich przez okno. Ale strażnicy Rogera pochwycili ją, gdy tylko dotknęła stopami ziemi.

Następnego dnia przyszedł człowiek i wstawił stalowe pręty w okno.

Raz rozpałała nawet ogień, żeby wywołać zamieszanie, i znów strażnicy złapali ją i ugasili pożar. Innym razem zraniła jednego ze strażników uszkiem od cynowego dzbanka. Wtedy Roger zwiększył do trzech liczbę pilnujących i zagroził, że ją zwiąże, jeśli nadal będzie tak kłopotliwa. Błagała go o wiadomości o Marii. Pytała, czy bracia Montgomery wiedzą, że obie są tu przetrzymywane.

Roger nie odpowiedział na żadne z jej pytań.

Bronwyn pogrzyżała się w swej samotności. Jedyne, którą mogła się zająć, to wspomnienia o Stephenie. Miała dość czasu, by przeanalizować każdą chwilę ich wspólnego życia, i zrozumiała, gdzie należy dokonać zmian. Powinna była wiedzieć, że nie wszyscy ludzie są tacy, jak mężczyźni, którzy naśmiewali się z niej u sir Tomasza Crichtona. Nie powinna była złościć się, że Stephen bardziej interesował się nią samą niż jej klanem. Nie powinna też wierzyć bez zastrzeżeń w opowieści Rogera.

Nic więc dziwnego, że Stephen nazwał ją samolubną. Zawsze widziała tylko jedną stronę spraw. Myślała o rozmowach Stephena z królem i wiedziała, że gdy - to jest: jeżeli -

żywa opuści dom Rogera Chatwortha, pojedzie do Kirsty i ogłosi pokój pomiędzy MacGregorami i MacArranami. Była to winna Stephenowi.

Brian, są urocze - uśmiechnęła się Maria, biorąc od niego małe skórzane pantofelki. -

Psujesz mnie. Brian popatrzył na nią z nie skrywanym uwielbieniem.

Prawie cały ostatni miesiąc spędzili razem. Nie prosił już Rogera o uwolnienie Marii, ponieważ nie chciał jej pozwolić odejść. Maria sprawiła, że już nie czuł się samotny.

Roger często wyjeżdżał, a Elżbieta żyła zamknięta w swoim klasztorze. Inne kobiety wprawiały go w zakłopotanie, ale Maria, choć starsza od niego o dziesięć lat, była tak samo nieśmiała. Nigdy nie chichotała, nie zapraszała go do tańca i nie oczekiwała, że będzie się za nią uganiał wśród krzewów róż. Była cicha, nieskomplikowana i niczego od niego nie wymagała. Spędzali dni grając na lutni, czasem Brian opowiadał jakieś historie, które od zawsze gnieździły się w jego głowie ale nie mówił

o nich nikomu. Maria potrafiła go wysłuchać i sprawiała, że czuł się silny, opiekuńczy, a nie tylko jak młodszy brat.

Właśnie to nowe poczucie odpowiedzialności nie pozwoliło mu powiedzieć jej, że Bronwyn jest także tutaj. Nie ufał już ślepo bratu, jak dawniej, i wypytywał służbę, co się dzieje w domu. Natychmiast rozkazał Rogerowi uwolnić Bronwyn, a ten zgodził się bez sprzeciwu. Teraz tylko Maria była uwięziona.

- Nie da się ciebie zepsuć - odparł z uśmiechem. Maria spłonęła rumieńcem i przymknęła oczy.

- Usiądź obok mnie. Masz jakieś nowiny?

- Nie - skłamał Brian. Wiedział że Raine był nadal w niełasce króla i ukrywał się w lasach razem z bandą renegatów, jeśli, oczywiście, rewelacje Alicji były prawdziwe, ale nie zamierzał informować Marii o sytuacji Raine'a.

- Zrobiło się zimniej tej nocy - powiedział, wysuwając dłonie w stronę kominka. Za obopólnym milczącym porozumieniem nigdy nie mówili o Alicji i Rogerze. Byli dwojgiem samotnych ludzi, którzy wyszli ze swego wyobcowania. Ich świat składał się z jednego dużego, miłego pokoju na najwyższym piętrze domu Chatworthów. Mieli dla siebie muzykę, sztukę i radość - i żadne z nich nigdy nie czuło się bardziej szczęśliwe.

Brian rozparł się na miękkim krześle przed kominkiem i po raz chyba tysięczny zapragnął, aby to trwało wiecznie. Nie chciał, by Maria powróciła do „tej drugiej” rodziny.

Tego wieczoru Brian wyjawiał swe marzenia bratu.

- Co?! - zdumiał się Roger.

- Chcę się ożenić z Marią Montgomery.

- Ożenić? - opadł ciężko na krzesło. Powinowactwo z rodziną wroga?! - Ta kobieta należy do Kościoła i nie możesz...

Brian uśmiechnął się.

- Nie złożyła ślubów. Żyje wśród zakonnicy i to wszystko. Maria jest taka miła.

Wszystkim pomaga...

Przerwał im donośny śmiech Alicji.

- Dobra robota, Rogerze. Twój mały braciszek zamierza poślubić starszą siostrę Montgomerych. Powiedz mi, Brianie, ile ona ma lat. Wystarczająco dorosła, by być twoją matką, której zawsze tak bardzo potrzebowałeś?

Briana po raz pierwszy ogarnęła prawdziwa wściekłość. Dotychczas Roger zawsze starał się chronić

brata przed mniej przyjemną stroną życia, ale teraz chłopak warknął i rzucił się na Alicję. Roger pochwycił go.

- To nie ma sensu.

Brian spojrział mu prosto w oczy. Po raz pierwszy w życiu pomyślał, że jego brat nie jest idealny.

- Pozwalasz jej mówić takie rzeczy? - zapytał spokojnie.

Roger skrzywił się. Nie podobał mu się sposób, w jaki Brian na niego patrzył. Tak chłodno, jakby nie byli już najbliższymi przyjaciółmi.

- Oczywiście, ona nie ma racji. Wydaje mi się jednak, że nie wszystko do końca przemyślałeś. Wiem, że jesteś młody i potrzebujesz żony, ale...

Brian odsunął się od niego.

- Dajesz m do zrozumienia, że jestem za głupi, by wiedzieć, czego chcę?

Alicja wybuchnęła śmiechem.

- Odpowiedz mi! Zamierzasz pozwolić, by twój brat ożenił się z jedną z Montgomerych? Już słyszę, co się będzie mówiło w Anglii. Powiedzą, że skoro nie udało ci się trafić Stephena od tyłu, znalazłeś inny sposób. Powiedzą, że Chatworthowie zbierają resztki po Montgomerych. Nie mogłam dostać Gavina. Ty nie dostałeś Bronwyn, więc ożeniłeś swego ułomnego brata ze starą panną.

- Zamknij się! - zagrzmiał Roger.

- Prawda boli, zgadza się? Roger zacisnął szczęki.

- Mój brat nie ożeni się z nikim z Montgomerych. Brian wstał zdecydowanie. Był

znacznie niższy od Rogera. - Ożenię się z Marią - rzekł stanowczo.

Alicja ponownie się roześmiała.

- Powinieneś kazać mu zająć się i tą, drugą. Wyżyłby się na niej i przynajmniej nie gadałby o małżeństwie.

- czym mówisz, więdźmo? - zażądał odpowiedzi Brian. - Jaką drugą?

Alicja patrzyła na niego gniewnie spod woalki.

- Jak śmiesz? - sapnęła. - Jak śmiesz nazywać mnie więdźmą? Byłam kiedyś tak piękna, że nią spjrzałabym nawet na takiego pokurcza jak ty!

Roger zrobił krok do przodu.

- Wynoś się stąd, zanim zeszepecę ci drugi policzek.

Alicja parsknęła i odwróciła się.

- Zapytaj go o Bronwyn zamkniętą na górze - rzuciła wychodząc.

Roger odwrócił się i stanął twarzą w twarz z rozgniewanym Brianem. Nie spodobało mu się to. Najwyraźniej brat stracił całe uwielbienie dla niego.

- Powiedziałeś, że ją uwolniłeś - stwierdził Brian. - W czym jeszcze mi kłamałeś?

- Ależ, Brianie... - zaczął Roger łagodnym głosem, jakim zwykł przemawiać do młodszego rodzeństwa.

Brian odsunął się od niego.

- Nie jestem już dzieckiem i nie pozwolę tak się traktować! Jakim byłem głupcem!

Nic dziwnego, że Montgomery chce nas zaatakować. Przetrzymujesz jego dwie kobiety, prawda? Jak mogłem ciebie słuchać? Nigdy nie wątpiłem, że wszystko, co robisz, jest słuszne. Byłem zbyt szczęśliwy z Marią, by pomyśleć choćby o sobie. Ale przecież zawsze byłem zbyt zajęty, żeby myśleć o sobie, prawda?

- Brian, proszę...

- Nie! - krzyknął Brian. - Tym razem ty mnie posłuchasz. Jutro rano zamierzam oddać Marię i Bronwyn ich rodzinie. Roger poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie.

- To moi więźniowie i nie zrobisz tego.

- Dlaczego twój? - zapytał Brian. - Dlatego, że zaszedłeś Stephena Montgomery'ego od tyłu? Dlatego, że cię pokonał? Roger zatoczył się do tyłu. - Brian, jak możesz tak do mnie mówić? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

- Niedobrze mi się robi od tych ciągłych opowieści, jak to uratowałeś życie mnie i Elżbiecie. Niedobrze mi, gdy myślę, że powinienem ci być wdzięczny za każdą chwilę mojego życia. Jestem dorosły i sam mogę podejmować decyzje.

- Brian - szepnął Roger. - Nigdy nie miałem zamiaru żądać od ciebie wdzięczności.

Ty i Elżbieta jesteście całym moim życiem. Nie mam oprócz was nikogo i nikogo innego mieć nie chcę.

Brian westchnął i gniew go opuścił.

- Wiem. Zawsze byłeś dla nas dobry, ale czas, bym cię opuścił i zaczął własne życie.

Chce ożenić się z Marią i zrobię to. - Odwrócił się. - Jutro zabiorę kobiety do domu.

Gdy Brian wyszedł, Roger dostał dreszczy. Dotychczas żadna potyczka tak go nie osłabiła, jak ta konfrontacja z Brianem. Widział, jak z każdą chwilą jego drogi młodszego brata się zmienia i jak znika jego uwielbienie dla Rogera.

Roger opadł na krzesło, ze wzrokiem utkwionym w mozaikę na podłodze. Brian i Elżbieta byli wszystkim, co miał. Trzymali się we trójkę, by obronić się przed okrucieństwem Edmunda.

Elżbieta zawsze była niezależna. Jej anielska twarz ukrywała silny charakter.

Elżbieta potrafiła przeciwstawić się Edmundowi Ale Brian szukał miłości i obrony u Rogera, zadowolony, że brat podejmował za niego decyzje. A Rogerowi spodobała się ta rola. I podobało mu się uwielbienie Briana.

Ale dziś wieczorem widział, jak znika to uwielbienie. Brian zmienił się ze słodkiego, kochającego chłopca w zuchwałego i wrogo nastawionego mężczyznę.

A wszystko to przez Montgomerych!

Roger nie pamiętał, kiedy zaczął pić. Wina nie brakowało i sięgał po nie nie myśląc, co robi. Zapamiętał jedynie zimne oczy Briana i to, że rodzina Montgomerych odebrała mu miłość brata.

Im więcej pił, tym więcej myślał o winie Montgomerych Utracona uroda Alicji raniła go jak osobista krzywda. Była przecież jego powinowatą. Judyta i Gavin naigrawali się z niej. Podczas pobytu na dworze, po pojedynku ze Stephenem, wciąż słyszał uwagi na ten temat: „Słyszałem, że biłeś się o tę małą Szkotkę Montgomery'go. Nie chciałbym cię o cokolwiek obwiniać, ale czy naprawdę tak się na nią napaliłeś, że chciałeś ją mieć nawet za cenę zaatakowania Stephena od tytułu?”

Te słowa ciągle do niego powracały. Syn króla Henryka właśnie ożenił się z hiszpańską księżniczką i król nie chciał sobie psuć humoru niehonorowym zachowaniem Rogera.

Roger trzasnął cynowym kuflem o oparcie krzesła, odłamując kawałek drewna.

- Do diabła z nimi wszystkimi! - zaklął. Brian gotów był odrzucić całe lata jego opieki i miłości z powodu jakiejś obcej kobiety. Pomyślał o sztuczce Bronwyn, kiedy chciał

ją posiadać. Sztuczki dziwki! Tak jak pomysł Marii, żeby powiedzieć Brianowi, że nie wstąpiła do zakonu. Brian najwyraźniej sądził, że jego wybranka jest czysta i warta poślubienia, a tymczasem okazała się na tyle bystra, żeby uwieść o dziesięć lat od niej młodszego chłopca. Łudziła się, że dzięki temu odzyska wolność, czy też miała chrapkę na bogactwo Chatworthów? Montgomerym zaczynało wchodzić w nawyk poślubianie właścicieli fortun.

Roger wstał chwiejnie. Uważał za swój obowiązek, obowiązek starszego brata, pokazać Brianowi, że wszystkie kobiety to tylko kłamliwe suki! Takie jak Alicja czy Bronwyn. Żadna z nich nie jest miła ani delikatna, a na pewno nie jest warta jego brata Briana.

Wyszedł z pokoju i ruszył schodami w górę. Nie miał pojęcia, co chce zrobić, aż zatrzymał się przy pokoju Bronwyn. Oczami wyobraźni ujrzał ją znowu, spowitą w gęstwą czarnych włosów. Pamiętał każde zagięcie jej ciała. Położył rękę na klamce i przypomniał

sobie jej dumnie uniesioną głowę. Odsunął się od drzwi. Nie, nie był jeszcze dość pijany, by wytrzymać jej naigrawanie się z niego. Nie można się było dość upić, by to wytrzymać.

Wspiął się jeszcze wyżej, aż na ostatnie piętro domu. Wszystkie kłopoty zawdzięczał

tej dziewczce, która ubierała się jak zakonnica i starała się uwieść jej młodszego brata. Jej podstępny sprowadziła rozłam w rodzinie. Brian oświadczył, że jutro opuści majątek Chatworthów. Zamierzał ożenić się z Marią i zostawić Rogera. Jak gdyby rodzina Montgomerych nie była dość duża i potrzebowali jeszcze Briana! Roger odsunął skobel w drzwiach pokoju Marii. Przez okna sączyło się światło księżycy, a na stole płonęła świeca.

- Kto tam? - szepnęła Maria, siadając w łóżku. W jej głosie pobrzmiwał strach.

Roger sięgnął po krzesło, potem roztrzaskał je o ścianę.

- Kto tam? - powtórzyła głośniejszym głosem Maria drżącym głosem.

- Chatworth! - huknął Roger. - Jeden z twoich strażników, - Stał nad jej łóżkiem i przyglądał się.

- Jej długie blond włosy były zwinięte w kok. Oczy miała rozszerzone przerażeniem.

- Lordzie Rogerze, ja...

- Co? - zapytał. - Nie zaprosisz mnie do swojego łóżka? Czy nie jestem równie dobry, jak każdy inny Chatworth? Mogę cię uwolnić. Tak jak Brian. Chodź, zobaczymy, co tak urzekło w tobie Briana.

Roger chwycił kołdrę, której brzeg Maria ścisnęła kurczowo; pod brodą. Szarpnął.

Ujrzał, zdziwiony, prostą bawełnianą koszulę, którą Maria miała na sobie. Większość kobiet spała nago, a ta ładaczka ubierała się w koszulę, Z jakiegoś powodu rozwścieczyło go to.

Chwycił za kołnierzyk i rozerwał cienkie płótno. Nie zwrócił szczególnej uwagi na jej ciało ani też nie słyszał rozzwierających krzyków. Pamiętał tylko słowa Briana, że opuszcza dom dla tej kobiety. Pokaże Brianowi, jaka z niej dziwka i że nie jest warta uczucia jego najdroższego brata.

Półprzytomny opadł na pulchne, niewinne ciało Marii. Zdjął z siebie tylko tyle, ile potrzebował, by dokonać aktu. Jej zmieniły się w przeraźliwy wrzask, a ciało zeszywniało jak drewno.

Gwałt nie sprawił mu przyjemności. Była sucha i naprężona i Roger musiał włożyć w to sporo wysiłku. W chwilę później było po wszystkim. Alkohol i emocje wyczerpały go.

Zsunął się z Marii i legł obok na łóżku. Teraz Brian go nie opuści, pomyślał, zamykając oczy. Następne Boże Narodzenie spędzą jak zwykle razem: on, Elżbieta i Brian.

Gdy Roger się odsunął, Maria leżała nieruchomo. Czuła się zbrukana. Najpierw pomyślała o braciach. Jak spojrzy im w oczy, skoro stała się, jak to często powtarzał Roger, zwykłą dziwką? Brian też nie zechce z nią rozmawiać.

Cicho wstała z łóżka. Nie zwracała uwagi na ból i krew na udach, Ostrożnie włożyła jedyną swoją suknię. Ciemnoniebieską, prostą, wełnianą, uszytą przez jej siostry. Po raz ostatni rozejrzała się po pokoju i podeszła do okna.

Zimne nocne powietrze uderzyło ją w twarz. Wciągnęła je głęboko w płuca. Uniosła wzrok ku niebu. Wiedziała, że Bóg nie wybaczy jej tego, co chce uczynić, ale ona też nie mogła pogodzić się z tym, co ją spotkało.

- Żegnajcie, bracia - szepnęła, a wiatr uniósł jej słowa. - Żegnaj, Brianie.

Przeżegnała się, skrzyżowała ręce na piersiach i skoczyła.

Zwierzęta w majątku Chatworthów wyczuły nieszczęście, zanim dowiedzieli się o nim ludzie. Psy zaczęły szczekać, konie niespokojnie grzebały kopytami.

Brian, przygnębiony i zmęczony bezsennością, narzucił na siebie płaszcz i wyszedł na dwór.

- Co się stało? - zapytał przebiegającego obok chłopca stajennego.

- Kobieta rzuciła się z okna na ostatnim piętrze! - krzyknął przez ramię. - Muszę znaleźć lorda Rogera.

Serce Briana zamarło. To z pewnością jedna z uwięzionych kobiet Niech to będzie ta, której nie znał, Bronwyn, modlił się. Ale wiedział, kto leży martwy na bruku.

Szedł w milczeniu ku tej części domu, w której znajdował się pokój Mani.

Przepchnął się przez tłum służby gapiącej się na ciało.

- Została zgwałcona - powiedziała cicho jakaś kobieta. - Popatrzcie tylko na krew!

- Tak jak za życia lorda Edmunda. I pomyśleć, że sądziłam, że młodszy brat okaże się inny.

- Wynoście się! - krzyknął Brian. Bolało go, że tak bez żenady przyglądają się ciału jego ukochanej Marii - Słyszycie? Precz stąd!

Nie byli przyzwyczajeni do spełniania rozkazów Briana, ale wyczuli w jego głosie pewność siebie. Rozpierzchli się po kątach i stamtąd obserwowali Briana i martwą kobietę, którą widzieli po raz pierwszy.

Brian delikatnie wygładził ubranie Marii. Wyprostował jej głowę, leżącą dotąd w nienaturalny

sposób. Chciał ją zanieść do domu i nawet próbował, ale nie był na to dość silny. Własna słabość podsycała narastający w nim gniew. Służba szeptała, że to Roger zgwałcił Marię, ale on nie wierzył. Pomyślał, że to pewnie któryś ze strażników.

Stojąc tak, wyobrażał sobie tortury, jakim podda tego niegodziwca, jakby to mogło przywrócić życie Marii.

Jak w transie ruszył schodami do pokoju Marii. Strażnicy chcieli go zatrzymać, ale dali spokój, ujrawszy jego twarz. Otworzył drzwi.

Przez chwilę patrzył na głęboko uśpionego, chrapiącego Rogera. Leżał na łóżku Marii. Brian nie mógł nawet myśleć.

Czuł tylko coś dawnego, co narastało w jego wnętrzu z każdą mijającą chwilą.

Cicho odwrócił się, wziął ze stołu dzban pełen zimnej wody i wylał ją prosto na głowę Rogera.

Roger krzyknął i otworzył oczy.

- Brian - powiedział ze słabym uśmiechem. - Śniłeś mi się.

- Wstawaj! - rozkazał śmiertelnie poważnym głosem Brian. Roger stał się ostrożny.

Brał udział w niejednej bitwie i umiał pilnować się, będąc w niebezpieczeństwie.

- Co się stało? Czy Elżbieta...? - Zawiesił głos, wstał i wtedy przypomniał sobie, co zaszło. - Gdzie jest ta Montgomery?

Spojrzenie Briana było twarde jak stal.

- Leży martwa na bruku.

W oczach Rogera pojawił się błysk.

- Chciałem ci udowodnić, jaką jest kobietą. Pokazać ci...

- Gdzie żona Stephena Montgomery? - przerwał mu Brian.

- Brian, musisz mnie wysłuchać.

- Wysłuchać?! - parsknął Brian. - A czy ty słuchałeś krzyków Marii? Wiem, że była lękliwa, i założę się, że krzyczała głośno. Dobrze się bawiłeś?

- Brian...

- Zamilcz! Wypowiedziałeś właśnie swoje ostatnie słowa do mnie. Zamierzam znaleźć tę drugą kobietę i odjechać z nią stąd. - Zmrużył oczy. - Jeśli cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę, zabiję cię!

Roger opadł na plecy, jak trafiony strzałą. Patrzył tępo, jak Brian wychodzi z pokoju.

Spojrzał na skrwawione prześcieradło i pomyślał o martwej kobiecie leżącej pod oknem. Co on zrobił?!

Brian nie szukał Bronwyn długo. Domyślił się, że znajdzie ją w pokoju, w którym Edmund trzymał swoje kobiety. I tym razem strażnicy przy drzwiach nie zaczepili go.

Wieści o wydarzeniach tej nocy przenikały przez mury.

Bronwyn obudziła się i stała ubrana, kiedy Brian wszedł do pokoju.

- Co się stało? - zapytała cicho ponurego mężczyzny, który pojawił się tak nieoczekiwanie.

- Jestem Brian Chatworth - powiedział. - I zabieram cię do twojej rodziny. Jesteś gotowa?

- Moja szwagierka też tu jest uwięziona. Nie ruszę się bez niej.

Brian zacisnął usta.

- Mój brat zgwałcił ją i popełniła samobójstwo - rzekł stanowczym tonem i jakby obojętnie, ale Bronwyn wyczuła, co się kryje za tymi słowami. Maria, pomyślała, kochana.

delikatna, łagodna Maria.

- Nie możemy jej tu zostawić. Muszę ją zabrać do domu.

- Nie musisz się martwić o Marię. Zajmę się nią.

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, wyjaśnił Bronwyn niemal wszystko.

- Jestem gotowa - stwierdziła spokojnie i podążyła za nim.

Kiedy wyszli na zimne, nocne powietrze, Brian odwrócił się do niej.

- Wyślę z tobą kilku ludzi. Pojadą z tobą. dokąd zechcesz Możesz też jechać ze mną do zamku Montgomerych.

Podjęcie decyzji nie trwało długo, Miała cały miesiąc myślenie, gdy zamknięto ją w tym domu. Zanim zobaczy znowu ze Stephenem, musi położyć kres waśni z MacGregorami.

Musi udowodnić, że jej miłość do Stephena jest coś warta.

- Wracam do Szkocji i niepotrzebni mi Anglicy. Łatwiej mi będzie podróżować samotnie.

Brian nie spierał się z nią. Jego myśli całkowicie zaprzętało poczucie krzywdy i nienawiści. Skinął głową.

- Dostaniesz konia i taką wyprawę, jakiej potrzebujesz. - Odwrócił się, ale chwyciła go za rękę.

- Obiecujesz zająć się Marią?

- Przysięgam na swoje życie - odparł stłumionym głosem. - I pomszczę jej śmierć.

Bronwyn zmarszczyła czoło, pomyślawszy, jak zareagowałaby Maria na wzmiankę o zemście. Nagle rozejrzała się wokół siebie i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jest wolna. Musi stąd jak najszybciej uciekać, zanim stanie się coś złego. Miała wiele do zrobienia. Może uratowanie życia kilku ludzi, choćby Szkotów, ucieszy duszę Marii.

Ruszyła ku stajniom.

19

Bronwyn oparła głowę o ciepły bok krowy, którą doiła. Cieszyła się, że trafiła do domu rodziców Kirsty zamiast do Larenston. Kirsty i Donald zabrali małego Rory'ego Stephena i wrócili na północ do swojego domu. Bronwyn podniosła się i podeszła do konia, gdy Harben chwycił ją za ramię.

- Zostaniesz u nas, moja panno, dopóki nie spotkasz się z MacGregorem. To znaczy, jeśli masz na to jeszcze ochotę.

Popatrzyła na Harbena, potem na Nestę.

- Od jak dawna o tym wiecie?

- Donald powiedział mi po twoim wyjeździe. Ja i tak od początku coś podejrzewałem. Nie mówisz jak zwykła kobieta. Masz w sobie więcej...

- Pewności siebie? - zapytała z nadzieją.

Harben skrzywił się.

- Raczej zuchwalstwa. - Popatrzył na nią. - Spodobasz się MacGregorowi. - Jego wzrok powędrował ku jej wyдутemu brzuchowi. - Widzę, że twojemu mężowi posłużyło moje piwo.

Roześmiała się.

Harben wprowadził ją do swego małego domku.

- Jednego tylko nie rozumiem. Widzę, że jesteś jedną z MacArranów, ale nie mogę się doszukać Anglika w tym twoim mężu. Wygląda mi raczej na MacArrana.

Roześmiali się oboje. Nesta uśmiechała się pobłaźliwie. To właśnie ona zajmowała się gospodarstwem i pilnowała, by Bronwyn i Harben nie przerywali pracy podczas swych sprzeczek. Zorganizowanie spotkania z MacGregorem zajęło kilka dni.

Zgodził się zatrzymać całą rzecz w tajemnicy i nie przyprowadzać swoich ludzi, podobnie jak Bronwyn. Mieli spotkać się następnego ranka w samym środku wrzosowiska.

Odgarnęła przeszkadzające jej pasmo włosów i dokończyła dojenia. Potem odniosła wiadro w odległy koniec obory. Zauważyła, że zapadł już zmrok. Nagle usłyszała coś, co nakazało jej stanąć w bezruchu.

Posłyszała ciche szczekanie, który przypomniało jej o Rabie, i łzy napłynęły jej do oczu. Wciąż jeszcze zbyt dobrze pamiętała leżącego na ziemi psa z wielką raną ziejącą w jego boku.

Dźwięk się powtórzył. Odwróciła się, ciągle jeszcze trzymając wiadro w ręce. W

drzwiach stał spokojnie, machając ogonem... Rab.

Odstawiła wiadro i po chwili przyciskała do siebie wążące sto pięćdziesiąt funtów cielsko, które skoczyło ku niej. Pies pchnął ją na koryto, niemal łamiąc ją w połowie.

- Rab! - szepnęła, przytulając go do siebie. - Rab! - powtórzyła ze śmiechem, gdy z trudnością wydobyła się pod niego. - Piesku kochany. Skąd przychodzisz? Myślałam, że nie żyjesz. - Wtuliła twarz w jego futro.

Nagle doleciał ją przenikliwy gwizd i Rab poderwał się na łapy.

- O co chodzi, piesku? Podniosła wzrok i zobaczyła Stephena. Miał krótsze włosy, ale włożył szkocki strój. Przyjrzała mu się niespiesznie.

Prawie zapomniała, jaki jest wysoki, jaki silny i muskularny.

Jego błękitne oczy patrzyły na nią w napięciu. - Czy otrzymam takie samo powitanie jak Rab? - zapytał. Niewiele myśląc, rzuciła mu się na szyję, obejmując go mocno ramionami. Stephen uniósł ją lekko nad ziemię. Nie mówiąc już ani słowa, całował ją łapczywie. Tak dawno już jej nie dotykał.

Zrobił krok do tyłu, wciąż trzymając ją nad ziemią, i opadł na wysoką stertę słomy.

Ale zanim dotknęli ziemi, zaczął rozpinąć guziki jej koszuli.

- Nie możemy... - zamruczała Bronwyn. - Harben... Stephen lekko ugryzł ją w ucho.

- Powiedziałem mu, że na resztę dnia planujemy małą orgię.

- Nie zrobiłeś tego?!

- Ależ tak! - zapewnił, a w jego oczach czaił się śmiech.

W chwilę później zmienił się na twarzy. Jego oczy rozszerzone zdumieniem wpatrywały się w twarde wzniesienie jej brzucha. W pośpiechu zaczął zrywać z niej ubranie, po czym popatrzył na nią pytająco.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

Okrzyk radości Stephena przestraszył kurczęta siedzące w zakątkach obory.

- Dziecko! Harben miał kupę racji z tym swoim domowym piwem.

- Morag twierdzi, że gdy spotkaliśmy Kirsty, już nosiłam to dziecka Położył się obok niej i przyciągnął do siebie jej nagie ciało.

- A zatem może to ja, a nie Harben - powiedział głosem przepełnionym głęboką, wewnętrzną radością.

Bronwyn otarła się o niego i poruszyła nogą leżącą pomiędzy jego udami.

- A może to jednak domowe piwo - rzekła ze smutkiem. - No bo skąd mogłabym mieć dziecko?

Zakrztusił się, po czym pchnął ją twarzą w słomę. Błyskawicznie pozbył się plaidu.

Pochylił się i zaczął całować zagięcie jej kolan.

- Zupełnie cię już zapomniałem - mruknął, przebiegając zębami po jej kostkach. Jego ręce pieściły jej nogi. Jęknęła, starając się odwrócić, ale trzymał ją mocno, nie zaprzestając tych słodkich tortur.

Dotyk jego skóry wywoływał dreszcze w jej całym ciele. Usta Stephena wędrowały wzdłuż jej pleców, uda objęły jej nogi. Jego jędrne, owłosione pośladki podziały na nią jeszcze bardziej podniecająco. Jego masywne dłonie igrały z jej drobnym ciałem.

Gdy poczuła, że nie wytrzyma ani chwili dłużej, odwróciła się na plecy. Całował ją, pieszcząc ręką jej brzuch i piersi. Wygięła się, kiedy piersi dotknął ustami.

Podciągnął się wyżej, przesuwając delikatnie zębami po jej szyi.

- Głodna moja pani? - wymruczał jej w ucho.

Ugryzła go dość mocno, a on położył się na niej. Od tak dawna nie byli razem i pieszczoty Stephena sprawiły, że wspięła się na szczyty rozkoszy. Wystarczyło kilka pchnięć, by przeszył ich dreszcz spełnienia.

- Och, Stephen - szepnęła, przytulając się do niego. Tak dobrze było poczuć się znowu bezpieczną, nie tak samotną.

Nie zauważyła, jak po policzkach zaczęły jej spływać łzy.

Stephen odsunął się nieco od niej i ułożył sobie jej głowę w zagłębieniu ramienia.

Przykrył ich ubraniem, a Rab przytulił się do pleców swojej pani.

Poczucie bezpieczeństwa sprawiło, że rozpląkała się na dobre.

- Aż tak strasznie było? - zapytał łagodnie. - Czuliśmy się bezradni, niewiele się dało zrobić.

Otarła łzy i popatrzyła na niego.

- Co z Marią?

Ponownie oparł sobie jej głowę na ramienia.

- Brian Chatworth przywiózł ją do nas. - Przez chwilę milczał. To nie był

odpowiedni moment, by mówić o gniewie, wręcz furii, jaką wywołała śmierć siostry.

Słodka, łagodna Maria, która czyniła jedynie dobro, nie zasługiwała na tak okrutną śmierć.

Miles o mało nie zabił Briana, zanim Gavin ze Stephenem zdążyli go powstrzymać. Brian opowiedział im swoją historię, z której wynikało, że Maria, nawet uwięziona, potrafiła dawać miłość. Kiedy Brian trzymał w ramionach pozbawione życia ciało, na jego twarzy malowała się bezbrzeżna rozpacz.

Brian pojechał odszukać Raine'a bez względu na to, gdzie on się teraz znajduje -

ciągnął Stephen. - Słyszał, że Raine ukrywa się w lesie. Dlaczego nie wracasz do Larenston?

Tam postarzał się o dwadzieścia lat w ciągu ostatniego miesiąca. Nie wiedział, co się właściwie stało. Znaleźli rano Raba i byli pewni, że nie żyjesz.

- Chciałabym coś zrobić dla Marii.

- Dla Marii? Przyjechałaś do Harbena ze względu na Marię?

Bronwyn rozpląkała się jeszcze rzewniej.

- Miałaś rację. Ostatnio dużo myślałam. Jestem samolubna i nie zasługuję na twoją miłość.

- czym ty, u diabła, mówisz?

- tym, coś mi rzekł, kiedy obejmowałeś tę kobietę - powiedziała, uśmiechając się sztucznie.

Stephen zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie, o czym ona mówi. Od czasu ich ślubu nie dotknął żadnej innej kobiety. Każda wypadła blado przy temperamencie i urodzie Bronwyn. Uśmiechnął się, przypominając sobie wieczór w zamku Gavina.

- Aggie! - roześmiał się. - Miejskowa dziwka. Siedziałem tam, uzalając się nad sobą, gdy weszła do pokoju, rozpięła bluzkę i rozsiadła mi się na kolanach.

- Ale jej nie odepchnąłeś! Wyraźnie dobrze się bawiłeś, kiedy tam weszłam.

- Bawiłem się? - zapytał, a potem wzruszył ramionami. - Jestem mężczyzną i mogę być zły albo smutny, ale nie jestem z drewna.

Bronwyn chwyciła garść słomy i rzuciła nią w niego. Złapał ją za rękę. - powiedz mi, co mówiłem tego wieczoru.

- Nie pamiętasz?! - Jak mógł zapomnieć o czymś, co tak wiele dla niej znaczyło?

- Pamiętam tylko, że wrzeszczeliśmy na siebie, a potem wskoczyłem na konia. Nie mam pojęcia, dokąd jechałem. Gdzieś po drodze padłem na ziemię i zasnąłem. Rano zdałem sobie sprawę, że chyba cię straciłem przez własną głupotę i postanowiłem coś zrobić, żeby cię odzyskać.

- To dlatego pojechałeś do króla Henryka? Żeby mnie odzyskać?

- Przecież nie dla czego innego - odparł. - Nie cierpię dworu. Strata czasu. Popatrzyła na niego i roześmiała się.

- Mówisz jak Szkot.

- Król Henryk też powiedział, że nie jestem już Anglikiem i że mówię jak Szkot.

Roześmiała się ponownie i zaczęła go całować. Odsunął ją.

- Nadal nie otrzymałem od ciebie odpowiedzi. Przez cały czas swego pobytu na dworze myślałem, że jesteś z moimi braćmi. Gavin tak się wściekł, że nie chciał do mnie pisać. Zapewne przypuszczał, że wiedziałem o twoim wyjeździe w noc, kiedy sam opuściłem zamek. Ty i Miles przestraszyliście ich nie na żarty.

- Ale nie ciebie? - zapytała. - Co pomyślałeś, kiedy dowiedziałeś się, że wróciłam do Szkocji?

- Nie miałem czasu na myślenie - odparł z niesmakiem.

- Gavin, Raine, Miles i Judyta wciąż mnie pouczali. Gdy już mieli dość, przestali się do mnie odzywać.

- I przez cały ten czas nie napisałeś do mnie ani słowa!

- Ależ to ty mnie zostawiłaś! - prawie krzyknął. - Powinnaś mi była wysłać jakąś wiadomość.

- Stephenie Montgomery! - sapnęła. - Ja cię nie zostawiłam. Właśnie oznajmiłeś, że pojechałeś do króla Henryka. Miałam siedzieć beczynn timer i czekać na twój powrót? A co miałam powiedzieć twojej rodzinie, że wolisz ode mnie jakąś grubą flądrę? Po tym wszystkim, co od ciebie usłyszałam...

- Odwróciła wzrok.

Chwycił ją delikatnie pod brodę i zmusił, by ponownie na niego spojrzała.

- Chcę wiedzieć, co wtedy powiedziałem. Co sprawiło, że odeszłaś? Znam cię i wiem, że gdyby chodziło tylko o tę dziwkę, nie odeszłabyś. Poradziłabyś sobie z nią rozgrzanym pogrzebaczem.

- Zasłużyła sobie na to - powiedziała porywczo Bronwyn. Głos Stephena stał się ostry, niemal zimny.

- Chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia.

Mimo że był blisko, odwróciła wzrok. Łzy napłynęły jej do oczu. Pomyślała z niesmakiem, że jeszcze nigdy w życiu tyle nie płakała.

- Powiedziałeś, że jestem samolubna, zbyt samolubna, by kogoś pokochać... że kryję się za plecami klanu, ponieważ boję się dorosnąć. Powiedziałeś, że... poszukasz sobie kobiety, która nie będzie tak zimna i potrafi ci dać to, czego potrzebujesz.

Stephen otworzył usta ze zdumienia, po czym zaczął się śmiać.

Popatrzyła na niego wstrząśnięta.

- Nie widzę nic śmiesznego w moich błędach - stwierdziła chłodno.

- Błędach! - wykrztusił pomiędzy kolejnymi falami śmiechu. - Boże! Ależ musiałem być pijany! Nie przypuszczałem, że można się aż tak upić.

Usiłowała się od niego odsunąć.

- Nie pozwolę, byś się ze mnie naśmiewał! Może to właśnie moja samolubna natura nie pozwala mi dostrzec nic śmiesznego w twoich słowach.

Stephen przygarnął ją do siebie. Odepchnęła go i przez chwilę pozwalał jej cieszyć się zwycięstwem, a potem przytulił ją, nadal się śmiejąc.

- Bronwyn - rzekł, starając się zachować powagę. - Posłuchaj mnie. Jesteś najmniej samolubną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Nie widziałem jeszcze kogoś, kto by tak mało dbał o siebie jak ty. Nie zdawałaś sobie sprawy, że właśnie to mnie tak rozgniewało, kiedy wisiałaś nad przepaścią? Miałaś prawo polecić to komuś innemu albo zrobić tak, jak radził Douglas, i uznać Aleksa za umarłego. Ale nie, nie byłabyś sobą! Nie moją słodką, kochaną dziedziczką MacArranów. Myślałaś tylko o jednym z członków swojego klanu, a nie o sobie.

- Ale strasznie się bałam - wyznała.

- Oczywiście! To tylko potwierdza twoją odwagę... i brak miłości własnej.

- Ale dlaczego...? - zaczęła.

- Dlaczego nazwałem cię egoistką? Przypuszczam, że czułem się upokorzony i tak bardzo cię kochałem, a ty mnie nie. I szczerze mówiąc, przy tobie czuję się czasem niemal ułomny. Obawiam się, że nie mam nawet połowy twojej odwagi.

- Och, Stephen. To nieprawda. Jesteś odważny. Pokonałeś czterech Anglików, mając tylko łuk, wtedy gdy pierwszy raz byliśmy u Kirsty. Także porzucenie angielskiego stroju i obyczajów wymagało wiele odwagi. Stałeś się Szkotem.

- Szkotem? - zapytał, unosząc brwi. Spoważniał. - Kiedyś powiedziałaś mi, że mnie pokochasz, jeśli stanę się Szkotem.

Czekał na odpowiedź, ale ona milczała.

- Bronwyn, kocham cię i najważniejsze jest dla mnie teraz, byś i ty mnie pokochała. -

Przyłożył palec do jej ust, posyłając jej ostrzegawcze spojrzenie. - A jeśli zaczniesz mi teraz mówić coś w stylu: „oczywiście, jesteśmy do siebie bardzo przywiązani”, skrećę ci ten twój śliczny, malutki kark.

- Ależ kocham cię, głupcze! A jak myślisz, dlaczego ściska mnie w dołku, gdy jesteś przy mnie? A kiedy się oddalasz, jest jeszcze gorzej. Jedyнным powodem, dla którego zgodziłam się pojechać z Rogerem, była chęć udowodnienia ci, że nie jestem samolubna.

Zrobiłabym wszystko, bylebyś mnie kochał.

- Ucieczka z wrogiem nie jest najlepszym sposobem udowodnienia mi miłości - rzekł

ostro, a potem się uśmiechnął. - Chcesz mi teraz powiedzieć, że mnie kochasz, czy że przyprawiam cię o niestrawność?

- Och, Stephen - roześmiała się, zrozumiawszy, że jej uwierzył. Nie oskarżył jej o zdradę z Rogerem Chatworthem! Zaczynał panować nad swoją zazdrością.

Nagle oboje zamilkli i wpatrzyli się w siebie. Obydwoje wyczuli nagłe poruszenie w jej brzuchu.

- Co to było? - zapytał.

- Coś jakby kopnięcie - odpowiedziała zdumiona. - Wydaje mi się, że to twoje dziecko nas kopnęło.

Stephen zsunął się z niej i z szacunkiem pogłaskał jej brzuch.

- Czy opuszczając mnie wiedziałaś już o dziecku?

- Nie opuściłam cię - wytknęła mu. - Ale, owszem, wiedziałam.

Przez chwilę milczał, przyłożywszy dłoń do jej brzucha.

- Zadowolony z naszego dziecka? - szepnęła.

- Może trochę przestraszony. Judyta straciła swoje pierwsze dziecko. Nie chciałbym, żeby ci się coś stało.

Uśmiechnęła się do niego.

- Jak mogłoby mi się coś stać, skoro ty jesteś przy mnie by mnie bronić?

- Bronić cię?! - wybuchnął. - Nigdy mnie nie słuchasz. Uśpiłaś mnie. W środku nocy wymknęłaś się spod opieki mojej rodziny. Ty...

Przyłożyła palec do jego ust.

- Ale cię kocham. Bardzo, bardzo cię kocham. I potrzebuję cię. Potrzebuję twojej siły, mądrości, lojalności i umiejętności zażegnania sporów. Potrafisz powstrzymać mnie i mój klan od wywoływania wojen. I dzięki tobie wiemy, że nie wszyscy Anglicy są chciwymi, kłamliwymi ignorantami i...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Nie psuj tego - powiedział - Ja też cię kocham. Stało się to w chwili, gdy ujrzałem cię wśród ludzi z twojego klanu. Nigdy nie spotkałem pięknej kobiety, nie licząc Judyty, która nie byłaby tylko zabawką. Byłem naprawdę wstrząśnięty widząc, że twoi ludzie cię słuchają i szanują. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem w tobie coś więcej niż tylko...

Jej oczy błysnęły.

- Dobrą kochankę?

Roześmiał się.

- O tak. zdecydowanie! - Zaczął ją pieścić z większym wigorem.

- Stephen - szepnęła, gdy całował jej ucho. - Jutro spotkam się z MacGregorem.

- To miło - mruknął, sunąc ustami wzdłuż jej szyi. - Bardzo miło.

Nagle wzdrygnął się i odsunął od niej. Rab warknął zaniepokojony, a Stephen patrzył na Bronwyn zaskoczony.

- Żartujesz!

Uśmiechnęła się błagalnie.

- Jutro o świcie spotykam się z MacGregorem. - Pochyliła głowę i zaczęła go całować.

Odsunął się ponownie i przytrzymał jej głowę.

- A niech cię! - rzucił przez zęby. - Znowu zaczynasz? I na pewno widzicie się sam na sam w jakimś tajemniczym miejscu.

- Oczywiście. Przecież nie mogę ot tak poprosić mój klan, żeby mi towarzyszył.

Chcę zażegnać tę wojnę, zanim będzie za późno.

Stephen zamknął oczy, próbując się uspokoić.

- Nie możesz spotkać się z tym człowiekiem sama. Zabraniam ci!

Na twarzy Bronwyn malowało się niedowierzenie.

- Co? Zabraniasz mi?! Jak śmiesz! Chyba zapominasz, że nazywam się MacArran.

Fakt, że cię kocham, nie daje ci prawa, byś mi rozkazywał.

- Czy możesz na chwilę zamilknąć? Zawsze ci się wydaje, że jestem twoim przeciwnikiem. A teraz posłuchaj. Kto jeszcze wie o tym spotkaniu?

- Tylko Harben. On to zorganizował. Baliśmy się nawet powiedzieć Neście, żeby nie robić jej zbyt wielu nadziei.

- Nie robić jej nadziei! - parsknął. - Czy tylko o tym potrafisz myśleć? O innych?

- Mówisz tak, jakby to było coś złego.

- w twoim przypadku tak jest. - Znow musiał się uspokoić. - Bronwyn, czy do ciebie nie dociera, że przynajmniej od czasu do czasu powinnaś pomyśleć także o sobie?

- Ależ to właśnie robię. Chcę pokoju dla mojego klanu.

Stephen spojrzał na nią z uczuciem.

- Dobrze, posłuchaj. Wyobraź sobie następującą sytuację. Ty i MacGregor spotykacie się w jakimś ustronnym zakątku, pewnie we mgle, i jedyną osobą, która o tym wie, jest Harben. Co zrobisz, jeśli MacGregor postanowił zakończyć ten spór, zabijając dziedziczkę MacArranów?

- To potwarz! To pokojowe spotkanie. MacGregor by tego nie zrobił.

Wyciągnął ręce w błagalnym geście ku niebu.

- Nie potrafisz pójść na kompromis? Sześć miesięcy temu już samo nazwisko MacGregor było ci nienawistne, a teraz zamierzasz złożyć swoje życie w ręce tego człowieka?

- A co innego mogę zrobić? Jeśli MacGregor i ja dojdziemy do jakiegoś porozumienia, możemy zapobiec dalszemu zabijaniu. Czy nie o to ci chodzi? Nie powiedziałaś, że chcesz, by ten spór się nareszcie skończył? Nasza prywatna wojna stała się przyczyną śmierci twego przyjaciela.

Chwycił ją w ramiona i przytulił.

- Tak, zgadzam się. Chcę końca tej wojny, ale nie za taką cenę! Nie pozwolę ci iść tam samej i spotkać się z mężczyzną dwukrotnie od ciebie większym. Mógłby cię zabić jednym ruchem ręki.

Uniosła głowę, ale pchnął ją w dół.

- Nie będziesz sama. Pójdę z tobą!

- Ależ nie możesz! - wybuchnęła. - Wyraźnie zaznaczono, bym przyszła sama.

- I tak nosisz już jedną osobę, w czym ci przeszkadza druga?

- Stephen... - zaczęła błagalnie.

- Nie! - ryknął. - Przynajmniej tym razem musisz mnie usłuchać, rozumiesz?

Chciała protestować, ale wiedziała, że to nie ma sensu. Szczerze mówiąc, była mu nawet wdzięczna, że z nią idzie, Nadstawiła usta do pocałunku. On tylko je musnął wargami i odsunął się. Popatrzyła na niego zaskoczona. Ruchem głowy wskazał okno.

- ile się nie mylę, brakuje około półtorej godziny do wschodu słońca. Powinniśmy ruszać.

- Nie mamy nawet kilku minut? - zapytała żałośnie.

- Jesteś upartym dzieckiem - stwierdził żartobliwie. - Teraz ubierzmy się i ruszajmy podbić MacGregora tak, jak ty podbiłaś mnie.

Położyła się na plecach na słomie i patrzyła, jak on wkłada ubranie. Zbyt szybko okrył swe silne ciało. I pomyśleć, że kiedyś uważała go za wroga!

- To ty, milordzie, jesteś moim zdobywcą - westchnęła i zaczęła się powoli ubierać.

Otrzeźwieli przygotowując się do tej krótkiej wyprawy. Stephen nawet zastanawiał

się, czy nie zamknąć Bronwyn w oborze, ale ona, jakby wyczuwając jego zamiary, uparcie nie chciała powiedzieć mu, gdzie ma nastąpić spotkanie.

Zgodnie z przewidywaniami Stephena miejsce spotkania było odosobnione, tuż obok wysokiej skały, tym bardziej sprawiające wrażenie osamotnionego, że spowite mgłą.

Kiedy zsiadli z koni, Stephen poczuł ostrze miecza na swojej szyi.

- Kim jesteś? - zagrzemiał MacGregor.

- Przyjechałem tu jako jej ochrona - odparł Stephen.

- Może sobie być głową klanu, ale nie pozwolę, by się sama spotykała z mężczyznami.

MacGregor popatrzył na śliczną, wysoką, szczupłą Bronwyn. Trzymała wielkiego psa w kagańcu.

Zwierzę wyraźnie miało ochotę zaatakować. MacGregor roześmiał się i opuścił miecz.

- Nie mam ci tego za złe, chłopcze. Ale wydaje mi się, że ona potrzebuje ochrony z innego powodu, niż ci się wydaje.

Stephen stanął z mężczyzną oko w oko.

- Potrafię ją ochronić przed wszystkim - odparł znacząco.

MacGregor roześmiał się ponownie.

- Chodźcie, usiądziemy. Przemyślałem ten pomysł zawarcia pokoju i doszedłem do wniosku, że jedynym rozwiązaniem będzie połączenie rodzin w jakiś sposób. - Usiadł i popatrzył na Bronwyn. - Nie jestem już żonaty. Gdybym wcześniej zobaczył dziedziczkę MacArranów, starałbym się o nią.

Stephen stanął za żoną i położył na jej ramieniu dłoni gestem właściciela.

- Jest zajęta i będę o nią walczył, jeśli...

- Przestańcie! - krzyknęła Bronwyn, strącając rękę Stephena. - Wyglądacie jak dwa walczące cietrzewie. Stephen, jeśli się nie uspokoisz, wrócisz do Harbena.

MacGregor roześmiał się.

- A ty, Lachlan, mógłbyś nareszcie zrozumieć, że MacArran to nie tylko ładna buzia.

Jeśli nie jesteś w stanie pertraktować ze mną, możesz wysłać któregoś ze swoich wodzów.

Tym razem to Stephen się roześmiał. Lachlan MacGregor uniósł brwi.

- Mimo wszystko nie zazdroszczę ci, chłopcze. - Ma też swoje zalety - stwierdził z dumą.

Bronwyn nie słuchała tego. - Davey - szepnęła.

Stephen patrzył na nią, zaczynając rozumieć, co jej chodzi po głowie.

- Próbował nas zabić - powiedział cicho, ale spojrzenie Bronwyn nie pozwoliło mu mówić dalej. Zrozumiał, co czuła... krew nie woda.

Odwrócił się do MacGregora.

- Ona ma starszego brata, około dwudziestki. Chłopak szaleje z zazdrości Woli się gdzieś ukrywać, niż zostać w klanie, którego głową jest jego młodsza siostra. Ostatnio nawet nastawał na nasze życie.

MacGregor skrzywił się, kiwając głową.

- Potrafię go zrozumieć. Sam bym zrobił to samo.

- Rozumiesz go?! - krzyknęła Bronwyn. - To ja jestem dziedziczką MacArranów.

Miał obowiązek zaakceptować wolę ojca. Ja bym tak zrobiła.

- Oczywiście. - Lachlan machnął ręką. - Ale ty jesteś kobietą. - Zignorował gniewne pomruki Bronwyn.

Stephen uśmiechnął się do niego ciepło.

- Mam córkę - ciągnął Lachlan. - Śliczną szesnastoletnią, tak słodką i uległą, jak tylko potrafi być kobieta. - Posłał Bronwyn wymowne spojrzenie. - Może uda się zaaranżować małżeństwo.

- Cóż więcej masz do zaoferowania oprócz tej swojej idealnej córeczki? - zapytała wyzywająco.

Lachlan skrzywił się, zanim odpowiedział.

- Nie może zostać dziedzicem, ale zrobię go wodzem. To więcej niż ma teraz, tym bardziej że będzie zięciem głowy klanu.

- To ostry chłopak - wtrącił się Stephen. - Dlatego Jamie MacArran nie wyznaczył go na swojego dziedzica.

- Nawet go nie widziałeś! - powiedziała Bronwyn. - Skąd wiesz, jaki on jest?

- Umiem słuchać - odparł zdawkowo Stephen.

- Poradzę sobie z nim - zapewnił ich Lachlan. - Nie umrę tak szybko jak Jamie MacArran i nie zostawię go samego. Będę go miał zawsze na oku i nauczę go moresu. Wolę młodego, gniewnego chłopaka, niż uległego. Nie znoszę kobiet ani mężczyzn - tu uśmiechnął się do Bronwyn - bez temperamentu.

- Mogę ręczyć za temperament MacArranów - zaśmiał się Stephen.

- Jasne - zachichotał Lachlan. - Ten Davey może uszczęśliwić moja córkę, jeśli choć trochę przypomina swoją siostrę.

Stephen spoważniał.

- Co powiedzą ludzie z twojego klanu, jeśli przywieziesz im MacArrana?

- Mnie nic, ale będą mieli wiele do powiedzenia Daveyowi. Miejmy nadzieję, że to zniesie.

Bronwyn zeszywniała.

- Mój brat potrafi sobie poradzić z każdym MacGregorem.

Lachlan roześmiał się i wyciągnął rękę do Stephena.

- A zatem umowa stoi? - Potem zwrócił się do Bronwyn. - A co do ciebie, młoda damo, wciąż jeszcze jestem ci coś winien za to „B” wycięte na moim ramieniu. - Chwycił ją mocno i serdecznie ucałował.

Bronwyn zerknęła na męża, obawiając się jego zazdrości, ale Stephen patrzył na nich z zadowoleniem. Kiedy Lachlan odjechał, wstali.

- W przyszłości chciałabym, żebyś pamiętał, że to ja jestem MacArranem, jak ci to dziś pokazałam.

Stephen uśmiechnął się leniwie.

- Zamierzam to zmienić.

- Co to ma znaczyć?

- Nie mówiłem ci, że prosiłem króla Henryka o zmianę nazwiska?

Bronwyn patrzyła na niego z niemądrą miną.

- Nazywam się teraz Stephen MacArran. Nie cieszy cię to?

Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła okrywać jego twarz pocałunkami.

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię! Jesteś teraz MacArranem! To przekona moich ludzi, że można ci ufać.

Stephen przytulił ją i roześmiał się.

- Nigdy we mnie nie wątpili. Tylko ty. - Przycisnął ją do siebie mocniej. - Bronwyn, nie jesteśmy już wrogami. Spróbujmy działać razem.

- Jesteś MacArranem - szepnęła w zachwycie. Zmierzwił ręką jej włosy.

- Teraz już wszystko będzie dobrze. Pojadę po Daveya i...

- Ty?! - Odsunęła się od niego. - To mój brat!

- Ostatnim razem, gdy go widziałas, usiłował cię zabić. Bronwyn machnęła lekceważąco ręką.

- Był wtedy wściekły. Wszyscy w mojej rodzinie mają temperament. Przejdzie mu, gdy usłyszysz mój plan.

- Twój?! Myślałem, że to wspólne dzieło.

- Może, ale Davey będzie słuchał tylko mnie.

Stephen chciał już coś powiedzieć, ale zamiast tego pocałował ją.

- Czy możemy to dokończyć później? Nagle doznałem wrażenia, że coś się pomiędzy nami dzieje.

Popatrzyła na niego niewinnie.

- Chodzi ci o mój brzuch?

Chwycił ją za włosy i odciągnął jej głowę do tyłu.

- Jak się czujesz, całując MacArrana?

- To ja jestem MacArran - zaprotestowała. - Ja... Nie udało jej się już wymówić ani słowa, bo dłoń Stephena powędrowała do zagięcia jej kolan.

Table of Contents

